

Maria Rodziewiczówna
Klejnot

I Szymon Łabędzki płynął już godzinę, nikogo nie napotkawszy na wodnym szlaku. Czas i pora nie były zachęcające do wycieczki: późna jesień i późny zmierzch, chłód i ciemność. Pamięcią i nawyknięciem można się było tylko kierować, bo woda, niebo, ziemia były jedną płachtą siwą, tak je mgły zasnuły i spoiły. Wilgość przejmowała do kości, a czasem, gdy słaby powiew poruszył opary, przewalały się leniwie, przybierając postaci fantastyczne wiedz, choroby i śmierci. Na wydrażonym pniu stojąc i wiosłując, Szymon Łabędzki także do widma był podobny, tak miarowo i bez szelestu i powoli popychał swe pierwotne czółenka, tak milczał i poruszał się naprzód, jakby w mgłę czy chmurach płynął. Wkoło panowała tak zupełna cisza, jaką tylko na tej wodnej pustyni przynosi jesień zbierając ptactwo, spędzając ryby na głębie, a myśliwych i rybaków do zagród i ognisk domowych. Szymon, który rybakiem i myśliwym był z tradycji rodowej i osobistego powołania, słuch wytężał, oczami szperał wokoło i nic nie znajdował, co by rozerwało monotonię podróży. Niekiedy tylko "pławica" jego otarła się o łozę nadbrzeżną lub z wiosła plusnęła w wodę szmat zagarniętych mimochodem porostów. Pomimo nawyknięcia, zahartowania i znajomości takich dróg Szymona powoli ogarniał smutek i przymus. Nie lękał się, ale było mu nieswojo. Chciał dla otuchy zaśpiewać, zagwizdać, a milczał przytłoczony grozą i ponurością tego bezludzia. Chłop w takich razach jest niefrasobliwy i obojętny, bo nie myśli dużo. Szymon był nieustraszony, a dręczyło go, bo rozmyślał. Rozmyślał zrazu o niebezpieczeństwie zatonięcia, walki z falą w nieświadomości brzegu i miejsca, rozmyślał potem o febrze i o gorączkach, które w tych mgłach się lęgną; a wreszcie, rozdrażniony, wpadł w fantazję i wszystkie baśnie, słyszane u komina w chatkach, przysły mu na pamięć: i widział wśród oparów topielice i zwodne dziewczki, co wiodą na manowce i trzęsawiska, wodzą po wertepach do rana. Zdało mu się, że płynie bez końca, noc całą, że zbłądził. Ażeby się uwolnić od nadchodzącej trwogi, sięgnął w zanadrze swej siwej kurty i wydobyl zegarek. Ale nic dostrzec na nim nie mógł; więc, znowu zachowując tysiąc ostrożności, by nie stracił równowagi, zapalił papierosa. Przy tej iskierce światła zobaczył godzinę, uspokoił się: nie stracił czasu. W tej chwili gdzieś z boku, we mgłę, rozległ się głos kobiety: - Ho, ho! Ostrożnie tam! - Ho, ho! - odchrząknął z otuchą, rzeźwiejąc na dźwięk ludzkiej mowy. Drugie czółno zbliżało się, ale go widać nie było, tylko ten sam kobiecy głos ozwał się wyraźniej: - Kto tam? - Szymon Hreczany! - odparł. - A wy kto? - Dobry wieczór! Ja z Dubinek, Antolka Adamowa. - Dobry wieczór. A was co wyгнаło z domu w taką porę? - Szukałam gęsi. Myślałam, że na Połoni znajdę, a te szelmy zawędrowały na Wir i tak mi czas zszedł. Dziaduś pewnie w strachu. - I nie dziw. śmiertelna dziś pora. - I was nie ochota też wyгнаła - zagadnęła po chwili, a była tak blisko, że już sylwetkę jej ciemną rozpoznać mógł obok swej siwej pławicy. - Służba! - odparł lakonicznie. - Do Dubinek wam? - Tak. Myślałem, że zbłądził w tumanie. - Ej, nie! żebyście i nie chcieli, to was woda sama zanieśie. Z prądem droga. Czy to na zaręczyny śpieszycie? - Na zaręczyny? Czyje? - A toż waszą Weronkę za Makarewicza wydają. - Pierwszy raz słyszę. Za tego koniokrada, opoja. - A cóż? - zaśmiała się szyderczo i urwała. I on milczał, nierad z siebie, że mu się ten okrzyk wyrwał o sprawach rodzinnych wobec ledwie znanej dziewczyny z zaścianka. Ona, prosta i prawdomówna jak pierwotna natura, ciągnęła po chwili dalej przykre nowiny: - Makarewicz bogaty, a proces kosztuje. Weronka też nie od tego; więc, jak to mówią, swój swego poznał i na piwo pozwał! Dziś miały być zrękowiny u waszych tatków. łachnął się i porywczo odparł: - Nie mam niejakich tam tatków ani to moja familia! - Ach, prawda, wyście się swoich wyparli! Cuchnie wam zaścianek po malowanych stancjach dworskich - roześmiała się szyderczo. - A cuchnie! - potwierdził hardo, nie wdając się w dalszy spór. Dziewczyna niezrażona, owszem jakby podniecona jego niechęcią, mówiła znowu: - Jednakże zbytnio sobie nie ufajcie. Gromada wielki człowiek... - Ja też nikogo nie depczę, kto mi w drogę nie wchodzi; pilnuję swego i tyle! - Mnie to jednak, co z wami będzie. Ni brat, ni swat, ale jeszcze z waszej racji krew popłynie, to

niezawodne, i dziaduś może być zamieszany do śledztwa. - Będzie słusznie, bo gdzie młodzi szaleją i popełniają bezprawia i gwałty, starzy są winni i odpowiedzialni. Teraz kolej oburzenia przyszła na dziewczynę. Podniesionym głosem, w którym słycaż było coś na kształt szczęku wilka, zawołała: - Będziecie może mego dziadka uczyż... wy, dworski zaprzedańcze, zdrajco swojej krwi! Dziaduś by wam mógł powiedzież, co znaczy szlachecki klejnot i hambicja, przez siedemdziesiąt lat cześż swoją i honor zachowując, nie tak jak wy, co w obroży dworskiej chodzicie od dziecka! Co wy? Ogar pański! Szymon słuchał cierpliwie i nic nie odrzekł. To milczenie, pogardliwe czy lekceważące, oburzyło dziewczynę. - Nie raczycie odpowiedzież! Ja wiem! My dla was za głupi, za prości! Z paniczem tylko umiecie rozprawiaż, lizaż mu buty! Poczekacie na zapłatę pańską! Po chwili milczenia Szymon trochę drwiąco spytał: - A czy dużo wymędlila w tym roku panna Antolka? A kapusta obrodziła? Dziewczyna chwilę zamilkła, zdziwiona nagłym zwrotem rozmowy, potem się opamiętała, że to szyderstwo było i lekceważenie, i drżącym głosem od złości odparła: - Lnu mi starczy na moje potrzeby, a kapusty zbędzie nawet dla żebraków, którym zabraknie cudzych kości do ogryzienia. - Dziękuję pannie Antolce i za prorocstwo, i za obietnicę, i za miłe towarzystwo! - zawołał Szymon skręcając w lewo. - To już pan nie do Dubinek? Trochę strach obleciał! - zaśmiała się dziewczyna. - Byż może. Panieńskie języki tamtejsze nadto ostre. Trzeba ustąpiż, bo uśmierca czasem. Dziewczyna miała odpowiedź gotową, drwiącą, ale poprzestała na cofnięciu się nieprzyjaciela i tylko pięścią mu pogroziła w ciemności. Gdzie on zawrócił? pomyślała. To prośż (przesmyk wodny) do Dubinek chłopskich, nigdzie dalej! Czyżby do dziewczek tamecznych zagładał? A może panicza udaje... Na wieczornice jeździ. Graf! (hrabia) Bodaż mu ostatni raz! Ale nie bez racji on tu się wybrał i nie z dobrem jedzie! Trzeba donieśż o tym... Silniej zaczęła wiosłoważ. Szymon tymczasem, skręciwszy w przesmyk, także żywiej się ruszał. Szło mu widocznie o pośpiech. Wojownicza Antolka była jeszcze o wiorstę od "okolicy" szlacheckiej, gdy on już wylądował na piaszczystym "wodopoju", przy wielkiej szarej wsi nadwodnej. Pławicę swoją na piasek wyciągnął, wyjął z niej strzelbę i pas z ładunkami, i wszedł w ulicę wioskową, która, jak wszystkie tameczne, schodziła i kończyła się w wodzie. * * * Niskie szare chaty ciągnęły się w dwa rzędy, tak do siebie podobne, jak chaty bobrów; gdzieniegdzie jeszcze ogień w nich połyskał, ogień czerwony i dymny, ze smolnych drzazg. Szymon minął chat dziesiątek, opędzając się psom i rachując siedziby, nareszcie na jedno podwórko zawrócił, zajrzał do izby przez malutkie okienko i do drzwi zakołatał. Gwar i śpiewy w chacie na chwilę ucichły, ktoś się poruszył, wyszedł do sieni i drzwi otworzył. - Sława Bogu! - pozdrowił Szymon. - Na wieki! - odparł chłop tonem szacunku i usunął się na bok. - Ojciec w domu? - Doma, na wasze rozkazy! - odparł chłop. - To i dobrze! Zabiorę go zaraz! - O, a gdzie to? - Wiadomo gdzie! - odparł Szymon ramionami ruszając. - Aha, do okolicy. To i świadkowie potrzebni? - A jakże. Czterech tęgich chłopów, bo i bitwa byż może. Na to hasło chłop się roześmiał radośnie, oczy mu zabłyśły drapieźnie. Rzucił się do drzwi chaty, otworzył je przed Szymonem i zawołał: - Tatusiu, pan nadleśny "za dziełem" do was! Ja skoczę po setnika * i świadków. setnik - człowiek mający nadzór nad stu ludźmi. Szymon stanął w progu, jaskrawo oświetlony czerwoną łuną łuczywa palącego się wśród chaty w żelaznym, wiszącym koszu. Fantastyczne to światło źle i nierówno rozjaśniało izbę wielką i czarną, pełną aż po brzegi ludzkiego mrowia. Ławy wokoło obsiadły kobiety z praśnicami, przeważnie młode, białe odziane; na środku izby bawiła się gromadka dzieci, po kątach szarzały postacie mężczyzn, beczynnich siedzących i odpoczywających po dziennym trudzie. Tylko u progu mały parobczak plótl z łozy więcierz na ryby, a u komina na zydlu dziad, siwy jak gołąb, strugał nożem wrzeciona. Gwarno musiało tu byż i śpiewno, bo gdy Szymon się ukazał, jeszcze uśmiechy znaż było na twarzach, jeszcze ostatnie echo przeciągłej pieśni poleskiej drżało w powietrzu; ale na jego widok wszystko ucichło i czekało i słuchało, wlepiwszy weń oczy trochę trwożne, trochę nieśmiałe. On, obyczajów i stosunków tej chaty snadż świadomy, wszedł schylając

w progu swą olbrzymią postać i rozejrzawszy się spytał: - Czy baby nie ma? - Jestem! - odparł zza pieca gruby głos. - Sława Bogu. Przyszedłem po waszego Makara. Z kąta ruszył się chłop barczysty, może czterdziestoletni, ale zamiast się odezwać, podniósł też do pieca oczy i czekał, zda się, rozkazu. - Makar, idźże, synku, z panem! - ozwał się gruby głos niewidzialnej istoty. A zaraz potem: - Tekla, podaj panu zakąskę! Zróbcie mu miejsce pod obrazami! Pięć bab usunęło się z ław, żwawo spełniając rozkaz, a od jednej kądzieli wstała dziewczyna śliczna, młoda, gibka, a błysnawszy na gościa gorejącymi źrenicami, wyszła do komory po jadło i napitek. Szymon usiadł i gdy pokorny Makar ubierał się przy pomocy żony, jął rozmawiać z niewidzialną władczynią chaty. - Na Dubinki pojedziemy z ludźmi, dzisiaj znowu siedem dębów w lesie mi ukradli. Krótki szyderczy uśmiech mu odpowiedział. - Kto, może Makarewicz? - spytała. - Zapewne, ale zresztą tam każdy to potrafi. - O, Makarewicze najlepsi! U nich wszystko przepada. I dusze ich przepadłe. Wychyliła się ku światłu łuczyna, które ubarwiło czerwono jej twarz śniadą, suchą, o profilu orlim. Miała na ledwie siwiejących włosach zawój biały, spod którego młodzieńczo jeszcze błyskały oczy czarne, przenikliwe, surowe. Spojrzała ku nadleśnemu i wytrzasając o krawędź pieca fajeczkę rzekła: - Mnie nazywają Wilczyca. Mało kogo lubię z cudzych; mało do kogo zagadam, nikogo nie goszczę. Panu to może śmiech sprawi, ja panu powiem, że ja pana jednego honoruję. Chłopski honor dla Lacha - to śmiech! - Nie śmiech! Dziękuję wam! - odparł poważnie. Baba kiwnęła głową protekcjonalnie i mówiła dalej: - A honoruję ja panu za to, że pan pierwszy nie zląkł się Dubinek i choć to wasza krew i swojactwo, sam jeden za prawdę chciał stanąć. Szkoda was, bo głową to nałożycie, ale cześć wasza i sława junaka warte honoru, i póki Wilczyca żywa, mój ród cały będzie na wasze służby. Słyszeli chłopcy? - zakończyła głos podnosząc. - Słyszeli! - odpowiedział zgodny pomruk wszystkich męskich głosów. W tej chwili piękna Tekla wniosła z komory i postawiła przed gościem flaszkę wódki, ser i kiełbasę. Szymon oczy na nią podniósł i spotkali się wzrokiem jak dobrzy znajomi. Uśmiech rozjaśnił twarz dziewczyny, a on jej głową skinał na powitanie. Potem zwrócił się do baby na piecu. - Przypijcie do mnie! - rzekł. - Niech Makar wypije - odparła. Rozkaz ten syn spełnił skwapliwie, a tymczasem Tekla, o róg pieca oparta, stała bezczynnie, zadumanych oczu nie spuszczać z gościa. Dziwny to był ten zachwyt, bo Szymon Łabędzki ze swą twarzą pooraną przez ospę, czarny, śniady, nie był typem piękności. Był w nim wyraz piękny otwartej, szczerzej natury i nieustraszonej prawości, więc tym bardziej dziw był, że dziewczyna chłopska wyraz ten upodobała. Zapatrzona tak stała, aż z ciemnego pieca wysunęło się ku niej wrzeczono i traciło ją w ramię. Dziewczyna drgnęła i podniosła tam wzrok wylękły. Baba groziła jej wrzeczionem. Nie rzekła słowa, ale Tekla zrozumiała i szybko wróciła do swej kądzieli. Nikt tego epizodu nie spostrzegł, bo kobiety rozpoczęły gromadny rozhovor o nieprawości szlachty Dubinek i o domniemanym złodzieju dębiny. Drzwi rozwarły się w sieni, rozległ się tupot nóg, głosy, i do izby wszedł młody parobczak, syn Makara, prowadząc zwerbowanych setnika i dziesiętnika. - Gotowe! - zawołał. - Ale za fatygę to i mnie ze sobą zabierzcie. Może będzie i bójka! W koszuli tylko i bosy, z rozwianą płową czupryną, z błyszczącymi oczami rwał się do bójki jak brytan młody. Makar jak zwykle ku matce spojrzał. - Ano, niechby szedł. Ja nie silny - mruknął. - Niech idzie! - odparła baba. Parobczak uśmiechnął się radośnie, rzucił się po odzież i obuwie, a Makar, rozweselony wódką, zawołał na żonę, by mu z bodni * przyniosła pieczęć urzędową i medal. bodnia - becзка o zamykanym wieku. - Ja nie silny, ale mój znak pleców nie zastąpi. Ni pałką, ni pańską strzelbą nie przewojowaź pieczątki. Nu, gotowe. Możem iść, panie. Wyszli, pożegnawszy tylko babę na piecu. Zaraz w progu ciemność ich ogarnęła tak nieprzebita, że jeden drugiego nie widział. Deszczyk teraz uczynił się z mgły, drobny, przenikliwy, chłodny. - Złodziejska noc! - mruknął któryś z chłopów. - I wilcza! - zaśmiał się syn Makara z dumą, bo ich we wsi wilkami zwano. Więcej się nikt nie odezwał. Szli cicho, niewidzialni, do rzeki.. Tam rozległo się parę uderzeń wiosł o brzeg łodzi, potem plusk wody

i przepadli jak bobry w dzikim gąszczu łóz i tataraków. Do łódki Szymona wsiadł Ihnat, syn Makara, na dnie przykucnął i uważał to za zupełnie słuszne, aby właściciel sam wiosłował. Wziął tedy w opiekę strzelbę leśniczego, otulił kurki połą siermięgi * i rozpoczął rozmowę: siermięga - wierzchnie ubranie z grubego samodziału; sukmana. - To pan sam szkodę znalazł? - Nie, znalazł Denys, strażnik, ale się bał sam do Dubinek narażał, bo mu przeszłego piątku Makarewicz dwa zęby wybił. - O! Ja bym mu za to szczęki połamał! Ale Denys to tchórz. Wiadomo, taki, co pisać umie z naszych, rozumie się, to już trus i kaleka! Szymon się uśmiechnął. - Pisanie nikomu nie szkodzi. W innych stronach to i na pokaz nie znajdziesz niepiśmiennego chłopca, a przez to bogaci! - Oho! To nie dziw. Pisanie nauczy wszelakiego szachrajstwa i sądzenia, i fałszowania, a tym najprędzej bogactwo zbierzesz. Ale takie bogactwo nie pasuje chłopu prawdziwemu. Uh, znam ja piśmiennych. Tekli ojciec zaszedł daleko pisaniem! Niechta przepadnie! - Nie ma o nim wieści? - Chwała Bogu, nie! A do kogoż by się dowiadywał, jak ciotka umarła? A może też i on już zdechł w katorgach. Nie daj Boże, by wrócił. Zamyślił się chwilę i spytał: - A nie widział kto pana po drodze? Nie mają oni tam donosu? - Spotkałem Antolkę Adamową na rzece! Ihnat splunął. - To i nasz trud przepadł, bo ona doniesie i drzewo zagrabią na amen! Było panu przyczaiż się przed nią - zawołał frasobliwie. - Jeszcze ta przede mną nic się nie ukryje! - rzekł hardo Szymon. - Nie bładzimy? Uważasz? Ihnat rozejrzał się w prawo i lewo, rękę kilkakrotnie do wody zanurzył, pociągnął nosem powietrze jak wyżeł. - Nie - odparł. - Za drogą jedziemy. Ojciec na przedzie, za nami stolnik z Michałkiem, a wy naprzeciw Dubinieckich już wygonów. - Skąd ty to wiesz? - Ano, wiatr mamy w plecy, to czuję stamtąd dym fajki. To nie od ojca, bo u nas oprócz baby nikt nie pali tytoniu, a płyniemy pod prąd i uchwyciłem stamtąd łupinę "harbuzika", a widziałem w chacie, że Semen, co z ojcem płynie, harbuziki łuskał. Ot i wiem! - Dobrze u was, póki baba żyje i rządzi. Jak jej nie stanie, gorzej będzie. - Daj jej Boże długie lata. Baba jak sokół mądra, a potem, to już rozporządziła, jak ma być. - No, jakże? - zagadnął Szymon ciekawie. - A tak: jest oprócz ojca czterech braci. Nie podziela się, tylko dla kobiet i dzieci drugą chatę postawią, bo z bab najgorsze swary. Dobro zostanie wspólne, a prawo baby i jej władzę weźmie najstarszy, Ustyn, stryj kulawy, więc do roboty niesposobny, a głowę mądrą mający. On już i teraz babie pomaga. - Nie ma go doma? Nie widziałeś? - Nie ma, pojechał na Pokrowski jarmark z towarem. - A jakże będzie, gdy który nie zechce w gromadzie być albo Ustyna słucaż. - Jest i na to postanowienie. Taki buntownik dostanie tysiąc rubli gotówką i wyrzec się musi za siebie i swoje pokolenie dziedzictwa, i nawet swojactwa zresztą. Baba wszystko obmyśliła. - Prawda, że sokół_baba. Pieniędzy u was już pewnie wiele się zebrało? - Pewnie! Gromada wielki człowiek. Co wiosny dwunastu z naszej chaty idzie na flisów. Pieniądze baba zabiera, to prawda; ale co my do domu naniesiemy jadała z naszej ordynacji, * co łyk, co różnego zapasu zrobimy po drodze! W kompanii zapas się zbiera! Potem do sianokosu stajemy gromadą, bo i kobiet zbierze się z dziesiątek, więc siana świat przekosimy i bydła huk mamy przez to. A dzieci, to aż się roi w chacie. Co mniejsze, to ich baba dogląda, co starsze, to im nie da próżnować. Od małości to nawyknie do przemyślności i zajęcia. Chłopaki na rzece jak kaczkę za rybą, dziewczątka w lesie za grzybami i jagodami, pastuszków nie brak do ptactwa, a baba wszelkiej rzeczy porę zna; czy manna, czy orzechy - nic jej nie ucieknie, ze wszystkiego musi korzyść mieć. Dzieci do niej nigdy nie mogą z próżnymi rękami wrócić, bo bije... oj, bije tego! Więc się to nauczy porządku upatrywać, na swawolę i próżniactwo nie ma czasu. Taką każdy po kolei szkołę przejdzie pod jej ręką, aż zwyknie, i już potem sam inaczej nie potrafi. ordynacja - majątek ziemski. - Sokół_baba - powtórzył Szymon. W tej chwili w ciemności i ciszy rozległ się huk strzału. Nabój grubego śrutu przeleciał obok głowy leśniczego i posypał się z pluskiem w rzekę. Łódka zachybotała się mocno; gdy oszołomiony Szymon się obejrzał, Ihnata w niej nie było. Na przedzie, za nim rozległy się głosy, nawoływania i wnet wszystkie trzy czółna zbiegły się w gromadkę. - Ranili was,

panie? - zagadnął starosta. - Mnie nic, trochę ucho draśnięte, ale wasz Ihnat przepadł! - Nie może być! Od śrutu? - flegmatycznie chłop spytał. - Ani krzyknął, ani zaklął... jak od gromu! Nie może być! Wpadł w wodę i z impetu gardło wodą zalał. Hej, Ihnat! - zawołał parę razy bezskutecznie. Tedy i jego lęk zdjął wobec czarnej nocy i toni; bezradnie obejrzał się wkoło. - Nu! Niech no mu się co stanie! - zamruczał, w stronę niewidzialnego brzegu posyłając zajadłe spojrzenie. - Trzeba go szukać choć do rana, choć do śmierci! - zawołał Szymon zrzucając już kurtę z siebie, by iść w wodę po towarzysza. - Łuczywa trzeba! - zawołał setnik. Wtem Makar syknął, by się uciszyli. Ucha nadstawił, ręką w dal wskazał. Poprzez ciężką mgłę i deszcz przedarł się ku nim stłumiony, krótki skowyt wilka. Dwa razy się odezwał i uciał. Tedy Makar ramionami podrzucił, w dłoń splunął, za wiosło uchwycił i cichym szeptem rzekł: - Ruszaj no za swoją sprawą. Mój wilczek na polowanie się wybrał. Zdobycz będzie! Ale teraz cicho, panoczku, bo kto wie, ilu ich tam czatuje na was, nasłuchuje głosu. - To już drugi raz! - mruknął Szymon. - Oj, złe strzelby w Dubinkach! Teraz, zda się, wszystko zamarało na rzece. Chłopi przypadli do dna łódek, najłżejszym szmerem nie zdradzając swej obecności, nieradzi skóry swej narażał na ołów i ginał jak kaczką za Lacha. Jedną myśl wszyscy obracali w mózgu: na co i po co ten Lach tak o cudze dobro zawzięty? Byli przed nim inni we dworze, żyli ludzie przy nich, dożyli starości, u pana zachowanie umieli zachować i zebrali dla dzieci dostatki. Dwór przecie przez to nie zubożał ani przepadł i teraz by dalej trwał bez zapalczywości Łabędzkiego. Trzy lata jak służbę objął; że zrazu ostro stanął, nie dziw, każdy tym zaczyna; ale już by pora była ustąpić, zelżeć, do rozumu przyjsz! A on wciąż taki sam. Cudak się wyrodził czy tylko sprytniejsty od tamtych i sekret utrzymanie umie! Myśleli tak wszyscy, ale dotąd nikt jeszcze się nie ośmielił słowa mu podsunać ani przez íyda, ani przez kobietę. Czekali nie rozumiejąc go, a respekt mając wielki. Pod wierzbą, która swe bezlistne sploty pławiła w rzece, Szymon swą łódkę zatrzymał i na brzeg wyskoczył. Zebrali się wkoło niego w gromadkę, a on szeptem wydawał rozkazy, obejmując bez protestu komendę. - Pójdziecie, starosto, z Semenem w prawo, my z setnikiem w lewo. Od zagrody do zagrody przetrząśniemy kąty, sami nie budząc uwagi. Zejdziemy się przy krzyżu, co śród osady stoi, i wtedy na pewniaka ruszymy. Cicho i ostrożnie, bo psy tu okrutne. Zaścianek szlachecki, tak zwana w narzeczu miejscowym "okolica", składał się z kilkunastu osad rozrzuconych bezładnie wokoło wody i boru w głębi. Domki były większe od chłopskich chałup, a otaczały je sady owocowe i warzywne ogrody okolone wysokimi płotami z łozy. W tym labiryncie i ciemności trudno się było zorientować, tym bardziej, że wrotka wszystkie były szczelnie zaparte, budynki podobnie, a każdego obejścia strzegł kundys półdziki. Szczęściem dla sprawy Szymona kundysy tej nocy rozdrażnione były hałasem, który panował w jednej z zagród. Rozlegały się tam śpiewy i krzyki, tupanie ciężkich nóg i dźwięki skrzypiec. Leśniczy z setnikiem przesadzili jeden i drugi płot, szperali po gumnach i szopach, a psy wciąż ku hałaśliwej zagrodzie zwracały pyski i wyły do wtóru dzikiej uciechy. Pod węglem jednej stodoły, w słomie, setnik znalazł coś ukrytego. Było to drzewo, ale lipowe. - To z grafskiego, od Niemców! - mruknął obojętnie. Potem Szymon wyszperał w ciemnym kącie podwórza cały ul, ale też minął go obojętnie. Szlachta z Dubinek kradzieże leśne uprawiała jako proceder i zawód; więc każdy z sąsiednich majątków szukał swojej tylko własności, o innych się nie troszcząc. W trzeciej zagrodzie nic nie znaleźli. - Jednak stary Adam "najsprawiedliwszy" - zauważył setnik. - Dlatego, że jego wnuk tylko zwierzyne kradnie, całe życie po cudzych lasach się włóczęc, a dziewczyna, Antolka, nie ma czasu ani sił tym się zająć. Och, taka sprawiedliwość! - mruknął Szymon. - Ten Hipek ich strzela, jakby "co" znał! Onegdaj w mnie kunę w sieni zastrzelił. A dziewczyna okrutnie "dowcipna" do wszelkiej roboty. - Jędza! - krótko streścił swe zdanie Szymon. W czwartej zagrodzie spłoszył ich pies; musieli długą chwilę przetrwać nieruchomie u płotu, aż się uspokoił i odbiegł; w piątej ruch był na gumnach. Dwóch ludzi narządzało wóz do jakiejś podejrzananej wycieczki nocnej i rozmawiali spokojnie: - To Antolka

spotkała tego raka? - Aha, i wystraszyła, że jedzie na przespieg! - Niech sobie u nas trzęsie, nawet wrót nie zamknę. - Wrócimy do dnia? - Hej, jeszcze się prześpiemy. - A suche te tarcice? - Jak pieprz. - Iydy mocno śpią? - Jak i co posłyszają, to udaważ będą sen. Już oni mnie znają i nie zaczepią. - Wicka nie bierzecie? - Choroba na niego! Zaręczyny swe prawi! Jakby nie dośz było dwóch kobiet w domu, żeby starczyło swarów na cały dzień! My się z nim o to dziś poswarzyli. Nawet umyślnie w drogę ruszam, żeby tam nie iśz, na te głupie zrękowiny. Marcin też się kiedyś powlókł z Hipkiem Adamów, więc kiedy oni takie harde, zarobimy z wami, kumie, a im będzie figa. Zobaczą, co to znaczy starszego nie szanoważ. Oho! Dajcie no klaczy piż, a ja po siekierę wstapię. - A po cóż siekiera do desek? - A na iyda, jak spaż nie zechce - tamten odparł, śmiejąc się złowieszczo. Szymon setnika trącił; jak cienie posunęli się dalej. - Makarewicze wnet całą "ryzykę" straca, bo się podziela - rzekł chłop. - Ano, chwała Bogu, bo żeby dłużej potrwali w takiej sile, to albo by nas zjedli, albo by ich po jednym ubyło. Nie było mocy do wytrwania. - Podziela się albo ich sąd podzieli - rzekł Szymon. - Bo niedoczekanie, abym ja im dopuścił długo jeszcze rozboje popełniaż! Setnik głową pokręcił niedowierzająco, ale milczał. Krzyż wielki, czarny stał przed nimi: punkt zborny. Stanęli przy nim, stropieni niepowodzeniem poszukiwań. - Trzeba będzie wróciż w dzień - rzekł setnik. - Doczekamy ranka! - odparł spokojnie Szymon. Chłop na tę wiadomość przykucnął do ziemi, otulił się szczelniej switą * i stęknął nieznacznie. Nie buntował się na zły los; chłód, deszcz i ciemność postanowił znosiż stoicznie. Tylko już zupełnie stracił do gawędy ochotę. Czekali tak długą chwilę, gdy wreszcie szmer się rozległ za płotem i cichy szept starosty: swita - wierzchnia odzież wieśniaków lub drobnej szlachty. - Panoczku, jest dębina. Dziesięż sztuk! - Strażnicy mówili o siedmiu, ale i te trzy pewnie daleko od tamtych nie rosły. Gdzieście znaleźli? - Pod strzechą leżą, od sadu, w zagrodzie tych niby waszych Feliksów. Ot, tam, gdzie grają. - No to chodźmy! - Będzie rozbój! - szepnął Makar. - Nie obejdzcie się! A jakże! odparł Szymon obojętnie, przodując gromadce. Po chwili się obejrzał: - Nie ociągajcie się! Nie stanie się nikomu z was żadna krzywda. Przysięgam to wam! Chłopi w milczeniu przyśpieszyli kroku. W oświetlonej zagrodzie nikt się takich gości nie spodziewał. Towarzystwo dośz liczne i stosownie do wesołej uroczystości podochocone, zabawiało się właśnie tańcem i hałaśliwą gawędą. Obie izby mieszkalne i kuchnia pełne były po brzegi. Matrony i starsi mężczyźni obsiedli wokoło ławy, stołki, kufry, przyglądając się uciecze młodzieży. Szymon stanął w sieni, zajrzał do izb, potem do kuchni i tam się skierował wprost do niemłodego mężczyzny, który otoczony gronem szlachty, coś dowodził, gwałtownie gestykulując. Tak byli zajęci rozmową, że wejścia Szymona nie spostrzegli, aż dziewczyna niemłoda, zajęta w kuchni, krzyknęła przerażona: - Szymon! Wtedy tamci się obejrżeli i nagle mówca umilkł, reszta zwróciła się do leśniczego z groźnym pomrukiem. On, jak zawsze obojętny, głową skinął w stronę mówcy i bez powitania rzecz zagaił: - Przyszedłem tu po dziesięż sztuk dębiny, które zeszej nocy wasi synkowie w dworskim lesie ukradli. - Łiesz! Iadnej dębiny u mnie nie ma! - odparł szlachcic porywając się od stołu. - Jest, kiedy ja mówię! - twardo, ostro głos podnosząc rzekł Szymon. Jeden z obecnych, suchy, kościsty starzec, naprzód wystąpił. - Jeśli tak i jest, to dziś nie czas najeżdżaż na dom, gdzie ludzie się zebrali na uciechę, i despekt * czyniż własnej rodzinie. Chamy tak robią, i nie dziwiłbym się, żeby was tu jak chama poczęstowali! Ot, co jest! despekt - uchybienie komu, ubliżenie, dyshonor. - Cham jest, kto kradnie, a w moim rodzie złodziejów nie było, więc ja tu rodziny nie mam. W uciecze też nie przeszkadzam i wiele czasu gospodarzowi nie zajmę, tylko tyle, co pieczęcie na kradzionym drzewie położyż i protokół policyjny spisaż. Nie unosił się ani obrażał, ani znaż było po nim strachu, pomimo że już wokoło niego skupiło się wszystko co w chacie: mężczyźni rozpaleni trunkiem i nienawiścią silni, potężni i kobiety zapalczywe a złe, gotowe do kłatw i wymyślań. Pierwszy przyskoczył drab rudy i czerwony, któremu wargi drżały od pasji: - Ja kradłem twoje dęby! Ja! Powtórz! Szymon, do gospodarza zwrócony, powoli, zimno przemówił: - Dwa razy

synków waszych pojmano w borze i ostrzegalem was, byście im oszczędzali kryminału. Teraz na sąd pójdziecie, bo już się miarka przebrała. Proszę wyjsz z mną do dębów! - Do jakich dębów? Ja nic nie wiem! Rozbój, napaś! To ja was zaskarzę o potwarz. Szlachcic się miotał, a tymczasem patrzył w tłum, dając oczami znaki. Zaskoczony był widocznie zniecka, ale wiedział, że synkowie z kolegami drzewo uprzatną, byle sprawę przedłużyć. Przyszedł mu też sukurs w osobie żony, która matką Szymona była. Kobieta jak dąb, czarna, sucha, o latających oczach, przedarła się przez tłum, przyskoczyła do syna i w boki się biorąc, zakrzyczała: - Ty, jak śmiesz mnie zaczepiać! Do tego już doszło! Wyrodku, gałganie, łotrze! Ty tu przyszedł umyślnie, na złość, wstyd mi robić, skandal za to, że ci nie w smak, zem cię na zrękowiny Weronki nie wołała, o radę nie pytała. Ty gadzino, mścisz się nade mną, przed całym światem nas brudzisz! Idź precz stąd, słyszysz, bo pożałujesz! Szymon jakby nie słyszał. śniada sucha twarz pozostała niewzruszenie chłodną. - Panie Morski - rzekł, zawsze do gospodarza zwrócony - prawo znacie i policyjne, i sądowe, bo to wasz zawód i amatorstwo, więc wedle prawa wskażcie mi ukradzioną dębinę i wysłuchajcie protokołu. Więcej was zatrudniać nie będę, ale już i zwlekać nie warto, bo u dębiny jest już straż policyjna i sprzątną jej wam się nie uda. Wyjdziecie ze mną czy nie? Pytam raz ostatni. - A jak nie wyjdzie, to co? - zawołała mała sucha kobiecina o latających oczach i wiecznie śmiejącej się twarzy. - Ej, panie Szymonie, nie stójcie jak kat nad naszym panem Feliksem! Taki kweres, * gwałt! Głupstwo wszystko, gdy skrzypki i bassetla w domu. Ot, ja tu prędzej trupem padnę, jak bym nie miała z panem walca zatańczyć. Muzyka, rżnijcie! A gdzie Weronka? Marsz do brata, dziewucho! Pocałuj go i na ten chłód poczęstuj krupnikiem! kweres - dochodzenie, śledztwo; zamieszanie, kłopot. Porwała Łabędzkiego za ramię i ciągnęła z kuchni w sieni, nie przestając żartować i dogadywać: - Pamięta pan, jakeśmy hasali na weselu u Szumlańskiego we dworze? To była uciecha! Dalibóg, zem wtedy głowę straciła za panem i pościłam trzy wtorki do świętego Antoniego, żeby mi pana dał. Och, Boże mój! Obeszło się. święty Antoni przyprowadził mi mego Seweryna. No, co robić! Każdy maż gałgan, a każdy kawaler złote jabłko. Muzyka, gdzieżeście? Szymon dał się wprowadzić w sieni, ale do izby nie dał się zaciagnać. - Darujcie, pani Sewerynowa; nie będę tu ni tańczyć, ni pić, ni bawić się. W przyszłą niedzielę Szumlański drugą córkę wydaje za maż, to walca we dworze odtanczęmy. Teraz służyć pani nie mogę. Mówił do niej łagodnie, z lekkim uśmiechem, ugłaskany jej wesołością. - A cóż to za zwierz zrobił się w tej leśniczówce! - zawołała kobiecina. - Zamieniła pana ta stara znachorka czy czarownica, co ją pan trzyma za gospodynią. To mi pan taki despekt czyni za moje dobre słowa! Pfe! - Owszem, za dobre słowo, które mnie raz pierwszy spotyka w Dubinkach, odsłużę pani przy pierwszej okazji! - Otóż i okazja. Idź pan, odpraw chłopów i zostań z nami, a jeśli ci tu niemiło, to idź sobie precz, ale dębinę zostaw i do sądu nie zaprowadzaj! - Oho, pani Sewerynowa, a gdzież to pani słyszała, by kto płacił cudzym? Dębina pańska przecie. - At, dwór nie zginie dla tych paru kołków, a pan by moją wdzięczność sobie tym kupił! Pan myśli, że obejdzie się beze mnie! O zakład, że nie! Co? - Bardzo byż może, ale za usługę zawsze tylko swoim zapłacę. Wrzawa w głębi podwórza przerwała rozmowę. Śnadź korzystając z mitręgi, szlachta usiłowała ukryć corpus delicti (łac. dowód rzeczowy). Szymon do drzwi się rzucił w pomoc chłopom, ale te zabarykadowane znalazł tłumem gości Morskiego. Gdy usunął jednego, trzech rzuciło mu się do piersi i rozpoczęła się bitwa, a raczej napad na jednego w ścisłości i ciemności. Leśniczy sławny był z mocy i odwagi; zaczął się bronić wściekle, wciąż ku drzwiom się kierując, ale była to nierówna walka. Ledwie się otrząsł z jednych ramion, porywały go drugie; otrzymywał razy w plecy, w piersi, w głowę, tracił przytomność, wreszcie upadł. Wtedy go poczęli deptać kutymi obcasami, szarpać jak gromada głodnych wilków. Kobiety krzykiem zagrzewały walczących, starzy przyglądali się, śmiejąc się zajadle. Kto żył w osadzie, biegł do zagrody Morskich, a na wieść, że to Łabędzkiego mordują, przypatrywał się z uciechą lub pomagał czynnie. W głębi podwórza trwała też

wrzawa, ale mniejsza. Na dębach siedział Makar w swym urzędowym medalu; chłopci otoczyli go zewsząd. Szlachta przyskakiwała do nich, lżąc i wymyślając, ale do czynu nie przychodziło, bo się bali zatargu z policją. Nagle w tłuszcę znęcająca się nad powalonym Łabędzkim padł z ciemności podwórza strzał. Wszystko to mrowie pijane i zaciekle zawyło nieludzkim głosem i rozleciało się na wsze strony. Nabój był z drobnego śrutu, więc pokaleczył kilkunastu. Rozległy się jęki bólu, przerażenia, zgrozy i oto na progu leśniczy został sam na ziemi, tak zбитy, że ledwie po chwili na nogi się dźwignął i otarł krew z twarzy. - Strzelają! O Jezu! Rozbój! Kryminał! - krzyczały kobiety uciekając bezładnie do chaty. - Kto strzelił? Łapaż go! Braż - wyli mężczyźni rzucając się na oślep w ulicę, w pogoń. Łabędzki, chwiejąc się, na podwórze wyszedł do studni i zaczął obmywać krew z twarzy. Orzeźwiło go to, ruszył w stronę dębiny i upadł nareszcie na drzewo obok starosty. - Ja panu mówił, że tak będzie - rzekł flegmatycznie Makar. - Pan to kiedyś życiem przypieczętuje. Ale kto to strzelił? - Nie ja, bom strzelbę w czólnie zostawił. łycie mi ten strzał uratował. Ot, zwierzęta! Odzież jego była w strzępach, ręce i twarz ze skóry odarte. Trzymał się niesłychaną energią. - Nu, co teraz będzie? - zagadnął Makar. - Teraz pójdziemy znowu do nich i spisujemy protokół! - odparł spokojnie. - Nie lękajcie się, już wytrzeźwieni! Ja ich znam! - A gdzie to Ihnat? - szepnął starosta. Spojrzeli na siebie i zrozumieli się wzrokiem. Uśmiech chytrego zadowolenia skrzywił wargi chłopca i równie cicho dodał: - Teraz pan będzie wiedział, że Wilki więcej warci od innych. - No, chodźmy - rzekł Szymon wstając. Rzeczywiście, zagroda Morskich była już spokojna. Pokaleczeni i kobiety gdzieś poginęli, reszta szukała w ciemności i łozach sprawcy strzału. Zabawa była też przerwana i na twarzach rodziny na widok wchodzącej policji malował się tylko bezsilny gniew i nienawiść. Stary Morski z podwiązaną twarzą, bo go śrut zaczepił, siedział w kącie i ani słowa nie rzekł, gdy Szymon zajął miejsce za stołem. Chłopi stanęli u progu na kijach wsparci i nasłuchiwali na wrzawę obławy. U komina skulona płakała Weronka, narzeczona. Łabędzki dobył z torby napisany już w domu protokół, podróżny kałamarz i pióro. Chwilę trwało milczenie, wpisywał brakujące nazwiska, potem jął czytać. Gdy skończył, Makar jak automat u spodu dokumentu przycisnął swą pieczęć. Wtedy Szymon zwrócił się do gospodarza. - Oto i wszystko! Bądźcie przygotowani, że to was zaprowadzi daleko! - A ciebie głęboko! - zamruczał stary ponuro. Leśniczy dosłyszał. Wyprostował się. - Strzelano do mnie, gdym tu płynął, pod razami waszymi omal duszy nie wyzionąłem przed chwilą. Ale to sobie pamiętajcie, że wara od dobra, które jest pod moją pieczę. Nie daruję ni gałązki, ni listka, ni źdźbła, bo ja swój klejnot tak rozumiem i tak go nosiż będę aż do śmierci! Wiem ci, że mnie zguba nie minie z waszych rąk, ale to sobie zapamiętajcie, że moja zguba ni spokoju wam nie da, ni chwały, a owszem wstyd nad wstydy. Zwrócił się do wyjścia i ujrzał przed sobą Antolkę Adamową. - I waszego Hipolita ostrzec bym chciał, żeby się ze strzelbą w nasze lasy nie zapędzał - dodał, do niej się zwracając. Dziewczyna widocznie nie była podczas bitwy w chacie. Przybiegła ostatnia, wystraszona strzałem, o dziadka się dowiedzieć. Widok leśniczego w poszarpanej odzieży, z krwią na twarzy, przeraził ją do reszty. Zapomniała swej ciętej mowy wobec spokoju tego człowieka, którego omal nie zabito. - Hipka tu nie było. On was nie bił! - wyjąkała trwożnie. - Ja po dziadziusia wstąpiłam. - Ja wiem, że go tu nie było, i wiem, że wy nie kradniecie drzewa. Ale i zwierzyny pańskiej pilnuję, więc go ostrzegam! Wyszedł i zaraz za nim wybiegła dziewczyna. Osada wyglądała jak mrowisko, gdy w nie kij włożą. Nikt nie spał, wszędy błyskało światło i snuły się postaci ludzkie ponure, groźne, ale nikt nie zaczepiał już gromadki zmierzającej ku łodziom. Antolka szła z nim, też ku rzece, ale w pewnym oddaleniu i milcząca. Szymon zrozumiał, że chciała mu coś powiedzieć więc chłopów naprzód odesłał, a sam w bok skreślił między wierzby. - Macie co do mnie? - spytał zatrzymując się. - Nie, tylko żebyście zapamiętali, że Hipka w bitwie nie było. On boi się sądu jak piekła i nam przykazał do niczego się nie wtrącaż. W tej chwili Szymon poczuł chęć, by hardą choć raz upokorzyż. - Czy Hipek był, to się pokaże przy

śledztwie, ale coście mnie dziś nagadali na rzece, to wam płazem nie ujdzie! - odparł. - Nic wam nie gadałam obraźliwego! - To się okaże na sądzie! - powtórzył. Antolka zadygotała ze strachu. - Ja mam byż w sądzie! - zawołała z płaczem. - Jak otrzymacie pozew, to będziecie! - rzekł idąc dalej. - Wiele kobiet będzie z waszej racji! Pod dziewczyną zachwiały się nogi. - O, ja nieszczęśliwa - zajęczała. Szymon, idąc, mimo woli się uśmiechnął. Był pewny, że wystraszeniem Antolki rzuci popłoch na wszystkie kobiety w Dubinkach, które za najwyższą hańbę miały stawanie w sądzie. W łodziach już chłopci na niego czekali. Gdy wstępował do swojej, spostrzegł szary przedmiot leżący na dnie. Schylił się, dotknął ręką i nic nie mówiąc odbił od brzegu. Płynęli w zupełnym milczeniu i wnet cisza pustki znowu ich ogarnęła. Wtedy Szymon przykucnął w łodzi i szeptem spytał: - Ihnat, to ty strzelił? - Nie, panoczku! - odparł podobnie chłopak. - Aha! A skądże ty się wziął? - Gonił tego, co do was strzelił, ale rady nie dał. A żal! Strzelba taka dobra! Byłaby moja! - Skądże wiesz, że dobra? - A bo to był Makarewicz. - Który? - Marcin. - To i Hipolit Adamów był z nim? - Nie! Sam byż! A silna, bestia! Szkoda strzelby, szkoda! - Jeśliś ty nie strzelał do tej ciżby, co mnie powaliła, to dobrze. życie mi ten ktoś uratował, ale wolę nie wiedzieć kto, bobym musiał go oskarżyć o bezprawie! No, dziś mi się udało, alem zбитy na kwaśne jabłko. Dowieziesz mnie, chłopcze, do leśniczówki, bo sam nie dam rady. - Dowiozę, niech się pan ułoży i spocznie. ále było, to prawda, ale przecie Lachy musiały nam ustąpiż! Szymon na dnie czółna legł i mało co dalej pamiętał. Spełnił swoją powinność do kresu; teraz go otrzymane rany powaliły bólem i zmęczeniem okropnym. Leżał jak drewno, stękając co chwila. Gdy dobili do wsi, Makar z synem przenieśli go na rękach do drugiego czółna i powieźli do domu. Gdy zostali z nim samym na pustej rzece, starosta szeptem zagadnął syna: - Zabijeś Makarewicza? - Nie wiem, może! Napadłem go z tyłu, uderzyłem w głowę, upadł. Zaciągnąłem w łozę, alem się śpieszył, więc uchwyciłem strzelbę i w nogi. - Poznał ciebie? - Nie. Czarno było jak w piecu. Ja jego uchem wytropiłem. - To dobrze. A strzelba w rzece? - Tak. Aj, szkoda mi jej! - Niech przepada! Za tę sztukę, coś zrobił, można pójsż, gdzie bawi Tekli ojciec. Ty milcz, pamiętaj! - Oho, czy ja głupi! Bądźcie, bat'ku (ros. ojczulku), spokojni. Nie powiem nawet babie. Po chwili Makar rzekł: - Ależ nasz Lach zawzięty! Ot, sługa taki to skarb. - Powiadają też, że go pan bardzo uważa. - Jakżeby nie miał hołubiż? A toż to ten zatraceniec w piekło pójdzie za pańskim. - Prosiliście go, ojczy, o paliwo na zimę? - Nie śmiałem. On coś takiego ma, że do niego ani rusz z prośbą. Może ty śmielszy z nim? - Nie chcę. Jego oczy na wskroś przejmują i wstyd się robi! Idźcie raczej do pana po kwit za waszą fatygę przy tych złodziejach. - Chyba - mruknął Makar. - Fatyga bo spora, ot i dziś chyba zanocujemy w straży. Ja bo już rąk nie czuję od wiosła! Psia pora! Szymon rozmowy tej nie słyszał ani powrotnej drogi nie pamiętał. Zbudził się zaledwie, kołatany na wózku, który chłopci najęli w drugiej wsi, sąsiadującej z jego leśniczówką. Wyboje przyprawiły go o mdłości, zaciskał zęby i cierpiał w milczeniu. Tak stanął wreszcie w osadzie leżącej na skraju puszczy dworskich, gdzie od lat trzech mieszkał zarządzając lasami. Powitało go radosnym czekaniem parę psów_faworytów i stara kobieta, chłopka, która gospodarzyła u niego. W osadzie paliło się światło, bo go oczekiwano od dawna. Stara na widok swego chlebobawcy nawet się już nie zdziwiła. - Wnieście do izby i połóżcie w pościel - komenderowała chłopom. - To w Dubinkach tak pewnie urządzili. Makar zaczął rozwleklą opowieść wypadku, ale mu przerwała: - Dosiż bajaż! Ja to wszystko znam i wiem, że przyjdzie ten dzień, iż go uśmierca. Ano, już i nie odzywam się. Taki jego hambit i z tym umrze. Leśniczówka składała się z mieszkalnego domu i gospodarskich zabudowań. Stała na skraju puszczy samotna, z dala od dworu i wsi. W domu znaż było ład i pewne staranie. Dwie izby, które zajmował Łabędzki, stroiły trofea myśliwskie i bardzo czyste sprząty. W pierwszej zbierali się zwykle na polowanie goście ze dworu, w drugiej mieszkał leśniczy. Miał tam półki z książkami, próbki drzewa, snopy ziól leśnych, a na ścianach ładne drzeworyty. Znaż było od razu, że człowiek ten, pełniący służbę nieświatną, w zapadłym

kację, samotny, myślał i pracował, i do otoczenia swego zupełnie nie należał wychowaniem i duszą. - Nie przysyłano po mnie ze dworu? - zagadnął stara, gdy go położono na posłaniu. - Owszem, był sam panicz wedle polowania niedzielnego. Zostawił kartkę. - Zapalcie lampę i dajcie list. Wy możecie odejść. Ugośćcie dobrze Makara i chłopca. - Może panu daż jakiś ratunek? - Nie! Kości całe. Ból jutro minie. Wziął kartkę panicza i czytał: "- Kochany Szymonie! Dowiaduję od twojej czarownicy, żeś ruszył na stracenie, między zbójów. Jeśli żyw stamtąd wrócisz, przyjedź jutro do mnie. Goście niezawodnie będą w sobotę. Polowanie musi być dobre. Sokolnicki." Łabędzki odetchnął. Bał się, że otrzyma rozkaz natychmiastowego przybycia. Do jutra będzie zdrow, bo musi być! Przymknął oczy i nie mogąc z bólu zasnąć rozmyślał. Z paniczem, który mu tę kartkę pisał, on się razem uczył w stolicy, na koszt dworski chowany od dziecka. Ojciec jego, ubogi szlachcic, wiek zbył w tym samym dworze, trochę służąc, trochę rezydując przy starym panu, który namiętnym był myśliwym. Łabędzki układał mu psy i sokoły, towarzyszył w łowach. Ożenił się niemłodo, z dziewczyną z Dubinek, która mu wniosła w posagu swary domowe. Szymon w najdawniejszych wspomnieniach pamiętał ojca rzadko w domu, w oficynie dworskiej, gdzie na świat przyszedł. Stary miał okrutne wąsiska i białą czuprynę, brał czasem dzieciaka na kolana i całując kłękł go tymi wąsami. Gdy matka wchodziła do izby, ojciec się chyłkiem wynosił do psiarni lub w las. Dlatego Szymon mało go pamiętał, aż do dnia, który na wieki utkwiał w jego dziecinnej głowie i sercu. Tego dnia przyniesiono starego Łabędzkiego na noszach z boru, pociętego śmiertelnie przez rannego odyńca. Był jeszcze kilka godzin, a gdy pan Sokolnicki go odwiedził, rzetelnie strapiiony wypadkiem i stratą poczciwca, tak rzekł do niego: - Proszę pana, nie ma czego się trapić. Od śmierci nikt się nie wykręci. Trzeba to odbyć i basta. Wolę tak, prędko, niżbym miał długo kawęczyć w łóżku, w domu, wśród kobiecych lamentów. Szkoda mi tylko psów, bo to zmarnieje ze szczętem beze mnie. Ot, już słyszę, jak wyją, niebogię. Mam też prośbę do pana i legat. Trochę grosza mam w kasie, to proszę oddać żonie, na otarcie łez. Mam też chłopaka, to tego darowuję na własność. Oto przy świadkach. Pieniądze żonie, chłopak pański! Niech go pan nie opuści, a już ja dopilnuję, żeby on to panu odsłużył. Czy dobrze? - Bądź spokojny. Ojcem mu będę! - Dziękuję panu. Oj, jak psy wyją! To już po mnie zawodzą! Mają rację. Będzie im źle! To wszystko Szymon dobrze pamiętał. Te słowa i ojcowskie błogosławieństwo, i pogrzeb starego, na którym istotnie psy tak wyły, jakby przeczuwały, że tracą opiekuna, i potem swe przesiedlenie z oficyny do pokoju panicza, z którym się już nie rozłączył, aż wrócili obaj z patentem skończenia nauk. Wtedy panicz stanął do pomocy ojcu, który w swym długoletnim trudzie gospodarskim sterał siły i zdrowie, a Szymon osiedlił się w leśniczówce, by spełnić to, co za niego ojciec obiecał: odsłużyć! Nie poszedł za karierą; stanął do obowiązku. Obowiązek był ciężki i trudny, pole ciasne do działania, rezultat wątpliwy. Ale Szymon nie miewał buntów i wahań, bo na straży swego życia postawił dwie zasady: wdzięczność i wygórowane, dziwne, starodawne poczucie swego szlachectwa. Może to ostatnie z za grobu wpoił mu ojciec, który ową archaiczną ideę nosił bardzo wysoko i lubił się owym klejnotem przechwalać. Szymon, przeciwnie, nigdy tego nie wspominał, ale w głębi serca nosił ukryte jak talizman. Broniło go to od złego, a zatem mógł się na tym śmiało oprzeć. Panicz, który swego kolegę dobrze znał, a kochał jak brata, czasem z niego żartował. - Ty, Szymku, ładnie byś wyglądał w przyłbicy i misiurce, jak Don Kiszot! Wówczas Łabędzki się rozchmurzał. - Bodajby chłopcy, łydy i Dubinki były wiatrakami! - odpowiadał z uśmiechem. - Już bym je dawno zawojował, ale niestety zaczynam wątpić, czy im dam rady. - Damy, zobaczysz! Pracowali też obaj usilnie. Dobra były ogromne, w szachownicach i ciężkich warunkach. Na ten obszar i żmę złodziejów, i rabusiów domowych i sąsiednich ich dwóch tylko było do pracy i walki. - Mam wrażenie, że w mrowisku - mawiał czasem panicz. - Mrowie to małe, podłe, ale żywcem do kości obraż pragnące. Brr! - Cóż robić! Nie ma Jeruzolimy do zdobycia ani świętego Graala do odzyskania. Nie zdobędziemy sławy, ale może chwałę! - odpowiadał Łabędzki. Rozmowy te toczyły się zwykle w leśniczówce, gdy

panicz przyjeżdżał do kolegi po radę lub pomoc, incognito. We dworze Łabędzki wymówił sobie stanowisko sługi, nie bywał nigdy gościem, a stawiał się tylko w niedzielę do kancelarii wraz z innymi oficjalistami po rozkazy i z raportem swej leśnej gospodarki. Leśniczym był z zawodu i zamiłowania. Kochał puszcze i zwierza, zapalonym był przyrodnikiem, a w borze było mu daleko raźniej niż wśród ludzi. Wiedział i czuł, że tu, w tej okolicy, wykolejonym jest i musi być samotnym. Był sługą, ale ze sługami, kolegami obcoważyć nie mógł, wyrósł ponad tę sferę; był przyjacielem dziedzica, a krył się z tym. Więc towarzyszem był mu bór i praca. Pracowitym był niesłychanie i może dlatego w swej dwuznacznej pozycji społecznej zachował równowagę umysłu i pogodę duszy. Miał jedno marzenie, by majątek kolegi był w świetnym stanie kultury i finansów, by wywalczył dobrobyt i spokój. I tak przeżywał młode swe lata, nienawidzony przez podwładnych i równych sobie, pogardzany przez młode szlachcianki, wyśmiewany przez kolegów, którzy uczciwość mieli za synonim głupoty. Takim był Szymon Łabędzki, bohater nieswietny i niesławny boju bardzo prozaicznego - o kęs roli, nawet nie własny, ale przyjaciela. II Nazajutrz leśniczy wstał o własnych siłach i chociaż go bolały nieznośnie członki, kazał swemu parobkowi zaprzęgać konia, a tymczasem dawał rozkazy przybyłym strażnikom leśnym. Byli to chłopcy mało co lepsi od innych. Służyli niedbale, kradli, jeśli się udało, a z tchórzostwa patrzyli przez szpary na kradzież. Przywykli do nadużyć poprzednich zwierzchników, zrazu szanowali i bali się Szymona, potem widząc, że do spółki się nie zdał, urządzili między sobą stowarzyszenie, by go oszukiwać i wykłamywać się wzajemnie. Wskutek tego pozornie nienawidzili się i donosili jeden na drugiego fałszywie, godząc się i jednomyślnie popełniając za jego plecami nadużycia. Wybieg ten Szymon odkrył wkrótce i co kilka miesięcy systematycznie wyganiał lub przenosił połowę z nich. Traktował też ich ostro i bezwzględnie, nawet nie udając, że wierzy w jakąkolwiek z ich strony życzliwość. Siedmiu ich było, osiadłych na rubieżach borów; ze wszystkich najsprytniejszym był Onysko, chłop jak dąb, patrzący chytrze, rudy jak lis, silny jak niedźwiedź. Ten od trzech lat wywijał się zrecznie kontroli, z wszelkich podejrzeń umiał się wykreślić i potrafił dogodzić nawet wymagającemu Szymonowi. - Dziki stoja w Krasnem? - badał go pierwszy leśniczy. - Stoja, panoczku. Jest tego sztuk siedem! - Sarny widziałeś? - Widział, jedną onegdaj wilk zadarł. - Alboś sam sprzątnął dla łyda z Jeziora! - Bodajem szerniał jak ta ziemia, jeśli kiedy ze strzelbą wyszedł z chaty. - No, nie zaklinaj się. Strzelbę i teraz masz na plecach, a ta ziemia, na której stoisz, to jest malowana podłoga. łyd z Jeziora bywa u ciebie, po co pytam? Co to za konszachty? - Raz wstąpił, pytał o grzyby! Jak Boga kocham, ja pierwszy stryczek bym jemu podarował! - A Hipek z Dubinek także po grzyby do ciebie wstępuje? - Hipek także raz wstąpił, chciał pożyczyć prochu. Wygnałem go z wymyślawszy, ile wlażło. Na co mnie kompania? Tyle roboty! - No, zalecam ci mniej stosunków. Roboty masz mało, bo w twoim rewirze nie ma porębów, więc cię korci wynaleźć jakie złodziejskie źródło dochodu. Pamiętaj to sobie, że każda wiewiórka w boru jest pańska i nie waż się jej tknąć. A ze złodziejami zwierzyny się nie zadawaj, bo stracisz służbę w przeciągu doby. Twarz Onyska skurczyła się; usta zaciął, oczy wbił w ziemię, cofnął się o krok. - Denys! - zawołał Szymon drugiego chłopca. - W Dubinkach znalazłem dziesięć dębów, a tyś mi podał siedem. Nie umiesz nie tylko szkody upilnować, ale nawet obrachowywać, co wzięto, a nibyś to piśmienny. Pamiętaj, że jak u ciebie poręb, to drzewo masz liczone jak zboże w śpichlerzu. Sprawa o dęby idzie do sądu. Pamiętaj, żeś wskazany jako świadek, więc zapowiadam, byś się nie dał przekupić ani spoić, ani wystraszyć. - Oni mnie spala, panie! - jęknął chłop nieśmiało. - Nie spala, jeśliś w ich szajce nie był. Wy tam, reszta, możecie wracać do roboty. Zwierzyny mi trzeba dobrej na niedzielę. Będę sam w lepszych ostępach. Iebyście mi byli na miejscu, a nie włóczyli się po wsiach za własnymi interesami! Chłopi radzi, że się wizyta skończyła, umknęli co tchu sprzed jego oblicza, a Szymon na wózek siadł i odprawivszy parobka, sam ruszył do dworu. Dzień był chłodny i ponury. We mgle wszystko miało postać fantastyczną: stogi po łąkach, chaty, drzewa, było i

ludzie. Dość obojętnie mijał Szymon grunty włościan i dopiero na dworskich obszarach zaczął się z zajęciem rozglądać. Zaraz na wstępie wygnał kilku chłopów pasących woły w koniczynie, potem napędził fernali leżących w gromadzie nad rowem, gdy konie drzemały w pługach, wreszcie niedaleko już dworu spotkał łyda, dzierżawcę Jeziora, z naładowaną worami furą. - Skądże tak rano? - zagadnął, zatrzymując go. łyd na sekundę się stropił, ale wnet odzyskał rezon. - Skądże? Z młyna! - odparł zacinając szkapę. - Cóż to tak śpieszno? - A to pan nie wie, że dziś piątek? Muszę zawczasu być z mąką w miasteczku. - Toście mełli w dworskim młynie, a jedziecie ze dworu. Dziwne wybieracie drogi dla pośpiechu! - Miałem interes we dworze, więc wstąpiłem. Czy to pan śledczym tu jest? - Nie śledczym, ale dozorcą! A wy zbyt hardo się nie stawiajcie i po mąkę do naszego młyna nie wstępujcie! Rozumiecie? - Nie, i nie ciekawy jestem. Droga każdemu służy i stoi otworem, a za pieniądze kupiż każdemu wolno. Kupiłem, więc to moje. Po zuchwalstwie łyda Szymon zrozumiał, że jeśli nawet wiózł kradzione, to sprawa była zagmatwana wyśmienicie. W każdym razie zamiast do dworu ruszył do młyna, który nad rzeczką, wpadającą do jeziora, klekotał bez ustanku. Młynarza zmieniono niedawno, więc można było zaskoczyż go jeszcze zręcznymi pytaniami. - Dzień dobry, Borys! Zabrał też już Alter swoją mąkę czy nie? - Alter? Ten z Jeziora? Nijakiej mąki on tu nie miał. - A do dworu pisarz dużo zabrał? - Cztery fury odwieźli po pięć worków. Sucza była z miarki. Może pan mąki potrzebuje? - Jutro przyślę parobka z kwitem. Ostańcie zdrowi! - Szczęśliwej drogi panu! A pamiętajcie, panoczku, o faszynie na groble! Szymon ruszył dalej. Zatem Alter był w zмовie z pisarzem, ekonoma w polu nie było, polowy też nie był widzialny. Jak na jeden ranek, było dosyż nadużyż i opieszałości. Już przy bramie spotkał Szumlańskiego konno wyjeżdżającego w pole. Był to człek stary i opasły, typ ekonoma starej daty, który pracę i staranie zastępował krzykiem i pogróżkami, a łaski pańskie zdobywał pochlebstwem i lisią uległością. Wiek zbył w ten sposób: dzieci wyposażył i żył bez troski i biedy, sławny na całą okolicę z dobrego humoru i gościnności. - Jak to? Pan żyjesz! A toż przysięgał mi dziś parobek z Dubinek, że pana szlachta na jakimś tam weselu zabiła. - Mogło to być bardzo łatwo i niewiele brakło; ale jak pan widzisz, jestem jeszcze cały, choć podrapany. Ta nieszczęsna szlachta doigra się gwałtami egzekucji wojskowej. - Szkoda pana zdrowia i skóry dla tego hultajstwa! Słyszę, strasznie się odgrażają. - Pies, co szczeka, nie kąsa. Zresztą dotąd nie wiem co strach. - Myśli pan, że to się załatwi! Proces przeżyje nas i nasze dzieci. Już ja go znam od dwudziestu lat i tak mi zbrzydł, jak śledzie w post. Pan jeszcze młody, no, to gorący. Ale powoli stępi się każde ostrze. - Ha, to się pokaże! - odparł Szymon ramionami ruszając. Tracił konia i minął ekonoma zwracając się na dworskie podwórze. Stary murowany dom stał w głębi, z obu stron dziedzińca oficyny. W głębi psiarni wyły ogary znudzone niewolą. Przy bocznym ganku stał osiodłany wierzchowiec. Leśniczy konia na boku zostawił i na ów boczny ganek wszedł. - Można wejść? - spytał chłopaka kredensowego czyszczącego strzelbę w sieni. - Można. Pan się pytał, czy pana nie ma. Szymon do drzwi zapukał i wszedł. Był to pokój wielki, pełen myśliwskich przyborów, stanowiący zarazem gabinet i biuro dziedzica. Przy stole, wprost drzwi, młody człowiek siedział pochylony nad wielkim starym planem i zdejmował pomiary cyrklem. Twarz jego, pomimo młodości już pełna troski i zadumy, rozjaśniła się na widok wchodzącego. - łyjesz! - zawołał. - Byłem w śmiertelnym niepokoju. Cóż, była bitwa? - Oj, tęga! Trafiłem na pijanych, jakbym w ul dmuchnął. Drzewo kradzione znalazłem u Morskich. Protokół gotów. Będzie sprawa. - Siedemdziesiąta w tym roku - stęknął dziedzic, trąc desperacko czoło. - A tu mam znowu furę niepowodzeń. Siadaj i zajrzemy temu w oczy. Chłopi z Omelnej nie chcą zamiany tej niwy w szachownicy na dwa razy tyle ziemi przy granicy. Musimy tego raka dalej hodoważ. Szymon spojrział na plan, który z daleka robił wrażenie mapy Oceanii. Te masy wysepek czerwonych na tle błękitnym było to tyleż drobnych skrawków chłopskich pól i łąk rozrzuconych po majątku. Ile tych czastek, tyle kradzieży, wdzierania się w granice, sporów i spraw sądowych. - Ktoś ich buntuje - mruknął Szymon. - Ake

kto? - Alter z Jeziora. Tego by się pozbył za jakąkolwiek cenę. - I ja to wiem, ale niemożliwe: kontrakt sześćoletni i dziesięć tysięcy należności. Umilkli obaj, przytłoczeni górą zniechęcenia i goryczy. Ten sam problemat rozstrząsali za każdym widzeniem i zawsze z tym samym przeświadczeniem, że go rozwiązań nie sposób. Sokolnicki głowę podparł na rękę i patrząc na plan zmęczonymi oczami, głucho mówił zaczął: - Pieniądze, zawsze i wszędzie. Wszystko zmarnują, zniszczą! Zdrowie, młodość, siły, zapał, ideały! Cha, cha! Na co się to zda? Na nic. Ten brudny szmat papieru - to bóg. Mój Boże, mam lat trzydzieści! Mógłbym być tak szczęśliwym i spokojnym, a doszedłem do tego pewnika, zem galernik, nędznik, bydlę robocze, skazaniec dożywotni, bez żadnej nadziei, bez odetchnienia, bez ulgi. I za co? Com ja zawinił, za co pokutuję? Za co mi ta dola przypadła w udziale? - Za nic! Cierpi pan niewinnie - mruknął Szymon patrząc nań z politowaniem i wielką serdecznością. - Pan wie, że wielkie kochania bywają często kula galernika. Ja coś wiem o tym... Sokolnicki przerwy nie zauważył, szedł za swą myślą aż w głąb duszy pełnej mętów i żółci. - To jest straszne, gdy człek wstecz spojrzy i zobaczy, jak się zmarnował i odrobił już nie sposób: to piekło! Po śmierci ojca, gdym tu na pogrzeb przyjechał, coś mnie snadź opętało; zły geniusz wykolejonych i spaczonych zapewne chodził za mną i szeptał: Zostań, zostań, uczyn dobrze siostrze, matce, ojciec tego pragnął. Gadało mi to każde drzewo, każdy kąt, każda twarz, trumna ojcowska, sosny na cmentarzu. Mój Boże, jeśli sekundę pomyślał o własnej korzyści, o pustej sławie, jeśli miał się za mędrszego od innych! Nie! nigdy! Zostałem! Ciebie wtedy jeszcze nie było, ale mi wierz, pracowałem za dziesięciu, lepiej stokroć niż teraz. Miałem jeszcze wiarę w przyszłość, cały zapas energii i woli. Wyposażyłem i wydałem za żonę siostrę, matka mi umarła bez troski o jutro, spokojna o mój los i siostrzany. Nie dałem poznać nigdy, co mnie kosztował ten posąg i spokój matki, nie skarżyłem się nigdy, nie okazałem rozdrażnienia i brnąłem, brnąłem w piaski, w błoto, w trzęsawisko, zacinając zęby na ból, na krzywdy. Ty wiesz wszystko, ty jeden mnie znasz i kiedyś, gdy upadnę, już śmiertelnie pobity i zdeptany, i wszyscy, jak to zwykle bywa, obłożą mnie krytyką i winami i odsadzą od czci i zdrowego rozsądku - ty mnie jeden pożałujesz. Niesłusznie cierpię, nie! Szymon przez stół wyciągnął do niego prawicę. - Nie upadnie pan, póki ja żyję! - rzekł. Sokolnicki położył rękę na jego dłoni, ale był tak zgnębiony, że choć wierzył w to braterstwo ofiarne, bezgraniczne, nie wierzył, by ono mogło go uratować. - Ja wiem, kim jesteś i czym dla mnie - odparł - ale obaj zginiemy, bo obaj służymy ideałom! Tu teraz na świecie nie ma dla nas bytu ni miejsca. Kariera, którąś obrali, prowadzi tylko do nędzy. Nasze hasła już przebrzmiały! - Cóż robić! Nie czas nam nowych szukać ani warto poddawać się goryczy. To jad śmiertelny. Panu będzie ciężko i źle, i pan zupełnie niewinny; ale nie trzeba ostatecznie na duchu upadać. Urwał, zamyslił się i po chwili nieśmiało wtrącił: - Cemu pan się nie ożeni z panną Zagrodzką? Sokolnicki drgnął, brwi mu się zbiegły i twarz przeszedł kurz bólu. - Nie żenię się, bom bankrut, a ona bogata. Nie chcę być towarem! Po wtóre, nam żenić się nie godzi i przedłuża pokolenia takich nędzarzy i męczenników. Po trzecie - tu urwał i żałośnie spojrzął na przyjaciela - ja w mej męce i trudzie chciałbym kochać, w tym jednym nie mieć zawodu i zgryzoty. Teraz oburącz objął głowę i pozostał nieruchomy, wyczerpany swą egzystencją i walką. O niczym nie myślał. Miał w głowie chaos cyfr, kombinacyj, terminów, spraw przeróżnych, niepowodzeń doznanych i spodziewanych, i tylko jedną żądzę, jedno pragnienie; chwili wytchnienia i spokoju. - Czy ja bym mógł jeszcze kochać, marzyć! Kiedy? Nie ma czasu, nie ma miejsca! I cisnął zboląłą głowę z całych sił. Szymon znał go dobrze i wiedział, że musi go czymkolwiek wyrwać choć na chwilę z tego paroksyzmu rozpacz. Nic mu jednak na razie nie przychodziło na myśl zajmującego ni wesołego. Postanowił tedy zająć go swymi sprawami, o których mówił nie lubił i których właśnie Sokolnicki był ciekaw. - Będę pana prosił o pozwolenie sprzedania dziesięciu sagów drew - rzekł przerywając długie milczenie. - Co? Chcesz kupić drwa? Na handel? - zdziwił się Sokolnicki. - Nie. Proszę o kwit,

który spieniężę. - Ach, tak. Potrzebujesz pensji! Prawda, mnóstwo ci zalega! - westchnął dziedzic. - Ja nie potrzebuję, ale chcę posłać do Genewy. - Co? Może nareszcie upokorzyła się. Szymon się uśmiechnął. - O, nie! Tego się nie spodziewam, ale miałem list od Natalki. Pan pamięta tę czarną, co do nas przychodziła? - Ba! - zaśmiał się Sokolnicki. - Otóż Natalka mi donosi, że ta szalona mieszka na nie opalonym strychu i żyje kawą z cykorii i chlebem. Na trzecim już jednakże kursie i oprócz Natalki nikogo u siebie nie przyjmuje. - Słowo daję - zaśmiał się Sokolnicki - ty ją jeszcze sobie wyidealizujesz i rozkochasz się! - Ja jej nigdy kochać nie przestałem - odparł poważnie Szymon - to ona mnie... nie kocha. - Koch Kochową kocha, ale Kochowa Kocha nie kocha - wtrącił żartobliwie Sokolnicki. Szymon nie obraził się lekkim tonem. Owszem był rad, że przyjaciela oderwał od czarnych myśli. Równie spokojnie mówił dalej: - Nie myślę posyłać jej pieniędzy, bo mi już dwukrotnie odesłała. Gdybym był bliżej, niezawodnie cisnęłaby mi je w oczy. - I to ci się podoba! - Podoba! - potwierdził Szymon szczerze. - Kocham ją, bo nie jest jak wszystkie i co postanowiła, spełni. Przebojem idzie do celu, ma swój ideał, cierpi dla niego i pracuje! Dlaczego mam ją potępiać, kiedy wyznaję takie same zasady? - No i może ją usprawiedliwiasz, że cię oszukała... Chociaż w tym wypadku nie wiem, które z was popełniło gorsze szaleństwo: czy ona, wychodząc za męża, by po tygodniu od męża uciec, czy ty, żeniąc się z postrzeloną dziewczyną, która ci już przed ślubem skakała do oczu jak kot. - Miała rację, bom ją zaczepiał i dokuczał swymi propozycjami. - Więc dlaczego raptem zgodziła się na te propozycje? - Powiedziała mi szczerze: by się raz na zawsze od innych odczepiż. - Niby miałeś graż rolę stracha w prośbie na wróble łakome! Ładna dziewczyna, to muszę przyznać! Ja bym jej nie wypuścił w świat, na przepadkę. - Ona też nie przepadnie - wtrącił Szymon. - Ale i do ciebie nie wróci! Masz kulę u nogi, kochany kolego! - Niezawodnie, ale jednakże taki dziwny człek ze mnie, że nie stękam ni utyskuję. Kilkadziesiąt rubli spróbuję posłać Natalce, może potrafi jej dopomóc nimi, nie wspominając mego imienia. Szkoda mi biedactwa! - dodał ciszej. - Tfu, do diaska! Czasem myślę, że kpisz! Ludzie dowodzą, żeś taki chytry mydłek, a że w rzeczywistości masz całe haremy po wsiach. - I pan temu wierzy? - spytał Szymon. - Nie miałbym ci tego za złe, jak pragną ci, którzy to donoszą. Uważam cię za zupełnie swobodnego. Szymon milczał zwiesiwszy głowę. To milczenie zdało się stwierdzeniem Sokolnickiemu. - Zazdroszczę ci! Ja nawet do tego nie mam swobodnej myśli i ochoty! - mruknął. - Podłe życie. - Jeśli się tamto uważa za dobre i przyjemne. Więc znowu są donosy na mnie? - zagadnął. - A są - obojętnie odparł Sokolnicki. - Nie śmia ustnie. Piszą anonimy. Co oni by dali za to, żeby nas poróżnić! - Niech pan zaproponuje Alterowi cenę za moją głowę. Może by w ten sposób ułożyła się sprawa z chłopami z Omelnej. - I ty byś mnie opuścił? - Jesliby się to panu opłacało, i owszem! - Głupiś! Powiedz lepiej, co się stało w Dubinkach? - Ano, spisałem protokół. Znowu sprawa. - Sto siedemdziesiąta ósma w tym roku! Wiesz ty, kto najlepszy ma dochód z Sokołowa? - Wiem - uśmiechnął się gorzko Szymon. - Tak, i nasz miasteczkowy jurysta. Chciałbym być na jego miejscu. - Wynałazłby pan i tam utrapienia. - Tobie się zdaje, że ja mam manię narzekania. Dobryś! I ty, Brutusie! - Są gorsze położenia. - Na przykład? - A chociażby panny Barbary. Sokolnicki ręką machnął i uśmiechnął się. - Danaida * kochana! Dziękuję ci za porównanie. Ona nie umie nawet pitagorasowej tabliczki. * Na folwarczynie, wartej piętnaście tysięcy, ma czternaście długi i myśli to rozwiązać! Danaidy - w mitologii gr. córki króla Danaosa, które na rozkaz ojca zamordowały swych mężów. Beczka Danaid (aluzja do ich kary - po śmierci musiały napełniać wodą beczkę bez dna) - trud nie kończący się i bezowocny. tabliczka Pitagorasa - tabliczka mnożenia. - I rozwiąże - odparł Szymon. - Bajesz, byle mi dodać otuchy. - Ale pan musi wyznać, że Sokołów mocniej stoi. - Bo ma ciebie! Chciałeś komplementu - masz. A teraz może wyrzemy, co się dzieje na świecie. Może byśmy zapolowali trochę? - Ma pan na gumnie polowanie na złodziejów, próżniaków i opieszalców, a ja w te pędy muszę do miasteczka jechać. Siedemnaście kradzieży leśnych mam podać do sądu, a potem

wracał co rychło i cechował drzewo na jesienny porąb. - Może zobaczę, jak wyglądają pieniądze - westchnął dziedzić. - Szymku, kochanie, zasil moją kasę! - Widzi pan, a panna Barbara i miotły kupuje; nie godzi się nam narzekać! - Pewnie, że miotły kupuje, ale i siedemnastu spraw dziennie nie miewa. Chciałbym mieć taką figę, jak jej Ostrówek; mógłbym zapolować chociażby! - U państwa Zagrodzkich ma być wielka obława i bal za dwa tygodnie. Ich nadleśniczy, Niemiec, był u mnie prosić o pomoc. O, lasy tam, lasy! Objeżdżaliśmy rewiry. Miliony tam stoja! - Zagrodzkiego kochają pieniądze. Całe życie szczęście mu w ręce szło gwałtem. - A on przecie panu zazdrości. Sam mi to mówił, bośmy go w lesie spotkali. - Warto nawet zazdrościć! - uśmiechnął się gorzko Sokolnicki. - Ciekawym czego? - Zdrowia, bo on wiecznie chory; młodości, której mu nikt nie wróci; swobody, boż on męczennik swojej żony, którą brał dla interesu, opinii, bo nikt, nawet on, milioner, takiej nie ma jak pan; wreszcie spokoju i zgody w rodzinie, jaka w Sokołowie jest, a której nawet nie rozumieją w Głębokiem. - Co nie przeszkadza, byś mi swatał jego jedynaczkę, żebym się ożenił dla interesu i dostał zapewne wierną kopię mamy Zagrodzkiej. Dziękuję! - Bardzo mi się panna podobała. Ładna, wesoła, energiczna. - Skąd ty ich znasz tak dokładnie? - Ano, włóczę się po lesie i po drogach, a panna przecie, jeśli nie konno, to kabrioletem * jeździ po wszystkich możliwych ścieżkach i drożynach. Ich lasy z naszymi graniczą. Spotykamy się często. Raz chciała ode mnie kupić konia i takeśmy się poznali. Potem, kiedyś, kazała mi zastrzelić kraskę, bo jej się zamarzyło piór do kapelusza. Spotykamy się prawie co tydzień. Zresztą, kto mnie nie zna... kabriolet - lekki powozik dwukołowy o podwyższonym siedzeniu. - Jestem pewny, że ci Zagrodzki robił świetne propozycje. - Właśnie, że nie, i to dowodzi, że mnie zna. - Więc będzie tedy świetne polowanie. Ciekawym, czy mnie zaproszą? - To nie chybi. Dopytywał się pan Zagrodzki, czy pan w domu. - Mam wstręt do bytowania tam. Gdy widzę to stado konkurentów, wstyd mi na samą myśl, że mogę być do rzędu ich zaliczonym. Poślę ciebie, a sam zemknę do siostry. Tam zawsze któreś z dzieci chore, więc pretekst gotów. - Dzieci zdrowe; widziałem onegdaj pana Ilinicza w miasteczku. Bardzo zajęty swoją nową młocarnią i nowymi końmi. - Co? Znowu przehandlował te gniade? - Ale ba! Po gniadych (kasztanowatych) były już bułane (płowe, żółtawe), a teraz dobrał dwa pstre. - Boże miłosierny! Ileż ta nieszczęsna Józia musiała łez wylać przy każdej zamianie! - Może jeszcze się dotąd nie przyznał albo od czasu, gdy gniadymi wyjechał, dotąd nie wrócił do domu. Ie dzieci zdrowe, dowiedział się po drodze, u księdza przy preferansie. - No, i taki człowiek egzystuje i nie bankrutuje, i o nic się nie troszczy, i dobrze mu - westchnął Sokolnicki. - Ba, bo ma taką żonę! Jak pan sobie podobną dobierze, to i pan odetchnie, i będzie mógł po świecie się obejrzeć. - Powiedz mi, co to za nowy żwiek w głowie, to swatanie mnie bezustanne? Poradz mi raczej, skąd by wziąć pieniędzy dla Altera i czym zapłacić ratę noworoczną w banku. - Niech pan uda się do stryja - szepnął nieśmiało Szymon. Sokolnicki skoczył z krzesła. - Za nic! Lichwiarzy znaleźć można w miasteczku, bez niego. Czyś oszalał z tą radą! - Pan powtarza za panem Iliniczem, od którego stryj pański żądał sto procent, bo mu pieniędzy wcale pożyczycić nie chciał. Jestem pewny, że panu by bezinteresownie dopomógł. - Nie chcę go znać, a tym mniej prosić! - Otóż i błąd! Dlatego idź panów gnębia! Chce pan? Ja spróbuję. - Za nic! Jeśli się ośmielisz, to ci nigdy nie daruję. - Albo by pan wiedział? - uśmiechnął się Szymon. - Natychmiast stary zbój otrąbiłby na trzy powiaty, że Sokołów istnieje tylko dzięki jemu. Przepadnę, a jego o pomoc nie poproszę! Szymon umilkł i ciężko sumował (martwił się). - A tymczasem do Nowego Roku potrzebujemy pięciu tysięcy rubli. A na to ile pan ma! - Może z trudem dopędzę do tysiąca. - A reszta? - Sprzedamy kawałek lasu. - Wiem. To nas zawsze ratuje. Ale czy pan już miał kupców na tę porębę? - Był Alter tylko i dawał dwa tysiące. - A Niemiec z Głębokiego ocenił na pięć! Był tedy Alter i nikt więcej nie będzie, bo miejscowych on już przekupił i rozpędził, a dalsi już teraz nie kupią, bo brak czasu. Dlaczego pan nie chciał mnie posłuchać, gdym radził Niemców sprowadzić? - Bo mi rządca odradził, że to

nie towar dla Niemców. - A pan nie pytał rządcy, ile za tę radę on dostał od Altera! - oburzył się Szymon. - Ale oni rachują beze mnie, a pókim żyw, to nie zjedzą Sokołowa. Nie może pan lasu oddać za darmo, jak wszystko u nas idzie. Ja nie dopuszczę! - Ciekawym jak? Ja czuję, że w rękach szajki, ale jak się wyplataż? - rozpacznie zawołał Sokolnicki. - Ja panu wystaram się o pieniądze. Proszę lasu nie sprzedaważ - rzekł po namyśle Szymon. - A jak ci się nie uda? - Albow panu kiedy skrewił? - Mój druha serdeczny! Po przez stół uścisnęli prawice i Szymon wstał, by odejść. Potem się zawrócił. - Proszę pana o kwit na piętnaście fur drew, na imię Makara Wilka z Dubinek. Oto są pieniądze. Niech pan sobie to nazwisko zakarbuje, bo będzie o tym mowa! - Dlaczego? - Wspomni pan moje słowo. Sokolnicki brwiami ruszył, kwit napisał, pieniądze zagarnął i wziął też czapkę. - Przeprowadzę cię. Wstąpimy w drogę do stajni. Zobacz konie, co się gotują na jarmark, a po drodze obejrzyj ciesielską robotę przy oborach. Gdy wychodzili, tuż przy drzwiach natknęli się na łyda, który musiał rozmowy ich podsłuchiwać, tak miał minę zmieszana. - Czegoś tu? - krzyknął Sokolnicki. - Przyszedłem spytaż, czy jasny pan nie sprzedałby mnie tych młodych koni? - A cóż to? Do pachtu (dzierzawy) ich potrzebujesz? - wtrącił Szymon przyjrzawszy się łydowi. - Dlaczego? Albow to ja pachciarz? - A pachciarz z Głębokiego i Altera szwagier. Chcecie konie tak osaczyż, jak las. - Jak pragnę szabasu * doczekaż, tak ja wcale nie z Głębokiego, ale z miasteczka. Mam młyn, deptak * i końmi handluję. szabas - sobota, w religii żydowskiej świąteczny dzień odpoczynku. deptak - krąg wydeptany przez konie chodzące w kieracie. - A cóż to, moje konie na deptak! - oburzył się Sokolnicki. - Tej ceny, co ja panu dam, nikt nie da. - Tak wam się zdaje, zobaczymy! - zajadle mruknął Szymon. - Cóż? Pokazaż mu konie? - spytał go z cicha Sokolnicki. Ale Szymon już tracił cierpliwość i wybuchnął: - Psami go wyszczuż z folwarku! On jest z Głębokiego pachciarz, podkupiony, faktor (pośrednik_doradca) szatański! On wszystko zatarguje, śmieszna cenę da, towar oszkaluje na cały powiat, żeby w końcu za bezcen kupiż. Chce pan, zawiozę go do Głębokiego i przywiozę świadectwo, że on tameczny. - Tam mój brat siedzi na pachcie - bąknął łyd widząc, że niezręcznie zaczął. - Tak? Ruszajże, skąd cię lichy przyniosło! Konie nie dla was! Pójdą na jarmark do Łęcznej. Marsz, a pod drzwiami nie podsłuchiważ, pamiętaj. - Jasny pan dzisiaj nie w humorze. Ja przyjdę drugi raz. Ja rzetelną cenę dam! Pokornie cofał się łyd i zaraz z ganku rzucił się w bok i zniknął. - A to gałgany! - sapał Sokolnicki. - Oni naprawdę gotowi przeszkodziż w tej sprzedaży. Co robiż, Szymku? - Dotrzymaż, co pan obiecał. Posłaż do Łęcznej. - A koszt! Pieniędzy gwałtem potrzebuję. Grosza nie mam! Szymon się zasępił i umilkł. Na to nie było rady. Wszelkie wysiłki rozbiły się o ten grosz, który Sokołów połykał łatwo, dawał bardzo trudno. Weszli do stajni i obejrzel konie. Były to cztery brudne kasztany dobrane wyśmienicie. Sokolnicki, jak każdy młody obywatel, konie lubił, hodował i znał się na nich. Stajnia sokołowska, chociaż obecnie zmniejszona, miała dobrą reputację, tylko jak we wszystkim, tak i tu brak pieniędzy psuł wiele. Konie, dużo warte, szły zwykle w marnej cenie, gdy potrzeba przycisnęła, i dlatego jak kruki zwykle krążyli wkoło tych koni łydzi kupcy. - Ta czwórka powinna pójśż za półtora tysiąca rubli - rzekł Szymon po obejrzeniu. - Ba! tutaj! Któż by takimi końmi jeździł? Ordynat chyba, gdyby nie siedział za granicą. - Niech pan je weźmie na polowanie do Głębokiego. Niech je ludzie zobaczą. - Oszalałeś! Konie pasione na jarmark, młode i szalone, braż na polowanie! Zrsztą jam nie konkurent, żeby jeździł czwórkami. Wezmę stare, bryczkowe i basta. - No, to padam do nóg i wracam do lasu. Po co się pan radzi, kiedy nigdy rady nie usłucha? Skłonił się i odszedł. Młody człowiek chwilę był urażony i wargi gryzł gniewnie. Ostatecznie Szymon bywał czasem zanadto śmiały. Kolega, prawda, ale i płatny sługa - o tym zapominał niekiedy. Dziedzic wargi gryzł i złe myśli przeleciały mu przez głowę, Odchodzącego nie odwołał i dalej ciągnął stajenną inspekcję. W tej chwili wszedł ekonom, prawie rządca, dawny sługa, od lat piętnastu wrosły w Sokołów. Miał dużą rodzinę, którą kształcił na proletariuszów po biurach, urzędach, kierując na paniczów. Jakim sposobem wystarczała mu na tę

edukację niewielka pensja i ordynaria, * w to Sokolnicki nie wglądał, a wiedział tylko na pewno wszechmożny Alter z Jeziora. ordynaria - część zarobków oficjalistów dworskich i robotników rolnych, wypłacana w naturze. Był w łaskach u dziedzica, bo go zawsze chwalił, rozkazy ściśle spełniał, wyglądał zawsze zapracowany i skromnie, prześladował próżniaków i złodziejów, a swych podwładnych ostro trzymał. - Cóż tam, panie Feliksie? - zagadnął Sokolnicki, odzyskując na jego widok dobry humor, bo rządca miał ten spryt, że złych wieści nigdy mu osobiście nie donosił, a wybierał na takiego kruka którego ze swych podwładnych, przeznaczzonego na niełaskę i wydalenie. - Wszystko dobrze, jasnie panie. Bydełko zdrowe, robota w ruchu, każdy w porządku. Przyszedłem z nowiną, żem dziś na podorywkach widział trzy zające. Leżą jak kamienie. Iby jasny pan zechciał wyjechać z chartami, byłyby wszystkie trzy u siodła. - Gdzie widział? - zapalił się Sokolnicki. - Na Hrebkach, o kilkaset kroków! - wskazał ekonom za bramę w prawo. - Ano, to skoczmy! Semen, okulbacz mi Watażkę. Antek, ruszaj po charty do psiarni! Alter, złe interesy, terminy fatalne, szajka - wszystko uleciało z pamięci. Iyłka łowiecka, stara spuścizna innych czasów, zagrała w piersi. Zaruszało się na podwórzu. Chłopak kredensowy, rad okazji do swawoli, borykał się z trójką ogromnych chartów; stajenny siodłał szalonego Watażkę, który czując też łowy, gryzł i wierzgał, byle prędzej pohulać po polu. Rządca dla ceremonii przyprowadził też swego deresza * i wszyscy podnieceni śpieszyli, krzyczeli, napędzali, jakby chodziło o pogrom wrogów, a nie o marne trzy szaraki. Wreszcie ruszyli. Watażka, gdy poczuł jeźdźca na grzbiecie, a charty obok, przestał kwiczeć i kasać. Cały się w sobie skupił, zmałał i niepozorny ruszył za wrota, człapiąc i wypatrując bacznie po szarej roli zwierzyny. deresz - koń o maści brudnoczerwono_białej. Sokolnickiemu wiatr uderzył w piersi i naniósł mu pełne płuca zapachu czerstwej ziemi i więdnących liści; przed nim rozeszła się wielka szara równina, obraz trochę dzikiej swobody i nieskończoności. Krew zaczęła w nim graż, a oczy płonąć uciechą. Ale wtem od gumna nadbiegł i pokornie go zatrzymał człek z ryżą bródką i kosymi oczami, pisarz i magazynier Sokołowa. - Proszę jasnie pana, fury przybyły po te dwa wagony żyta. Jasny pan kazał bez siebie nie wyprawiać. Co mam robić? - Co? - Sokolnicki konia wstrzymał i zawahał się. - Ano, ładujcie i trochę na mnie zaczekajcie z odprawą. Za godzinę wróć. - Więc do południa czekać? - Tak! Koń szarpnął, wspiał się; jeździec mu cugle oddał, ruszyli. Na chwilę uciechę Sokolnickiemu struł ten epizod. - Ukradną, naturalnie, trzeba by wrócić i dopilnować! Przeklęty Szymon... fanaberie... obraził się... to on powinien był mnie wyręczyć. Wykolejony panicz... popsuję go! Może by wrócić? Ale cóż u licha! Niech diabli wszystko biorą, jeśli mi nawet nie wolno będzie godziny wytchnąć. Jednego zaszczuję i wróć. A Szymon wszystkiemu winien! Muszę go ostrzej wziąć w ręce! Zrzuciwszy winę z siebie, poczuł się swobodniejszym. Koń parsknął, a chart Sokół zaczął się tarzać, był to dobry znak. Znowu młody człowiek myśli i oko utkwiał w szarej roli, która rozciągnęła się aż het, do skraju horyzontu i wróżyła mu dobre łowy i upajającą hulankę z wichrem. Gdy wrócił do domu, trzy zające miał u siodła, ale był już zmierzch i fury dawno odjechały ze zbożem. Sokolnicki, ledwo zjadł spóźniony obiad, legł spać, zmordowany szaloną jazdą i powietrzem, a zasypiając był pewien, że na zbożu stracił grubo i że temu nie kto inny był winien, tylko Szymon Łabędzki. III Szymon tymczasem jechał do miasteczka. Miał mil cztery przed sobą i perspektywę noclegu w brudnym zajeździe, przy tym drogę błotnistą przy groblach, z okrągłaków, przez wiorstowe * brody na rzecznych rozlewach lub po kępiastych wygonach. wiorsta - jednostka miary długości równa 1066,78 m. Pielgrzymki do powiatowej sprawiedliwości często odprawiał. Znał dobrze te nudne godziny, a że rozmowny był i z natury towarzyski, zwykle po drodze wyszukiwał sobie kolegów wędrowki. Znała go cała okolica i on znał każdego; lubił gawędzić z łydem, z chłopem, z każdym - i dowodził, że z każdej rozmowy można coś skorzystać; żadną też nie pogardzał. Gdy wyjechał ze dworu, czas jakiś sumował nad biedami swego chlebobawcy, strapiiony i zajęty jakby własną niedolą. Potem westchnął, a nie

znajdując rady i sposobu, zdał się na Opatrzność. I tak jechał drobnym truchtem, skulony na swym wózku, znosząc z rezygnacją wicher, który go siekł w oczy, dobierał się do kości. Droga zbiegła nad rzekę i z daleka ukazał się pierwszy bród. Tu napędził Szymon pieszego szlachcica w kapocie, który wdocznie czekał, aby go kto przewiózł przez wodę, ale poznawszy, kto jedzie, nie zaczął ani nawet przywitać. Szymon spojrział nań, uśmiechnął się i zatrzymał konia. - Dzień dobry, panie Adamie! Siadajcie, podwiozę was. Zapewne jedna nam droga. Stary szlachcic zawahał się, spojrział ponuro i zerknął na drogę pustą, potem na bród głęboki. - Bez urazy. Jutro przed sądem będziemy sobie do oczu skakali! Dzisiaj - wy tylko stary, ja młody. Siadajcie! Nikt ze mną nie jedzie; przemarzniecie, czekając nad wodą. Stary coś zamruczał, ale na wózek wsiadł i tak ruszyli zgodnie jutrzejsi zajadli przeciwnicy procesu, który dubinieccy szlachcice czynszowi wiedli od wieków z Sokołowem. Szymon nogi starego okrył derką i zagaił rozmowę. - Wypredzili was tamci. - Aha, końmi ruszyli, a moja klacz w nocy zakulała - mruknął stary. - Na popasie w Czarnym Brzegu ich napędzę! Staniemy jeszcze na czas do sądu. - A gdzieżby szlachta spóźniła się na proces! - roześmiał się Szymon. - Każdego krzywda boli, a tym bardziej nas, biedaków. I żeby sumienie żyło u panów, inny byłby ład na świecie. - Sumienie wedle was, to żeby każdy swoją własność między was rozdzielił, a sam na żebry poszedł. Może by pan Sokolnicki na to przystał, ale wy byście chcieli wziąć jego ziemię, a ciężary tej ziemi jemu zostawić. To znowu kwestię zmienia! - My chcemy tylko swojej własności. Od wieków te półka nam dane. - Toż was nie rugują, tylko te półka są zapisane w podatkach, a wy nie chcecie czynszu wnosić; no, i granic nie wolno przecież co roku zmieniać, boż wreszcie i Salomon nie rozsądzi! Toż wam to wyroki jasno dowiodły. - Wyroki? Jeszcze i jeden nie był sprawiedliwy. - Aha, ażeby mieć te sumy, co proces kosztuje, można by drugi Sokołów kupić. Ale co mamy się spierać? Będzie jutro nowy wyrok. Może na waszą korzyść... Stary usta zaciął i nie patrząc na Szymona rzekł: - Słyszę, wczorajsza sprawa pójdzie też na sąd? - A jakże? I Morscy zakosztują turmy. - Ale się stało, ale trzeźwemu nie warto było pijanych zaczepiać. - Toteż nie będzie sądu o bitwę, ale o dębinę. Ja ta swojej skóry po sądach nie włóczę! Umilkli chwilę; jechali przez bród stępa; woda wezbrana chwilami unosiła wózek. Szymon obojętnie zbijał biczyskiem szare kity oczeretów. - Siano będzie za bezcen tej zimy! - rzekł. - Tylko u nas nie ma już czego karmić tym sianem! - ponuro odparł szlachcic. - Toteż pora wielka procesu zaniechać! - I co? Iść za fernali do dworu czy żebrać? - Służba nie hańba! A czyż przybędzie klejnotowi sławy z takich Makarewiczów, Morskich? Czy honor to te bitwy, gwałty, licytacje, kary, więzienia? Mój Boże, toż zgroza i nieszczęście! - Niech wszystko spada na pańską głowę! Nędzarzami nas uczynił, zbójcami, aresztantami, za co? Za ten szmatek pola, za ten zakos łąki! - A wyż za co? Za kilka rubli czynszu! We dwa dni zarobilibyście sobie całoroczny spokój. - Nie o kilka rubli idzie, ale o krzywdę! - Otóż to! A pan tak samo powiada. Nędza ludzka, turbacja * o to dobro liche, które każdy zostawi, może jutro. Oto dopiero mózół nierozumny! Za com ojcom wdzięczny, za to, że mi tego kłopotu nie zostawili po sobie. turbacja - zmartwienie, troska, trud. - Pewnie, kto urodził się w obcej chacie, na cudzej słomie, ten i pojaż nie potrafi, co to zagonek swój i ta izba, którą ojcowie zbudowali krwawym potem! Toż i jest, dlaczego wy wróg taki zażarty. - To się mylicie. Nie wróg ja, ino mnie ta cudza chata nauczyła, co jest służba! - Nie służba chyba, ale chamskie poddaństwo! - urągliwie rzucił stary. Szymon się roześmiał. - Panie Adamie, nie plwajcież na mnie za usługę! Toż to także po chamsku! Szlachcic się zawstydził, pohamował. - A ja czyż mogę z wami ucztować? Sami przyznacie. Czy mogę patrzeć na matkę, co pasierbom pozwala kraść, co Weronkę zaprzedała Makarewiczom? Powiedzcie, panie Adamie. Dalibyście swą wnuczkę w to gniazdo? - Dalibóg nie! - zawołał stary. - Ot, macie! Chciałbym ja czasem do Dubinek wstąpić, jak znajomy tylko, bez złej myśli. Alboż mi tam przejść dadzą? Pies, pies, pies! wszyscy wołają. Gdy ja was spotkał, rad usłużyłem, nie uraziłem słowem jednym! A co mnie spotyka w Dubinkach? Stary milczał pokonany. Szymon umiał tak każdego zjednać swym taktem

i spokojem. - To prawda - mruknął Adam. - Oni żadnej miary i zastanowienia nie mają. W tym rację macie! Młodzi jeszcze dziksi! O, coraz gorsze pokolenie! ĩadnej polityki i delikatności. Boż to i czasy podłe. Gdzie to się okrzese, gdzie się czego nauczy, żyjąc w borze i na rzece! Ot i moje wnuki! Wy Hipka posadzacie o złodziejstwo? - Nie, tylko zwierzyny. - To co innego. On z tego zysku nie ma. To jego zamięłowanie i opętanie. ĩeby wiedział, że on zwierzynę sprzedaje, ubiłbym złodzieja. Ale on próżniak, fuzyjka to okazja, by z ludźmi nie żyż, nie gadaż, nie pracoważ. Bywają tygodnie, że się w chacie nie pokaże, a jak wróci, to czasem ino cudaczných gniazd, piór albo jajek przyniesie i to w skrzynce chowa, a w niedzielę przesusza, okurza i przygląda się temu jak dziecko. Dalibóg, Antolka u mnie parobek i gospodarz. Nie dacie wiarę, że ona z cepem całą zimę, a latem z kosa, jak chłopiec. Wy nas z tamtymi nie równajcie! - Rad bym, żebyście, panie Adamie, dobry przykład dali i zaniechali procesu. - A niedoczekanie wasze! Jaki bym ja szlachcic był, żebym darował krzywdę! Dajcie pokój, nie zaczepiajcie mnie od wątroby, bo się znowu zapomnę. - Niech i tak będzie. Jednakże nie honor to i ja bym na waszym miejscu zakazał Hipkowi kompanii z Makarewiczami. - Nijakiej on nie ma z nikim kompanii. Jego nikt nie cierpi, a on nikogo! Szymon głową pokręcił, ale nie obstawał przy swoim. Wyjechali znowu na wygon * i ujrzeli przed sobą wiatrak i karczemkę przylepioną do stromego brzegu rzeki. wygon - wspólne pastwisko; droga, którą się goni bydło na pastwisko. - Ot i Czarny Brzeg, i pełno furmanek. To wasi. - A nasi. Dziękuję wam za usługę i już zlezę, a to mnie ukamienują, gdy na waszym wózku zobaczą! - rzekł stary. - Do zobaczenia jutro! - uśmiechnął się Szymon. Wnet minął karczmę pełną podpitej szlachty i ruszył dalej, łamiąc głowę, skąd dostaż te tysiące potrzebne dla Sokolnickiego, gdy znowu napędził dwóch chłopów idących śpiesznie, odzianych kuso, z łubianą kobiałką przez plecy i z dwiema parami chodaków zapasowych u pasa. Spojrzeli na siebie i nagle chłopci stanęli, a radosny uśmiech rozchylił im usta. - Ach, to panicz, chwała Bogu! A my tak się zlekli, myśleli że to tamci już dopędzają. - Kto tamci, Arechta? - spytał Szymon. - A szlachta dubiniecka. Napadli nas w karczmie, gdzieśmy obiad jedli, i chcieli pieniądze odebrać. - Jakie pieniądze? - Akcyjne z Sokołowa; odnoszę do powiatu. Bóg mnie natchnął, zem chłopca z sobą wziął dla bezpieczeństwa, a to by zarznęli! My teraz od pana i krokiem nie ruszymy, bo jak tam lepiej głowy zaleją, to ani chybi w łozach będzie kryminał. - No, to siadajcie. Mnie nie zaczepią. - Oj, jak oni tam na pana pomstują! Gorzej niż na samego pana ze dworu. A ma pan jaką broń przy sobie? - Mam - odparł Szymon i batem machnął. - Oj, ryzykant z pana, ryzykant! ĩeby ja takich wrogów miał, tobym się bał z chaty do chlewa wyjść. Toż gadają, że do pana strzelali na rzece wczoraj. Makar Wilk ze strachu febry dostał, gadają. - Ja zabiegał rano do Wilków! - wtrącił chłopak. - Makar pod kozuchem leży, a Ihnat przysięga, że Makarewicza Rudego poznał. - To bajki. Mało kto strzela na rzece. - Toż i Wilczyca to gadała i swarzyła Ihnata. Druhów pan tam ma u nich w chacie! Stara mało kogo pochwali, a pana tak szanuje, że nawet by swą skrzynię pieniędzy oddała. - A duża ta skrzynia? - półżartem spytał Szymon. - Oj, ja bym nie udźwignął, żeby mi podarowała. Słyszę, majątek chce kupić i po jednemu synów osadziż, bo gdy umrze, swary tam cały dostatek pochłona. Ot, sokół_baba! Zadumał się Szymon, ale wnet druga troska na myśl mu przyszła, więc zagadnął: - Nie wiesz ty, Arechta, czemu omelnicy chłopci nie chcą zgodziż się o tę niwę? Czy oni tam na niej srebrne ruble kopią, że im tak droga? Chłop się uśmiechnął chytrze i głową pokręcił: - Durne chłopcy! Ja bym się zgodził i pana nogi pocałował. Toż te nadrzeczne łaki, co im w zamian daje, to istne mięso i miód. - Ale i wódka jeszcze zakropią zgodę. Arechta splunął przez zęby. Snadż posyłki gorzelane zaznajomiły go dobrze z tym specjałem. Markotno mu się zrobiło i westchnął: - Do zgody brakuje dwóch rzeczy: pieniędzy i sekretu. - Niby co? - Ano, trzeba smaroważ wóz, by nie skrzypiał, i sekretnie to uczyniż, by gromada nie dowachała się. Omelnicka gromada ma wiele psów, co szczekają i rozpędzają. Niech pan najmnie pastucha, a zapędzi, gdzie trzeba. - Ty wiesz, kto by pastuchem dobrym był? - A Mikitka Czaronos. - Ten gałgan, co ich najgorzej

buntuje? Ja go do ostrogu * zapakuję lada dzień! ostróg - więzienie w Rosji carskiej. - Oj, paniczku, to źle będzie. Łatwo go zapakować, ale dla was szkoda. Kupcie go lepiej dla siebie. Ja myślę, że on by nawet niedrogi był, bo go łydźci okropnie duszą. Alter nim orze, jak chce, bo mu pieniędzy dał i mocne dokumenty wziął. Mówią, że oni na spółkę gminną kasę obrali i że te pieniądze Alter wziął, a jak się odkryje, to Mikitka przepadł. - Aha, ja go dzisiaj kupię, a jutro Alter odkupi, i tyle będzie mojego. - I na to sposób jest. Niech mu pan pieniądze da przez Ułasa znachora i Ułas od niego przysięgę przyjmie. To będzie tak pewne, że i papieru nie trzeba. - Ułas, ten stary, co pasiekę ma na zachodzie? - Ten - odparł chłop uroczyście. - Skąd ty to wszystko wiesz, Arechta? - Jaż mam swojaków w Omelnej; żona moja stamtąd. A Mikitka żonaty z jej siostrą. My szwagrowie, ino on bogaty, ja biedny! - Ino on łotr, a ty uczciwy! - poprawił Szymon. - Ale! Ja poczciwy, to mnie każdy za durnia ma, a on łotr, to go się każdy boi i słuha! - Skądże on doszedł do rozumu i pieniędzy? - Służył na Kaukazie u generała, i ten umarł. Nikogo nie miał z rodziny, więc się Mikitka obłowił, ile mógł unieść złota i srebra, i sprzętów, i pięknej odzieży. Jak wrócił do Omelnej, zaczął handlować, kręciż, z łydami się zadawał, a że piśmienny, więc się nauczył prośby sądowe pisać, a że bogaty, więc cała wieś jak w słońce w niego wierzyła. Tak i na wójta wyszedł; ino na łydów to mu rozumu nie starczyło. Zapłatał się i jak go kto teraz za uszy nie utrzyma, to upadnie. - Myślisz, że namówiliby chłopów na nasze warunki? - On ich nawet na pańszczyznę namówi. - A Ułasa czemu on się boi? - Nie bał się on go i kpinki stroił. Do czasu. Tu chłop umilkł i miał minę tajemniczą. Czekał, by go natarczywiej pytano. - Oho, w Ułasa ja sam wierzę! Febrę mi zamówił zeszłej jesieni! - rzekł z przekonaniem Szymon. - To wiadomo. Nie ma dobrego, co on nie zna, ale nie ma i złego, co by on w swej mocy nie miał. Z Mikitką było tak: kupił on raz klacz u sąsiada, zadatek dał, klacz zabrał, a resztę, powiada, zapłacę po jarmarku. Potem się wyparł: nie i nie, i nie! Powiada sąsiad, Michałko Syruż: Chodźmy do Ułosa. Przysięgał ja, przysięgniesz ty! Mikitka w złość, a potem w śmiech: Chodźmy! Przyszli; stary ich wysłuchał, potem przyniósł woreczek kości i woła wpierw do przysięgi Michałka. Przysięgnął ten za starym, zaklął się na głowę swoją i na węgiel chaty, i na dobytek. Potem woła stary Mikitka: Gotówes przysięgać jak on? Ten się śmieje: Gotówem na głowy dzieci, jeśli chcesz. A Ułas pomyślał i mówi: Troje ich masz - szkoda mi ich i za ciężko ci będzie. Przysięgnij na najstarszego, Borysa. I Mikitka przysięgnął. - No i cóż? - spytał Szymon. - Alboż pan nie słyszał, że Borysa grom ubił, zanim Mikitka do domu powrócił. Spojrzeli na siebie i chwilę milczeli. - I oddał pieniądze sąsiadowi? - Nie, jeszcze mu mało było. Jeszcze miał drugiego syna, Romana. - Jak to? I ten umarł? - Ale jak to świeczkę zgasił. W kilka godzin... wił się jak robak i szerniał. - Za cóż ten znowu? - przerażony mimo woli zawołał Szymon. - Ano, za wdowią krzywdę znowu! Była Semenicha, po bracie Mikitki wdowa, z pięciorgiem dzieci drobnych. On, umierając, oddał mu nad tym opiekę, a Mikitka sobie zagarnął. Chodziła nieboga po ratunek do Ułosa... Stary po trzykroć do Mikitki przychodził, sam na kolanach go prosił, by nie krzywdził, a wreszcie, gdy go ten z chaty wygnał, we wrotach stanął i powiada: Hej, gospodarzu, a dla kogóż te dostatki i pola, kiedy u ciebie synów już nie ma? Len siej dla dziewczyny na wyprawę, boż jedną już tylko masz! I tak się stało. Ma Mikitka jedną już tylko córkę, ale Ułosa nauczył się szanować i słuhaż. - Okropność! - mruknął Szymon, zapominając o kłopotach w Omelnej, o sprawie serwitutowej, * o wszystkim wobec grozy takiej moralności. serwitut - prawo do korzystania z gruntów folwarcznych i chłopskich, przysługujące wzajemnie chłopom i dziedzicom, np. prawo do wypasu bydła na łąkach czy prawo do zbierania w lasach drewna na opał. I chłop się zadumał, i tak jechali, kołując wśród wód, piasków, szczylinami wśród sążniowych * łóz, czasami ponad samym nurtem. sażeń - około 190 cm; w Rosji 210. - Zapłała się szlachta! - rzekł chłop spoglądając poza siebie, a potem na niebo. - Będzie rychło wieczór. Czy pan zanocuje po drodze? - Gdzież by? - A u panienki w Horodyszczu? - Albo to warto? Tak niedaleko miasta... Mam jeszcze z wieczora

interes tam! - O, ja wstąpię do panienki! - uśmiechnął się chłop. - Po co? - Ja zawsze wstępuję. Z pieniędzmi nocowałam w mieście niemiło. Sen nie bierze, a piż w szynku straszno, by miary nie przebrać. No, i chłopaka jej prowadzę chorego. - A ona pomoże tyle co Ułas... - Oj, równie pomocna. Szczególnie na rany i febrę! A tak ładnie z człowiekiem pogada! Wie panicz co, żeby nasz pan ją za żonę wziął, toby ja ze dworu w Sokołowie nie wyłaził. - A strachów w Horodyszczu się nie boisz? - Kiedy to ino po pałacu chodzi i do kaplicy przez ulicę modrzewiową, a ja by tam nie poszedł, żeby mi i Horodyszcz darowali. Ja w stajni nocuję, wieczerzę dostanę, chłopca pokażę, może jaki sprawunek do miasta mi dadzą i skoro świt ruszę. Dziękuję paniczowi za pomoc, w tę sośninę skręcimy, na prostki, a za pół godziny staniemy na miejscu. - No, ja o Mikitce pomyślę, a ty, jeśli chcesz co zarobić, to się dokumentniej rozpytaj i z językiem do mnie na leśniczówkę wstap. - Dobrze, panie! Bylebym dREW dostał, to postoiłów * i języka żalowałam nie będę. postoiły - łapcie z kory, łyka lub ze skóry, przywiązane do nogi sznurkiem. - A Ułas zimuje na pasiece? - On tam opodał ziemiankę ma. Do Ułasa to najlepiej drogę zna pana gospodyni, Motra. Toż jego swojaczka i powiadają, że on jej swą mądrość zostawi. Chadza ona często do niego. - A to mi nowina! Motra mi nigdy o tym nie wspominała. Wprawdzie ta niewiele mową grzeszy! No, ostańcie zdrowi, Arechta! Znowu Szymon sam na wózku został, na zegarek spojrzął i konia napędził. Rad był ze swych pasażerów. Ie pijana szlachta nie goniła go i nie poturbowała, to zawdzięczał staremu Adamowi, a Arechta powiedział mu wiele użytecznych tajemnic chłopskiego życia. Dla człowieka, który z tym żywiołem wciąż musiał walczyć, były to cenne informacje. Zmierzch wczesny już zapadł; jeszcze dostrzegł Szymon opodał od drogi dwór stary w świerkowej girlandzie, było to Horodyszcz; potem ciemność zaległa zupełna i tylko koń znanej drogi się pilnował, bo ni śladu dostrzec nie można było. Szymon puścił wodze fantazji. Gdy tu przybył z całą energią i zapałem młodości, myślał, jak każdy, że z posad ziemię poruszy. Postawił sobie za cel uszlachetnienie warstwy służącej, z której sam pochodził, i porozumienie zgodne dworu ze wsią. Po kilku latach upartej pracy w tym kierunku, popartej wykształceniem i codziennym własnym przykładem, został wrogiem szlachty zaściankowej i oficjalistów, * katem dla szkodników chłopów. Chciał być wodzem tłumów; został celem nienawiści, złości i zemsty. oficjalista - osoba zatrudniona przy zarządzaniu majątkiem ziemskim; urzędnik, zwłaszcza sądowy. Wtedy ideał swój, jak klejnot, schował w głąb serca i oddał się, duszą i ciałem, dworowi. Był już pewny, że nikogo za sobą nie pociągnie, postanowił sam wszakże wytrwać do końca. Ale lubił niekiedy marzyć, jakby to dobrze było, żeby życie okolicy i ludzi nie było stanem wyjątkowym, błędnym kołem bez wyjścia, krzywdą i grabieżą. Lubiał marzyć czasy bez sądów i procesów, spokojne granice, określoną własność, poszanowanie prawa, spełnianie obowiązków przez służbę - cywilizację chłopów. W tym marzeniu nabierał otuchy, widział dla swej pracy szerszy widnokrąg, ideę wielką, i to mu dodawało jakby wyższości. Człowiek, który widzi siebie nie jedną cegłą tylko, ale częścią wielkiego budynku, nabiera wartości i szacunku dla samego siebie. Dlatego Szymon skrzepił się tym i w pracy ręk nie opuszczał. Było to, jakby klejnot swój wydobył, obejrzał i o byt się nie bał, boż ubogim nie był, skoro taką złocistość miał w zapasie na czarną godzinę zwątpienia i męki! Po takich oględzinach swojego skarbu głowę nosił jeszcze wyżej, a w oczach miał blask pewności i zadowolenia. W myślach swoich rozbijały utworzył raj na ziemi, gdy błysnęły czerwone światła w mgłę i konik sam stanął przed promem naprzeciw miasteczka. Szymon do rzeczywistości wrócił i z ruchliwością sobie właściwą jał natychmiast myśleć, gdzie by znalazł tańszy nocleg i stajnię. I wnet strzelił mu dziwaczny projekt, aż się sam do siebie zaśmiał. - Co by to było, żebym się wprosił do pańskiego stryja! Tobym cudu dokazał! Dalibóg spróbuję, cóż, przecież mnie nie obije! Uradowany z konceptu, jał wołał na przewoźnika i sam mu pomagał ciągnąć za linę. Iydek to był dobrze znajomy. - A gdzie pan myśli nocować? "Hotele" pełne. - Czemuż to? - Jutro pogrzeb pana z Gałęzowa. Wszystko państwo się zjechało, nawet z dalekich stron. - A, umarł! Jeszcze niestary i tak nagle.

Ano, to zanoceję u starego marszałka. - Co? - I łyd przestał linę ciągnąć. - U stryja mego pana. Co się tak dziwisz? - To czemu pan lepiej nie zanoceję u mnie na promie albo w bóżnicy? Prędeję pana z koniem i wozem wpuszczą do bóżnicy jak tam. Pan sobie żartuje, a ja naprawdę poradzę. Mam szwagra, co deptak ma. On pana przyjmie. - Dziękuję ci, ale wolę u pana marszałka. - Uj, co pana żarty się trzymają? Czy ja wariat, że mi pan to wmawia? - Cóż ty znasz go tak dobrze? Bywasz tam? - Ja? Tam nawet nie chodzą łydówki, co starzyzną handlują, tam nawet koty po myszy nie chodzą, bo myszy z głodu pozdychały. - No, a ja pójdę! Mam kobiałkę z jedzeniem z domu; głodu się nie boję. - Nu, jak komu życie niemiłe, to ja na to nie doktór! - rzekł łyd widocznie obrażony, że z niego żartują. Wziął trojaka za przewóz i więcej z Szymonem nie mówił. Ten wyjechał z promu wprost na brudną, błotnistą ulicę, coraz bardziej ubawiony swoim projektem gościny u starego Harpagona, * sławnego na całą okolicę ze skapstwa, dziwactwa i nienawiści dla ludzi. Harpagon - główny bohater komedii satyrycznej "Skapiec" Moliera. Przed laty on był dziedzicem Sokołowa i marszałkiem. Bezżenny i ułomny, ustąpił wreszcie majątku młodszemu bratu, którego wyzyskał, skrzywdził i, co za tym idzie, znieawidził. Dla spłacenia go Sokołów obdłużono nad możność; zamieszkał w miasteczku, w wielkim dworze, który niegdyś przodkowie wzniesli na zjazdy wyborcze i urzędowania. Do dworu należały rozległe place, ogrody, domostwa gospodarcze, kuchnie, stajnie, cała dzielnica miejska. Tam się ulokował stary sknera i żył jak pajak, w ciemności i opuszczeniu. Całe legendy opowiadano o nim, chociaż go nikt nie widywał. Dworek marszałka znał każdy, więc i Szymon. Od ulicy była posesja oddzielona murem i furką zawsze zamkniętą. Ieby się tam dostał, trzeba było długo stukać, zwykle bez skutku. Mało kto wiedział, co było za murem. Ale od tyłów posesja graniczyła z opuszczonym cmentarzem żydowskim i tam parkan był wywalony. Wypatrzył to kiedyś Szymon i teraz postanowił skorzystać. Noc była ciemna i mglista, latarnie nie paliły się w okolicach domu pana marszałka; można było śmiało popełnić zamach na spokój nieboszczyków. Szymon furkę cmentarza otworzył i wjechał do środka. Konia za udeę prowadząc, wyminął grobowe kamienie i drzewa, które pokrywały cały plac, wynalazł wyłom w parkanie i znalazł się szczęśliwie w posiadłości marszałka na jakichś zagonach, które, sądząc z pozostałości letnich, musiały przeważnie produkować chwasty. Wkoło też, jak widma, wystąpiły ruiny różnych budynków, z których jedne były zagadką, ku czemu służyły, inne na wpoł leżały, jeszcze inne świeciły żebrami dachów. Szymon do najmniej rozwalonego konia wprowadził, dał mu na wózku obroku i derką go okrył; potem wziął z sobą kobiałkę z zapasami żywności i ruszył dalej, potykając się po rumowiskach. Nareszcie gdzieś w głębi, w długim murowanym budynku, błysnęło słabe światelko w jednym oknie. Tam się Szymon skierował. Mijając dom, dostrzegł jedno okno otwarte i jakiś szmer metalu wewnątrz usłyszał. - No, tu leże zimowe odyńca - mruknął. Trafił na ganek wsparty na dwóch murowanych słupach; znalazł drzwi wpoł otwarte, wszedł do zupełnej ciemności. Zapalił tedy zapałkę i obejrzał się. Był w długiej sklepionej sieni, skąd rozchodziło się troje drzwi. Wybrał jedno, najbliższe oświetlonego okna, i bez pukania pociągnął klamkę i wszedł. Znalazł się w izbie mrocznej, wielkiej, którą słabo rozjaśniał skąpy ogień na olbrzymim kominie. Pełno było gratów, połamanych sprzętów, śmiecia, festonów z pajęczyny. Przed kominem, na obszarpanym fotelu siedział człowiek łyśy, garbaty, w zajęczym futerku i kijem zgarniał węgle na garstkę kartofli. Pod ręką miał stolik, na którym leżał kawałek chleba, nóż srebrny i szczypta soli. Szymon widział jego profil drapieźnego ptaka, chude ręce do szponów podobne i sekundę czekał, aż się starzec na niego obejrzy. Ale ten dalej kijem węgle zgarniał i widocznie wziął go za kogoś innego, bo po chwili ostrym głosem spytał: - No i cóż, wodę przyniosłeś? - Przyniosę, bylebym dzbanek dostał - odparł Szymon spokojnie. Stary drgnął i obejrzał się. - Kto to? Czego? Gdzie Narcyz? Pójdzies precz! Porwał za kij i z żywością młodą ruszył na odparcie napaści. Szymon ani drgnął. Co prawda, dla jego olbrzymiej siły i wzrostu ten stary kaleka był śmiesznym przeciwnikiem. - Po co się pan alteruje? * Nie jestem zbój ani o nic nie proszę,

co kosztuje pieniądze. W dalekiej jestem drodze i zbłądziłem. Noc taka czarna. Posiedzę tu w kącie i pójdę. Przecie w tej izbie nie tak ciasno. alteroważ się - przejmoważ się, trapiż się. - Pójdiesz precz! Czy mam cię za drzwi wyrzuciż? Co to? Karczma! Jak śmiesz tu przychodziż! Narcyz, Narcyz! - zaczął wołaż stary w bezsilnej złości, tupiąc nogami i wygrażając kijem. - Nie pójdę, bo noc czarna, błoto bezdenne, jam zmoczony do cna i nic złego panu uczyniż nie chcę. Wstąpiłem przypadkiem, a jeśli pan każe, za nocleg zapłacę. - Wynoś się, bo jak mój lokaj wróci, każe policji zawołaż! - pienił się ze złości stary. - To może pański lokaj tam na końcu domu okno otworzył i kradnie. Słyszałem, przechodząc, szelest jakby żelaza czy miedzi. - Gdzie? Co słyszałeś? Pokaż gdzie? Stary kij rzucił, jał w kieszeniach futerka szukaż kluczy. Wobec tej nowej grozy zapomniał o wtargnięciu obcego. - Chce pan złodzieja chwytaż, to ja pomogę. Proszę wejśż do tych izb, a ja pójdę pod okno. Zrobimy obławę. - Idż, idż! A jeśli będzie napad na mnie, staniesz za świadka? Co? - Stanę, ale i złodziej, z moich rąk gdy wyjdzie dziesiątemu zakaze! Niechże pan zaczeka minutę, a ja pod oknem będę; wtedy proszę ptaszka na mnie napędzaż! Stary głową kiwnął i gdy Szymon cichaczem na podwórze się wyslizgnał, zapalił latarkę, wziął pęk kluczy i, jak uosobienie skapstwa, ruszył przez sień do swych składów. Klucz zgrzytnął, Szymon do ściany się przytulił. Złodziej nic nie słyszał, wciąż brząkał i suwał coś po podłodze. Ta cała połowa domostwa była pod sufit zawalona najróżnorodniejszym rupieciem. Były meble, niegdyś bardzo cenne, były dywany, brązy, obrazy, szkła, porcelany, stosy żelaza, mosiądzu, miedzi, ubrania, firanek, starych ksiąg, wszystkiego, co się wiekami zbiera po szlacheckich dostatnich domach, wszystko, co stary złupił z Sokołowa. W tych stosach była szpara do przejścia. Garbus stapał jak widmo, w filcowych butach, latarkę osłaniając połą futerka, a ściskając w ręce olbrzymi pęk kluczy. Myślał z rozkosza, jak nimi uczęstuje złodzieja po głowie, gdy na nieszczęście zawadził o stos brązowych kandelabrow, które osunęły się z przeraźliwym szczękiem. To spłoszyło złodzieja. Skoczył na okno i już się zsuwał na ziemię, gdy go Szymon uchwycił za nogi, obalił i, za pierś trzymając, jał wołaż. - Już go mam! Niech pan poświęci! Przez okno wychylił się garbus bladej z wściekłości, wygramolił się na futrynę i jak kot wpadł na leżącego, okładając go bez miłosierdzia pękiem kluczy. Szymon ledwie się uchylił, aby poczęstunku uniknaż. Złodziej leżał bez ruchu; dopiero pod razami zaczął jęczeż i byłby niechybnie ducha wyzionął, gdyby Szymon kluczy nie odebrał. - Bój się pan kryminału, jeśli nie Boga! - zawołał. - Człowiek ledwie dyszy, krew cieknie! Kto to? Zna go pan? - Jakże nie znam! To ten potwór, ten hultaj, którego żywie i odziewam, który powinien przez samą wdzięczność być moim psem! Zabiję go, zabiję! Zasapany, zziajany rzucił się na swoją ofiarę, by ją rękami szarpaż i drapaż, ale Szymon zasłonił go sobą. - Daj pan pokój! Ma dosyż! To stary, słaby człowiek. Zemdlał, wody by trzeba! - Idż, wrzuż go w kanał! Noc ciemna, nikt nie zobaczy i nikt się o niego nie upomni. A łotr, a hultaj, a wyrodek! Wygrzałem u serca tę żmiję! Szymon przyjrzał się winowajcy. Był to człowiek stary, wychudły, o twarzy żółtej i bez zarostu, bardzo brzydkiej i bardzo nieprzyjemnego wyrazu. Odzież miał całą z łat i łachmanów, nogi obute w stare kobiece trzewiki. Był tak wstrętny, że Szymon, instynktowną odrazą zdjęty, puścił go z rąk i o krok ustąpił, jakby płazu się dotknał. Ten widocznie słaboż udawał, bo ledwo się uczuł wolnym, zerwał się i jak zwierz uciekł, - Trzymaj, łapaj! - krzyczał garbus. - Po co? - zagadnał Szymon. - Do sądu go oddaż, koszt i żadna wygrana! Niech idzie na złamanie karku! Pozbył się pan złodzieja, to i dobrze. - Moje ubranie miał na sobie. Trzewiki mu niedawno dałem. To rozbój. Jesteś ciemięga! - Niechby pan obejrzał, co on ukradł - przerwał Szymon. - Prawda! I to okno trzeba umocoważ. Chodż no, pomóż! - I owszem, ale noclegu pan mi nie odmówi? - Dobrze! Tylko ja już po kolacji, więc się nie spodziewaj wikt. Poszli obejrzeż szkodę. Narcyz zaledwie był sobie zdobyocz przygotował, to jest wydobył ze stosu miedzi kilka rondli i kociołek. Czy poprzednio czego nie wyniósł, tego nawet stary sknera nie mógł twierdziż na pewno, bo żadna pamięż nie mogłaby objaż liczby tych gratów. Umocował Szymon okno i przeszli do owej izby mieszkalnej, gdzie

tymczasem ogień wygasł i było zimno. Stary chwilę medytował, co mniej kosztuje: świeca w latarni czy spróchniałe drzewo z budynków, którego zapas leżał u progu; wreszcie, westchnawszy, pozwolił Szymonowi ogień rozniecić. Rozjaśniły się tedy kąty, sknera wydobyl z popiołu kartofle, Szymon ze swej kobiałki - wędlinę i wódkę i, nic nie mówiąc, jedli naprzeciw siebie. Po chwili stary zerknął raz i drugi na kobiałkę, przełknął ślinę i wreszcie rzekł: - Wiejska szynka! Dawno nie jadłem. W mieście nie umieją przyrządzać. Dobrze się snadź miewasz, kiedy tak na żołądek nic nie żałujesz. - Pracuję ciężko, zarabiam uczciwie. Mogę jeść ze spokojnym sumieniem. Może pan pozwoli sobie służyć? - Kawałeczek, skosztować. W moim wieku niezdrowo dużo jeść wieczorem. Pomimo to odkroił sobie połowę zapasu i zaczął chciwie pożerać. Czuł się też w obowiązku uprzejmości. - A ty skąd jesteś? - zagadnął. - Z Sokołowa. Łąbedzki. - A tak! Z mojego majątku, który mi wydarto! Cóż tam? Ruina, słyszę? - Uchowaj Boże! Czasy ciężkie, interesów dużo, ale pan Seweryn majątku nie straci. - Chcę wierzyć, ale to trudno. Oni wszyscy muszą ginąć, bo nie umieją rachować. Długi są! A jakież procent płaci panicz? - Nie więcej ośmiu. - A ziemia może płacić trzy; ładny rachunek! Szaleństwo popełnia ten, kto obywatelowi pieniędzy pożycza. - Toteż dobrodziejem byłby ten, co by pożyczył na trzy. - Nie dobrodziejem, ale głupcem, i takich nie ma! - Wszystko niepewne na tym świecie. Ma ziemia swoje klęski, mają kapitały niebezpieczeństwa. Niedawno w Rudni zarżnięto żyda kapitalistę. Szymon rzucił to od niechcenia, udając, że nie widzi wzroku sknera, który, niespokojny, wpił się w jego twarz. Opamiętał się jednak i rzekł obojętnie: - Toteż najszczęśliwszy taki jak ja. żyję z dnia na dzień, fantując te graty, które mi zostały za cały majątek. - Jednakże i pan nie jest wolny od napaści! Ten człowiek nie wróci. Trzeba panu o poczciwego sługę się postarać. - Znajdzie się! - dodał wymijająco stary. Podczas tej rozmowy sprzątnął bardzo zgrabnie resztę szynki do szuflady w stole i znowu z zawiścią patrzył na zapasy Szymona. Ten jednak zaprosin nie powtórzył: więc stary na fotelu się skurczył, ręce schował w rękawy i zdawał się usypiać. Szymon zaspokoił głód, kobiałkę zamknął i wyniósł się w kąt pokoju, gdzie na starej kanapie obrał sobie na noc posłanie. Węgla popielaly w kominie i przy gasnących tych blaskach widział jeszcze sępi profil skapca, i widział go dalej we śnie, tylko już nie samego. Widział, jak we drzwiach stanął ohydny Narcyz do pajaka podobny, i czołgał się w ciemności ku bezbronnemu kalece. Potem usłyszał jakiś ruch, głucho uderzenie i ujrzał starca na ziemi w kałuży krwi. Krzyknął okropnie we śnie i obudził się. W izbie było zupełnie ciemno. Walcząc z widzeniem mordy, Szymon zapalił zapałkę. Na fotelu nie było starca, nie było też latarni i pęku kluczków. Widocznie wyszedł do swych skarbów. Łąbedzki, wystraszony tym wszystkim, zaczął złorzeczyć sam sobie za concept noclegu w tej okropnej jaskini i postanowił wynieść się bez pożegnania. Miał w tej chwili przecucie, a raczej przeświadczenie, że tu będzie mord, krew, że on w to zamieszany będzie fatalnie. Ogarnęła go panika. Zabrał swoje manatki, znalazł po omacku drzwi i wyszedł. Długą chwilę orientował się w ciemności, wreszcie ruszył w stronę rozwalonej stajni. Rozmiękła ziemia tłumila odgłos jego kroków; nagle stanął. W jednym ze zrujnowanych domostw zobaczył światło, ale tak nisko, że widocznie był tam jakiś otwór do piwnic. W pierwszej chwili chciał tylko zmykać, ale po namyśle położył się na ziemi i zajrzał w głąb przez szczelinę murowaną, obrosłą chwastami. Nikogo nie zobaczył, tylko posłyszał brzęk kluczków i domyślił się, że była to jedna z kryjówek marszałka. Tedy interesy Sokołowa natchnęły go inną myślą. Widocznie sknera, wystraszony wypadkiem i ucieczką Narcyza, skarby swoje przenosił w nową skrytkę, złodziejowi nie znaną. Gdy za powrotem nie zastanie Szymona w izbie, będzie go podejrzewał o szpiegostwo, skarb znowu w inne miejsce ukryje. Należało go nie trwożyć. Wrócił tedy cichaczem na swe posłanie i udawał sen, który go zupełnie opuścił. Doczekał się powrotu gospodarza i wtedy dopiero udał przebudzenie i podziw. Stary był na to przygotowany, bo niósł gliniany dzban z wodą i zaraz objaśnił swą wędrówkę. - Ten gałgan porzucił to u studni. Jutro by ktoś ukradł - i piż mi się chciało. No, no, lekki masz sen, jak na młodego. Ja bo prawie nie sypiam. Za dużo jadłem

z wieczora. - A mnie się śniła okropność, że Narcyz pana zamordował. Czemu pan drzwi nie rygluje? - A jakże, zasuwamy bezpieczne! Zresztą, goły rozboju się nie boi - odparł stary, ale ręce mu drżały, bo płomień latarni się chybotął. Zgasił ją i zapewne w fotelu do snu się ulokował, bo Szymon najmniejszego szmeru więcej nie usłyszał. Sam bezsennie przeleżał do rana. Myślał z goryczą o tych pieniądzach, których kult upadła i których brak demoralizuje najszlachetniejszych, których pogardy naucza najwyższy ideał, a bez których najszczytniejsze dzieła ducha i myśli obyż się nie mogą. I złorzeczył im, i pożądał ich na ratunek przyjaciela, i brzydził się tym starym bezdusznym, i pragnął go sobie zjednać, i wreszcie, w tej gmatwaninie myśli, sam sobie wydał się wstrętnym. Świt zaledwie rozjaśnił okno, gdy się zerwał. Marszałek drzemał, skulony na fotelu, ohydny w swej szpetocie i brudach. Szymon nie mógł na niego patrzeć, chciał się wymknąć niepostrzeżenie, gdy skrzeczący głos starego zatrzymał go. - Cóż? Zrobiłeś przeze mnie dobry interes! - Ja? A to w jaki sposób? - Ano, przenocowałeś darmo. Kosztowałoby cię to najmniej rubla w zajeździe. Dostałeś pieniądze na koszt, oszczędziłeś, to ci się chwali. Teraz mi za to urąbiesz drew i nastawisz samowar. Szymon, oburzony, chciał wybuchnąć, ale po sekundzie namysłu poprzestał na pogardliwym ruchu ramion. - A gdzież znajdę drwa? - spytał. - Ze starego parkanu, tylko źwieki wyjmuj i przynieś mi tutaj. Samowar znajdziesz w sionce. Herbaty nie pijam, tylko gorzkie ziółka, bardzo na żołądek skuteczne. Jeśli masz herbatę, możesz z mego samowaru skorzystać. Bez śniadania nie odchodź, bo chłodno. Szymona nareszcie śmiech ogarnął. Ta nagła uprzejmość stosowała się do zapasów w jego kobiałce. Gdy ją otworzył, stary już bez wezwania zaczął używać, stał się też rozmowniejszym. - Cóż cię sprowadza do miasteczka? - Sprawy sądowe ze szlachtą z Dubinek. - Aha, stara historia! Ja się nigdy nie prawowałem ani wierzyłem w loterię. Toteż pana rządy w Sokołowie nagromadziły tyle tych spraw. Nikt nie pilnował całości granic ani lasów. To pan wychował ten legion złodziejów i rabusiów! - Mój drogi, ja pilnowałem dochodu i miałem za zasadę brać z majątku, a nie dawać, bo to potwór, co oddawać nie zwykł. Teraz inne teorie. Wkłady, wkłady, kontrole, dozór! No, no, rezultat pokaże, czyj system był lepszy. - Gdybyśmy teraz postępowali według pana recepty, tobyśmy powinni chyba iść grabiż na gościńcu, bo po pana gospodarce w Sokołowie nie było już co brać. - To kłamstwo! Zostawiłem wam kopalnię złota, a żeście głupcy i utopiści, to nie moja wina. Zresztą, jeżeli tak źle, po cóż trzymacie taki majątek? - Nie sprzedaje się tego, co się kocha! - ostro odparł Szymon. - Otóż i wasza logika! Nie żądajcie też od miłości procentów. Niechże wam wystarczy ideał. Kochajcież złodziejów, rabusiów, podatki, nieurodzaje, klęski, boż to wszystko akcesoria kochanego Sokołowa. A ja wam powiadam, że póki będziecie kochali ziemię, póty nie potraficie z niej korzystać. - A pan nie kocha swych pieniędzy? - Kocham, gdy mi procentują! Nienawidziłbym, gdyby ode mnie potrzebowały nakładów! Zresztą, jakie tam te moje pieniądze! Parę tysięcy uciulanych ciężko na czarną godzinę. A ty co robisz ze swą pensją? Dużo masz? - Część wydaję, część wypożyczam. - Gdzie? Ja bym miał dla ciebie pewną lokatę. - Dziękuję panu, ale takiego procentu, jaki tam dostanę, nikt mi nie da. - Ileż? Ile? - E, pan się na takich rachunkach nie zna! - roześmiał się Szymon. Wstał i pożegnał starego, bo dzień się uczynił, a do sądu miał kęs drogi po błotnistych zaułkach. Chciał też przed wywołaniem spraw pomówić z Borysewiczem, prawnikiem sokołowskim. Marszałek, na dowód swych wielkich łask, dał mu olbrzymi klucz od furty w murze ulicznym, więc nie potrzebował przechodzić przez żydowski cmentarz; zostawił też w ruderze konia i wózek, i wy dostał się na ulicę. W chwili gdy furta zamykała się za nim, stanęła przed nią bryczka wpleciona łożą, zaprzężona w parę chudych koni. Spojrzał i kilka kroków postąpił, podając rękę do wysiadania kobiecie ubranej w wytarty paltocik, przemokłej i zziębłej. Uśmiechnęła się do niego życzliwie. - Pan wychodzi od mego wuja? Co się stało? - rzekła. - Ot, ciekawy bo byłem, więc się wkradłem fortelem. Pani zapewne z interesami... Może w czym wyręczyć lub usłużyć? - Dziękuję panu; ja tylko do wuja mam interes i wracam co rychlej.

Jeszcze kartofle nie wybrane. A u was w Sokołowie co słycaż? Gorzelnia prędko ruszy? – Za parę tygodni. Zresztą u nas, jak wszędzie, pospolita bieda i kłopoty! Mam prośbę do pani i jeśli wolno, wstąpię do Horodyszczka w powrocie. – Owszem. Pan Baha nawet był w strachu, czy pan na niego nie gniewny, że tak dawno nie był. Ja też się dziwiłam, że ani Sewera, ani pana nie widaż. Chciałabym wam sprzedaż kartofle. – Dobrze, bo potrzebujemy dokupiż. Podała mu na pożegnanie rękę i odszedł, raz jeszcze się za nią oglądając. Była dla niego ideałem kobiety dobrej, poważnej i myślącej. A wiedział, jak ciężki żywot miała, i miał dla jej pracy niewdzięcznej, a spełnianej tak spokojnie i ofiarnie, bezmierne, serdeczne współczucie. Podczas ich rozmowy parobek_woźnica wyładował z bryczki jakieś toboły i dzwonił z całych sił do furty. Spodziewał się ukazania Narcyza i aż odskoczył, gdy ujrzał przed sobą straszego marszałka z kijem w ręce. – A ty, ośle, jak śmiesz dzwonek mi urywać! – zaskrzeczał wściekły stary. Chłop się usunął za swoją panią. – A to ty! No chodźże, chodź – łagodniej na jej widok ozwał się garbus. Kobieta weszła, za nią parobek wniósł toboły, na ganku je złożył i na skinienie starego co rychlej na bryczkę się schronił. Marszałek furtę zamknął i wprowadził kobietę do swej jaskini. Pochyliła się do jego ręki, ale się usunął i wspiąwszy się na palce, w policzek ją pocałował. – No, no, jakże się masz? Przeziębłaś. Siądź przy kominie. Cóż, zdrowaś? – Dziękuję wujowi. Nie mam czasu ani możliwości na chorobę. Dzięki Bogu za zdrowie, bo inaczej to bym nie wydołała. Przywiozłam wujowi procent. – Nie mnie! Skądże! Meirowi! Wolenblumowi! Dobrze, dobrze! Był tu u mnie wczoraj i pytał się o kapitał. Nie mogłabyś go spłaciż? – Oj nie, wuju! – odparła zgnębionym głosem. – Doprawdy nie mogę! Tak ciężko! Siedziała u komina, dobyła z kieszeni stary pugilares, chciała dobyż pieniądze; ale na tę wzmiankę o kapitale ręce jej opadły i przerażone oczy, jakby na widok zmory, wlepiła w starego. Te oczy jej bardzo piękne były i twarz miała młodą i ładną; ale patrząc na nią nie myślało się ani o młodości, ani o piękności, taki te rysy miały wyraz powagi i skupienia, takie te oczy myślące były i smutne. – Ano, jak nie możesz, to go jeszcze ulagodź; może zechce więcej procentu za prolongatę – rzekł stary, patrząc na pugilares. – I tego nie mogę, wuju. Dwanaście płacę; nie mogę więcej. – Bajesz! Kto nie może spłaciż kapitału, musi płaciż procent, jakiego zażądają! Cóż to, myślisz, że taki Meir pyta, możesz czy nie? Wy, kobiety, macie wyobrażenia i frazesy z poezji i romansów. No, dawaj pieniądze! Kobieta opanowała się. On miał słuszość. Ofiara nie targuje się z oprawcą. Podała mu pieniądze; zobaczył, że zostało jeszcze w pugilaresie kilka rubli. Przerachował i schował zwitek do kieszeni. – Jeszcze mi daj dwa ruble na zmianę wekslu. – Może by ten sam został – prosiła. – Jak nie znasz prawa, to nie bredź. Kiedy ci mówię, to trzeba. A to utrapiona dziewczyna! Czy ty myślisz, że ja co z tego skorzystam, że cię od ruiny ratuję? Jeśli mnie masz uczyż i targoważ się, to umyłam ręce. – Ależ nie, wuju, przepraszam. Jeśli trzeba, to proszę. Szkoda mi tych dwóch rubli, bo chciałam w miasteczku załatwiż parę sprawunków. – Jak nie będziesz miała, to nie stracisz. Roześmiała się. – O, już co ja stracę na siebie, to chyba budżetu Horodyszczka nie obciążę. – No, no, to ci się chwali. Wydaważ grosz na to, co się zje, albo co się znosi, to grzech. Tacy nigdy do pieniędzy nie przyjdą. Pamiętajże o następnym terminie, siedemnastego grudnia. – Pamiętam, trzysta rubli – odparła zamyślona. – A nie chybisz? Bo ten Abram Fisz to awanturnik i grubijanin. – Zapłacę, wuju, byle mi kapitału nie wypowiedano, bo doprawdy, nie mogę sobie teraz daż rady. – Ano, moja droga, tego się zawsze spodziewaj. Powinnaś wynależź źródła dochodu. – Skądże, wuju? Horodyszczka ledwie wystarczą na procenty. Iyjemy jak nędzarze, nie bywamy nigdzie, nie trzymamy ni służby osobistej, ni koni cugowych. Robię, co mogę. – Aha, szkoda lasu. – Byłaby szkoda, gdyby się te pieniądze straciło na zbytki. Ale na kurację mamy i... za kilka lat jej życia nie żal pieniędzy. – Iyłaby, ile jej było przeznaczone. To wszystko romanse i brednie! Ona się zapracowała, zastępując safandulę męża, i tak musiało się skończyż tam, gdzie głową domu jest kobieta. – Dłaczegoż wuj nam urąga! Matka moja nie chybiła nigdy słowu, ani obowiązkom, i ja wujowi nigdy

zawodu nie uczyniłam. - Zobaczymy, jeszcze dużo lat i pracy przed tobą. Ja ci powiem, że będę o wiele spokojniejszy, jak ty wyjdiesz za męża. To najlepszy dla ciebie rachunek. Dziewczyna zachnęła się niecierpliwie. - Nikt mi w życiu nie pomagał i rachuję tylko na sobie. Mężczyźni się żenią dla posagu, ale kobiety dla posagu nie wychodzą za męża. Co prawda i amatorów na to by nie znalazły. Tyle lat sama się kołaczę na świecie, to i do końca się dokołaczę. Byłe ojciec miał spokój i moje słowo w interesie było święte. Gdy to mówiła, znikło przygnębienie z twarzy i smutek oczu pokrył blask zawziętości. Wstała i wyprostowała się hardo. Stary ukośnie, spod brwi się jej przypatrywał. - To bardzo chwalebne. Owszem, owszem, procenty płaż, ja ci ile mocy pomogę. Daję dowód, że mam do ciebie zaufanie, jeśli ci obiecał pośrednictwo z wierzycielami. Spytaj no, czybym to chciał uczynić dla tego fanfarona z Sokołowa albo dla szachraja Ilinicza. - Co do Seweryna, to wuj się uprzedza. On pracuje i nie traci, ale ma istotny zamęt i chaos na tych obszarach. Ieby wuj mu pomógł, tobym wujowi tak była wdzięczna, tak wdzięczna... Oczy jej strzeliły serdeczną prośbą i wyciągnęła doń obie dłonie. Stary się zachnął. - A mnie po kiego licha twoja wdzięczność potrzebna! Poszyję sobie z niej koszulę, czy kupię chleba? A tobie radzę myśleć o sobie. Masz dosyć kłopotów i roboty. Nie zajmuj się losem innych. Ten twój protegowany kuzynek pierwszy drwi z ciebie i obmawia cię po okolicy. - Nie wierzę temu, a choźby i tak było, to nie racja, abym ja podobnym płaciła. Wuj Sewera nie zna. On jest gwałtowny i hardy w swej biedzie, ale nie jest próżniak i fałszywy. Zła dola uczyniła go ostrym i zawziętym, ale mu nie popuściła szlachetnego gruntu. On jest bardzo uciśniony i doprawdy nie z własnej winy, więc mu warto pomóc i wesprzeć. Zresztą my wszyscy cierpimy i męczymy się z winy okoliczności, czy się godzi w takich warunkach między sobą byż w niezgodzie. - Tak, tak, wołaj na puszczy, ty głupia! Wierz w dobroż ludzką, apostołuj i czekaj, aż kogo nawrócisz! Doczekasz się głodnej śmierci! Gdy po śmierci matki byłaś w położeniu bez wyjścia, pomógł ci Sewer czy kto z tych szlachetnych? Przyszłaś tu, do lichwiarza, do Harpagona, do kaleki znienawidzonego przez wszystkich, do wyrzutka społeczeństwa, do potwora, i ten cię poratował. Pamiętasz? - Pamiętam, wuju, i wdzięczna jestem - rzekła dziewczyna, spoglądając na niego tak życzliwie, jak chyba nikt w życiu na niego nie patrzył. Stary odwrócił oczy jakby zawstydzony tym wzrokiem, zamamrotał coś do siebie i zapomniał, co miał dalej mówić. - To wszystko brednie! - wybuchnął po chwili. - Ja jestem potwór, to prawda, i szczycę się z tego. Nienawidzą mnie, i owszem! Pogardzają, to mnie cieszy! A pieniędzy moich nikt nie zobaczy, figa! A ten, co rachuje na spadek, jest głupi! To im powtórz! - Ależ wuju, Sewer tylko na siebie rachuje; on nie marzy nawet o wuja pieniądzach. - I niech nie marzy! Chciał jego ojciec Sokołowa; wydarli mi ziemię, oszacowali niesprawiedliwie - niechże się nasycą, niech mają, niech się przekonają jaka smaczna! Między nami kwita! Wiedziała, że go nie przejedna ani przekona, więc po chwili milczenia zmieniła temat. - Przywiozłam wujowi trochę legumin i wędlin. Może by Narcyz wypakował. - Nie ma Narcyza. Okradł mnie i wypędziłem! Wstąpił tu do mnie Łabędzki z Sokołowa i pomógł pojmaż łotra. Ten Łabędzki, co to za jeden? Gada jak z książki. - To jest człowiek bez skazy i zarzutu, który życie by za Sewera dał. Dawny jego kolega i wierna dusza. - Ty zawsze w poezję się bawisz. Musi mieć w tym swój interes. Ale porządnie wygląda. Podobał mi się. Uśmiechnęła się mimo woli. - Dziękuję ci za pamięć! Ubogi jestem, stary, samotny. Wspomóc mnie to dobry uczynek. Pamiętaj też, przyślij mi kiedy żywego drobiu. Muszę czasami dać prezent twoim wierzycielom. Wtedy łatwiej mówić o prolongacie! - Dobrze, wuju. Ojciec też mi polecił prosić, czy nie udzieliłby mu wuj starych dokumentów do przejrzenia. Zapewne ma wuj sporo tych szpargałów. - Mam i, jak dla ciebie, to darmo! Bo trzeba ci wiedzieć, że to się płaci, a jakże! Utrzymywanie archiwów kosztuje. Ja tylko dlatego trzymałem Narcyza. Dziewczyna nie zdobyła się na podziękowanie za tę łaskę. Dławiła ją przykrość, przymus, wstręt do tego człowieka i wyrzucała sobie to uczucie, chcąc gwałtem uważać go za dobrodzieja. Stary wziął swe drogocenne klucze i poprowadził ją do składu. Tam, w jakimś

kącie zwalone na kupę, spleśniałe, pogryzione przez myszy, leżały stosy starych fascykułów, * których utrzymanie miało tyle kosztować. fascykuł - zwój papierów, dokumentów; zeszyt. - Bierz! - rzekł wspaniałomyślnie. Zabrała, ile mogła unieść, i na chwilę rozjaśniła jej się twarz na myśl o przyjemności, jaką sprawi ojcu. Zaczęła też zaraz żegnać starego, który już ją aż do fury przeprowadził, przypominając, jak litanie, szereg terminów procentowych. Gdy się znalazła sama na ulicy, odetchnęła. Parobek upakował papiery i spytał dokąd jechać. Zamyśliła się, rachując w pamięci stan swej kasy. Wyjechała z zamiarem nabycia produktów do spiżarni i zrobienia kilku sprawunków dla siebie. - Wstąpimy na rynek po sól, Żwieki i sznury, i wracamy do domu - zadysponowała. Chude koniki, trzęsąca bryczka i jej zbiedzona postać - utonęło wszystko we mgle i błocie. Na rynku targowała się uparcie, kupiła jeszcze za pozostałe pieniądze trochę tytoniu dla ojca i ruszyła z powrotem. Głowę miała pełną rachunków, kłopotów, myśli ciężkich a poziomych o codziennych troskach i niedostatkach, że nawet nie uważała, iż przed promem stało kilka powozów i bryczek pełnych obywateli z sąsiedztwa. Gdy się z nimi zrównała, poznała Ilinicza, szwagra Sokolnickiego, elegancki zaprząg bogacza Zagrodzkiego i jeszcze kilku znajomych. Wszyscy jej się uklonili z daleka, dość chłodno, jak przystało kłaniać się pannie ubogiej, dziwaczce, z której drwili mężczyźni młodzi, a kobiety krytkowały za "oryginalne" zajęcie. Tylko Ilinicz z powozu wysiadł i zbliżył się. - Witam panią. Czy także z pogrzebu? - Nie. Ojciec niezdrów i myślę, że i bez nas było tam pełno, i nikt naszej nieobecności nie zauważył. - świetny był pogrzeb i wspaniała stypa. Co prawda, synowcowie (synowie brata) wzięli pół miliona. - Słyszałam, że chcą majątki sprzedać. - Podobno. Przynajmniej żaden nie chce się tu zakopać. - Ależ to zgroza! Tacy bogaci! - zawołała ze zwykłą bezwzględną szczerością. - Dlatego właśnie nie chcą zostać nędzarzami. Rzucił okiem na jej bryczkę pełną siana, na chude szkapy, na paltocik rudy ze starości. - Słyszała pani ostatnią plotkę? - spytał głos zniżając. - Plotkę, ja? Ten towar nie dochodzi do Horodyszczu. - Jeden ze spadkobierców, inżynier, zdmuchnie zapewne Nikę Zagrodzką sprzed nosa naszemu Sewerowi. - Ja nawet nie słyszałam, że Sewer o nią się stara! - odparła zdziwiona. - On się nie stara, bo cymbał! A ja przysięgnę, że gdyby tylko słowo rzekł, miałby miliony i śliczną w dodatku żonkę! Ale on co dzień bardziej tetryczeje i nigdy dobrej rady nie słucha. Jeśli chybi polowania w przyszłą niedzielę, to przepadł, bo Sokołowa bez bogatego ożenienia się utrzymał nie zdoła. Prom przybił do brzegu. Zrobił się ruch i wołania. Ilinicz się śpieszył. - Panno Barbaro! Jeśli kto, to on pani tylko posłucha. Proszę go namówić. A teraz całuję rączki, uszanowanie ojcu! Przejechali wszyscy, ona na szarym końcu. Iyd, rachując srebrniki bogaczów, jej się uklonił i gdy mu płacić chciała, głowa potrzęsnała. - Panienci pieniędzy ja nie wezmę! To niech idzie na ten rachunek, co jak ja się spalił, to żona i dzieci zimowały w Horodyszczu. Czy ja cham, żebym był niewdzięczny? Niech panienka zdrowa będzie! - Dziękuję, Gdali! - rzekła z uśmiechem, uradowana bardzo czymś tak rzadkim jak wdzięczność. Za promem powozy rozdzieliły się na wsze strony, tylko jeden toczył się drogą panny Barbary. - Coś ci się przytrafiło panu Zagrodzkiemu! Ot, stoją w błocie! - rzekł parobek z ukrytym tryumfem, że i bogacz ma wypadek jak każdy śmiertelnik. Powóz istotnie znieruchomiał na grobli obok zawrotu do Horodyszczu; koń jeden leżał, stangret i lokaj chodzili wkoło niego. Bryczka panny Barbary zrównała się z nimi. Nie знаła bogaczów od niedawna osiadłych w dobrach, które niespodzianie im spadły po bezdzietnym wuju; chciała ich minąć, ale wtem młoda panna, która wraz ze służbą oswobadzała konia z uprzęży, spojrzała na nią i zagadnęła żywo: - Przepraszam panią. Może dostanę szpilkę? - Szpilkę i owszem, ale może czym więcej mogę służyć. Dom mój bardzo blisko; może przysłaż ludzi? Koń, jak widzę, ma zapalenie. - Stokrotnie pani dziękuję - wmieszał się pan siedzący w powozie i widocznie zupełnie bezradny i znudzony wypadkiem. - Mówiłem córce: Nie braż koni tych na takie historie jak pogrzeby o mil sześć, na chłód i wiatr. Teraz dopiero awantura. Przepadnie szkapa cenna i osiedliśmy na mieliźnie. Ach, ta prowincja, co za utrapienie! Wysiadł z powozu i dopiero skończywszy biadanie, przedstawił

się: - Jestem Zagrodzki, a to moja córka. Niko, podziękujże pani. Ale panna Nika, zaabsorbowana koniem, wzięła machinalnie szpilkę i odeszła na miejsce wypadku. Stangret właśnie zabierał się do puszczenia krwi z szyi. - Pani zapewne z Horodyszczu - mówił dalej pan Zagrodzki, chcąc zagadać bezprzykładną niegrzeczność córki. - Słyszałem o pani tyle chwalebnych rzeczy, że prawie rad jestem wypadkowi, który mi dał sposobność poznamienia się. Dwór pani wygląda niesłychanie malowniczo i ma opinię zaklętego zamku. - Jest to stara rudera i pustka - uśmiechnęła się, nieskora do zaprosin i nowych znajomości. - Czy to prawda, że tam są prawdziwe duchy? - spytał Zagrodzki naiwnie i serio. - Tak, Horodyszcz posiada tę sławę - odparła wymijająco. - Stare domy mają zawsze legendy. Ięgnam pana, przyślę natychmiast ludzi do pomocy. Ukłoniła się i trąciła parobka, który gapił się ciekawie na operację. Ruszyli, ale wtem panna obejrzała się i zawołała: - Przepraszam, minutkę! Podeszła do bryczki, ocierając ręce batystową chusteczką, i teraz dopiero przyjrzała się pannie Barbarze i jej koniom. Była to dziewczyna wysoka i piękna, elegancko ubrana, w ruchach trochę szorstka, o spojrzeniu tak śmiałym, że aż prawie zuchwałym, z odrobiną lekceważenia i wielką pewnością siebie w wyrazie twarzy. Musiała być milionerka, żeby sobie na podobny szyk i wyraz pozwoliła. - Nika Zagrodzka, do usług pani. Operacja się udała, koń będzie zdrow, jeśli mu pani da u siebie parę dni odpocząć. - Z całą przyjemnością - odparła panna Barbara, ubawiona oryginalnym tonem i obejściem. Ona na swej prowincji nie знаła jeszcze takich zagranicznych typów z końca wieku. - Ale i nas pani musi przyjąć w gościnę, póki stangret nie sprowadzi z domu konia na zmianę. Ojciec mnie już obgadał, że to ja wybrałam te konie. Proszę temu nie wierzyć. Proponowałam, że go zawiozę sama wolantem, * mymi jukierami z groomem (ang. - stajennym). To jego pomysłu było to patriarchalne lando * z całym ceremoniałem. wolant - lekki odkryty powozik. lando - czteroosobowy powóz z opuszczoną na dwie strony budą, o dwóch jednakowych siedzeniach naprzeciwko siebie. - Ależ Niko, wolantem, żebyś powoziła sama, na pogrzeb! Tego jeszcze nikt nie widział. - Toby zobaczyli! I coś by się stało? Słońce by się nie zażmiło ani ziemia w posadach nie zadrzała! Wszelką nową rzecz ktoś pierwszy wprowadził. Cóż, przyjmie nas pani?... - Naturalnie. Myślę tylko, jak się zabierzemy - odparła panna Barbara ubawiona. - Bardzo prosto! Pani furman odda mi swój bat i lejce; zawiozę państwa. Taki był stanowczy ton, że parobek już na ziemię się zsunął i patrzył z zachwytem na zuchowatą pannę. Ona bardzo zręcznie zajęła jego miejsce i obejrzała się na ojca, który dużo trudniej gramolił się na bryczkę. - Niewygodnie! - rzekła panna Barbara. - Ale ojciec udaje - wtrąciła panna Nika. - Zeszłego lata używał przecie wózków góralskich w Zakopanem. A te wycieczki we Włoszech pamięta ojciec? - Pamiętam! Poznałem dzięki tobie wszelkie sporty. Uważajże, gdzie jedziesz. Drogi nie znasz. Czy to tu, łaskawa pani? - Dobry stangret ma intuicję - odparła Nika, skręcając z grobli na lewo. Panna Barbara milczała. Nika obejrzała się na nią, uśmiechnęła i rzekła: - Idę o zakład, że wiem, co pani myśli w tej chwili. Myśli pani: Czym ja ich nakarmię, tych gości nie w porę? Pewnie to wybredne i grymaśne, i za gościnę odpłacą obmową mojej kuchni i spiżarni! A co, zgadłam? śmiech jej odsłonił ładne zęby i starł z twarzy wyraz pogardy. Była bardzo ładna. - Niezupełnie zgadła pani, bo mego ubóstwa się nie wstydzę, a do obmowy zbyt przywykłam, żeby ją za coś szczególnego uważała. Dam państwu mój obiad i basta. Jestem przekonana, że w podróży trafiało się państwu gorzej. - Ma pani słuszność. Pamiętam parę lat temu wycieczkę zbiorową w Szwarzwaldzie, pieszo. Dwa tygodnie wędrowaliśmy, nocując i obiadując po oberżach lub chatach. To była uciecha! Tutaj nikt o tym pojęcia nie ma! - Ach, co za wspaniałe świerki! - wykrzyknął Zagrodzki. Wjechali w czarną aleję, na której końcu widać było starą bramę murowaną i sklepioną, dalej - szarą masę budowli. - Pyszny jest ten nie dający się naśladować koloryt staroświecczyni! - rzekła Nika, batem bramę wskazując. - Nie mam środków, by to odnowić! - wtrąciła panna Barbara. - Co! Odnowić! Pacykować wapnem takie mury, wstawiać cegły nowe w takie szczyrby! Ma pani tak inteligentną twarz, a mówi pani takie barbarzyństwa.

- A pani zapatruje się na to okiem turystki. Ruiny mają wdzięk dla tych, którzy w nich żyć nie potrzebują. Ja poza malowniczością widzę przede wszystkim dziurawe dachy i szpary murów, przez które wichur i mróz się wciska: Była to niegdyś ogromna fortuna i dwór do niej był zastosowany. Teraz, gdy folwarki odpadły, lasy w Gdańsku, dostatki poszły na różne opłaty, taki dwór utrzymywał to nad siły tej odrobiny ziemi, która przy nim została. My zajmujemy w domu kilka zaledwie pokojów, a reszta to tylko ciężar. - Więc kiedy stoi pustka, czemu pani tego nie zużytkuje? W tych stronach brak gliny. Ja sam cegłę kupuję po bajecznych cenach i sprowadzam z daleka. Takie mury to kapitał. Zagrodzki wprawnym okiem dorobkiewicza już je taksował. - Tak, tylko by to spieniężył, trzeba burzyź - rzekła z naciskiem panna Barbara, a nam tu burzyź nie wolno. Zagrodzki spojrział na nią zdziwiony twardym tonem i cofnął propozycję, którą już miał na ustach. Wjechali pod sklepienie bramy i stanęli na wielkim podwórzu, które otaczały trzy murowane budowle. Front zajmował pałac stary, dachówka kryty, ozdobiony dwiema wieżyczkami na końcach i olbrzymim podjazdem na słupach, wzniesionym wysoko i murowanym. Z obu stron wznosiły się oficyny, z których jedna miała drzwi zabite, druga widocznie służyła do użytku gospodarstwa. Gdy wjeżdżali z bramy, od ganku domu odchodziła para koni w bryczce. - O, my nie pierwsi goście! - zauważył Zagrodzki. - Co za sznytowa * para szkap! - dodała panna. sznyt - szyk, elegancja, wytworność. - To mego kuzyna z Sokołowa zaprzag. Kocha się w koniach i duże chowa stado. Te, zdaje mi się, są częścią szóstki, którą ma na sprzedaż. - To pierwsze rasowe, które tu spotykam! - rzekła Nika, oglądając się raz jeszcze za końmi. Sewer stał jeszcze na ganku, poznawszy zaprzag kuzynki, ale na widok obcych zniknął w głębi domu. Wysiedli i oni; chłopak w siermiędze nadbiegł od oficyny i odebrał konie. Weszli do ogromnej ciemnej sieni ubranej w łosie rogi wraz z czaszkami, pamiątki dawnych świetnych borów i łowów. Nika zaraz je pochwaliła. Zagrodzki rozglądał się wokoło, po niszach i framugach, i czarnych ponurych kątach. Czarne jakieś portrety pokrywały resztę ścian. Czysto tu było i pusto, ale wiała jakaś pleśń tradycji, rodowych tajemnic i smutku. Zdjęli okrycia, panna Barbara otworzyła ciężkie, nabijane mosiężnymi żwiekami drzwi i prowadziła ich przez pusty pokój bilardowy do wielkiej sali zajmującej prawie cały środek domu, z parapetowymi drzwiami na ogród. Ciemno i tu było, i dość chłodno, jak zwykle w salach, gdzie mieszkańcy nigdy w zwykłym trybie życia nie mieszkają. ściany wszystkie były malowane "al fresco"; przedstawiały bogów Olimpu i arkadyjskie winobrania i pląsy. Dziwnie te swawolne sceny odbijały od mebli starych i zniszczonych, od jesiennego nieba za oknem i od tej jedynej dziedziczki dawnej świetności, której oczy mówiły tylko o trosce bezustannej, a strój świadczył o ubóstwie. - Chłodno tu; zaraz każę napaliż na kominie i poproszę ojca - rzekła przepraszając, że ich na chwilę samych zostawi. Nika już była pochłonięta oglądaniem fresków. Zagrodzki stanął w zachwycie nad starym gobelinem. Basia wyszła. - Chciałabym mieć tę salę u siebie! - rzekła Nika. - Te freski są bez zarzutu. Co za przejrzyistość powietrza, jaka świeżość koloru! Patrz, ojczce, pod ten strumień wina, które ten młody Grek leje, chciałoby się puchar podstawić! - A ten gobelin wart tysiące. Patrz, co za perspektywa! A te drzewa! Przepyszne. Gdyby chcieli to sprzedaż, zaraz bym kupił. - Tylko niechże raz tatko ze swymi pieniędzmi nie wyjeżdża! Już mówiąc o tych murach na cegłę, spisał się tatko, żem aż mowę straciła ze zgrozy. íe też tatko nie może się oswoić z pojęciami tych ludzi! - Ależ to bankruty! - szepnął jej do ucha. - Bankruty, ale nie kramarze! Oni sprzedadzą plon ziemi, ale nie pamiątki. Oni może zgina, i prawdopodobnie to nastąpi, ale zgina w swych ruinach, nie tknąwszy dziedzictwa i zbiorów przodków. My dorobkiewicze, tego nie rozumiemy, ale powinniśmy o tym wiedzieć i nie zaczepiać ich stylem końca wieku. To są lunatycy idący w przepaść; szkoda mi ich, jak szkoda wszystkich niedościgłych ideałów lub przebrzmiałych haseł. - Ja teraz wierzę, że strachy tu chodzą! - rzekł Zagrodzki oglądając się. - I pomimo twego zachwytu dla tej sali, w takim domu za żadne skarby mieszkać bym nie chciał! Nika nic nie odpowiedziała. Stanęła u okna i patrzyła w ogród. Czarny był i ponury od

świerkowych szpalerów, które szły bardzo daleko i ponad którymi w głębi widać było jakiś dach z kopułą. - To zapewne grobowa ich kaplica! - rzekł Zagrodzki, stając obok córki i wzdrygając się od chłodu. - Słyszałem, że Oyrzanowski to odludek i uczonec, i że ta panna sama całą tę ruinę utrzymuje na barkach. Co za szaleństwo. - Dlaczego? - zaprzeczyła żywo Nika. - Ma stanowisko, cel w życiu, jest człowiekiem. Ja bym się z nią zaraz zamieniła na pozycję. - A tobie czegoś brakuje? - oburzył się Zagrodzki. - Właśnie to nieznośne, że mi nic nie brakuje. Jestem próżniaczą panną na wydaniu. Nie znam położenia bardziej upokarzającego i bardziej niewolniczego. - Niko, żeby twoja matka to słyszała... - Tobie dostała spazmów; wiem o tym, więc jej w swe poglądy i myśli nie wtajemniczam. Mam przesyt rozrywek, zbytków, wygod i beczynności. Jeśli już muszę swą karierę zakończyć małżeństwem, to pójdę za bankruta, gracza, rozrzutnika, żebym musiała pracować dla chleba i mieć życie piekielne. - Winszuję. Ja, com nędzę przeżył za młodu, zaręczam ci, że to łamie równie ducha, jak ciało, i tylko twoja szalona głowa mogła wymyślić podobne niedorzeczności. Nika znowu się zamyśliła, a Zagrodzki poszedł próbować ciepło pieca, gdy drzwi się rozwarły i, poprzedzony przez córkę, wszedł do sali sam gospodarz. Był to człek chudy, łysy, w okularach, trzymał się pochyło, ale miał bardzo myślącą i piękną twarz otoczona siwym zarostem, i ruchy człowieka, który w biedzie i samotności nie zapomniał tradycji wysokiego rodu i światowych obyczajów. Po formalności prezentacji rozpoczął zaraz rozmowę żywą i zajmującą, okazującą, że wiele czytał, badał, kształcił się, szedł za postępem i nowymi wiadomościami. Zagrodzki, który całe życie prawie spędził w Austrii, aż się zdziwił, jak ten spleśniały szlachcic znał tamtejsze stosunki, stronnictwa, położenie ekonomiczne. Nika podziwiała jego głos i wzięcie, ruchy jego rąk suchych i arystokratycznych, jego profil cienki i rasowy. Stanowił on doskonałą całość z tą salą tradycyjną, z tym domem, ogrodem - z całą staroświecczyzną świetnego rodu. Panna Barbara znowu wyszła i słycaż było, że za drzwiami krzątała się, zapewne przygotowując obiadową zastawę. Rozmawiała z kimś niewidzialnym i Nika niechcący podsłuchiwała rozmowę. - Ależ Sewer, od obiadu cię nie zwolnię ani pozwolę, byś dziwaczył na wzór stryja! Musisz wyjść i zapoznać się. - A ja ci mówię, że nie chcę. Za tydzień cały powiat będzie pleśń, żem się zapisał do konkurentów tej panny. Dostyż nadwrwiłem sam z tej klikki, bym się narażał na pozór nawet podobnej podłości. Nie chcę ich znać! Zresztą w tej kurcie i długich butach nie mogę się pokazać. Weź zadatek na kartofle, daj mi co przegryźć i wypuść mnie stąd z duszą. - Z duszą! Czy myślisz, że ją stracisz, gdy poznasz pannę Zagrodzką? - Właśnie mnie jaka panna może zajmować! Mało mam biedy i kłopotów? I gdzie ten przeklęty Szymon siedzi dotychczas? - Obiecał, że tu wstąpi, gdy sady pokończy. No, prędzej, idź do ojca, przebierz się trochę i przychodź, bo obiad podają! - Nie przyjdę - odparł stanowczo głos i kroki zmierzały do drzwi.

~~~~~  
~~~~~

III (c.d.) Panna Barbara zatrzymała go widocznie i zrobiło się w sali cicho na chwilę. Jakiego użyła argumentu, nie wiadomo, ale wreszcie ozwał się głos mężczyzny burkliwy, ale już uległy: - Ty mnie do grobu wpędzisz swą wolą! Wolałbym iść bydło paść niż panny bawić, i jeszcze takie zagraniczne, opchane złotem. Nika odeszła od drzwi bardzo ubawiona. W tej chwili chłopak w siermiędze wniósł pęk drew i rozpałił suty ogień na kominie, a za nim weszła panna Barbara, pozostawiając drzwi otwarte. - Pani musi być zapracowana - rzekła Nika. - Jest pani gospodarzem i gospodynią! - Prawie. Zdrowie ojca nie pozwala mu zajmować się zarządem, a o wyręczyeli trudno. Robię, co mogę! Mam jednak pomoc. Mieszka u nas w oficynie pan Baha, geometra, ten pracuje wiele i bardzo dla mnie dobry; w razach ważnych staje mi do obrony kuzyn z Sokołowa i jego "alter ego" (łac. - bliski przyjaciel, powiernik), Szymon Łabędzki. - Tego znam z moich wędrówek po lasach i błotach okolicznych. To jest człowiek zachodni, wykształcony, na podrzędnym stanowisku. Takich się tu nie spotyka i dlatego wszystko jest w dzikości i upadku. Wielkie posiadłości przy dozorcach ciemnych,

zdemoralizowanych i próżniakach - to ruina. - Ma pani zupełną rację, i Łabędzki cytuje mi to zawsze jako główny powód naszej biedy. - A jego przykład pewnie nikogo nie nawrócił. - Przeciwnie, jest ogólnie nienawidzony. - Miłe tu są stosunki i położenie! To życie tutejsze robi na mnie wrażenie losu człowieka w zimie i lesie opadniętego przez zgłodniałe wilki: pożarły już jego konia i już jego samego szarpia. Jaki hart trzeba mieć, by to znosić! - To nie hart, to obowiązek tylko - spokojnie odparła panna Barbara. Stały, rozmawiając, obok drzwi, poza które wciąż zerkiała Nika. Wreszcie ze zwykłą żywością rzekła: - Dom państwa to istne muzeum. Tam zapewne to sala jadalna. Co za ciekawe portrety! Można je obejrzeć? - Ależ i owszem! To całe szeregi antenatów (przodków). Weszły. Sala wyglądała na refektarz * klasztorny: długa, wąska, do pół ścian wykładana drzewem. Starożytny świecznik wisiał nad stołem, ścianę w głębi zajmowały szafy gdańskie, okna długie i wąskie mało dawały światła. Szeregi starych portretów zaciemniały ją do reszty. Wśród nich przede wszystkim zwracał uwagę jeden, okryty firanką z ciemnego sukna. refektarz - sala jadalna w klasztorze lub seminarium duchownym. - Co to jest! Czy w rodzie państwa był zdrajca jak wenecki Marino Faliero? - zagadnęła Nika. Panna Barbara sekundę zawała się z odpowiedzią. - Nie, to portret kobiety - odparła wymijająco, ale Nika nie dała za wygraną. Dlaczego ją zasłonięto? - Była to zła kobieta i portret jest bardzo przykry. Ojciec twierdzi, że oczy jej chodzą za człowiekiem i pozostają na zawsze w pamięci; więc zasłonięto malowidło. - O, pani mnie zbywa byle czym! Słusznie, za świeża znajomość na tajemnice rodzinne. Gdy się lepiej poznamy, opowie mi pani tę legendę. Basia nic nie odparła i rozmowa się przerwała, bo w tej chwili z bocznych drzwi wszedł Sokolnicki i sekundę się stropił, widząc je przed sobą. Basia zapoznała ich z sobą i Nika, zaciekawiona podsłuchaną rozmową, przyjrzała mu się uważniej. Był wysoki, barczysty, opalony jak każdy przeciętny obywatel, Głos i rysy mu zgrubiały, barki rozrosły się w zajęciu na dworze bez względu na pogodę i porę roku. Miał oczy bystre, prawie suchawale, a jednak w głębi smutne, jakby krył zazdrośnie tajemne bóle i utrapienia; na czole, które białością ostro się odcinało od reszty twarzy, miał już kilka głębokich bruzd z natężenia myśli i troski, profil orli, ostry i zawzięty, wybitny rys rodu, który miał także Oyrzanowski i, lubo łagodniejszy, panna Barbara. Taki sam profil mieli ci wszyscy rycerze i karmazyny * na portretach, nawet biskup rozparty na fotelu w swoich fioletach, nawet kilka prababek w sztywnych czepcach i z różańcem w ręku. karmazyn - w dawnej Polsce szlachcic ze starego rodu, któremu przysługiwało prawo noszenia karmazynowego żupana. - Pan Ilinicz wyglądał pana na pogrzebie - zaczęła rozmowę Nika. - On każdego po sobie sędzi - odparł Sokolnicki nieuważnie. - Dlaczego? - spytała panna, w oczach jej błysnęła przekora. - Bo bez niego nie obejdzie się żadna ceremonia w okolicy i żadne widowisko. życie przejeździ i umrze na bryczce. Pan Woyna nie był mi swat ni brat, a że magnat, tym bardziej nie miałem ochoty się fatygować. Będzie mu ziemia lekka i beże mnie. - A pan wie, że my z pogrzebu wracamy? - Przypuszczam. - Więc i nam ma pan za złe asystowanie tej ceremonii? - Ja obcych wcale nie sędzę ani krytykuję. Ale Ilinicz, niestety, jest moim szwagrem. Dzieci tam chore, gospodarstwo w nieładzie, więc niechby w domu siedział. - Ilinicz rzadzi się żydowskim przysłowiem, że szczęście i interes mieszka przy drodze - wtraciła panna Barbara. - Ładnie wyszedł na tej teorii! - mruknął Sewer. - Mój drogi, nie stoi gorzej od ciebie i od nas. - Tak, ale ani ty, ani ja nie zakładamy rodziny i nie mamy kupy dzieci, które potrzebują jeść, odziać się, a potem uczyć się lat kilkanaście, aby skończywszy nauki, nie mieć gdzie się podziać i co jeść! - Miły pesymista z pana! - ozwała się Nika. - Więc gdy tak źle jest, czemu gdzie indziej lepszej doli nie szukać? świat wielki. Sewer usta już do odpowiedzi otworzył, ale spojrzął na kuzynkę i tylko ramionami ruszył. Był jednak zanadto rozdrażniony i zniechęcony losem, więc po chwili mruknął: - U nas kobiety teraz stanowią zasady, więc giniemy dla mrzonek i obiecują nam za to dużo dobrych rzeczy, ale po śmierci. Basia oburzyła się. - PLeciesz androny, w które sam nie wierzysz! Jesteś tak samowolny i samodzielny

jak mało kto, i nikt cię zasad nie uczy. Masz je sam i spełniasz. Tylko nabrałeś teraz nowej manii - narzekania i protestów! To jak z postem, który zachowujesz, wyrzekając nań wniebogłosy. Sewer się roześmiał i pokonany wyszedł do salonu. Zagrodzki od dawna poznał go chciał jako najbliższego sąsiada, myśliwego i znawcę koni; więc się bardzo ze spotkania ucieszył i zaraz o polowaniu mówił zaczął: - Pan nam przecież swego towarzystwa nie odmówi w przyszły wtorek. Leśniczy zapowiada niedźwiedzia na pewno! - Niedźwiedzia - wątpię. Już by go chłopci spędzili. Sarn sporo jest u pana, bo i do mnie przechodzą. - Pan masz skarb, nadleśnego. - Mam skarb, bo przyjaciele. Łabędzki pracuje z zamięłowania. Lękam się o niego, bo zdjął z mojej głowy wszystkie nienawiści i pomsty. - Iebym ja takiego miał! - westchnął Zagrodzki. - Za wiele pan od losu wymaga. Cóż by nam zostało, biedakom, którzy kupiż wierności nie możemy? - O, ja też się nie łudzę, że za pieniądze takiego dostanę. Jak panom wiadomo, zupełnie niespodzianie spadł nam ten majątek. Nie znam się na roli, więc za nieumiejętność płacę. Czy uwierzy pan, że w tym roku dołożyłem do tego spadku dziesięć tysięcy gotówką? Ładny procent? Co? - Wierzę, bo my wszyscy mamy podobne rezultaty, tylko że to trwa od trzydziestu lat, kapitał wyczerpaliśmy i dokładamy... długi. - Ależ to okropne, to anormalne, to straszne! Na to przecież musi być rada! A zresztą, jeśli nie ma innej, to ja ustąpię z placu. - Sprzeda pan? - spytał Oyrzanowski. - Piętnaście tysięcy morgów! Hm, hm! - Pan rachuje, co to warte? - Nie, rachuję, ile nam przybędzie procentów po panu do płacenia. Zagrodzki się zdumiał. Spojrzał na nich, potem poczerwieniał i głowę spuścił. Wpadłem w ładną pułapkę! pomyślał. Zostaż - ruina, uciec - zdrada! Winszuję. Tymczasem Sokolnicki przerwał kłopotliwe milczenie. - Pan jeszcze teraz mógłby w dzierżawę oddać. - Dlaczego "jeszcze teraz"? Teraz młody człowiek poczerwieniał, jakby się wstydził przyznać do słabości. - Bo... ja nie wiem... ale tu wszyscy, gdy dłużej pobędą i pocierpią, to potem już tej ziemi daż nie chcą, nawet na kilka lat! Jakaś mania, choroba, zakłęcie! At, szaleństwo. I ręką machnął. Nika w drzewiach słuchała rozmowy. - To nie szaleństwo, to naturalne! - wtrąciła. - Kochają matki swe dzieci dlatego, i kochają żołnierze swe blizny. Trud i cierpienie najpospolitsze podnosi i uszlachetnia. Gdyby tej równowagi nie było, świat by się składał z małp i tygrysów. Tu Oyrzanowski powstał żywo i, pochylony, dłoń do niej wyciągnął, a oczy jego zabłysły: - Za to zdanie dziękuję pani... Nika może pierwszy raz w życiu straciła rezon. Co prawda, ani się opamiętała, co jej przyniosło na usta owo zdanie. Była w tych ścianach jakaś zaraźliwa atmosfera idealizmu. Po chwili jednak odzyskała swadę, ujrawszy na twarzy Sokolnickiego grymas szyderstwa. - Pan mi niesłusznie dziękuje - rzekła do gospodarza - bo o ile szanuję cel państwa, o tyle ganię środki i sposoby waszej pracy. W duszy wolno zachoważ tradycję, w czynie - precz z nią! Wychowałam się na Zachodzie, tam widziałam pracę, tu jest tylko rutyna i najfałszywsza zapobiegliwość w systemie sprzed trzystu lat. Tu nikt nie pracuje! Zagrodzki poruszył się niespokojnie. Córkę ubóstwiał, ale całe życie był w strachu, że ona swą śmiałością narazi się ludziom i okryje śmiesznością. - Ależ Niko! - zaprotestował. - Mówisz jak ślepy o kolorach. Oburzyła się. - Otóż to! Ojciec wmówił w siebie, że jest ślepa i że mnie tylko sport zajmuje. A ja mam oczy dobrze otwarte i bardzo ciekawa. Niech mi ojciec odda w zarząd Głębokie na lat sześć, a ręczę, że z kapitału nic nie ruszę. - Tylko pani dopóczy - wtrącił szyderczo Sokolnicki. - Wcale nie! - A tobym się zgodził do pani na służbę bez wynagrodzenia, byle poznaż takie cudo! - O! na służbę brałabym tylko ludzi zawodu, a nie dyletantów, i zdrowych, a nie pesymistów! Zagrodzki był pewien, że Nika wyzwie odpowiedź ostrą, ale Sokolnicki lubo się zasępił na krytykę, powstrzymał cięte słowo i poprzestał na lekceważącym wzruszeniu ramion. Ruch ten właśnie rozdrażnił Nikę. Pałaca kwestia miejscowego bytu i stosunków, dotychczas dość dla niej obojętna, wystąpiła na pierwszy plan. Rwała się do dysputy i może by wyprowadziła swego przeciwnika z cierpliwości, ale w tej chwili panna Barbara wezwała ich na obiad. Gdy przyszli do jadalni, zastali tam już Szymona Łabędzkiego i geometrę Bahę, rozmawiających żywo, ale półgłosem. Oyrzanowski

przedstawił ich, a Sokolnicki żywo zapytał: - Cóż? Udało ci się? Szymon się skrzywił. - W połowie. Ze szlachtą wygraliśmy, ale chłopci przywieźli tuzin pijanych świadków i sprawa o kradzież drzewa przepadła! Dowiedli, że granicy nie znali i myśleli, że biorą sągi z lasów pana Zagrodzkiego do gorzelni. - Co? Jak? - wmieszał się Zagrodzki ciekawie. Nastawiła też uszu Nika. - To, proszę pana, sprawa, jakich się u nas rocznie rozgrywa kilkadziesiąt. Latem złapałem na gorącym uczynku czterech chłopów z sągami drzew na furach, o wiorst trzy od pańskiej granicy. Dziś mi dowiedli, że byli najęci przez administrację Głębokiego do zwózki drzew. - To fałsz! - Wiem o tym, ale zanim im tego fałszu dowiodę, minie lat parę i kosztowań to będzie pięć razy wartość sągów. Sokolnicki zwrócił się do Niki i rzekł szyderczo: - Rubrykę na podobne intratne rozchody proszę zatrzymań w swych rachunkach... idealnego gospodarstwa. Szymon tymczasem dodał: - I pan Ilinicz przegrał sprawę z ekonomem. - Nie może być! - zawołała panna Barbara. - A to co za sprawa? - spytała Nika. - A to także bardzo pospolita. Pan Ilinicz miał ekonomę próżniaka, pijaka i złodzieja. Po kilku miesiącach, widząc, że do roku może mu zniszczyć majątek, przyjął drugiego, bynajmniej tamtemu nie wymawiając miejsca. Nie podobało się to jegomości i zamiast pracować i spełniać obowiązki, zaskarżył pana Ilinicza do sądu. Sprawa się wlokła; ten wciąż siedział w majątku, buntował służbę, niszczył mieszkanie, rąbał na drwa płoty, robił sceny pani Iliniczowej i nareszcie teraz wygrał swą pretensję: trzysta rubli. Tyle pociechy, że mu zarazem kazano z majątku się wynieść. - To zgroza! I to mnie także może spotkań! - zawołał Zagrodzki. - Naturalnie. Prawo jest jedno dla wszystkich. - "Pereat mundus, fiat iustitia!" * - rzekł milczący dotąd pan Baha spokojnie, jako rzecz słuszną i logiczną. Pereat mundus... (łac.) - niech zginie świat, byleby sprawiedliwości stało się zadość (św. Augustyn lub Ferdynand I, cesarz niemiecki). Chwilę milczeli wszyscy. Wreszcie ozwała się panna Barbara: - Tak, gdy zniknie świat, nastanie sprawiedliwość. Trochę cierpliwości, a doczekamy się tego wszyscy. A Oyrzanowski dodał: - Ja zaś, przewertowawszy dużo starych dokumentów, przekonałem się, że tak się zawsze działo. Może nawet tamto... boleśniesz. - I pani miewa podobne sprawy? - spytała Nika panny Barbary. - Szczęściem nie! Majątek nasz jest niewielki, las wycięty, żadnych sporów granicznych ani służebności; zresztą ojciec woli nawet stratę niż pozwy, więc patrzymy przez szpary na chłopskie figle. Sokołów jest nieszczęśliwy w rozgraniczeniu i sąsiedztwie. Tam bez wojny żyć nie sposób. Sewer ma piekielną dolę i pracę! Wtem Szymon głowę podniósł i rzekł: - W miasteczku o niczym innym nie mówią, tylko o księciu Adakale. - Cóż to za jeden? - spytał Sokolnicki. - To magnat, który targuje dobra od spadkobierców marszałka. Bawi tu, nie on sam, ale jego plenipotent (pełnomocnik), Niemiec, i zbiera informacje. íydzie_factorzy krążą wokoło niego jak kruki za sępem. Nie wiem dlaczego, jeden z nich pytał mnie o szczegóły co do Miernicy pana Ilinicza. Sewer i Basia spojrzeli niespokojnie na mówiącego, a Baha flegmatycznie rzekł: - Dlatego, że pan Ilinicz Miernicę sprzeda. - Jak pan może mówić coś podobnego! - obruszyła się Basia. - Zobaczmy - mruknął stary lakonicznie. - Mam nadzieję, że nie zobaczymy! - rzekł Sewer. - Może by on po temu miał ochotę, ale pan zapomina, że tam jest jego matka i żona. - íywioł konserwatywny, acz liczebnie większy, nie powstrzyma rewolucji - odparł Baha. - A zresztą nie będę mu się dziwił - ruszył ramionami Sewer. - To dowodzi, że rachuje. Panna Barbara zmarszczyła brwi i dała hasło wstawania od stołu. Przeszli wszyscy do sali, tylko Szymon z Bahą pozostali w jadalni. Po chwili weszła tam panna Barbara i Szymon szepnął jej żywo: - Niech pani namówi pana Sewera, żeby tym państwu ofiarował swe koni. - Czyż pan go nie znasz? JUż się przemówili z panną i siedzi zły i nadęty. - To nic. Pani go namówi. Toż dla nas los, taki wypadek! Zagrodzki szuka konie, bo jego mieszczychy za delikatne na nasze drogi. Kupi te niezawodnie! Niech go pani namówi. - Dziwne jest to ogólne przekonanie o moim wpływie na niego. Już druga osoba to mi dzisiaj wmawia. Ano, spóbuję, ale w zamian pana poproszę o przysługę. - Pani wie, że to mi robi tylko przyjemność. - Obejrzy pan owce. Pan Baha twierdzi, że wszystkie są chore

i że je trzeba zbyć. Lato było takie mokre! Może to prawda. - Pan Baha wszystko widzi czarno - odparł pocieszająco. - Może się obejdzie wysortowaniem tylko. - Widzę czarno, bo długo patrzę! - rzekł geometra. - Zresztą i owszem, obejrzymy jutro we dwóch. Panna Barbara wyszła do gości; oni się udali do owczarni, aby skorzystać z reszty krótkiego dnia. Tymczasem w salonie Zagrodzki zaczął się troskaż o powrót, a panna Nika wybrała się odwiedzić chorego konia. Starsi zostali na gawędzie u komina; oni we troje poszli do stajen. Nika po raz pierwszy widziała ubogie folwarczne podwórze, drobne koniki, niskie słomiane strzechy. Mozół ciężki a niewdzięczny widniał na każdym kroku, ale zarazem wielkie staranie i dozór pański. Nieliczna służba patrzyła w oczy Basi z życzliwością, spełniała chętnie rozkazy, a wszystko to miało twarze uprzejme i wesołe, i to podwórze tchnęło ładem i porządkiem. W stajni kilkoro źrebiąt wysuwało do Basi łby pieszczotliwie, a konie na jej widok zaczęły się oglądać i rzeź natarczywie. Znały snadź dobrze jej rękę sypiącą ziarno. - U pani wszystko bardzo swojskie - zauważyła Nika. - I to jest dowód wyższości mniejszych posiadłości nad wielkimi. Właściciel łatwiej dobierze sobie pomoc i służbę, i lepiej zna swój warsztat. - I prędkiej zbankrutuje - mruknął Sewer. - Sewer! - zawałała Basia. - Ja zaczynam się lękać, że ty bankrutujesz umysłowo! Zamiast krakaż nieszczęścia, obejrzyj tego konia jako znawca. - Jużem go widział. Będzie zdrów za dni parę. To ochwat. * Elegancja z bruku, nie przywykła do naszych dróg i niewygód! ochwat - zapalenie części mięsnych końskiego kopyta spowodowane przemęczeniem. - To moje zdanie, i dlatego ojciec chce kupić inne, a te zatrzymaż w stadzie. Pańskie są podobno na sprzedaż? - Mam szóstkę - rzekł bez zapału. - Jeśli wszystkie takie jak ta para, to będzie pan miał w nas nabywców. Jaka cena? - Dają mi za nie tysiąc sto rubli. - To tanio! Młody człowiek się roześmiał. - Czy pani ma zamiar w ten sposób i na swym gospodarstwie kupoważ konie? Przecież ich pani nie zna. - Te dwie klacze, co tu widzę, warte pięćset. - Ja mu to także powtarzam! - wtrąciła Basia. - Cała szóstka jest zdrowa i dobrana doskonale. Lepszych tu w okolicy nie ma i pani będzie z nabytku rada. Zresztą dziś można je wypróboważ. Konie państwa wrócą luzem do domu, a tymi państwo pojadą. Do Głębokiego pięć mil; niech pokażą, co umieją. - Widzi pani przerażoną twarz pana Sokolnickiego? - roześmiała się Nika. - Ręczę pani, że on jest o wiele lepszy niż jego mina. Będzie rad wyświadczyż sąsiedzką grzeczność nawet bez interesu sprzedaży szóstki. - Czy tak? - zagadnęła go Nika. - Mniejsza o grzeczność, to jest fałszowana cnota, ale Basia ma rację, że chyba nic innego nie pozostanie do zrobienia. Stangret z koniem wróci ledwie w nocy, a jestem pewien, że ojciec pani nie zechce nocoważ ze strachami. Więc niech państwu służy moje konie. - Czuż rozpacz w tej ofierze i nawet wiem dlaczego. No, ale pomimo to usługę przyjmie, chociaż oryginalnie zaofiarowana. Strachów ja przynajmniej się nie boję. Mam nadzieję je poznaż, bo dzisiejszy wypadek będzie wstępem do dobrej z panną Barbarą znajomości. Podobała mi się pani jak mało kto! I wyciągnęła do Basi rękę ze szczerem, dobrym uśmiechem. Panna Barbara podała swą dłoń w milczeniu. Nie uraziło to Niki. - Was trzeba zdobyż długą pracą, nie szturmem - rzekła. - Ale właśnie podoba mi się wasza ostrożność i to charakterystyczne milczenie. - Bardzo bym rada nie sprawiż zawodu, proszę jednak pamiętaż, że nie tylko mędrzec milczy, ale i prostak. Sokolnicki, widząc Szymona przy owczarni, poszedł tam; one obie wracały powoli ku domowi. - Praca to ciężka i niewdzięczna - rzekła Nika, wskazując folwark i szare pola w oddali. - Czy pani to się nie przykrzy i zniechęca? - Matki za to swe dzieci kochają, a żołnierze swe bliźni - powtórzyła Basia jej słowa z uśmiechem. - To już nie wiara, ale fantazja - szepnęła Nika. - Zagrzebaż się w tej pustce, to okropne. Jeśli pani zaręczy, że się nigdy nie nudzi, to co za szalony ma pani zasób żywotności w sobie! - Może bym się nudziła, gdyby się czas znalazł, ale przy mym zajęciu jest czas na rzeczy najgorsze; na zgryzotę, na bunt, na smutek, na przeświadczenie o krzywdzie, na zawody i nawet rozpacz, ale na nudę mnie nie staż. Robota jest nieprzebrana, często zalega nawet, a chwile wypoczynku tak rzadkie, że są rozkoszą! - I tak myśli pani życie przebyż? - Tak, "usque od

finem"! (łac. - aż do końca) - To chyba życzyż pani prędkiej śmierci. - łyczyż mi sił, aż do końca. - Ależ przecież spodziewa się pani ulgi, odpoczynku, zebrania ze swej pracy owoców? Basia uśmiechnęła się tylko smutno. Rozmawiając minęły dom i znalazły się w ogrodzie, w świerkowej ulicy wiodącej do kaplicy. Nikę coraz bardziej ogarniał smutek i przygnębienie od tych drzew czarnych, ołowianego nieba, ziemi bezbarwnej i twarzy panny Barbary, która, zda się, do wtóru jesieni mówiła o rezygnacji i spokoju przedśmiertnym. Stały przed kaplicą. Stara była, pleśnią pokryta, w wieżycy wśród umilkłych od dawna dzwonów gnieździły się gołębie. Był napis na froncie z pordzewiałych żelaznych liter i data: ostatni werset litanii loretańskiej i rok 1840. - Nabożeństwo się odprawia? - spytała Nika. - O nie! W podziemiach są nasze groby, a w samej kaplicy trzymamy zboże. Dlatego to klucz jest u mnie. Sięgnęła do kieszeni swego gospodarskiego futerka, a widząc żywe zajęcie Niki, otworzyła drzwi. Weszły do środka. Kaplica wyglądała bardzo czysto pomimo tylu lat nieużycia. Miała jeden ołtarz z obrazem Matki Boskiej i kilka starych nalowideł na ścianach. Pośrodku, na kamiennej posadzce, szarzała warstwa żyta, a o krok dalej ku ołtarzowi wejście do grobów było otwarte. Panna Barbara przyklękła na chwilę przed ołtarzem, a potem zeszła do lochów podając dłoń Nice. Podziemie to było sklepione, wysokie i tak jasne, że pomimo szarego dnia widać było wyraźne szeregi trumien stojące rzędem pod ścianami. Były wielkie i zupełnie małe, ozdobne sarkofagi i proste dębowe trumny, i panował tu zupełny spokój. Panna Barbara uklękła przy najbliższej, całej okrytej wieńcami nieśmiertelników, i pocałowała zimny metal. - Tu matkę położyliśmy - szepnęła. Potem spojrzawszy po wszystkich i powstawszy poszła naprzód, aż w samą głąb. - Tu leży Weronika Oyrzanowska. Minęła panna Barbara kilka trumien i znowu wskazała jedną. - A tu leży Seweryn Oyrzanowski, pułkownik pod Czarnieckim. Pół fortuny wydał na wojnę ze Szwedami, a resztę w czasie jego nieobecności rozgrabili sąsiedzi. Wrócił bez nogi, bliznami pokryty, do pustki i ruiny. Umarł w nędzy, zadreńczony procesami. Wnuk jego zaledwie odzyskał resztki funduszu. On się niczego lepszego nie doczekał. W kącie, odsunięta od innych i czarnym suknem pokryta, stała trumna, która nie wiadomo dlaczego zaciekawiała Nikę. - A tu kto spoczywa? - zapytała. - Starościna Oyrzanowska. Zmarła w końcu zeszłego wieku - odparła z przykrością panna Barbara. - A o tej nie ma legendy? - Jest, ale bardzo smutna. To ta właśnie, której portret zasłonięty w jadalni. To była zła kobieta i dlatego, że zła - nieszczęśliwa. łycie jej zeszło na występkach. Zły cel osiągnęła i z pracy swej miała owoce, ta jedna. Tamci pomarli nie doczekawszy się nagrody; ta doczekała się kary. - Więc to ta, co, jak w okolicy twierdzą, straszy w Horodyszczu? - spytała z cicha panna Zagrodzka. - Tak! Złą musiała być, gdy pozostała w tak złej pamięci. - I pani może ją widziała? Naprawdę? - Nie wiem! To są rzeczy tak dziwne i bywają chwile w życiu tak rozstrajające nerwy, że pod wpływem nerwów, zmęczenia, nasłuchania się legend umysł wychodzi z równowagi. Taki stary dom, jak nasz, powoli oplątuje baśń, podanie staje się żywym, my sami wcielamy się w dzieje i wierzymy w rzeczy nadprzyrodzone. - Ja bym tak pragnęła ją zobaczyć - szepnęła Nika, pomimo tej chęci zmierzając do wyjścia. Nagle drgnęła i skamieniała na miejscu. Po kaplicy ktoś chodził. Basia uśmiechnęła się. - To zapewne ktoś nas szuka! - rzekła i wyszła śmiało z podziemia. Istotnie, by to Sokolnicki. - Pan Zagrodzki niepokoi się o panią i wysłał mnie na poszukiwania - rzekł. Poszli znowu we troje ku domowi i Nika spytała: - A pan widział kiedy starościnę? - Brednie! - odparł. - Kto by w to wierzył! Po tych starych murach jest mnóstwo szczurów i stare posadzki często pękają od wilgoci. Wuj nabija głowę Basi jakimiś historiami z odwiecznych dokumentów i potem jej się coś pokazuje. - A skądże ogólna wiara w to u okolicznego ludu? - A to pan Baha za młodu był figlarz i, żeby ustrzec owoce w sadzie, okrywał się prześcieradłem i udawał starościnę. To on utworzył legendę dla zupełnie prozaicznych celów i z dobrym skutkiem, bo nie było wypadku, by kto w Horodyszczu pokusił się o jedno jabłko. Basia wcale stróżów nie trzyma, pan Baha zaś tryumfuje w duchu, a głośno coraz straszniejsze rzeczy opowiada. - Kiedy

tak, będziesz dziś nocował w pokoju z alkową, od którego się zawsze wymawiasz. - Bo się lękam o całość mych butów od szczurów. - No, no, ubezpieczę je od szczurów, ale ty, braciszku, tam się prześpisz. - I owszem. - A jeśli się panu co pokaże, to mi pan opowie na polowaniu, w przyszły wtorek. - Pokaże mi się może sowa, których tu także nie brak. Weszli do domu, gdzie Zagrodzki zaczął dziękować Sokolnicikemu za pożyczenie koni i zapraszał go tak usilnie na polowanie, że ten wreszcie, lubo bez zapału, obiecał się stawić. Nareszcie podeszły konie i niespodziewani goście zaczęli się żegnać. Nika oznajmiła ojcu, że ponieważ myśli nabyć konie, więc sama nimi powozić będzie, by poznać, czy zwrotne i miękkie w prowadzeniu, i z widoczną radością zajęła miejsce furmana. Na ganku odbyło się ostateczne pożegnanie, podziękowania, uściski dłoni, bryczka Sokolnickiego ruszyła, przeprowadzana przez szcękające kundysy. Gdy znikła za bramą, zza węgła wyjrzał Baha z Szymonem i połączyli się z resztą towarzystwa. - śliczna panna! - zawołał Łabędzki udając, że nie widzi gniewnej miny Sokolnickiego. - A ojciec wykształcony i dobry człowiek, choć tak nam obcy, tak obcy! - dodał Oyrzanowski. - Nowożytni ludzie - wtrącił Baha. - Elegancka tandeta! - wybuchnął Sokolnicki. - On dorobkiewicz, ona emancypantka. * emancypantka - zwolenniczka zrównania kobiet z mężczyznami w prawach społecznych i politycznych. - Ani jedno, ani drugie nie hańbi i nie poniża - rzekła spokojnie Basia. - On grosza się dorobił ciężko i przyznaje się do tego; ona, młoda, pieszczona, bawi się i używa. Tandety nie czuź w nich i nie godzi się ludzi sądzić wedle własnego złego humoru. Mnie się oboje bardzo podobali! - Winszuję. Gdyby nie byli magnatami, nie zwróciłybyś na nich uwagi. - Ja! Doprawdy, czy cię kto zamienił, Sewerze, bo cię nie poznaję! - Zdżiczał biedak w pustce i kłopotach! - rzekł serdecznie Oyrzanowski, klepiąc go po ramieniu. - Ot, chłopcze, nie parszaj, może ci ta dziewczyna zapisana za żonę w wyrokach Bożych. - A niedoczekanie! - oburzył się młody człowiek. - Mam się zaprzedać dla pieniędzy, to wolę diabłu niż kobiecie. - Diabła podobno tak obrał Alter z Jeziora, że sam się zadłużył, żeby wyżyć! Nikomu teraz nie daje złamanego szeląga! - rzekł Baha. - A nam szczególnie nie wolno mu pożyczają na duszę! - wtrącił Szymon. - Dlaczego? - spytała panna Barbara. - Bo taki rozkaz z nieba! - Ładna służba, która chyba nas nauczy bluźnierstwa i doprowadzi do piekła! - mruknął Sewer. - Jeśli kto jest słaby lub tchórz, to nie wina służby - rzekła Basia marszcząc brwi. - Zresztą tobie się nie godzi tak sarkać i buntować się. Są dole i losy stokroć od twoich cięższe, a jednak je ludzie znoszą i milczą, jeśli nie przez wiarę, to chociażby przez ambicję. - Ciekawym, gdzie ty widzisz te szczyty niedoli? - Gdzie? U Iliniczów chociażby, gdzie twoja rodzona siostra znosi bez sarkania ciężkie interesy, długi, choroby dzieci, niedołęstwo teściowej, lekkomyślność męża. Co ty masz w porównaniu z tym? Trochę procesów, długów, deficyt coroczny! To każdy ma i znosi! Ale jesteś młody, silny, niezależny, świat stoi przed tobą otworem. - Jaki świat? Idealny, w którym lubicie tkwić, ty i Szymon, no i wuj, naturalnie, żeby się oszołomić i zapomnieć o rzeczywistości! Ja nie umiem siebie okłamywać. świat realny jest dla mnie zamknięty; jestem gorszym więźniem w Sokołowie niż aresztant w turmie. Oto jest fakt i prawda, a wasze gadania - mrzonki i poezje. Dlatego nawet dysputować nie będę! Szymonie, jedziemy? - Jeśli pan nie ma nic przeciw temu, ja tu zabawię dzień jutrzejszy. Panna Barbara poleciła mi zająć się sadzeniem drzew na górach, i już sadzonki gotowe. - Jeśli kto jest tak szalony, że chce sadzić lasy, to niech mu perswaduje psychiatra, nie ja. Róbcie sobie, co chcecie! Wezmę tedy twego konia i jutro ci go odeślę! - Zanocujesz i ty! - rzekł Oyrzanowski. - W takim stanie ducha ja cię nie puszczę z domu. Wygadasz mi wszystko, co ci się zebrało na sercu. Basia nam zagra i zaśpiewa, pan Baha opowie anegdotę, Szymek mi pomoże posortować dokumenty, które mi twój stryj darmo dał, i tak w gromadce życzliwej i bliskiej spędzimy wieczór długi. Nie strój min i marsów! Mało nas jest, a jam z was najstarszy. To nic, żeś mnie dziś głupcem nazwał; zadania posłuchasz i spełnisz. Nie ubliżyłeś mi swym zdaniem, ale zrobiłbyś przykrość odmową! Chodź, chłopcze. - A ja panu opowiem, gdzie nocował w miasteczku -

rzekł Szymon. Sokolnicki spojrział na Basię, czy nie jest obrażona, i na Bahę, czy nie drwi z niego, ale i tych dwoje patrzyło nań serdecznie, więc jego gorycz i złość zaczęły ustępować, i już się wahał. - No, chodź, chodź, uparciuchu! - dorzuciła Basia pociągając go za rękę. Uległ tedy, jak ulegał zawsze wpływowi Horodyszczka. Nazywał to słabością i chorobą; wiedział, że do jutra jego trzeźwe poglądy ich niepraktyczne myśli i ideały zgnębią, i że jutro wróci do jarzma, znowu pijany jakimiś mrzonkami, a jednak uległ i poszedł, gotując się jednak nie ustąpić, aż po ciężkiej walce... IV Pewnego wieczora, gdy Szymon, wezwany do dworu przez konnego posłańca, stanął przed Sokolnickim, zastał go nad stołem zarzuconym pieniędzmi, z miną kandydata na samobójcę. Gotówka w Sokołowie była taką osobliwością, że Łabędzki aż struchlał myśląc, że to była pożyczka na wysoki procent. - Panie, skąd to? - zagadnął bez tchu. - Niech go lichy porwie! - Kogo? - A tę sakwę! Zagrodzkiego! - Kupił konie! - zawołał Łabędzki szczęśliwy. - Ciebie to cieszy! Takie konie! Płakać mi się chciało, gdy je zabierano! Hodowałem jak dzieci. - Ależ były na sprzedaż. - To i cóż! Miałem całą nadzieję, że się od tego wykręcę, że je zatrzymam. Gdy ten się mnie uczeplił, postawiłem cenę umyślnie, by się cofnął, a on mi dziś przyszyła pieniądze i zabiera konie. Wściekły jestem, bo on jeszcze na tym zrobi dobry interes. Ma je za dwa tysiące rubli, a ja co? Hodowałem dla tego śmiecia! I odepchnął od siebie pieniądze. Łabędzki wiedział, że najlepiej, by się żal taki wylał do dna. Radość tedy swoją ukrył i rzekł ze współczuciem: - To prawda, że pusto po nich będzie w stajni; ależ na przyszły rok przyjdzie znowu czwórka ze stada równie ładna! - I znowu dla kogoś? - Panie, a toż pan ostatnim razem w Horodyszczu piorunował na obywatelstwo, że nie jest handlarskie! Mówił pan, że wszystko powinno iść na sprzedaż. - At, ty wiecznie łapiesz za słowa! To pewna, żem wtedy o koniach nie myślał. Teraz zobaczysz, co będzie. Najprzód u mnie nikt ich nie cenił, ale niech no je zobaczą u magnata - ósmy cud świata! Powiedzą, żem je zbył za pół ceny, ażeby się pochlebić Zagrodzkiemu, żem bankrut ostateczny, kiedym takie konie sprzedał. I te moje pieszczochy, hodowańce pójdą pod babską rękę i na przyszłe lato panna je będzie razem z sobą produkowała na jakichś wyścigach austriackich, na podziw oficerom i błaznom. - Proszę pana, a cóż znowu to panu szkodzi? Zrobił pan świetny interes handlowy; niechże i oni coś zarobią i ucieszą się nabytkiem. - Ty lubisz tylko to śmiecie! Masz, bierz; może mi rozwiążesz zadanie, jaką dziurę tym zatkaż, ażebym na nie długo nie patrzył. Dziury te Szymon miał nieustannie w pamięci, więc nawet nie potrzebował zaglądać do ksiąg gospodarskich i zaczął recytować: - Trzysta pójdzie na remont i patent gorzelnii, pięćset na wypłatę najmu, dwieście na zaległe pensje. - A tysiąc na żydowskie procenty! - dodał Sokolnicki. - I koniec! Skąd weźmiemy na noworoczną ratę bankową, na podatki, na kupno kartofli, na dalsze procenty, najmy, pensje! - Czyż naprawdę zboża nie ma na sprzedaż? - Ile byż mogło, i więcej nadto, już sprzedałem, a żniwa i zbiór. Wiesz przecie, co to kosztuje. - Panie, proszę zmieniź pisarza i gumienego. - I dostaż nowych złodziejów! Nie chcę! Uczciwych nie ma! Zresztą, co to pomoże na klęski! Oziminy zniszczyła śnieżna zima, jarzyny suche lato! Stodoły puste. I to już z rzędu trzeci rok nieurodzaju! Trzeba zginać i basta! Ty się cieszysz tą garścią pieniędzy, a ja w tym tylko czuję przedłużenie konania. Całe życie pracoważ dla łydów lichwiarzy - co za nędza! - Panie Sewerynie, jeszcze trochę cierpliwości, jeszcze trochę mocy i wytrwania! Wciąż piszą o kolei, co przetnie naszą okolicę. Wtedy ta ziemia się panu opłaci. Ta góra żwiru w Bielicy uratuje Sokołów. - A ty zawsze to samo: cierpliwości, mocy, wytrwania! Mnie pieniędzy trzeba, a nie cnót! - Pieniądze będą. Na bank i podatki ja się postaram, niech się pan tym nie truże. - Ładna pociecha! Na trakcie rozbijaż nie będziesz, ale gdzieś pożyczysz. A czy wiesz, że od lat trzech na płacenie procentów i ciężarów majątkowych zaciągam coraz nowe długi! I jakaż wobec tego może byż nadzieja i przyszłość! Czy wiesz, że ja wreszcie o ostatecznej ruinie marzę jak o wyzwoleniu z czyśćca! - A ja panu powiadam, że to się skończy. Przyjdą urodzajne lata, inwentarze się powiększą, za żwir wpłynie kapitał i odżyjemy, panie, odetchniemy, i nie jak zbiegi, gdy

już umkną za granicę, ale jak porządni robotnicy po znojnym dniu. Na dziś Bogu dzięki za tę chwilową ulgę i za te pieniądze własne, a nie pożyczone. Niech pan płaci, co bliższe! Sokolnicki machnął ręką, ale pomimo to przestał narzekać i rzekł: - Obiecałem się na to nieznośne polowanie w Głębokiem. Musimy tam być. Szymon uśmiechnął się radośnie. - Czyż pana łowy nie cieszą? - Czyż to łowy? To okazja do zabawy. Zjedzie się pół powiatu, będą jedli, pili, grali w karty, obgadawali nieobecnych i obecnych, zawracali oczy do milionerki i postraszą zwierzynę, i postrzelą kogo jeszcze, a kilka psów padnie z pewnością. Szkoda mi psiarni! - Niemiec nadleśny doskonały myśliwy i mnie prosił do pomocy. Jużeśmy objeżdżali ostępy i, wie pan, zdaje mi się, że niedźwiedź jest. - Nie może być! - Oczy Sokolnickiego zabłyśły. - Leży w świerkowych wywrotach, * za trybem, * gdzie niegdyś była smolarnia. wywrot - drzewo wywrócone z korzeniami przez wiatr. tryba - przecinka, pas szerokości 6_#10 m dzielący las na ostępy. - Toby były dopiero gody! Szymek, a o mnie pamiętajcie, żebym dobre stanowisko miał. - To się wie. Będzie pan tam, gdzie potrzebny strzelec, co nigdy nie chybia! Jutro wieczorem zabieram naszą psiarnię i strzelców, i nocujemy u Niemca, a pojutrze użyjemy! - Gdybym niedźwiedzia ubił, tobym Zagrodzkiemu nawet tych koni nie żałował, i nawet bym się z panną pogodził. Wiesz, i ona będzie na polowaniu, i jakąś kuzynkę sprowadzili z Austrii na tę uroczystość. Potrzebne tam kobiety! Ani chybi kogoś postrzela! - Już też nie panna Zagrodzka, bo ta strzela doskonale. - Gdzieżeś widział? - Wczoraj u Niemca. Była z nami przy objeździe, a potem w leśniczówce próbowała mojej strzelby. O sto kroków trafiała kulą w muchę na pniu i postrzelała mi zupełnie czapkę w lot. - Ta ma pasję do wszystkiego, co nie kobiece. A rodzice, jak gęsi, co wychowały jastrzębia, gęgają nad nią bezradnie. - Zuch dziewczyna, i niech jej pan nie dogaduje, bo warta i uznania, i grzechu. Wesoła, ładna, a zdrowa jak dębczak młody. Pan się śmieje z mego porównania. Ano, bom ja syn szarej szlachty, co ceniła zdrowie do pracy, i leśniczy z zawodu, więc mi dęby w głowie! - Możesz się zakochać? - Będę bardzo szczęśliwy, jak pan się w niej zakocha. - To nastąpi w ów dzień, gdy szanowny stryjaszek zapisze majątek na kościół. - Wszystko się staż może. Tymczasem co pan mi rozkaże? - Już ci gdzieś pilno! - Oj, i bardzo! Dziś mam rewizję gajowych, jutro dzień wywozu chrustu i drzewa, a przy tym osaczam i ja grubego zwierza w pańskiej kniei, Altera. Czy pan mu sprzedał pszenicę? - Nie jemu, ale jego szwagrowi. - Uhm! A dużo jej zdano? - Pięćset pudów. * pud - dawna rosyjska jednostka ciężaru równa 40 funtom, czyli 16,13 kg. - Alter sprzedał osiemset do miasteczka! A pan wie, że ekonom wydaje córkę za pisarza? - Nie może być! Toż się nienawidzą i jeden drugiego obgaduje codziennie. - Tym bardziej muszę ich mieć na oku! Trzeba będzie zrobić lada dzień rewizję śpichlerza! Ach, te szczury domowe! Potarł desperacko czuprynę i wyszedł. Na podwórzu spotkał go ekonom, jakby nań czatował. - Pan na nas niełaskaw. Nigdy do chaty nie wstąpi! - rzekł uśmiechnięty pochlebnie. - Alboż dadzą tchną! Pan mnie gania jak grabieżnego konia. A te procesy to mnie pół życia kosztują. - Może teraz choź na chwilę! Zimno i wilgotno. Przetracimy po kieliszku i zagryziemy wędzonką. - Dziękuję panu, tego się nie odmawia. Poszli tedy na podwórze folwarczne, gdzie w oficynie gnieździli się oficjaliści. Na widok rzadkiego gościa zabiegała się ekonomowa z córkami, z innych mieszkań zaczęły wyglądać kobiety. Zjawił się też zaraz gorzelany i magazynier od wódki. Szymon był ich zmorą, ale nie mogli wierzyć, by prędzej czy później nie wypadł z łask pańskich lub nie przyszedł do ich kompanii. Więc go zawsze honorowano, głąskano, próbując terenu. Zresztą on wiedział myśli pańskie, więc się można było wiele odeń dowiedzieć. - A co? Koniki zabrał Zagrodzki - zagadnął ekonom. - Dzięki Bogu, będzie grosz w kasie i dla nas - odparł Szymon. - Dobrą cenę dał. - Szaloną! Słyszę, półtora tysiąca. - I jeszcze więcej! Jedziemy tam na polowanie pojutrze. - Oho! Może z tego i mariaż wyniknie! - wtrąciła ekonomowa, która w Sokołowie zajmowała posadę klucznicy i gospodyni, i bała się małżeństwa dziedzica jak upiora. - A cóż! - uśmiechnął się Szymon. - Kawaler jak ptak szczęśliwy, może wybieraż. Ale jeśli to nam spadnie, to będzie dopiero ruch. - Zła? - Złoś! w pannie ukryta pod

siedmiu zamkami, dopiero po ślubie się okaże. Ale przecie poznaż można, że ta będzie ostra i wścibska. - O! Jaki też pan Szymon dla panienek niepolityczny! (niegrzeczny, niemiły) - ujęła się ekonomowa ze śmiechem. - To tak przez zemstę, że mnie żadna kochaż nie chce, bom dziobaty! - Baje pan Szymon! A wiadomo, że bałamut! - To plotki. Ja tak jak mnich żyję. - No, no, wiedzą sąsiedzi, czym kto broi. Mężczyźni widząc, że Szymon pozwala żartować, zaczęli ostrzej dogadywać. Rozmowa przybrała nastrój przyjacielski, właśnie taki, jaki mież chciał Łabędzki. Doskonała starka, zapewne z piwnicy Sokolnickiego, ścierała resztę nieufności i sztywności, humory czyniły się różowe. - Już to i nasz pan słodki nie jest. Nie trzeba mu złości żoninej - zawołał ekonom. - Sądny dzień miał wczoraj pisarz o obroki. Szelma jedna, choż dobry chłopak, pomylił się w rachunkach i chce mi fornalkę głodziż! Nie słyszał pan w pałacu o tym? - Nawet i mowy nie było. Pan się wykrzyczał i zapomniał. Tylko na osuszkę wódczaną narzekał i mówił, że klucz od magazynu do siebie weźmie. - A i owszem! - zawołał magazynier. - Spadnie mi odpowiedzialność za stare kufy, które cieką jak rzeszota. A nie mówił, kiedy to nastąpi? - Od pierwszego listopada. Nie ciesz się pan zbyt: niedługo to potrwa. Znudzi się panu rychło. - Niech spróbuje, jakie to słodkie! Niech pozna, co psia służba! A zresztą, niech potrafi skontrolować! Ot, założmy się, u kogo będzie większa osuszka? I śmiał się, mrugając do gorzelanego, i Szymon śmiał się także, a wściekłość go ogarniała na tych wrogów sytych chleba pańskiego, rozmyślających tylko o oszustwie i krzywdzie dziedzica. - I z Altrem pan zadziera! - wtrącił krytycznie ekonom. - I źle się to skończy, bo łyd obrotny, pieniężny, potrzebny dworowi. Po co go drażniż o byle głupstwo! Każdy żyż musi, a moim zdaniem, w wielkim skarbie wielkie rzeczy trzeba uważaż za małe, a małe za nic. Kto w małe wgląda, wielkiego nie zobaczy, a ludzi nie utrzyma. - święta racja! - potwierdzili inni. Szymon, który umyślnie tu przyszedł, by ich czujność uspiż, potakiwał także. - To plotki o Alterze - rzekł. - Pan go lubi, choż krzyczy i parska. Wspomniał, że mu nawet smolarnię w dzierzawę odda. - Doprawdy? A ludzie dowodzą, że pan Szymon go właśnie przeciw Alterowi buntuje - rzekła ekonomowa. - Ja powiadam to samo, co państwo. łyd we dworze potrzebny: nie będzie ten, będzie inny. Niech dawny siedzi. Trzeba go pilnoważ, by nie kradł nad miarę, ale toż nas tyle służby. Przecież ktokolwiek złapie nicponia! - A pewnie. łyd sam to wie i wystrzega się - potwierdzono chórem. Wódka obeszła raz trzeci. Wypiła nawet ekonomowa i stała się bardzo czuła. - Toż wiadomo! Pańskie dobro a nasze - to jedno! A przecież z nas każdy w wierze utwierdzony i obowiązek swój spełnia. Panisko dobre, nie ma co powiedzież, można przy nim żyż! Jak by się ożenił, to nie wiadomo, a dopóki to się nie stanie, żadne z nas go nie opuści. Wierzę! pomyślał Szymon, który ich dobrze znał i którego przymus dławiał za gardło. Dawniej wybuchnąłby; teraz ostygł już i żywą krew młodą przejęła zółż doświadczenia. Nie zdradził się niczym, tylko na zegarek spojrzeł i za czapkę porwał. - Czego się pan Szymon śpieszy? - zatrzymywał go ekonom. - Robota nie zajac, nie ucieknie! - Ale, na Dubinki mi trzeba, po strzelców na jutro. - Aha, i do pięknej Tekli! - zaśmiał się magazynier. - A cóż? - odparł podobnież. - Nie chcą mnie szlachcianki, pójdę do chłopianki! - Ach, te huncwoty mężczyźni! Idźcie na dwór bredziż! Mam córki! - krzyczała ekonomowa udając zgorszona. Szymon udał przerażonego, bez pożegnania się wycofał, na konia swego siadł i wyjechał za wrota. Tam dopiero wzdrygnął się, splunął i zaklął. - Nie dam go wam, nie dam! - zamruczał. - Jest was legion, ja - jeden. Ale go wam wydrę z paszczy, chyba mnie uśmiercie, szakale! Konia do prędkiego kroku popędził i bez drogi, na przełaj, puścił się ku borom omijając nawet swą leśniczówkę. Cały dzień o głodzie i chłodzie rewidował poręby i zagajniki, i już zmierzch zapadał, gdy raczej dla zmęczonego konia niż dla siebie pomyślał o powrocie i wypoczynku. Gdy na podwórze swej zagrody wjechał, z ławki pod ścianą podniósł się czarny cień człowieka i stanął milcząc u drzwi. - Kto to czeka? - spytał Szymon chłopaka, który mu konia odebrał z rąk. - A to Hipek Adamów z Dubinek. Od rana czeka i do chaty nie zechciał wstąpiż. Był to dziwny gośż. Dzikiego chłopca, który życie spędzał w lesie, ze strzelbą i

sidłami, Szymon prawie nie znał, tylko z opniei jako mruka i prawie zwierzę, więc się mocno zdziwił odwiedzinom. Pozdrowił go tedy uprzejmie i przyjrzał się ciekawie. Chłopak to był wysoki i chudy, spalony przez słońce i przez wichę uwędzony. Szara krótką swita i wysoko rzemieniami oplecione chodaki na nogach, w ręce kij, na głowie stara czapka, wygląd istotnie dziki i oczy spode łba patrzące niedobrze uprzedzały do niego. Na pozdrowienie coś zamruczał i stał bezradny, może przerażony swą sprawą. - A czemuście to do domu nie wstąpili? Słyszcie, dawno już czekacie - dodał Szymon, by go ośmielił. - Tu nie ciasno! - odparł Hipek. Leśniczy się roześmiał. - Nie wątpię, że obszernie pod niebem, ale i zimno! - Proszę, wstapcie teraz do izby i przyjmijcie gościnę. Semenicho, dajcie jeść! Wahając się, potykając o progi i potracając futryny Hipek wszedł za nim do domu. Baba wniosła światło i zaraz potem obiad. Szymon się przebrał i wrócił do gościa. Hipek stał u okna mnąc w ręce czapkę i wyzierał na podwórze. Dopiero gdy pies leśniczego, obejrzawszy go i obwąchawszy, zaczął uprzejmie witać, trochę się ośmielił i jał psa głośko. - Siadajcie i jedzcie! - rzekł Szymon. - Niegłodnym! - odparł. - To darujcie, ale nie wierzę, chyba wam w Dubinkach zakazali tknąć mego chleba. - Mnie Dubinki nie hodowały ni uczyły. Ja osobno żyję! - odparł hardo strzelec. - No, to moim obiadem nie gardźcie, jak by oni uczynili. Hipek sekundę się zawahał, wreszcie kij i czapkę na krzesło położył i usiadł za stołem. Jadł mało i z roztargnieniem; co chwila urywał, podnosił oczy na leśniczego, słowo jakieś miał na języku i nie mógł go wykrztusić. - Macie do mnie jakąś sprawę i ciężko wam gadać - dopomógł mu życzliwie Szymon. - Co? Może wam gajowi strzelbę odebrali? - Tobym żyw nie chodził albo oni! - mruknął Hipek, łyskając złowieszczo oczami. - Ho, ho! Nie darmo z Dubinek! - uśmiechnął się Szymon. - Kiedy nie to, więc już się nie domyślę, co was tu sprowadza. - Ja przyszedł na służbę - wyjąkał nareszcie chłopak i poczerwieniał, nieufnie ku leśniczemu spoglądając. - A czymże chcecie być? - spokojnie spytał Szymon. - A czymże, gajowym! - odparł już śmielej. - A znacie służbę? Włóczył się ze strzelbą po lesie to nie robota. Ja wymagam wiele. - Lepiej od innych zrobię i więcej, a kraść nie będę. - O to was nawet nie będę posadzał. Ale dziadek wasz co na to powie? - Dziadkowi do mnie zasie! Nie hodował on mnie anim ja go kosztował. Nie rzeknie słowa. - A skądże wam, coście nigdy nikomu nie ulegali, przyszła ochota do niewoli? Boż służba nie družba, ale niewola. - Tak mi trzeba - odparł Hipek lakonicznie. Przestał już jeść i teraz oburącz na stole się wsparł i sumował. W głowie miał widocznie natłok myśli i z sobą się borykał. Zdławił je, czy wypowiedzieć temu obcemu, który dotychczas trapił go i prześladował jako złodzieja zwierzyny? Nareszcie podniósł dzikie oczy, w których był strach, rozpacz i zaciętość. - Dlaczego wy Makarewiczów do turmy nie oddacie? - zawołał z wybuchem wściekłości. - A po co? - Za to, że do was strzelał Marcin, a fuzję Wicka miał. Ihnat Wilk wie, że to on był, a ja wiem, gdzie strzelba schowana. - I świadkiem możecie być? - Mogę i poprzysięgnę! Zastanowiła ta zawziętość Szymona, który wiedział, że Wicek z Hipkiem dotychczas polowali wspólnie i byli nie rozłączeni. - Wicek może was zgubić. - Niech tam! Ale i on przepadnie. - Cóż to? Pokrzywdził was stary przy podziale, jako w pieśni stoi: "Tobie zajac i sarna,@ a mnie soból i panna,@ towarzyszu mój!@" Na te słowa Hipek drgnął i spojrział na Szymona przerażony. - Wam kto mówił? Może ona była? Teraz Szymon zrozumiał wszystko i poczuł dla dzikiego chłopca sympatię. - Nie, ona nie była, alem się domyślił - odparł życzliwie. - Powiadają, że zaraz po kolędzie zapowiedzi wyjdą -- rzekł Hipek głuchym, znękanym głosem, jakby zmęczony był wściekłością, a żalił się nie chciał. - A ona mi wciąż powtarza: "Zabij mnie, a nie daj!" Na zabicie będzie czas, a tymczasem trzeba próbować innych sposobów. - No i cóż obmyśliliście? - Jeśli jego nie wsadzicie do turmy, to mi służbę dajcie. Zwierz nawet legowisko ma, a ja nie! Dziadek na procesy roztracił, co było, i w Dubinkach siedzieć nie będę. Oni mi nie swoi, złodzieje! Mnie trzeba teraz byle nory, byle kotliny i żebym w gromadzie nie żył, ino sam w borze! - A jak wam służbę i gniazdo dam, będziecie wy mi przyjaciół? - Będę jak zwierz, nie jak człowiek! - No, to sprawa

załatwiona. Jest buda w Bobrówce pusta; tam was osadzę, jeśli dziedzic was zatwierdzi. - Robotę zaraz dajcie - rzekł Hipek. - Nie chcę już w bór iść; chcę zacząć, com postanowił. - Ano, kiedy wam tak pilno, to idźcie zaraz do chłopskich Dubinek z poleceniem do Makara Wilka, starosty, żeby na pojutrze zegnał obławę do Głębokiego. - To teraz i mnie będzie wolno tam być! - rzekł Hipek, a nozdrza mu się rozdymały. - Zabiorę was z sobą! Wtedy dziki chłopak cały się zmienił. Coś niby uśmiech skurczyło mu twarz; powstał, do Szymona przystąpił i sam nie wiedział, jak swą wdzięczność okazać, tylko nań patrzył. Więc Szymon, ubawiony tą prostotą i naiwnością, po ramieniu go poklepał i uściskał jak brata. - No, chłopcze, bądźże mi druhem, a ja cię wykieruję na człowieka! - rzekł serdecznie. Hipek, gdy wychodził z tej izby, był już innym człowiekiem i zaprzedałą duszą Łabędzkiego. I ta jedna dusza miała stokrotnie się opłacić. Po odejściu gościa Szymon obejrzał swą broń i wybrał do polowania piękny sztucer, który mu Basia ofiarowała w zeszłym roku na rozmierzenie lasu i urządzenie gospodarstwa. Sztucer, rzadko używany, potrzebował oczyszczenia, więc wziął go Szymon do kuchni. Chciał też przy tej okazji pogadać z Semenichą, która chociaż służyła u niego lat trzy, niezwykle była mało mówną i nieprzystępną. Leśniczy, zawsze zajęty, rad był temu, że w domu był zawsze spokój i cisza, ale teraz opowiadanie Arechty w drodze do miasteczka zaciekawiło go co do stosunku baby z wszechwładnym Ułasem. W kuchni roboty dzienne były już skończone, chłopak chrapał w kacie, Semenicha przędła u komina, zapatrzona w żar i zadumana. Szymon jał broń czyścić i, znając chłopską nieufność, rzecz zagaił z daleka: - Jakże nasza krowa? Zrośnie jej się noga? - Poprawia się. - Sprowadziłaś, babo, znachora? - Nie słychaż blisko o żadnym. - A Ułas z pasieki? - Ułas by do pana nie przyszedł, tym bardziej do krowy. - I dojechaż do niego teraz ciężko, gdy wody rozlały. - Dopłynąż można od Dubinek, wedle Bobrówki. - Toś sama do niego się dowiadywała? - E, już dawno, jeszcze liście wtedy były. - On ci swój? - At, trochę. - A ja do niego się wybieram. - Po miód? - Nie, po radę. Powiadają, że z mądrych mądry. - Zna wszystko, jakby z tamtego świata wrócił. - Otóż właśnie! Ale czy mnie zechce przyjaź? Powiadają, że stary chimeryk. - Pana przyjmie, bo zna. - Skądże? Nigdy go nie widział. - To nic! Jemu nie trzeba widzieć, by znać. - Skądże on swą mądrość ma? - W rodzie u nich jest od dawna, a onże wiek nad tym zbył. To wielka nauka! Pokiwała głową i westchnęła ciężko. Szymon rozmowę zmienił. - Nie było listu od twego chłopca? - Nie było. Wrzeczona oparła na kolana i jeszcze posępniej w ogień się wpatrywała. - Et, babo, nie sumuj! Zdrow pewnie. Odezwie się przed kolędą o pieniądze. Syn ten był ukochaniem baby; młodszy, który służył też u Szymona, nie był w łaskach. Tamten, starszy, utrzymywał ją, gdy był w domu. Gdy go zabrakło, baba z wyrostkiem tułała się po służbach, aż ich Szymon przygarnął. Grunt tymczasem zagrabili krewni bogaci. Baba od tej pory była cicha, ponura i w długie wieczory, przedac samotnie, na przemian myślała o tym dalekim i o odwecie za krzywdy i poniewierkę. - Jeszcze półtora roku! - szepnęła po chwili. - A potem porzucisz mnie, babo? - Drugą pan dostanie. A zresztą Bóg wie, kto dożyje. - Czy ty mi śmierć wróżysz? - A cóż! Zaczepia ją pan co dzień, a wrogi pana wyklinają w dzień i w nocy. - Ino ich Bóg nie słyszy. - W złą porę jak słowo padnie, to i krzyż nie obroni. W Dubinkach sądny dzień na pana! Nie dożyje pan starości! - Dożyję, ile mi odmierzono. Baba potrzęsła głową. - Do Ułasa niech pan pójdzie. On zakryte widzi, on panu powie, czego się wystrzeżać. - To ty byś, babo, nierada, by mnie ubito? - I pan był nierad, jak mnie katował posesor * w Rudni, wtedy, kiedy mnie pan zabrał. Chce pan wierzyć, chce nie, a ja pana przestrzegę. Proszę unikać ryżego, kulawego i zeza! posesor - dzierżawca; właściciel, posiadacz. - To i ty, babo, zakryte znasz! - Wyplakałam oczy, zdarłam stopy, zerwałam piersi, dochodząc krzywdy sierot moich! Mocne moje wrogi, a ja słaba. Przetom moc znalazła gdzie indziej jak w gminie. Nie była to właściwie odpowiedź, ale na ten raz Szymon więcej nie badał. Pomyślał tylko o niedostateczności wiary wyznawanej przez babę, która zamiast jej ozłocić krzywdę aureolą nieba, pozostawiła ją w ciemności na pastwę zabobonów i zemsty. I

westchnął. - Skądże wiesz, że pomstują na mnie w Dubinkach? - spytał po chwili. - Przybiegła tu onegdaj wasza siostra i opowiadała, że sądny dzień tam panuje. Oni tam już siedzą bez chleba i za darmo prawie ostatnie bydłaki sprzedają, by ich nie policytowano za kosztą sprawy. Kto głodny i nagi, ten się niczego nie boi. - A czegoż chciała Weronka? - Nie wiem. Nie doczekała się pana i poszła płacząc. Matka ją co dzień bije. ále się to skończy. - I cóżem ja im zawinił! Co mi z tego za korzyść! - wybuchnął Szymon. - Niech mordują, a ustąpiż nie mogę. - Alter z Jeziora głośno mówi, że kto pana uśmierci, dostanie sto rubli. Czy pan nie słyszy, jak wokoło pana śmierż chodzi? Mimo woli wzdrygnął się Szymon i spojrzął w okno. Przy lampie wprost siedział i był doskonałym celem dla strzału. Psy podwórzowe jednak spały spokojnie. Leśniczy powrócił do zajęcia. - śmierż, babo, Bóg posyła, nie człowiek. To pewna, że za całość swej skóry niewiele bym dostał, ano, ścieżką prostą chodzę, śmierż niestraszna. Przyjdzie, to się położę i spocznę. Wilczyca stara z Dubinek, co wielki rozum ma, tak powiada: Jak co cię straszy, to mu się nadstaw, a nie uciekaj. Tak myślę ze śmiercią zrobiż. - Dobrze Wilczycy bajaż, siedząc na piecu! - mruknęła nie przekonana Semenicha. - A onaż nie lęka to się Tekli ojca, co odchodząc przysięgał, że wróci i ją udusi! I wróci, wspomni pan moje słowo! - Za co go zesłali? - íonę zabił, jej ulubiona córka i jej samej omal nie uśmiercił. Gdyby nie jej świadectwo, doma by ostał. Dlatego do niej wróciż poprzysięgał. Za ścianą w sieni kogut ciężko skrzydłami załopotał i zapiał. Semenicha odstawiła praśnicę i zaczęła półgłosem odmawiaż pacierze. Szymon broń złożył i wyszedł. Tymczasem Hipek Dubiniecki już polecenie spełnił, obławę zamówił, u Wilków czółna pożyczyl i do Dubinek pomknął. Było zimno i ciemno na rzece, ale jego to właśnie cieszyło. Bez szmeru do osady się wkradł i opłotkami podsunął się aż do gumna Morskich. Tam ukryty, zaczął pohukiważ jak sowa. Na to hasło ktoś czekał, bo skrzypnęły drzwi u Morskich i po chwili pod węgiew stodółki podeszła Weronka. Dziki chłopak, zdyszany ze szczęścia, rękę jej uchwycił. - Jedźmy - szepnął. - Tak zaraz? - wzdrygnęła się. - Ano, mówiłaś, że szmaty już wyniosłaś. Ja już chatę mam. Czego czekaż? Matczynej pięści na karku czy Wickowych zalotów! - Jak chcesz! Ja ci przysięgałam! - odparła dziewczyna już spokojnie. - No, to z Bogiem! Czółno na rzece, noc długa. A tak schowam, że i czort nie wynajdzie. - Szymonaś widział? - Od niego idę. Opowiem ci w drodze wszystko. Teraz się spiesz! - Wracaj do czółna, za chwilę przyjdę! Nie tracili czasu na czułości i słowa; byli trzeźwi zupełnie i przygotowani na ciężki los i walkę. On znowu opłotkami wrócił do rzeki; ona z pustego ula w sadku dobyteła już pierwej przygotowany węzełek i raz jeszcze spojrzawszy na rodzinną zagrodę, śmiało poszła do niego. Po chwili czółno mknęło jak ptak. Weronka wzięła drugie wiosło i pomagała nie spytawszy nawet, dokąd jada. Łódź czyniła tysiące zakrętów, od razu wpadłszy w labirynt odnóg i strumieni. Podróż trwała parę godzin. Nareszcie Hipek do brzegu przybił i do krzaku łoży łódź uwiązał, potem brodząc na ład się wydostał, wziawszy na ręce, jak dziecko, Weronkę. Brzeg był błotnisty, pokryty łożą i tatarakiem; trochę wyżej czerniał las i kontur niewyraźny chaty. Do niej skierował się Hipek, odnalazł drzwi żwiekiem zabite, ale ich nie ruszał, tylko okno wyjął z futryny i wskoczył do środka. Weronka podała mu węzełek i sama wsunęła się za nim. Wilgoż i chłód były jeszcze dokuczliwsze niż na dworze, wiało zewsząd pustką i stęchlizną. Dziewczyna jednakże nie zdradziła ani lęku, ani przykrości. Po omacku zaczęli obchodziż izbę. - Ognia zapewne nie można rozpaliż? - spytała. - Dziś można, bo nas jeszcze nikt nie szuka ani się spodziewa tutaj. To straż, Bobrówka. - Poznałam! - rzekła spokojnie. - Nie będziesz się lękała sama tu zostać? - Jak trzeba, to zostanę. Tylko mi broń jaką daj. Zaraz odjedziesz? - Ino ci ogień rozpalę. Chleba wzięłaś? - Skądże? U nas już od tygodnia głód! Mam trochę kartofli. - To je sobie upiecz w popiele. Jutro w nocy przyjadę, przywiozę ci garnek grochu. Chleba to i u mnie nie ma, a boję się teraz co kupoważ, by mnie szpiegoważ nie zaczęli. - A gdzież groch masz? W domu? - Ej nie, ja tam nic nie utrzymam. Mam skrytkę w lesie, ale daleko, i jutro muszę byż na ludzkich oczach dla niepoznaki. Mówiać to wykrzesał ognia z hubki, zapalił

garść pakuł od strzelby i z ciężkim trudem rozniecił ogień w kominie z resztek jakichś gałęzi. Wtedy obejrżeli swe schronienie. Była to zwykła chata chłopska, bez żadnego sprzętu, o ścianach pokrytych pleśnią i z ubitą ziemią zamiast podłogi. Do izby przytykała sień służąca za spiżarnię i skład. Pułap w kilku miejscach opadł i piec był trochę rozwalony, ale tych dwoje w tej chwili w pustce tej widziało cel swych żądań i marzeń. - Na piecu sobie pościelesz! - rzekł Hipek. - O mnie się nie troszcz! - odparła odważna Weronka. - Kiedym tu za tobą przyszła, to nie po to, by ci kłopot czyniż. Ty teraz spokojny bądź. Biedy się nie lękam, a ludzie mnie stąd żywą nie wezmą. Poprzysięgam ci nie na wiatr! - Takem cię pierwej poznał, zanim umiłował! - odparł Hipek poważnie. Dziewczyna zdjęła z siebie dużą chustkę i gruby kaftan, i jakby nic zaczęła się krzątać. W sieni znalazła sporo drew, w spiżarni stołek kulawy, na strychu wiązkę zbutwiałej słomy, a pod piecem, w śmieciach, skorupy garnka. Wnet zużytkowała wszystko, a potem, rozwinawszy węzełek, pokazała Hipekowi swoją wyprawę. Było tam trochę bielizny, odświętna perkalowa sukienka, trzewiki, lusterko i grzebień, a w chusteczkę zawinięty święty obrazek z odpustu. Było to całe jej wiano i własność, ale Hipek nie strapił się ubóstwem, jak się nie lękał nowych obowiązków i pomsty całej rodziny. - Ja mam w skrytce wszelakie dobro! - rzekł. - Jutro nocą ci trochę przywiozę. No, a teraz naści nóż i siekierę; ogień nad ranem zagaś i siedź dzień cały jak myszka w komorze. Ja i okno na powrót zamknę. Muszę już odejść! - Poczekaj na kartofle! Pewnieś głodny? - Nie bardzo, wieczerałem u Szymona. Zbierał się do odejścia, ale niesporo, spoglądając to na okno, to na dziewczynę. Spostrzegła to i rzekła: - Może ci się spocząć chce, to ja czółno do Wilków odprowadzę! - Jeszcze co może! Spocząć to mi się nie chce, ale może byś buziaka mi dała na odjezdne - odparł. - Jeszcześmy w kościele nie byli, a na buziaki ci nie przysięgałam. Ruszaj i głowy mi nie zawracaj. Hipek zawstydzony poskrobał się za uchem i bez protestu zniknął za oknem. Od razu widocznym było, że ten wielki drab, co się i niedźwiedzia nie bał, będzie mężem pantoflem, a Weronka w duecie małżeńskim będzie trzymała prym. Rekuza, zamiast obraziż, podobała się chłopcu. Honorna dziewczyna i hambit ma! - myślał z dumą. A com spłatał figla Wickowi, tom spłatał. Teraz się dzielmy, towarzyszu mój! Ledwie na dzień szarzało i Szymon się ubierał, gdy Hipek już był w leśniczówce. Gajowi stawili się także i siedzieli w kuchni, a szlachcic, byle z nimi nie byż, kostniał na zimnie. Dzień zapowiadał się śliczny, bo mróz ścisnął i mgły opadły. Wyjrzał przez okno Szymon i zawołał chłopaka do siebie. - No, rano wstałeś, to dobrze! - Oblawa będzie? - Zaraz, ino się okrzatnę, bo to łowy pańskie, a nie szlacheckie. Każ zaprzęgaż, a gajowi niech ruszają naprzód. Chłop konia wyprzedzi. Hipek spełnił rozkaz i wrócił. Dużo śmielszy dziś niż wczoraj, jał oglądaż broń nadleśnego. - íebym to ja takie cacko miał, toby za rok puste były lasy i pola - rzekł. - Wasze rozbójnicze pistonówki więcej szkody czynią, bo polujecie z nimi cały rok i kaleczycie mnóstwo zwierza, zanim ubijecie jedną sztukę. No, ruszajmy! Siedli do wózka i wyjechali na łąki. Tuż opodał spotkali gajowych i dalej, po drodze, szare grupy chłopów sunące prędko i cicho w tymże samym co oni kierunku. Każdy był uzbrojony w pałkę i zapasową parę postoiów; była to naganka. Gdzieniegdzie trafiały się mniejsze grupy strzelców ochotników z bronią przedpotopową i olbrzymimi torbami borsuczymi. - Dziw, że Makarewiczów z Dubinek nie widaż - rzekł Szymon, który tych wszystkich kłusowników znał. - Nie będzie ich dzisiaj - odparł Hipek. - Dlaczego? - Bo Weronki szukają - szepnął chłopak. - Ejże, już! - zaśmiał się Szymon. - A dobrześ ją schował? - Oj, dobrze. I pies nie wytropi! - No, to niech szukają! Ot i naszą psiarnię wiozą. Wyminął ich wóz pełen ogarów, które jakby rozumiały swą ważną rolę, siedziały poważnie w słomie po dwa na smyczy i rozglądały się po okolicy. - A pan gdzie? - spytał Szymon pisarza. - Za nami wnet się wybierał. Gości miał. - Kogóż? - Ten cudzy, co marszałkowskie majatki wziął. Po drodze mu się powóz złamał, to na noc wstąpił. I pan z Miernicy nocował. Minęli furę, coraz więcej spotykali chłopów, nareszcie i Dubińców, z Makarem Wilkiem na czele. Za ojcem szedł Ihnat, który swą pałkę wystrugał na kształt strzelby i niósł ją na pasku

przez plecy. Makar miał minę posępną i fajkę Żmił. Pozdrowił ich Szymon. - Coś taki chmurny, Makar? - spytał. - Gorzałki nie zabraknie u głębockiego pana na poczęstunek. - Kto ją to piż będzie, jak niedźwiedź człowieka zadrze! Powiadają, że w Jedlinach sześć zimuje - odparł chłop spluwając. - Oj, Makar, Makar, twoja matka sokół, a ty trus! - Matka na piecu sokół, a na niedźwiedzia to mnie posyła - burknął Makar. - No, kiedyś taki, to cię zostawię w straży kaszę gotoważ - zaśmiał się Szymon. Wjechali w bory Zagrodzkiego, nietknięte, bujne, wzorowo utrzymane. - Ot, jak u bogacza - rzekł Hipek. Szymon tylko westchnął. Przed nimi słycaż było już ludzki gwar i skomlenie psów, dźwięki trąbek, a po chwili ukazała się leśna straż główna, nowy szwajcarski dom na szerokiej polanie, gdzie się kilka dróg krzyżowało. Ruch już tu panował ogromny; przy ogniskach ruszali się naganiacze, wokoło domu biegała służba Zagrodzkich, a przy słupie z napisem rewiru nadleśny Niemiec komenderował łamanym językiem, gromadził swych podkomendnych. Gdy ujrzał Szymona, zaczął go do siebie wołaż, wyciągając jak do zbawcy ramiona. Oni we dwóch objęli komendę polowania. Tymczasem w leśniczówce, naznaczonej za punkt zborny myśliwych, gospodarował sam Zagrodzki, pilnując zastawy stołu. Pani została w domu, oczekując myśliwych z obiadem; ale Nika była z kuzynką zagraniczną, obie w eleganckich kostiumach myśliwskich, obie uzbrojone, obie ubawione jak na widowisku. Chodziły wśród chłopów, którzy im się przyglądali nie mniej ciekawie, oglądały psy i starą broń strzelców, próbowały nawet trąbek dojeżdźczaków i niecierpliwie wyglądały przybycia gości. Wreszcie zaczęły się zjeżdżaż bryczki obywatelskie. W leśniczówce uczyniło się gwarno jak w ulu. Zagrodzki promieniał szczęściem widząc, że zjazd będzie liczny i że jego jedynaczka się ubawi. Na szarym końcu przybył Sokolnicki. - Patrzcie no, i Woyno z nim! - zawołał Zagrodzki. - Nawet nie wiedziałem, że się znają. - Kolegowali niegdyś w szkołach - odparł któryś z sąsiadów. Młodzi ludzie wysiedli. Sokolnicki na widok dam skrzywił się nieznacznie. Woyno radośnie się uśmiechnął. Był to nowy obywatel, spadkobierca dóbr marszałka Woyny, z zawodu inżynier, osiadły w stolicy. Sam z siebie zamożny, miał wysoko płatną posadę, więc spadek był mu raczej ciężarem. Przybył na pogrzeb stryja, z zamiarem rychłego powrotu do miasta, ale na pogrzebie poznał Nikę Zagrodzką i pozostał, i bardzo się zajął porządkowaniem majątkowych interesów. Zaczął nawet przebąkiważ, że myśli brata spłaciż i sam przy dobrach zostaż. Był to człowiek trzydziestoletni, łysy już zupełnie, bardzo inteligentny, światowy, elegancki. Zakochał się w Nice od pierwszego wejrzenia, od pierwszego słowa, i zdecydowany był nie wyjechaż staż bez niej. Tajemniczy ze swych zamiarów nie czynił, więc zanim konkury zaczął, już cała okolica mówiła o ich małżeństwie i teraz, gdy się pokazał, wszystkich oczy patrzyły na Nikę. Ale ona oglądała konie Sokolnickiego, nie tylko obecnością konkurenta nie wzruszona, ale nawet nie zajęta. Na powitanie podała mu roztargniona rękę i zaraz zagadnęła pana Seweryna: - Jak to? Pan z pistonówką? Przecie mają byż niedźwiedzie! - A ja wcale bez broni! - rzekł Woyno. - Ach, pan! - odparła lekceważaco. - Pan ma pojęcie o niedźwiedziu z menażerii. Ale pan Sokolnicki dostanie stanowisko poważne, bo ma sławę najlepszego strzelca i z taką bronią przyjeżdża. - Moją sławę właśnie tą strzelbą zdobyłem. Niech jej pani z pozoru nie sędzi. Ma na sumieniu już pięć niedźwiedzi! - odparł Sokolnicki. - Właściwie w takich łowach najwięcej znaczy zimna krew - rzekł któryś z myśliwych. - Ja zawsze pudłuję z gorączki, chociaż mam pyszny sztucer. - Proszę panów na przekasę! - wzywał Zagrodzki. - Skądże panowie razem jada? - Z Sokołowa - rzekł Woyno. - Odnowiliśmy dawną znajomość szkolną i przegawędziliśmy u komina prawie całą noc. Obejrzał się za towarzyszem, ale ten pozostał na ganku, zajęty przez panny, które koniecznie chciały z pistonówki strzelaż do celu. Na to zaprotestował Szymon, który nadbiegł wzywając wszystkich na stanowiska. - Strzelaż nie można, pani. Zajmujemy najbliższy ostęp. Już i bez tego za wiele tu gwaru. Rzucili się wszyscy za nim, uciszeni nagle i już skupieni, a on skręcił na jedną z dróg i jał ich rozstawiaż co kroków kilkadziesiąt. Słońce właśnie zza mgły się podniosło i cały las, cichy i poważny, i szronem okryty, ozłociło cudnie. Z gęstwiny rozchodził się czerstwy

zapach żywicy i z cichym szelestem opadały ostanie liście. Coraz topniała drużyna myśliwska, półkolem obejmując ostęp, aż ostatniego postawił Szymon i na powrót poszedł, by sprawdzić, czy każdy z nich był na stanowisku. Wnet też na Ilinicza napadł, który papierosa zapalił i przeglądał jakieś papiery w pugilaresie. - Na Boga, co pan robi? - Ach, prawda, zapomniałem! Nic, to wiatr z ostępu. Sokolnicki, który opodal stał nieruchomy, za drzewem ukryty, zaczął mu wymyślać. - Ładnieś mnie umieścił! Z jednej strony ten osieł, z drugiej strony panny! Wolałbym iść z naganką. - Nic to, ale przesmyk najlepszy! Za pannami, które jednakże zachowały się zupełnie poważnie, stał Woyno. Szymon go zastał poza linką, w ostępie, zbierającego ostanie wrzosa i borówki. - Panie, nie wolno ruszać się ze stanowiska! - Nie wolno? Dlaczego? - Bo pan dostać może kulą. - Wielka mi osobliwość! Nie będę pierwszym, co dał życie za kwiaty - odparł obojętnie Woyno i dalej herboryzował * w gąszczu. herboryzował - zbierał rośliny w celach naukowych. Szymon na taki pogląd ręką machnął i pobiegł dalej. Po chwili trąbka jego zagrała sygnał do obławy. Dźwięk się odbił o gąszcze, wzbił w górę i popłynął po lesie; jeszcze drżał w powietrzu, gdy mu drugi podobny odpowiedział z oddali i wnet potem niewyraźny jeszcze wrzask naganiaczy. Wśród strzelców uczyniła się cisza. Każdy znieruchomiał z palcem na cynglu broni, z okiem utkwionym w ostęp. A tam huczało niesfornie, dziko, coraz wyraźniej. Pusto czy jakie lichy! pomyślał Sokolnicki. Ilinicz po chwili się znużył i nieznacznie do szwagra się zbliżył. - Nic tu nie będzie! - szepnął. - Możemy gawędzić. - Daj mi pokój i nie psuj polowania. - Coś taki zły? Na Woynę? Sam sobie winę przypisz, boś osieł! Zabierze ci pannę! - Odczep się ode mnie i pilnuj własnych interesów! Nie rozumiem, jak kto w waszych warunkach może się takimi głupstwami zajmować! A teraz wracaj na stanowisko, bo ja tu jestem do polowania, a nie dla rozmowy. Ilinicz minął go i poszedł do panien. Raptem zagrał jeden ogar, potem dwa, wreszcie kilkanaście i jednocześnie prawie na linii strzelców padły dwa strzały. Daleko, koło Woyny, mignął szary przedmiot. - Pilnuj! - ktoś krzyknął. Woyno sięga po strzelbę; szary przedmiot rzucił się w bok pod strzał Niki. Strzeliła dwa razy. - Wilk! wilk! - krzyknęła kuzynka. - Pal! - wrzasnął Ilinicz do Sokolnickiego. Teraz z ostępu wypadły ogary, goniąc na oko, i dopadły już wilka, gdy go Sokolnicki jednym strzałem położył. Nika, Woyno, Ilinicz, kuzynka, wszyscy teraz biegli, krzycząc i gestykulując. Sokolnicki za głowę się złapał. - Co państwo dokazują! Naganka nie wyszła i schodzicie ze stanowisk. Ot, ot, niech pani patrzy, tam, gdzie pani stała, co za pyszny lis przemknął! Gwałtu! Taka swawola! Nika przez sekundę się stropiła, ale Woyno przyszedł jej w pomoc. - Mój drogi! Lis oszukiwał wszystkich od stworzenia świata! Ale ten drab wart przecie huczego pogrzebu. - Ja go trafiłam! - zawołała Nika. - Tu w bok, o, widzi pan! To mój nabój, a pan go dokończył! Sokolnicki nie okazał wielkiego zapału. Strzelbę nabijał, a że stempel * w zębach trzymał, więc czuł się zwolnionym od odpowiedzi. stempel - pręt metalowy do przybijania ładunku prochowego w dawnych typach broni palnej. Wnet też pierwszy naganiacz wypadł z ostępu i gromadą otoczyli wilka, bijąc go pałkami i wypominając wszystkie gęsi, owce i prosięta, które poginęły po wsiach okolicznych. Ta pośmiertna kara zakończyłaby się zapewne zupełnym zniszczeniem skóry, ale Niemiec nadlesny wnet chłopów rozpędził, a gajowi uprzątnęli zwierza. Myśliwi zeszli też ze stanowisk i uczyniło się gwarno od opowieści, zapytań, anegdot, ale znowu przerwał im Szymon, wzywając do drugiego ostępu. Mimochodem zauważył, że wrzosa i borówki, które Woyno zebrał, przypięte były do myśliwskiego futerka Niki, i ścisnęło mu się serce. - Pan Seweryn nabije moc zwierza, a Woyno upoluje śliczną dziewczynę. Mój Boże, żebym ja mógł na to co poradzić! Rozstawił strzelców roztargniony i posepny, puszczając mimo ucha prośby różne i zapytania. Wreszcie Nika go zagadnęła: - Co pan taki nieswój, panie Łabędzki? Uśmiechnął się z przymusem. - Widziałem dzisiaj troszkę wiedzy w tamtym ostępie. - E, trzeba ją było zabić? - Nie mam na nią kul zaczarowanych. - I wypuścił ją pan bez próby zabicia? - Nie moja moc! - Jakże wyglądała? Skąd szła? - Wyszła z gąszczu, gdzie zbierała ostanie wrzosa i zioła! Nika spojrzała

nań, potem na swój bukiet, wzdrygnęła się i odrzuciła go. - Czy tu będą niedźwiedzie? - spytała. - Nie, w jedlinach. - Daj mi pan dobre stanowisko! Ja wiem, że ojciec zaklął pana, by mnie nie narażał, ale pan mnie posłucha, nie jego. Chcę stać między Sokolnickim a panem. Będę tedy bezpieczna: przecie mi zginąć nie dacie, a chcę strzelać do niedźwiedzia koniecznie. - Znaż, że pani raz pierwszy jest na takich łowach. Na drugi raz inaczej pani mówił będzie. - Ja od razu się wycofuję! - zawołała kuzynka błędąc. Szymon, nic nie obiecując, umieścił ją w gęstwinie i sam opodal stanął. Znowu cisza objęła bór, a potem trąbka i huk nagonki, i wreszcie strzały coraz żywsze. Tymczasem drobny zwierz padał: zające, lisy i jakiś zblakany kozieł, którego położył znowu szczęśliwy Sokolnicki. Nika spudłowała do zająca, kuzynka postrzeliła sowę. śmiechu było co niemiara, gdy na pół żywego ptaka gajowi zabrali wraz z inną zwierzyną i ponieśli do leśniczówki. Teraz następował moment najważniejszy. - Ile? Siedem podobno, jeden olbrzymi, stara z dwojgiem piastunów - podawano sobie z ust do ust, strzelby nabijano z wielką uwagą. Próbowano kordelasów, * miny były uroczyście. kordelas - obosieczny nóż myśliwski służący dawniej do dobijania postrzelonej zwierzyny; krótka szpada. Zagrodzki objął za ramiona Szymona, jeszcze raz polecając opiekę nad córką, której zaproponował zejścia z placu nawet nie próbował. Kuzynkę Ilinicz podjął się odprowadzić do leśniczówki. Ten lubił w polowaniu tylko zakończenie: obiad, karty, rozmowy, czasem handle na konie i broń. Szymon wyprowadził myśliwych na tryb szeroki w świerkowym ostępie. środkiem płynął ruczaj ledwie widoczny i gdzieniegdzie rosły olchy. Strzelcy mieli przed sobą o kilkanaście kroków czarną ścianę świerków, za sobą dębowy las, dość rzadki. Prawie każdy, zajmując stanowisko, po tych dębach spojrział, wybierając najbardziej rosochate na wypadek odwrotu, i każdemu mocniej biło serce. - Pamięta pan moją wolę! - szepnęła Nika. - Za dobry punkt wdzięczność moją kupi sobie pan, a ja na wiatr nie obiecuję. - Za taką nagrodę gotówem zdradzić pana Zagrodzkiego - odparł z uśmiechem, rozglądając się uważnie. - Tu pan stanie! - rzekł głośniejszym głosem do pana Seweryna. Ten chwilę się zawahał, obejrzał położenie i wskazał jakiś punkt w oddali. - Tamtędy wyjdzie! Dobrze! Dajże mi porządnego sąsiada, bo tu nie żarty. I został, ale po chwili aż zaklął przez zęby widząc, że za nim Łabędzki umieścił Nikę. - Oszalał! - zawołał i wbrew prawidłu poszedł za nim. Zrozumiała go Nika i zatrzymała. - Pan mnie chce stąd wyrugować? Zostanę, powiadam; więc niech pan wraca, skąd przyszedł. - Pani nie ma pojęcia o niebezpieczeństwie. - Mam, i jestem pewna nawet, że z wrażenia spudłuję, ale zarazem jestem przekonana, że mi pan zginąć nie da, a niedźwiedzia chcę widzieć. - Pani nie wie, jak on prędko naciera. - Ale pan wie. - Proszę mi swą broń pokazać. Obejrzał; był to pyszny sztucer małego kalibru, ale najlepszego systemu. Ruszył tedy ramionami i rzekł: - Nad szalonymi czuwa Opatrzność. Niech więc pani ciągle pamięta, że ja nad panią czuwam, i głowy nie traci. Ale oto i Szymon o sukursie pomyślał. Spoza drzew wysunął się drab dziko a pocziwie patrzący i jak cień umieścił się za Niką. Broń miał przedpotopową, ale oko myśliwskie i bary olbrzyma. - A, jesteś tu, Hipek! - rzekł Seweryn. - Jestem na służbie w Sokołowie - odparł szlachcic - i pan nadleśny kazał mi na krok panienki nie odstępować. - Na służbie jesteś u mnie? Odkąd? Gdzie? - Od wczoraj. Gajowym w Bobrówce. - To Łabędzki lisy bierze na dozorców kurnika! - zaśmiał się Sokolnicki. Hipek poczerwieniał. - Kiedym był lisem, tom nie służył. Teraz ogar jestem - odparł śmiało, patrząc panu w oczy. - Pyszny chłopak! - zawołała Nika i sięgając do kieszeni, podała mu garść srebra. Ale Hipek się usunął, urażony. - Klejnot mam, proszę panienki, na piwo nie biorę. Za dobre słowo dziękuję. W tej chwili zagrała trąba Szymona. Sokolnicki pobiegł na stanowisko, uczyniła się cisza. Wiatr szedł z ostępu, więc wyraźnie dobiegały wrzaski obławy, tym przeraźliwsze, że chłopci, wylękli, dodawali sobie krzykiem rezonu i chcieli z daleka spłoszyć zwierza i ruszyć. Psy nie dawały znaku życia, aż naraz wszystkie od razu zagrały tak szczególnie, że każdy z myśliwych poczuł, że ruszyły grubego zwierza. Ujadały wciąż w jednym miejscu, daleko, więc się nikt zwierza rychłego nie spodziewał i Nika drgnęła nerwowo, gdy za nią rozległ

się szept Hipka: - Widzi panienska jego? To stary. - Gdzie? - szeptala czujac, ze blednie. - Tam, wprost nas. Stanal za swierkiem i wesy. Poidzie na sokolowskiego pana. Wtedy Nika ujrzała pod czarna sciana jakaś masa ciemna, nieruchoma i zaczela drzeź. Wtem masa ruszyła tak prędko jak klusem idacy koń. Szła na Sokolnickiego i niespodzianie rzuciła się w bok na Nikę. Dziewczyna była blada jak papier. Zacięła zęby do krwi, zmierzyla; strzał padł. Niedźwiedź ryknął, snadź trafiony, i rzucił się na oślep przed siebie. Wtedy Nika strzeliła raz drugi, nie celujac, i uskoczyła w bok. Niedźwiedź był już o sto kroków, co chwila potrząsał lewą łapą, roztrzaskaną, i kołyszac głową ryczał wściekły. W tej chwili Hipek palnął, a piston tylko spalił, więc się chłopak naprzód rzucił, strzelbę oburącz trzymajac za lufę jak maczugę. Przed oczami Niki uczyniło się czarno: nogi jej wrosły, zda się, w ziemię; chciała krzyknąć... nie mogła. Kołowało się jej w głowie. Krzyki rozległy się wokoło, potem dwa strzały, potem tupot biegnących i "hurra" z kilkunastu piersi. Nika wtedy usiadła na ziemi i poczęła wodzić rękami po twarzy. Zęby jej szczękały jak w febrze. - Co pani, na Boga? Co pani? - rozległ się nad nią troskliwy głos Woyny. To ją ocuciło. Spojrzała przytomnie. Opodal stała gromada strzelców i słycaż było głos Hipka: - Ja bym mu był leb rozmiażdżył! Już mi pod ręką był. - Tobie na łbie warto twą strzelbę rozbiż! - odparł gniewny głos Sokolnickiego. - Z takim rupieciem chodź się na kaczki, a tyś się podjął pilnować panienki. Daj mi zaraz ten grat przeklęty! I słycaż było rozbijanie w sztuki drewna i zamka. Nika wstała, bo już z dala Zagrodzki biegł zdyszany, krzyzac: - Nika, Nika! Gdzie moje dziecko! Boże! Woyno chciał jej podać ramię, ale już odzyskała swą moc i swobodę. - Dziękuję panu! Stchórzyłam jak rekrut, ale to się podobno zdarza i bohaterom. Jestem, papo, ale się wstydzę pokazaż! Zagrodzki ją porwał w ramiona i płakał. - Mój Boże! Co matka powie! - powtarzał. - Jakże to było? Kto mi dziecko uratował? - A któż by? Seweryn - odparł Woyno bez cienia zawiści. - Ja biegłem wprost. Wszyscy krzyczeli. Przyznam się, zem dla pośpiechu nawet strzelbę rzucił. Straciłem głowę. A ten dopuścił bestię na kroków kilkanaście do tego chłopca, i palnął. Wtedy upadł, potknawszy się na korzeniu; ktoś przeze mnie przeskokczył; podrapałem się o gałęzie, no i dopadłem do panny Niki... już po wszystkim. Nagły wybuch śmiechu zakończył opowieź. Wtedy ujrzała też raz pierwszy Nika, że i Sokolnicki umiał się śmiaż. Stał przy zabitym niedźwiedziu i nogą go trącał, a obok niego stał Hipek, patrząc żałośnie na szczatki swej rusznicy. - Czym ja panu się odwdzięczę! - zawołał Zagrodzki wyciągajac do bohatera ramiona. - Nie ma za co, panie, doprawdy nie ma za co! Szymon był obok, nic by się pannie Weronice nie stało złego. Niedźwiedź myślał o ucieczce, a nie o napaści. Nawinał mi się pod strzał i tyle! Ale gdzie reszta, gdzie psy, gdzie nagonka? Odpowiedź przysła w tej chwili. Był to nadlesny konno, cały wzburzony. - Niedźwiedzica leży w jamie. Nie daje się ruszyż. Co robiż? - zwrócił się do Szymona. - Daleko? - zagadnął Sokolnicki. - Parę tysięcy kroków w głębi. - Chodźmy do niej. - Chodźmy - powtórzyła Nika. - Nie pozwolę. Nie poidziesz! Mam jedno dziecko! - zawołał Zagrodzki. - To poidziemy z papą pod rękę - zaśmiała się ciagnac go za sobą. I poszli wszyscy gromada przez gaszcza i wywroty, kierujac się na wrzask nagonki i zajadłe szczekanie psów. Sokolnicki, widzac w oczach myśliwych zawiś o jego triumfy, nieco opodal pozostał i rozmawiał z Woyną. Szymon rwał się naprzód. Po chwili ci dwaj zostali zupełnie w oddali i Woyno rzekł: - A co? Cudo nie dziewczyna! Czy wiesz, jeśli jej nie zdobędę, nie przeżyję. - Znam ładniejszą - odparł Sokolnicki zapalajac papierosa. - To nie może być. - Mogę ci ją jutro pokazaż. - Któż to? - Dziewczyna ze wsi. - Pfuj! Takie porównanie. - Jeśli chodzi o pięknoź, to stan nic nie znaczy. - Ale ta ma wszystko! I pięknoź, i szyk, i królewską postawę, i wdzięk w każdym ruchu. świat poznałem i nic podobnego nie zdarzyło mi się spotkaż. - Boś się zakochał teraz. - Tak, przyznaję. Ją zdobyż i umrzeż! Sokolnicki wybuchnął śmiechem. Woyno się obrził. - Nie kochałeś nigdy? - Ja? Na to mnie nie staż. Ożeń się nie mogę, a kochaż bez wzajemności i wyznania - na to trzeba mież wolną głowę i czas na mrzonki. A ja tyle mam na to ochoty i humoru, co ten niedźwiedź, który tam za nami leży na

polanie. - Bajesz! Ale tylko mi Niki nie pokochaj, bo cię zastrzelę, a potem siebie. - To niestraszna groźba, jeśli zawsze, pod silnym będąc wrażeniem, rzucasz broń za siebie. - To nie odpowiedź. Ja mam przeczucie, że będziesz mi rywalem! - A ja mam przeczucie, że ty rychło będziesz się leczył z halucynacji. Ja, twój rywal! Cha, cha! No i czego oni tam stoją i gapią się? Istotnie myśliwi zbili się w gromadkę i patrzyli w jeden punkt. W ciasnej gardzieli leśnej leżał burzą zwalony świerk olbrzymi; wkoło nieprzebyty gąszcz krzaków, zarośli, chmielów. Tam się rwały psy, odskakując co chwila z wyciem i piskiem, i naokół, w przyzwoitej odległości, stali chłopci udając, że postępują naprzód, a raczej się cofając. - No i co? - spytał Sokolnicki, gdy Woyno już się do Niki zbliżył i wcale się niczym więcej nie zajmował. - Leży pod wywrotem, ale wyjść nie chce! - odparł Szymon. - Byłem tam i rzucałem kamienie, ale ani się ruszy, tylko mruczy. - Podpaliż świerk! - zawołał Hipek. - Aha! I las z nim razem! - burknął Niemiec. - No, to niech kto pójdzie i podkurzy ją kłakami! - rzekł Sokolnicki. - Padam do nóg! Mam żonę i dzieci! - zawołał ktoś z myśliwych. - A mnie życie miłe! - A ja nie napisałem jeszcze testamentu. - A księdza macie, żeby przed śmiercią mnie wyprowadził? I tak każdy niby żartem się wymawiał, i stali wszyscy, bezpieczni w gromadzie. - Proszę mi daż kłaków! Ja pójdę! - rzekł Szymon. - A cóż to, czy ja niedołączny? Potrafię sam! - odparł pan Seweryn. - Nie mam żony ni dzieci i życie mi nie tak nazbyt miłe, a i bez testamentu się obejdzie! śmiał się jakby upojony niebezpieczeństwem i bez pośpiechu wyjął stempel, nawinał nań garść lnu, opatrzył swe pistony i poszedł przeskakując zwały i rozchylając gąszcze. Za nim poskoczył Szymon, Hipek i z nagonki, po chwili szamotania się z ojcem, Ihnat Wilk. Psy, czując sukurs, rzuciły się jeszcze zajadłej. Nika skoczyła na zwaloną kłodę i wszyscy wyciągali szyje, trochę urażeni i zawstydzeni. Po chwili ujrzeli Sokolnickiego i Szymona na korzeniach świerku, tuż nad jamą czarną, skąd rozlegało się dzikie mruczenie i mlaskanie szczęk. - Ano, staruszka! Do tańca! - krzyknął pan Seweryn, stukając kolbą o drzewo. Ryk mu odpowiedział z głębi, ale staruszka była niewidzialna. Wtedy śmiałek strzelbę ramieniem do boku przyczysnął, zapalił kłaki i wetknął je w otwór. Jednocześnie ryk wściekle odrzucił wstecz Ihnata i Hipka, i ponad korzeniami, o krok od pana Seweryna, ukazała się do pół ciała nad jamą niedźwiedzica olbrzymia, gotując się do skoku. Była to sekunda, ani czasu do celowania, do wydobycia spod pachy broni, do opamiętania. Pan Seweryn cyngiel spuścił: strzał padł, potem drugi Szymona. Zwierz ryknął, pazury się osunęły, zwała się w głąb. Wtedy Sokolnicki ze świerku zeskoczył, zdjął czapkę i przeżegnał się, a potem jął obcierać twarz z potu i milczał. Teraz do jamy skoczył Szymon, Hipek, Ihnat i poczęli wrzeszczeć: - Dwa piastuny, bez tchu! Można żywcem brać! - Bij! bij! - krzyczał Zagrodzki zatykając uszy, tak blady, jakby śmierć widział. Nika pierwsza była przy Sokolnickim i podała mu flaszkę oplataną z koniakiem. Bez słowa wypił, a potem raz pierwszy spojrział jej w oczy. Była w tych oczach groza i przestrasz. - Wylękła się pani. Prawda? To nie żarty? - Oj, nie! I nigdy bym nie chciała drugiej podobnej chwili przeżyć. Gdyby piston nie spalił? - I to się stać może. Ano, byłby koniec! - To okropne! A pan się nie przestraszył? - Nie było czasu! Po strzale dopierom się opamiętał, i choć myślałem, że za nic mam życie, to fałsz! Człowiek je bardzo kocha, chociaż najgorsze. Teraz wszyscy otoczyli go kołem winszując, podziwiając zimną krew. Woyno chciał zaraz kupić od niego strzelbę jako talizman. - Strzelba już nie moja. Temu chłopakowi ją obiecałem w duchu! Masz, Hipek; tylko do rabunku jej nie używaj! - Pogrzebowego - zaproponował Zagrodzki. Stuletnia starcka zaczęła krążyć, rogi i trąbki zagrały triumf i humory się ożywiły, a opowieści sypały się bez liku. Tylko Nika była bez humoru, roztargniona a milcząca. Nie mogła się opamiętać ani odzyskać równowagi. Coś ją wstrząsnęło w chwili, gdy ujrzała paszczę zwierza u piersi śmiałka, coś ją wtedy zamroczyło, czego nie mogła ani przemóc, ani otrząsnąć. Teraz pragnęła być sama i rozmyślała lub być z nim tylko i zajrzeć mu w duszę. V Nastał listopad tak zimny i błotnisty, że przerwały się stosunki dworów i wsi; drogi nie do przebycia, wodne szlaki opustoszały, kraj był czarny i ponury od

ziemi do nieba. W Sokołowie ruszyła gorzelnia i robota skupiła się w obrębie dworu, dokąd ściągano opał i kartofle. Po krótkim dniu następowały wieczory bez końca, które pan Seweryn spędzał samotnie u komina, medytując, zapatrzony w żar i nie widząc dla trosk swych i kłopotów żadnej nadziei ani wyjścia. Setny, tysiacyjny raz obracał w głowie swój budżet tegoroczny. Omlót zboża był fatalny i ceny niskie, popytu na opasy żadnego, wódkę miał już zahaczoną na obrót gospodarski. A nad nim, jak miecz Damoklesa, wisiał Nowy Rok, termin podatków, raty bankowej, ubezpieczenia od ognia, zasług służby i procentów od prywatnych długów. Wszystkie te cyfry miał ogniem wryte w mózgu, prześladowały go na jawie i we śnie. Wiedział, że i dziesiątej części ciężarów nie pokryje z dochodu, musiał, jak zwykle, ratować się jedynym kapitałem, który majątek zjadał systematycznie co roku - sprzedając lasu. Co roku też, korzystając z jego biedy i potrzeby, las ten zabierał Alter z Jeziora, za cenę, którą sam oznaczał, śmiesznie małą, ale z nim nikt nie konkurował. Sokołów w statutach żydowskich należał do niego. Co rok pan Seweryn poprzysięgał, że raczej duszę diabłu zapisze, niż raz następny sprzeda las Alterowi, i co rok potrzeba gwałtowna, a brak kredytu, zmuszały go do tej ostateczności. Teraz nadchodził ten czas dobrowolnej zguby. Poręb był wytknięty; Alter już go znał; widzieli też inni, przezeń nasłani, by dawali niższą cenę; już ich pan Seweryn przegnał, już swą postawił, sześć tysięcy rubli, już Alter swoją cenę naznaczył, trzy tysiące pięćset rubli, i z tym się rozeszli. - Niech się pan namyśli i obrachuje! - rzekł ید odchodząc i więcej się nie pokazał, wiedząc, że około Nowego Roku pan po niego sam przyśle. Pan myślał i rachował, i dzień po dniu upływał bez żadnego rozwiązania kwestii. O pożyczaniu tak grubej sumy nie było nawet mowy. یدzi okoliczni nie daliby grosza bez pozwolenia Altera, zresztą pan Seweryn żydowskich długów nie miał i nie mógł zaciągnąć: sąsiedzi byli sami w podobnych, jak on, opałach, prócz Woyny i Zagrodzkiego, a tych by Sokolnicki nie prosił, nawet gdyby szło o życie. Nie było ratunku, tylko przyjął warunki Altera, a resztę, dwa tysiące pięćset rubli, u niego dopożyczzył na przyszłoroczną wódkę. Gdy myśl pana Seweryna, po bezowocnym krążeniu i wynajdywaniu wyjścia, dochodziła do tego wyniku, brał swą znękaną głowę w dłoń i z cicha jęczał. W wielkim pustym domu jęk ten rozlegał się i tłukł po ścianach jak po piekielnej drodze jęk Syzyfa. Wtedy to, w taki posępny wieczór, gdy wichur wył po kominach i myśli wyły w głowie, zjawił się w Sokołowie ید z miasteczka, właściciel zajazdu i faktor znany na całą okolicę. Pan Seweryn przyjął go, od komina się nie ruszając ani głowy nie podnosząc? - Czego chcecie? - Ja do pana ze złotym interesem przyjechał. Czy pan chce skrzynię pieniędzy? Młody człowiek oczy podniósł. - Tego się nie odmawia, tylko to zapewne nie prezent, więc za coś mam to dostać? - Za zgryzotę i straty! Co długo mówisz! Dam panu kupca na majątek. Pan Seweryn głowę znowu spuścił i jał żar rozrzucać. Na czoło wystąpiła mu krew. ید, ośmielony milczeniem, jał dalej mówić: - To książę Adakale. Magnat, monarcha! On sam nie wie, co z pieniędzmi robić; on da panu trzykroć sto tysięcy na stół - od słowa! Czy pan wie, ile za Miernicę dał? Pan Seweryn drgnął. - Za Miernicę? Pana Ilinicza? Sprzedana? To nie może być! - No, może jeszcze to sekret? Do wiosny pan Ilinicz jeszcze siedzi, ale już zadatek wziął i plac w miasteczku kupił, gdzie ma tartak stawiać. Ja już faktorne dostałem! Umówili się na sześćdziesiąt tysięcy rubli. śliczny grosz! Pan Seweryn już milczał jakby ogłuszony. Nie chciał uwierzyć, nie mógł! Tam była jego siostra, która tak kochała Miernicę; majątek stara Iliniczowa, matka, sparaliżowana staruszka, utrzymała niegdyś w złych chwilach, kosztem młodości, zdrowia, krwawych łez i niestrudzonej pracy. A teraz precz stamtąd pójdą! Jak Ilinicz im to powie, tym kobietom, jeśli to prawda! Ale to być nie może, ید zmyśla, byle go obalamucił. I nagle wściekłość go ogarnęła na tego zwiastuna złej wieści, tego oszusta, Judasza. - Więc jeśli książę Adakale nie wie, co z pieniędzmi robić, to mu sprzedaj swoją żonę i talmud Tora z waszej bóżnicy! Słyszałem, że da za to ładny grosz! Ale mojej ziemi nie masz prawa mu stręczyć, bo nie jest na sprzedaż! Marsz! I podniósł się z miejsca z takim wyrazem oczu, że ید bez pożegnania się

wycofał. Wtedy pan Seweryn chciał natychmiast do szwagra jechać, dowiedzieć się choćby czego najgorszego, byle tylko mieć pewność; ale nie miał odwagi. Jeśli prawda, co mu da? Ratunku nie może, pociechy - nie potrafi, sam będąc zwątpieniem przejęty, potępienia - nie ośmieli się! Został tedy, do głębi zbolący, znękany, słuchając jęku wichru i padających kropli zimnego deszczu po szybach. Gdy nad ranem pomyślał o spoczynku, przypomniał sobie, że w swoich dumaniach miewał pociechę od Szymona, a ten się od dwóch tygodni wcale nie pokazywał. Było to dziwne; może był chory, a może i ten go opuścił, zubożniał lub znalazł sobie w samotności rozrywkę. Zaraz nazajutrz ruszył pan Seweryn na leśniczówkę. Na progu przyjęła go Semenicha, kłaniając się w pas po chłopsku, lecz wyglądała jeszcze bardziej ponuro niż zwykle. - Pan twój w domu? - Jest, ale źle z nim. - Cóż, chory? - Zobacz pan sam. Seweryn zaniepokojony wszedł do pomieszkania. Jak u niego we dworze, tak i tu palił się ogień na kominie, a przy nim na ławce leżał Szymon tak mizerny i wynędzniały na twarzy, że do siebie nie był podobny. Na widok dziedzica podniósł się, ale patrzył jak błędny i nic nie rzekł. - Co ci, Szymku? - zawołał przerażony Sokolnicki. Łabędzki poruszył bez słowa ustami, twarz mu się skurczyła, usiadł na powrót, głowę ujął w dłonie, całe ciało mu drżało i wreszcie, z jakimś dziwnym wybuchem, jękiem zapłakał. - Na Boga, co tobie? - powtórzył Sokolnicki, siadając przy nim i obejmując go za szyję. - Umarła! - wyjąkał Szymon wśród łkania. - Twoja żona! Biedaku! Jakże mi ciebie żal? Skąd! Jak? Tak niedawno był list od Natałki! - Przeziębła się. Przymierała głodem. Zapalenie płuc i już jej nie ma, nie ma! - powtórzył z jękiem. Naprawdę Sokolnickiego bardziej dotknęła jego rozpacz niż sam fakt. To małżeństwo było dlań niczym nie wytłumaczonym szaleństwem dwojga zapaleńców; było dla Szymona w szkołach kulą u nogi, potem dziwolągiem bez przykładu i Sokolnicki dopiero teraz zrozumiał, po tej rozpaczce, miarę ukrytego uczucia w sercu kolegi. - Któż cię uwiadomił? - zagadnął nie wiedząc, jaką znaleźć pociechę i w głębi duszy rad z rozwiązaniem. - Uwiadomiła Natałka, że zachorowała; wtedy właśnie oznaczałem poręb; potem przyszła wieść o pogorszeniu: miałem termin spraw w sądzie! Chciałem pojechać ratować - nie miałem czasu - i ot, tydzień temu przyszła depesza, że już po wszystkim. Na wiosnę miała się doktoryzować, tyle przetrwała, przecierpiała, zniosła i było jej ciężko tak odejść w przeddzień triumfu! - A zostawiłaż ci chociaż pożegnanie, choć wspomnienie? - Nie wiem. Co mi po tym. Mnie jej szkoda, nie siebie. Miała silną duszę i czysty w niej klejnot, który nade wszystko kochała. Mój Boże! Jak się musiała ze śmiercią mocować, jak musiała się bronić, walczyć! Gdy o tym pomyślę, to mi ból serce wygryza! Nie mogę wytrzymać z żalu. I już wszystko skończone. - Opamiętaj się, Bogu ją zostaw; żalem ni rozpaczą nie wykupisz. Już jej tam lepiej niż nam tutaj, a kiedyś podobno mamy się odnaleźć. Toś ty ją tak bardzo kochał! Do czegoś ty podobny? Opamiętaj się! Czyś ty żył dla jednej kobiety tylko? Czyś ty cel stracił i powołanie życia? Toż ja twój brat i troski moje wzięłeś za swoje? Szymon skurczony, znękany, nawet głowy nie podniósł. - Ja już i panu służyć nie będę. To może ja nieszczęście przynoszę i odbiegła mnie wszystka moc i otucha. Od tygodnia tu leżę bez snu i jadła, bez woli i siły. Niech mnie pan zwolni. Jam do niczego niezdatny. - A słyszałeś ty, że Miernica sprzedana? Szymon głowę podniósł i słuchał, jak słucha ranny żołnierz pobudki apelu. - A wiesz ty, że Sokołów podobny los czeka, jeśli ty mnie odstąpisz? - mówił dalej ponuro Seweryn. Szymon się wstrząsnął. - Nie może być! - wyjąkał. - A zresztą co ja pomogę, ja nędzarz i taki znękany! - Więc ja ciebie mam krzepić? Ja - ciebie? Tyś mnie dotąd jak tonącego nad wodą utrzymywał, płynąc za dwóch przeciw prądowi. Czy mnie rzucisz na pastwę Altera i księcia Adakale? Wiesz, i jam tygodniami rozpaczał i rozmyślał, i może Ilinicz najlepszą drogę obrał. Czy warto walczyć i życie na to marnować? Opuścił głowę na rękę i umilkł. Ale Szymon był już ze swego osłupienia otrząśnięty i zerwał się. - Nie, ja nie chcę tak! Nie chcę - zawołał. - Czego nie chcesz? - Ustąpić tak z placu - żywym! Ja nie chcę być gorszym, słabszym od niej. Nie, nie! Niech mi pan daruje. Nimem ją poznał, wyście już byli. Nauczyciście myśleć, czuć, daliście światło, ideał.

Wyście starsi w mej duszy! Miernicę trzeba ratować, Sokołowa nie damy. Pan sam by tej straty nie przeżył! Nie, nie... trzeba walczyć. Czy pan mówił z panem Iliniczem? - Nie, i nie chcę! Jeśli to fałsz, wstyd mi to zarzucić; jeśli to prawda, nie chcę pierwszy słyszeć. Ty jedź i spytaj! - Nie, to tylko może uczyniż panna Barbara. Do niej trzeba o pomoc i radę się udać. Zaraz niech pan tam jedzie! Ja o Sokołowie muszę myśleć. Czy Alter nie daje sześciu tysięcy za las? - Ani rubla ponad pierwszą cenę. - Więc nie dostanie lasu! Pieniądze będzie pan miał jutro. - Majaczysz! - Nie, kupuję ja las u pana, kontrakt na moje imię. - Jeśli to nie złudzenie, to odżyję cudem... znowu na rok! - uśmiechnął się smutno pan Seweryn. - Za rok skończymy sprawę o służebności z Omelną i weźmiemy tysiące za siano. - Już mój ojciec umarł, oczekując tego końca! - gorzko odparł Sokolnicki. - A pan go dożyje! - Zobaczymy! Ty mnie zawsze nad wodą utrzymujesz. Dzięki ci! A teraz, słuchaj no, czy u ciebie nie zachowują zwyczaju gościnności? Nie dasz mi co jeść? Szymon zawołał swej gospodyni o obiad i kazał chłopcu konia zaprzęgać. - Dokąd jedziesz? - zagadnął go Sokolnicki, siadając do stołu, rad, że go przecie wyrwał rozpacz. - Wstyd mi wyznać. Od tygodnia nie byłem poza drzewiami. Cała otucha, że mój szwagier czuwa nad kolegami gajowymi. - Cóż Dubinki na ten skandal? - Sądny dzień się działo, ale Hipek zbił Morskich, postrzelił Makarewicza i zapowiedział, że gdy go spala, Dubinki nie przetrwają nawet tygodnia. Teraz niby cicho, ale wrą ci tam i naturalnie, odgrają się bardziej na mnie niż na Hipka. - Bój się Boga! Oni cię uśmiercą! - Jak przeznaczone - odparł spokojnie Szymon. - Z wiosną radzę panu wziąć Hipolita do dworu na magazyniera. Pan Seweryn milczeniem zbył propozycję. Pomimo całej wiary w Szymona miał słabość do ekonoma i już dał mu się namówić na pozostawienie przyszłego zięcia na straży śpichlerza. Po bardzo pierwotnym obiedzie rozjechali się. Łabędzki zlustrował las i o zmierzchu stanął w Bobrówce. Hipolit był w lesie; na progu chaty, która już wyglądała porządniej, przyjęła brata Weronka. Była to dziewczyna małomówna i dzika, doskonała towarzyszka dzikiego chłopca, pracownica niestrudzona, rządna gospodyni. W izbie były już sprzęty codziennego życia, piec i ściany obielone, szyby w oknach, chleb w dzieży, garnek u ognia. Tylko nigdzie nie było łóżka ni pościeli. Zwrócił na to uwagę Szymon. - Gdzie sypiasz? - spytał. Dziewczyna poczerwieniała nagle, ale śmiało spojrzała mu w oczy. - Tu na ławce - odparła - a Hipolit w czółnie. Nad ławką tą wisiała strzelba nabita. - Dobrze tak - rzekł Szymon, po głowie ją głaszcząc. - Cóż, niczego ci nie brak? Nie nudno? - Oj, nudno, bo lnu nie mam do przedzenia. - A za ludźmi nie tęskno? - Nie. íeby oni wszyscy przepadli. - Antolka was nie odwiedza? - Płynęła kiedyś pod chatą i kamieniem wybiła szybę, i tyle. - A matka? - Była dwa razy i wyklinała przez drzwi. Makarewicz co dzień się zjawia i strzela do chaty. Wczoraj strzeliłam i ja przez okno. Uciekł. - Nie straszno ci? - Nie. íywcem mnie nie wezmą, a nim mnie zabiją, każdego, co się ośmieli, uśmiercę. Więc niech oni się boją. íeby дочекаż się ślubu, to sama do Dubinek pójdę. Skrzynię moją musza mi oddać. Tyle lat przedłam i tkałam, nie im, lecz sobie i mężowi. - Hipolit prędko wróci? - Nie, zanocuje w borze. Onyśko dziś ma Alterowi sąg drzewa wydać. Hipek ma ich złowiż i fury do dworu zawróciż. - To dobrze! Ja tu u was konia zostawię, a czółno wasze wezmę. Lekkie ono? - Ciężkie i dziurawe. Daleko ci? - Do chłopskich Dubinek. - To weź mnie z sobą, będę wodę wyczerpywała i pomogę wiosłoważ. Czyś ty nie chory, żeś tak wychudł i szerniał? - Troskę miałem; ale nie ma czasu o tym mówiż i myśleż. Służba przede wszystkim. Jedźmy! Noc tymczasem zupełnie zapadła i na mniej bystrych strugach mróz już zaczynał ścinaż wodę. - Może już ostatni raz płyniemy przed zimą - rzekła Weronka - po wsiach już ludzie czółna pod szopy pochowali. Zaczęła wyczerpyważ wodę i spytała nieśmiało: - Co teraz z Dubinkami będzie? - A cóż! Dałem im termin do Bożego Narodzenia, by zgodę uczynili i podpisali. Jeśli się nie upokorzą, po Nowym Roku wyroki będę wykonywał. - Makarewicz i Morscy do ugody nie dopuszczą. To co oni z sobą zrobią potem? - Czemu o tym pierwszej nie pomyśleli! - Mnie ino szkoda starego Adama i Antolki. - Za tę szybę, co ci wytłukła! - rzekł gorzko. - Ona jest zła jak jędra, ale pracowita, honorna i

prawdę w oczy powie, a nie oszuka nawet na żart. My z nią przyjaciółki były aż dotychczas, a że widziałam, jak pracuje, żal, gdy na dziady zejdzie za cudze grzechy. Adam najmniej winien! - A nasz pan co winien, że go do ruiny doprowadzają? A nad nim litość kto ma? Czy myślisz, że on nie pracuje, dlatego, że sam nie orze i nie kosi? A każdy go szarpie i krzywdzi. Dubinki muszą zginać i wszyscy tam winni! - A matka? - szepnęła cicho. - Matka u ciebie znajdzie schronienie, jeśli u mnie nie przyjmie. A ja nie oszczędzę nikogo w tym gnieździe zbójców! - A ty byś nie był krzyw, żebyśmy ją przyjęli? - Uchowaj Boże, ale tylko ją, nie Morskich. - Tych niech ziemia pochłonie. - Otóż i Dubinki! Czólno na piasek wyciągnij i chodźmy. Do Wilków mam interes. - Długo zabawisz? Na wieczornicę jedziesz? - Nie, do baby mam sprawę. Poszli w ulicę wioskową, pustą i głuchą. Ludzie jednakże czuwali jeszcze, bo świecili czerwono ognie po chatach. U Wilków, jak zwykle, było pełno w izbie. Przeciągnęła, tęskną pieśń śpiewały przadki, gdy Szymon stanął w progu. - Sława Bogu! - pozdrowił Makara, który u progu plótł kosz na ryby. - Cóż u was słycaż? - Po staremu tymczasem! - odparł chłop przyjaźnie. - A co? Może znowu do szlachty ruszymy. - Nie, do baby mam interes. - Baba w swej chatce już spoczywa. Słabuje od tygodnia. Tekla, zaprowadź pana do baby! Dziewczyna zerwała się od kązieli. Miejsce jej natychmiast zajęła Weronka, rada, że może prząść choź trochę. Kobiety pozdrowiły ją jak znajomą. Była przecie bajką okoliczną. - A wy zaraz do roboty! - zagadnęła któraś. - To tak z uciechy, zem len zobaczyła! Swego nie mam - odparła ze smutnym uśmiechem. - Toście tak zostali bez nijakiego dobra? - A ot, jak stoję! Dobrze, zem z duszą uciekła. - A i sława wam, żeście koniokrada nie chcieli. Kobiety zaczęły między sobą szeptaż, radziż, potem po jednej wysuwał się za drzwi. Wracały jednak po chwili i każda coś niosła ukrytego w fartuchu. Tymczasem piękna Tekla wyprowadziła Szymona na podwórze i gdy już byli zupełnie sami, rzekła: - Dawnoście, panie, naszych pieśni nie przyjeżdżali słycaż. Zda się lata minęły! - Nie było czasu na pieśni! - westchnął. - Oczy wam posmutniały, widzę. Bodajże ten dobra nie znał, kto was stroskał, panie_sokole. A u nas wieczorem bez was, jak ta ruta pod śniegiem! I u nas troska! Słydzeli wy? - Nie; może Ihnata do wojska wzięli? - Gorzej! Słycaż, że ten się w okolicy pojawił. - Kto? - A ówże mój tatko nieszczęsny! - Nie może być! Uwolnili go? - Nie, uciekł! Gadają, co u Makarewiczów w Dubinkach się pokazał i po lasach się włóczy. Baba z tego i choruje. Mój Boże, jak on tu kiedy przyjdzie. - Nie ośmieli się złęgo uczyniż. Zresztą was tyle ludzi: nie dacie baby! - To pewnie! Ihnat i Maksym wartują nocami w jej chacie i do Ułasa baba chodziła. - A cóż Ułas pomoże? - On wszystko wie! Powiedział, że jej krzywda się nie stanie, ale grosze kazał schoważ. - To pewne, że na pieniądze się najłacniej ułakomi. A ty się jego nie lękasz? - Nie! Ja bym chciała go zobaczyż! Może nieszczęsny. Ja bym jego stała prosiż o babę. Przeszli podwórze i w głębi weszli do małej, starej chatki, w której mieszkała sama baba i złożone były skarby całej rodziny. - Kto tam? - spytała przez drzwi stara. - Pan komisarz do was! - odparła Tekla. Odsunięto skobel i Szymon wszedł do izdebki, która wraz ze ścianami wsunęła się prawie zupełnie w ziemię. Okna były zasłonięte matami ze słomy, u komina baba przędła. - Myślałam o was, panie, i chciałam jutro do was pójśż. Siadajcie pod obrazami. Dobry gośż! Teklo, daj zakaskę! Szymon odetchnął z ulgą, czując, że interes pójdzie gładko. - Słydzę, chorujecie, babo! - rzekł. - Nie choroba, ale zgryzota. Wiecie nowinę? Liszka z katorgi uciekł i po lasach chodzi? - Może to bajki są? Trzeba policję uwiadomiż! - Nie bajki, bo Ułas już o nim wie, a policję po co uwiadomiaż? íeby go szukali! Aha, a któż go wyda, żeby życie straciż? Nie, uchowaj Boże zwierza rozdrażniż. Co ma się staż, to się stanie. Moja dola nieszczęśliwa. - Nie damy was, babo! - Ja o siebie się nie boję. Ułas prawi, że mi nic nie będzie. Ale - tu się obejrzała wokoło - grosza się zebrało, i tego trzymaż nie można. - Dużo macie? - Sama nie wiem. Już trzy lata nie liczyłam. Zebrałam na radę synów, gdzie by je schoważ, ale oni powiadają: Jak umrzesz, babo, wtedy nasze głowy o to będą boleż, a pókiś żywa, to sobie sama radź! Ustym mówi, żeby ziemię kupiż, ależ to nie w tydzień zrobiż!

Trzeba szukać, chodzić, a tu grosze mnie pała! Więc ja was proszę chęć: weźcie wy je na przechowanie! Ot, z tym ja do was myślałam iść. - Także mi ufacie, babo! Jaż biedny sługa, ziemi ni chaty nie mam, żeby wam pewnoś dać! A jak umrę? - Wilczyca wie, kto majątek ma - odparła baba, wrzecionem dotykając jego piersi. - A jak śmierć na was, to ja wiem, że i z grobu przyjdziecie, i we śnie mi powiecie, gdzie je odbiorę. Nijakiej trwogi nie mam. - Długo mam je trzymać? - Aż się z tym uspokoi albo aż Ustym ziemię dobrą znajdzie. - Niech będzie wasza wola! Dziękuję wam za wiarę. - Sobie dziękujcie, nie komu. Tekla, zarygluj drzwi i zaśwież mi do schówki! Szymon ciekawie śledził jej ruchy. Gdy dziewczyna zapaliła smolną drzazgę, baba odjęła w kącie parę cegieł w podłodze i wydobyła z otworu jeden garnek duży i dwa małe. Oba były obwiązane szmatami. Postawiła je na stole i rzekła do Szymona: - Rachujcie, to najstarsze, jeszcze dziad zbierał. Same białe! Ustym kiedyś przesuszyl i mówił, że jest piętnaście setek! Szymon zaczął liczyć, układając po sto ciężkich, starych rubli. Baba przypatrywała się robocie, podparłszy brodę pięścią. - Brakuje piędź! - rzekł wreszcie Szymon. - Uschły się! - rzekła z całą wiarą baba, nie przypuszczając, że Ustym mógł się pomylić lub wziąć sobie tych kilka sztuk. Położyła na powrót cegły i posłała w drugi kąt, gdzie pod ławą, w rogu, rozpoczęła znowu grzebanie w ziemi. Teraz wydobyła garnczek żelazny. - Tutaj żółte są, co je dziad przyniósł z wojska. Nie pomnę liku. O tych i Ustym nie wie. Szymon policzył półimperiały. Było ich siedemdziesiąt. Potem baba otworzyła skrzynię i przyniosła w chustce gruby zwit asygnacyj. - To już synowskie zarobki! Z tym bieda: już dwa razy myszy popsowały chustkę. Flisacką słoninę czują! Szymon dalej rachował. Oparta o róg stołu przypatrywała mu się Tekla, tak zadumana, że zapomniała zgasić drzazgę dymiącą. Oczy jej nie schodziły z twarzy Lacha i czasami poruszały się usta bez słów, a w spojrzeniu tym była wielka smętna czułość. Na pieniądze nie zwracała żadnej uwagi, tylko czasem wzrok jej padał na obrączkę złotą na jego palcu i wdychała ciężko. Szymon zrachował i spojrział na babę. - Jest tedy sześć tysięcy sto siedemnaście rubli. Wystawię wam kwit, babo! - rzekł sięgając do kieszeni po notatnik i ołówek. - Nie! Papieru nikt nie zrozumie. Ot, weź tę laskę. Złam ją na dwoje, na trzy boki wyglądz i napisz wszystko. Na jednej stronie nakarbij białe, na drugiej żółte, na trzeciej papierowe. I na drugiej połowie laski to samo. Ten kawałek ja schowam, a ten drugi ty schowaj. Tak będzie cała prawda i tak każdy zrozumie. - Więc jak mi przyslesz te karby, to znak, że mam oddać pieniądze? - spytał ubawiony. - A jakże! A żeby kto nie dopisał, broń Boże, więcej i ciębie nie skrzywdził, to masz u siebie drugi znak. Trzeba je odymiż dla bezpieczeństwa, żeby na nowo nic nie można było pisać. Ot tak! - I wyciągnęła laskę nad ogniskiem. - To jeszcze mało, babo. Na wypadek mojej śmierci ja jeszcze wam jeden znak dam. Ot, weźcie ten pierścionek. Jak by mnie nie stało, pošlijcie go z tym rachunkiem do pana w Sokołowie. Ja mu powiem, co to znaczy. - Jak sobie chcecie, ino gdzie ja pierścień schowam? Złoty on, jeszcze kto ukradnie. - Dajcie mnie, babo! Ja schowam! - zawołała Tekla nagle. Baba popatrzyła ostro na nią. - Złote pierścienie nie dla czesnej (z ros. uczciwej) chłopskiej dziewczki! - rzekła surowo. - Nie tobie je nosić i chować! Tekla poczerwieniała. - Ja wiem, babo. Chciałam schować. Nikt by go u mnie nie zobaczył i nikt by nie wziął. Szymon położył swą obrączkę na stole i nagle powracająca fala żalu go ogarnęła. Objął głowę rękami i patrzył na ten drobiazg, tak marny, a taki dlań drogocenny i czuł, że go łyż dławia w gardle. Nie słyszał rozmowy kobiet. Tekla spostrzegła wyraz jego twarzy i w chwili, gdy stara wyciągnęła rękę po obrączkę, zatrzymała ją za rękaw. - Babo, nie rusz tego! - szepnęła. Wilczyca spojrziała na Szymona, cofnęła rękę i pokiwała głową. - Ale, on nieswoje ma oczy! - rzekła. - A jaż nie uważałam. Co tobie, sokoliku? I z prostotą pierwotną położyła mu swą twardą dłoń na głowie. Szymon się ocknął, przetarł oczy i żałośnie na nią spojrział. - Pochował ja, babo, swoją dumkę serdeczną. Za serce mnie żal ukąsił i zadumałem się... - Oj, sokole, jeszcze ci wiosna nie minęła, jeszcze ty nie wiesz, co znaczy pochowanie! Dumka serdeczna to czeremszyny kwiat i kukułcze po gaju kukanie: obleci, gdy letnia przyjdzie pora,

i znowu za rok powróci na mały czas. Mały bo czas wiosniany, a długi znój letni. Ze znoju życie i chleb, z wiosny ino pieśni. Nie taki ty, żeby tobie pieśń wystarczyła. Nie dumaj i nie smuż się po wiosnie! Są inne zęby, co duszę kasaają na śmierć, że już potem nie ożyje! A wiesz ty jakie? Kasa na śmierć człowieka dobrego wstyd, choroba i śmierć. Wstyd go przed Bogiem pochowa, choroba od ludzi go odtrąci, a śmierć ziemią jasne oczy przysypie. Od tego nie ma poratowania, ale pókiś czesny, zdrów i żywy, to głowy nie spuszczaaj, za siebie nie patrz... przed tobą wszystko jeszcze. Na wiosnę znowu czeremszyna zabieli gaje i pieśni po rosie polecają, i znój letni potem ci czoło obleje. O pochowaniu nie godzi ci się myśleć i robaka hodować w sercu! Jeśli cię ludzie ukrzywdzili, to ludzie drudzy ci oddadzą, jeśli Bóg cię uderzył, nie masz gdzie iść na sąd, więc się przeżegnaj, czerwoną kitajkę za siebie rzuć i idź dalej, byle prosto. Wszystko ci wróci! Ty rozumny i nauczny, ale ty baby zawsze słuchał. Posłuchajże i ten raz. W pierścieniu tym troska twoja leży. Nie wezmę ja go, bo takie rzeczy braż nie służy, ale i ty go nie bierz, i nie patrz nań. Za wioską woda bieżą, za czołno swe to rzuć, jako minione, a szukaj przed sobą doli. Może na cię czeka już za pierwszym rzeczonym zakrętem. A jeśli nie dola, to czeka cię trud, znój, ból, a do tego siły trzeba, nie dumki. Szymon słuchał z uwagą tej zdrowej, prostej logiki i uczuwał trochę wstydu dla swej osobistej troski wobec obowiązków. To prawda, miał przecież pracę, najlepszą pocieszycielkę i towarzyszkę. Więc spojrział z wdzięcznością na babę i rzekł: - Wasza prawda i święte słowa! Pot lepszy od łez, a czarna ziemia pod sochą zdrowsza od kwitnącej czeremszyny. Tak ci będzie! A teraz ja o jeszcze jedną radę was spytam. - Jako synowi poradzę - rzekła baba życzliwie. - Z omelniczą wsią chciałbym ład zrobić o te łąki i raję mi ludzie z Mikitką Czarnonosem się umówić, a on gromadę nakręci, jak zechce. - Nakręci, ale i odkręci! To krzywy człowiek. - Ale Ułasa posłucha? - Jak iyd rabama. - Tak mi Arechta radził. Ino strach mnie oblatuje, co ja z tymi łąkami zrobię, jak do nas przejdą, a potem kto gromadę zbuntuje i kosić nie zechcą. Może trawa zeschną nietknięta, bo nasi chłopcy tam nie pójda ze strachu przed Omelańcami. Baba zamysliła się, coś rachując w pamięci. Sięgnęła do worka na ławie i rzuciła na stół garść pszenicy; zaczęła ziarna mozolnie rachować i układać w kupki, mrużąc przy tym różne męskie i żeńskie imiona. Wreszcie rzekła: - Jeśli pan z tych łąk przez lat trzy odda za robotę połowę siana, to ja tam pošlę cały swój ród i wszystek sprzężaj! * sprzężaj - konie, bydło zaprzęgane do wozu, pług; zaprzęg. Teraz Szymon zaczął rachować, ale w mniej skomplikowany sposób, bo w notatniku. - Zgoda - rzekł - jeśli resztę siana kupicie wy także na miejscu. - Za grosze? - przeciągle, wahająco odparła baba. - Połowę na odrodek. Dacie chłopów na zimę do gorzelnii i furmanki do zwózki do drzew. - A pan narzuci kilka fur gałęzi na opał. Zaśmiał się. Robił bardzo zły interes, ale tylko w ten sposób mógł wprowadzić dwór w używalność łąk i ustrzec stogi od podpalania. Tylko chłop chłop dopilnuje. - Zgoda! - rzekł podając babie dłoń. Umowa była zawarta. Szymon zanotował ją sobie w notatniku, westchnął i zaczął pieniądze zbierać do kobiałki z łyka, którą mu Tekla podała. - Procentu nie chcecie, babo? - spytał. - Nie, ja tego nie rozumiem. Słup (kapitał) schowacie, słup oddacie! A pilnujcie od myszy, bo one i do skrzyni się dobiorą! Szymon gorzko się uśmiechnął. Babę rozłakomił interes z sianem. Pomyślała chwilę i rzekła: - Do Ułasa ziemiłanki stąd niedaleko. Może chcecie interes z Mikitką skoro (ros. szybko) załatwić, to zanocujcie u mnie, a ja Ihnata do Mikitki pošlę, by u Ułasa jutro się stawił. Tak ci wam się fatyga oszczędzi i czas, bo lada dzień rzeki staną, a nim lód człowieka utrzyma, to i parę dni albo i tygodni zezdnie. A ziemną drogą do Ułasa nie dojechaż, bo wokoło opary - chyba mróz śmiertelny ześle Pan Bóg, a w tym roku będą śniegi w człowieka, ale mrozu nie będzie. İyta nie sprzedawajcie, panie, bo puste wyjdą zagony na wiosnę. - Skąd prorokujecie, babo? - Ot, z siedm dziesiątków lat i dobrej pamięci. - Jeśli wasza dobra wola, to zrobię, jak mówicie, ino siostrę do Bobrówki z czołnem odprawię. Ciężką kobiałkę zarzucił przez ramię i wyszedł. W izbie prządki dalej śpiewały, a Weronka oddała Tekli pełne wrzeciono. - Wracamy?

- spytała brata. - Ty sama wracaj; ja tu zanocuję. Dziewczyna wstała odważnie, nie protestując. Noc była czarna, wicher zimny, czółno ciężkie i dziurawe, a przed nią droga długa po zdradnych głębiach. Otuliła się chustką i wzięła wiosło z kąta. - Ostańcie zdrowi. Wtedy kobiety chatne, a potem i inne prządki sięgnęły do fartuchów i każda dała jej "kosę" (zwitek) lnu. - Naści na gospodarstwo! - mówiły życzliwie. Weronka, zakłopotana, nie umiała dziękować. Z pełnymi rękami lnu stała bezradna i tylko powtarzała: - Oj, tyle, tyle! - Chłopa masz dużego! Wiele trzeba! - śmiały się kobiety. - Dziękuję wam! Dosoż, dosoż, Bodajże wam len za to urodził jak las. Doprawdy i nie doniosę do czółna! Szymon patrzył rozrzuwiony. Ilekroć oburzony bywał na lud za jego ciemnotę, dzikość i nieuczciwość, tyle razy sceny podobnej ofiarności godziły go z nim. - Dajże! Ja ci pomogę! - rzekł. I wyszli obładowani lnem. - A bacz no, Weronka! - rzekł po drodze. - Szlachcianki z Dubinek nie obdarzą nigdy chłopianki ani ugosczą. Za despekt sobie to mają! A przekonasz się, jakem ja się przekonał, że ci ludzie prostsi są w duszach aniżeli ci, co klejnot ino malowany zachowali, a sami w błocie siedzą! Nie straszno ci będzie samej płynąć? - Nie, ino marudnie! - odparła otulając się od wichru. Wtem człowiek zaczerpnął przed nimi. - Kto idzie? - spytał Szymon. - To ja, Hipolit. - A to tak Onyskę i Altera łapiesz? - Jużem złapał! Fura u was na podwórzu. - A tuś czego? - żartem spytał Szymon. - Chciałem wam oznajmić, że Liszka po naszych lasach się kręci. - Aż tak pilno! No, wracajże do domu, a może i Weronkę zabierzesz? - Można! - odparł Hipolit lakonicznie. - Naści też i ten len, którym ją baby obdarzyły. - Nie trza było braż! My nie żebraki! - mruknął szlachcic. - Głupiś! Gdyby nie godziło się braż, to bym go nie niósł. Cham jest, kto odrzuca dar dobrego serca. Hipolit coś zamruczał, ale wziął len. - No, to jedźcie z Bogiem! - rzekł Szymon zawracając. Oni zostali sami; Hipolit się odezwał: - Tom strachu zażył, gdym cię nie zastał! Gdyby nie koń Szymona, to bym Dubinki podpalił. - Głupiś! İywej by mnie nie wzięli! A żeś tu trafił? - Domyśliłem się, że Szymon u Wilków. On nie taki cnotliwy jak siostra. - Milcz, głupi! On nie taki rozpustny jak Dubinieccy! Jemu głupstwa nie w głowie, ino obowiązek! - Niechta sobie! Dubiniecki ci zły, ale len żebraczy do wody wrzucę. - Tylko spróbuj, a pójdziesz po niego na dno i w zębach przyniesiesz! Tu, ot, go połóż i bierz się do wiosła. A to czyja pławica? - Onyski. Szelma w niej uciekał, gdym furę złowił, i wyparł się, że właśnie i on złodziejów pilnował. - A koń czyj? - A czyjż by? Makarewicza. Odbili od brzegu i Weronka rzekła: - Prosiłam Szymona za twoim dziadkiem. - Wstydu ci Pan Bóg nie dał, prosiż i prosiż. - Antolczynej pracy mi szkoda. - Głupia ona! Szymona kaśa i kaśa, a ja co innego wiem. - I ja wiem - odparła Weronka. - Oj, ta głupota gorzka jej, gorzka! Głosy utonęły we mgle. Słyszał je jednak Szymon, który po namyśle za nimi poszedł do rzeki i po chwili wahania się złotą obrączką daleko w fale cisnął, potem z ostatnim westchnieniem odszedł. U Wilków trwała wciąż wieczornica i pieśni. Czysty, silny głos Tekli przodował. Szymon usiadł w kacie i słuchał. Słuchał przeciągłej pieśni o umierającym kozaku, do którego przychodzą trzy kochanki dziewczyny. I żegna go jedna, obiecując kurhan usypaź, i żegna go druga, obiecując łzami murawę hodowaź, i żegna trzecia: Nieznajoma nikomu, ni jemu, ni w domu; usta jego całowała i tamże przy nim skonała. Szymon oczy podniósł na Teklę, ale ona utkwiała oczy w ogień i pełne łez były, i wtedy nagle przypomniał sobie owych kilka słów o Antolce Adamowej i zamyślił się, co by znaczyły... VI Ułas znachor od dawna wieś opuścił. Najstarsi ludzie pamiętali go już na "zachodzie" rzeczonym, oblanym wkoło wodą i oddzielonym od pól i siedzib bezdennymi torfiastymi oparzelami. Tę wysepkę on niegdyś u dworu kupił i jak bóbr się zagospodarował, wiodąc żywot pustelniczy i czynny. Zrazu w dzikiej gęstwinie krzewów i karłowatych dębów wykopał sobie ziemiankę, pół chatę, pół jamę, potem złowił na kalinie pierwszy rój i założył pasiekę. Lata biegly i "zachód" się przekształcał. Miast dzikich krzewów sad otoczył ziemiankę i jak wojsko stały szare kłody pełne pracowitego pszczelego narodu. One to karmiły i odziewały Ułasa, który pola nie uprawiał, w ogrodzie hodował tylko zioła różne, i bydlatka żadnego nie chował. Co rok na jesieni stary płynął do

miesteczka łodzią obładowaną miodem i woskiem, i wracał z zapasami na rok cały. Potrzeby miał bardzo małe, prawie żadne: jadł byle co, tytoniu ni wódki nie używał. Był to dziad wysoki i suchy, zawędzony w wichrze, skwarze i dymie ogniska, z wielką do pasa białą brodą i długimi włosami. Miał pozór biblijnego patriarchy, a oczy marzyciela i mistyka. Mówił mało i obrazowo, nigdy się nie śmiał, ale i nie gniewał, cierpliwie słuchał, zapatrzony zawsze w dal i jakby nieuważny, potem mówił swe zdanie lub wyrok powoli i z trudnością, jakby w tej dali coś wyczytywał lub powtarzał słowa stamtąd idące. Za poradę pieniędzy ni darów nie brał, tylko chleba bochenek niekiedy, bo był to dla niego specjał; niechętnie radził i o swojej sławie nierad słuchał. Zioła dawał od wszelkich chorób i bardzo pomocne; zgruchotane kości umiał składać, zadawnione rany goić. Przepowiednie jego zawsze się sprawdzały, a co najważniejsza, umiał godzić swary i spory, i odgadrywał złodzieja. Nie był jednak dla ogółu przystępny ani łatwy w udzielaniu rady. Gdy kogo widzieć i przyjaźń nie chciał, umiał się ukryć w swych gąszczach lub nie rzekł słowa na żadne prośby i zaklęcia. Czasem znowu kazał interesantowi wracać dwa i trzy razy lub odsyłał go do adwokatów, lekarzy lub księży. Lud okoliczny znał grymasy starego i komunikował się z nim za pomocą kilku osób, które obdarzał swym zaufaniem i łaską. Najbliżsi mu byli Semenicha, wdowa służąca u Szymona, bogaczka Wilczyca z Dubinek i Arechta z Sokołowa. Ci mieli do Ułasa wstęp w każdym czasie. Gdy Szymon nazajutrz wstał z siana w odrynie, * gdzie mu Tekla wysłała łoże, zastał już całą rodzinę przy śniadaniu. Baba, ubrana odświętnie w kozuchu i zawoju, wydawałaienne rozporządzenia. ordyna (białorus.) - szopa, stodoła na siano. - Makar pójdzie do gminy na służbę. Sydor i Wasyl wezmą konie i pojedą na zarobek do głębockiego lasu. Ustym omłóci hreczkę, chłopcy niech duchem słomę narządzą na poszycie chlewu. Wy, baby, bieliznę upraż przed mrozem, a Tekla niech sama bydla dopatry. No, ruszajcie! - A wy, babo, w drogę się wybieracie? - spytał kulawy Ustym, najśmielszy z matką. - Ja z paniczem do Ułasa pojedę. Czólno już chłopcy narządzili. - Do wiosła kogo weźcie z młodych. - Jeszcze by co może? A cóż my z paniczem będziemy robili? Z powrotem Ihnat nam pomoże. Rodzina rozeszła się do wskazanych robót; w zagrodzie rozległ się stuk cepów, skrzyp studziennego żurawia, ryk bydła, nawoływanie Tekli, śmiechy parobczaków w stodole. Od wrót Wilczyca obejrzała się na państwo swoje, tak potężne ładem i posłuszeństwem, przeżegnała zagrodę i poszła z Szymonem ku rzece. Dwoje wnucząt nieletnich przeprowadziło ją, niosąc wiosła i węzełek z chlebem dla Ułasa. Ludzie wioskowi spoglądali na ten pochód i pozdrawiali starą z poszanowaniem. - Łaskę ma sokołowski komisarz! - szeptali. - Ale i Wilkom z nim dobrze. W izbie ciepło i dREW pełne gumno. Bogatemu czart dzieci kołysze! - I wzdychali zawistnie. Baba na pozdrowienie odpowiadała protekcyjnalnie, fajki z ust nie wyjmując. Dopiero nad rzeką wytrząsała z niej popiół; schowała w zanadrze fajkę, ulokowała w czólnie chleb, odprawiła dzieci i usiadła u steru. Szymon łódź na głębinę zepchnął i ruszyli. Gdy mijali jakiś zakręt, gdzie prąd silny tworzył wiry i pienił o brzegi, baba, pamiętna rozmowy, rzekła: - To, synku, nazywa się Zabudeń (zapomnienie); tu kitajkę krasną z szyi zdejm i za siebie ciśnij. Tu od ciebie zła dumka się odczepi! Szymon smutno się roześmiał. - Niech ta krzyna zostanie - odparł. - W grobie ciężko leżeć, gdy nikt żywy nie wspomni. Jakeście rzekli, pierścienia już nie ma, ale kitajki nie rzucę. - Nu, jak chcesz! Ja ci dobrze radzę. Długo milczeli, wreszcie Szymon się odezwał: - Za co to, babo, Liszkę zesłali? - To nie wiesz? Fałszywie przysięgał, cerkiew okradł, żonę zabił! Co tylko czart wymyślił, to on zrobił! Kobietę mu dałam jak ten kwiatek. Zmarnował ją, sponiewierał, nad dzieckiem się pastwił, ledwie na świat przyszło. Aż raz, gdy na zbójcejką wyprawę poszedł, ona do mnie z dzieckiem uciekła. Nie zgłaszał się po nią parę tygodni; latem to było, moi na łąkach kosili, w chacie ino ona była i ja. Wtedy wpadł pijany, z siekierą i w moich rękach głowę jej rozplątał, mnie ramię rozciął, dziecko chciał o ścianę rozmiażdżyć, tom wtedy, Bóg wie skąd, siłę wzięła i uchwyciłam go za włosy i utrzymałam, wołając ludzi. Krew się lała, on mnie szarpał, padałam z nim razem, deptaliśmy po zabitej i nie wydarł

się z mych rąk, aż go policji oddałam i wtedy już nie wiem, co się ze mną działo. Gdy od śmierci wróciła, już murawa rosła na mej doni grobie, sierota już pełzała po mojej chacie, a ten poszedł na wieczne katorgi! Ot i nie wieczne, bo i stamtąd czart go wyswobodził. - Co jego za los tu czeka! Po co wracał, do czego? A może on, babo, już się kaje... - On! Szajkę zbierze i krwi będzie szukał, on by ją żłopał jak wilk! - I cóż z tego? Krew ma głos straszny i moc. Za krew trzeba płacić, a dla niego gorzej śmierci powtórny sąd. Może się opamiętał. Ja bym go chciał spotkać i wyrozumieć. Może jemu ratunek trzeba dać! - Postronek! - rzekła groźnie baba. - Nieszczęsny! - mruknął do siebie Szymon. Po parogodzinym wiosłowaniu przybili nareszcie do brzegu. Było to w miejscu lesistym i pustym: ze wszech stron woda i gąszcze, nigdzie śladu uprawy ni siedziby. Brzeg był dość stromy i przystań stanowił na pół w wodę pochyłony pień starej wierzby. Wisiały przy nim pasma kręconej łozy, do których przywiązano łodzie. Szymon swoją tam utwierdził i pomógł wydobyć się na brzeg babie. Dalej nie wiedział, gdzie iść, bo gąszcz nie zdradzał żadnej ścieżki ni drogi. Ale baba bez namysłu wsunęła się za jeden krzak, rozchyliła następny i ukazał się w gąszczy ślad mały, tyle co zwierzę wytrze chodząc o zachodzie słońca do wody. Szymon szedł za nią, rozchylając gałęzie i rozglądając się ciekawie. Grunt się podnosił, łozy ustąpiły placu kalinie, leszczynie, dębom niskim i roschatym, potem na lewo w głębi, wśród bezlistnych olszyn błysnęła jak oko kryniczka nie ocembrowana, do której rzucano kładki, zygzakiem na topieli, od kępy do kępy. A tu już w cieniu dębów i leszczyny ukazały się ule przykryte płatami brzoźowej kory, potem gęste gaje śliw i wiśni, potem rzędy jabłoni, grządki uprawne ze sterczącymi badylami ziół i płatami zielonej ruty i barwinku, i wreszcie dym wydobywający się jakby z gruntu, z ziemianki krytej darnią. Szopka na słupach, w której górą suszyły się na wietrze zioła, a na dole był ciesielski warsztat pszczelarza, szałas z chrustu, nieco opodal, pod największym dębem wysoki drewniany krzyż i ławka u jego stóp - to była cała osada Ułasa. Baba po kilku stopniach zeszła do drzwi ziemianki i zapukała. Dopiero po jakimś czasie z wewnątrz ktoś usunął drewniany skobel i przed nimi stanął gospodarz, ruchem ręki zapraszając do środka. Gdy weszli, drzwi na powrót zaryglował i nie witając ich ani pytając o nic, wrócił do swego zajęcia. Na długim stole, który zajmował całą ścianę tej dziwnej siedziby, leżały pęki suchych ziół i koszyki z łozy; stary te zioła tarł, mieszał z sobą i składał do tych koszyków. Szymon się ciekawie rozglądał. Izba była wielka, oświetlona słabo kilkoma małymi oknami przy samym już pułapie. Zajmowały ją kosze, kobiałki, narzędzia pszczelnicze, więcierze na ryby, sprzęty pierwotne, a od pułapu zwieszały się znowu pęki, wiązki ziół, liści, suchych korzeni i woreczki nasion i jagód leczniczych. Piecyk stał w środku, niezdarnie zlepiony, a w głębi widać było drzwi do dalszej schówki czy alkierza i posłanie starego z mchu i liści, a nad nim malutki, zadymiony święty obrazek. I to był cały pałac i świątynia wszechmocnego lekarza, sędziego i proroka okolicznej ludności. Baba położyła chleb na piecyku, a potem zaczęła zbierać z posłania znoszoną bieliznę starego, związała ją w węzeł i położyła u progu na ławie. Widocznie opierała znachora. Szymon tymczasem, ośmielony łagodną twarzą Ułasa, jął zioła rozpatrywać i poznawać. Niektórych zastosowanie znał, inne mu były zupełnie obce. Stary był lepszym od niego botanikiem. Gdy baba skończyła swe zajęcie, stanęła przed stołem i jęła mówić: - To jest, "didu", komisarz z Sokołowa, człowiek jak chleb i miód, taki zdrowy i dobry, a jak kamień twardy. On tu do was przyjechał, żebyście mu Mikitkę Czarnonosą do przysięgi doprowadzili, jeśli z sobą interes o łąki skończą. Mikitkę tu do was mój wnuk przyprowadzi; wysłuchacie sprawy i, jeśli wam się wyda potrzebne, to słowo swoje dorzucicie za nim. Czy uczynicie nam tę łaskę? Stary, zda się, nie słuchał, ale po chwili milczenia prosto w oczy Szymona popatrzył i jakby go do gruntu przejął tym wzrokiem. - Słowo za nim rzeknę! - odparł i znowu do ziół swych uwagę zwrócił. Po chwili znowu głowę podniósł. - Drogocennego nic nie masz w domu? - spytał. Szymon się stropił tym dziwnym pytaniem. - Jak to? Ano, wszystkie moje dobro tam! - odparł. - Dlaczego się pytacie? - Bo na świtanie czerwono tam

świeciło. - Jezu, Maria! Spalili ciebie te łotry! - załamała ręce baba. Szymon pobladał, ale wnet zapanował nad wrażeniem. - Co dzień teraz łuny widać. Stare trawy palą, a i o pożar po wsiach w czasie roboty przy lnie nietrudno. Zresztą co robiż! Spalili! Byle mi się baba nie upiekła! Dobro pańskie ubezpieczone, a co moje, to niewiele. Tylko księgi, rachunki; aj, gwałtu, papiery pańskie! Coś go podrywało z miejsca, aby tam lecież, ale Ułas powoli rzekł: - Nie ma cny człowiek straty bez korzyści, a nie ma zły korzyści bez straty. Szymon westchnął i usiadł na ławie. Ale gorycz w nim wzbierała, aż wybuchnęła: - Mówicie mądrze, "didu", ale chyba ja niedobry, bo straty czuję co dzień, a korzyści się nie doczekają. - Doczekasz się! - lakonicznie rzekł stary. - Myślałem, że Dubinki zjednam: śmierci na mnie szukają; myślałem, że na moją prawdę patrząc, słudzy pańscy zaniechają kradzieży; a ukamienowaliby mnie! I gdzie spojrzę, wrogi, wrogi, i sam jestem przeciw nim! - To tyś chciał więcej uczyniż niż Chrystus! - rzekł Ułas poważnie. Szymon umilkł zawstydzony, a stary dodał: - Kto sieje, niech patrzy na zboże, a nie na zielsko. - Z mego siewu tylko zielsko wschodzi. - Bo ciągle o nim myślisz i czarno patrzysz. Na dzikich polach chwast się pleni, jeśli wyhodujesz jedno źdźbło zbożne, raduj się nim! Jaśnie ci stanie w duszy. Wilczyca wcale się do rozmowy nie mieszała, tylko słuchała z nabożeństwem. Nauki swej dziad nie czerpał, jak ona, z pracy i czynu; wyssał ją przez lata samotnego rozmyślenia. Czuła instynktem swą niższość i nawet niezupełnie rozumiała. - U nas dzikie, dzikie pola! - powtórzył dziad, przestając roboty i patrząc gdzieś w dal. I jakby stamtąd coś mozolnie wyczytywał, powoli mówił, nie znajdując słów wielu na swe myśli: - Biegna ludzie, biegna, ten przez błoto, ten przez piasek, ten przez tarninę. Każdemu coś przed oczyma stoi: to złote grosze, to wysokie siedzenia, to słodkie wino i pierogi, to piękne mołodyce. Biegna i biegna, jeden drugiego pcha i depce, byle swoje dopędziż. A na każdego drodze, bliżej czy dalej, a zawsze przed tym ściganym, jama wykopana; jak on się rodzi, to już i ona gotowa, bo to i wszystko, co tutaj dostanie. Ot, i rozum ludzki. Mogiły na każdym rozstajach, a on je sto razy mija, a nigdy się nie opamięta. Dur, dur! - A za czymże ty gonisz? - spytał nagle. Szymon się zastanowił i nie wiedział, jak staremu swój ideał wyraziż. Ale ten go już zrozumiał. - Ty gonisz za Bożym ładem, za Chrystusowym słowem, to i czegoż się smęcisz! íali dumas, że za gwiazdami puste niebo, a twoja jama zakopie wszelkie dobro? Jak się w nią będziesz kładł, zaśmiejesz się do tego, co gonisz, i zaśniesz jak dziecko, rad! Nu, i co tobie za bieda! Szymonowi uczyniło się nagle lekko i wesoło. Pochylił się ku starcowi. - Daj wam, Boże, niebo, "didu", za takie słowo! - I tobie, synku, ciągną pamięż o nim! - odparł Ułas kiwając dobrotliwie głową. Tu Wilczyca się odezwała: - Wam by, "didu", Liszkę przysłaż do upamiętania. - Zdrowe jabłko przy zgniłych się psuje, a tym bardziej robaczywe. A ludzie to robią z ludźmi, czego z owocem się wystrzegają. Gorszy on wrócił, niż poszedł. - Ja bym go chciał zobaczyć i słowo dobre rzec! - zawołał Szymon. - On bardzo nieszczęśliwy! W tej chwili głosy się rozległy przed chatą i stukanie do drzwi. Stary wyjrzał przez szczelinę w deskach, a potem otworzył. Do izby wszedł Ihnat Wilk, a za nim chłop ogromny, brodaty, w czarnym kożuchu, długich butach, z miną zuchwałą a roztropną. Spozrzegł Szymona i jemu pierwszemu się skłonił, mówiąc grubym, pijackim głosem: - I do grafa bym się nie wybrał w taką podróż, ale na pańskie wezwanie z samego dziwu się stawię. Alter mi mówił, że pan mnie obiecał do kryminału wsadziż. - Gdybym chciał, to bym tobie samemu powiedział. Ale ja o Alterze samym to mówiłem, nie o tobie. - Aj, niechże pan dotrzyma! Ja dopomogę! - zaśmiał się chłop dziko, rozpinając kożuch i błyskając swym wójtowskim medalem. A tymczasem Ihnat dziada w rękę pocałował i żałośnie rzekł: - "Didu", dajcie jeż, bo jużem zesłabł z głodu. - Szukaj po garnkach i w komorze. Weż sobie miodu, a jest i ryba suszona. Jedz i drugim daj! - Ja chciałem wódki wziąż, ale mi chłopak nie pozwolił. Gada, co "did" nas wypędzi za nią! - Tak bym zrobił - rzekł spokojnie Ułas. - íebyście porzucili wódkę, grosze i kłamstwo, czart by was odstąpił! - Tfu! - splunął Mikitka, ale nie zaprzeczył. Na całym świecie bał się i poważał tylko Ułasa. - Sprowadziłem ciebie tutaj, żeby ułożyż

we dwóch serwitut omelański - rzekł Szymon. - Z gromadą, buntowaną przez Altera i ciebie, do ładu nigdy nie dojdę. - Ja to panu już dawno mówił! - zaśmiał się beczelnie chłop. Szymon wydobył z kieszeni mały plan Sokołowa i położył go na stole. - Otóż teraz patrz! Za te łąki serwitutowe i za siedemdziesiąt pól chłopskich, rozsianych po naszym lesie, daję wam graniczące ze wsią Omelną trzysta dziesięcin pola. Sto dziesięcin łąk i pięćdziesiąt dziesięcin lasu - cały ten szmat po rzekę, która odtąd będzie stanowiła granicę. - Co pan daje, gdzie i ile, to wie każdy dzieciak w Omelnej, i braż nie chcą, bo pan nigdy nie powiedział, ile mnie daje! - odparł cynicznie chłop. - A tyś nie powiedział, ile chcesz. - Bo nie mnie prosisz, ale panu. Szymon brwi zmarszczył i spojrzał groźnie na chłopca. - Ja ciebie i teraz nie poproszę, ale proponuję interes - rzekł ostro. - Za ułożenie tego interesu, to jest za podpisy całej gminy na dokumencie i nowym planie, ile chcesz? - Tysiąc rubli - odparł Mikitka. Baba plasnęła rękami, Ihnat przestał jeść i z suchą rybą w garści oczy wytrzeszczył przerażone, stary Ułas brwiami poruszył. Tylko Szymon nie okazał oburzenia; spokojnie plan złożył, do kieszeni schował i wziął za czapkę. - No, to zostaniemy przy swoim i będziemy się nadal wzajemnie procesami rujnowali - rzekł spokojnie. Chłop poczerwieniał. - To nie było mnie sprowadzać na darmo! Mam w domu robotę i urząd! - zawołał zuchwale. - Ja cię też nie sprowadzałem, żebyś głupstwa gadał, a twój urząd wymaga też fatygi. Gminna sprawa jest. - Kto ma sprawę, niech do mnie przychodzi. Tu Ułas głos podniósł: - Ja ciebie sprowadziłem i ja ci radzę nie parskaż i nie pleśz andronów, a sprawę tu skończ. Ja tobie radzę! - powtórzył dobitnie. Mikitka spode łba ku niemu spojrzał i sapał nic nie mówiąc. - A teraz ja ci powiem ostatnie moje słowo - rzekł Szymon. - Dam ci za to pośrednictwo pięćset rubli, jeśli sprawę w przeciągu dwóch miesięcy załatwisz. Ani grosza więcej, ani dnia dłużej! - Dosyż! - rzekł Ułas. Mikitka milczał; poszedł do pieca i patykiem coś na nim kreślił, potem zbliżył się do okna i bębnił w szybkę, wreszcie do Ułasa się zwrócił: - Mało, "didu"! Dalibóg mało! I czas krótki; nie dam rady: roboty tyle w gminie! - Dosyż! A robota inna niech poczeka, a nie, to i nocami pracuj. Na Zubopołokę (Popielec) masz skończyć. - A te pieniądze kiedy dostanę? Zaraz mi potrzebne. Koszt będzie; muszę poiż gromadę, smarować starszych. Mnie nic nie zostanie. "Didu", jeszcze choć setkę! Już nie groził i nie krzyczał, ale prosił. - Czyś ty słyszał, żebym ja słowo zmienił? - rzekł dziad nie patrząc na niego. - To już i was Lachy kupili! - wybuchnął chłop. Ułas teraz spojrzał na niego i pod tym wzrokiem chłop o krok się cofnął. Dziad słowa nie rzekł. Więc Mikitka na Szymona natarł: - Kto was tu sprowadził? Kto was tego nauczył? żebym ja go w ręce dostał! Nie, dajcie sześćset rubli, będę wam i dalej służył. Opłaci się to wam! A co macie pańskich pieniędzy żałować! I tak jak darmo wam się to upiecze! - I ja słowa nie zmieniam, a dalszą służbę twoją potem kupię, jeśli mi będzie potrzebna. Za ten interes więcej nie dostaniesz. - Dacie zaraz pieniądze? - desperacko chłop spytał. Szymon na znachora spojrzał. - Jak poprzysięgniesz, to dostaniesz! - ten odpowiedział. Mikitka podrapał się w głowę, splunął, jeszcze chwilę się zawahał i rzekł: - Nu, to dawajcie, poprzysięgnę! Stary wstał, zapalił drzazgę i poszedł z nią do alkierza. Przyniósł stamtąd świecę woskową, woreczek, w którym szeleściły kości, i kawałek drzewa. Wilczyca i Ihnat usunęli się w najdalszy kąt izby, a Szymon patrzył, mimo woli przejęty fantastycznością tej sceny. Na rogu stołu Ułas woreczek położył, świecę zapaloną dał Mikitce do rąk i postawił go na kawałku drzewa, które przyniósł. Wtedy powoli zaczął mówić, a chłop z ręką na tych kościach powtarzał, biały jak płótno: - Poprzysięgam przed świętym Bogiem, żywymi i umarłymi ludźmi, gromem i wodą, i ogniem, i śmiertelną chorobą, że sprawę dworu sokołowskiego ze wsią Omelną załatwię, jak kazał swoim słowem i myślą komisarz, który tu stoi i słucha. Poprzysięgam, że pieniądze za to dziś biorę i na Zubopołokę mam dopełnić, com powiedział. A jeśli nie dopełnię, niech ma wolę kary nade mną święty Bóg, żywe ludzkie, co to słyszą, i umarłe, których kości dotykam, i grom, i woda, i ogień, i śmiertelna choroba, a w zastaw prawdy mojej i szczerzej woli kładę głowę swoją i córki jedynaczki.

Amen. Stary przestał, a Mikitka pot z czoła otarł i schyliwszy się pocałował kości, drzewo, na którym stał, i rękę starego. Potem się obejrzał i zmienionym głosem rzekł do Ihnata: - Daj, chłopcze, wody kapkę, bom się zmógł. I Szymon po twarzy ręką powiódł, jakby odpędzał jakąś marę czy strach.

~~~~~  
~~~~~ VI (c.d.) Gdy oprzytomniał, znachor już wszystko uprzątnął i znowu swe zioła przebierał. Tedy Szymon do kieszeni sięgnął i odliczył pieniądze bez żadnej trwogi, a Mikitka je z rąk Ułasa odebrała. Chłop jakby się przeistoczył, usiadł na ławie i otwarcie, życzliwie zaczął roztrząsać szczegóły interesu. Był poważny, szczerzy. Radził po przyjacielsku: - Ja do pana jeszcze nieraz wstąpię za tą sprawą, bo to i geometra trzeba sprowadzić, a tu czas napędza. Nu, niech pan będzie spokojny! Ja panu i z Alterem pomogę. Prawda, że on las kupił? Bo mnie sprzedał drzewo na stodołę... - Niech sprzedaje, tylko mu każ drzewo wydać koniecznie. Masz kwit, dałeś pieniądze? - A jakże! Mam nawet przy sobie. Formalny kontrakt! - To masz jego głowę w kieszeni. Pilnujże kwitu. Za żadne pieniądze nie oddawaj! - żeby ja mógł! - stęknął chłop. - Ale on i moja głowę ma w kieszeni. - Dużoś mu winien? - Oj, dużo. Parę tysięcy. - No, to jeśli nie możesz go do kryminału wpakować, przynajmniej wyhandluj ten kontrakt na dwa tysiące. - Albo on głupi? - Ja ci mówię. On lasu nie kupi, więc jeśli się uprzesz i kontrakt na sąd podasz... - Oj, panie, a toż mnie pan tym słowem z topieli wyciąga! Ot, Bóg mnie tu prowadził do pana! Doprawdy, lasu nie dostanie? - Ja ci na to przysięgam! - Nu, to pogadamy! - wykrzyknął Mikitka z triumfem. - A gdyby "did" cię nie przekonał, poszedłbyś głupi jak przedtem - wtrąciła Wilczyca. Chłop zaśmiał się. - Aha, moją dolę dziś mi pan wraca! Też i ty już mnie za gardło trzymał. Gdyby nie on, ja by był cały wiek czestny! Uh, jak ja mu kiedy odpłacę! I zęby mu zgrzytnęły, zajadłe, a Ułas rzekł: - Wróż się nazad jakby od zawrotu, bo po swojej drodze zajdziesz w topiel i w wiry! Wróż się! Mikitka się wzdygnął i stęknął. - Oj, ciężko! - szepnął. - Do mnie wstap po drodze - rzekł Szymon - ja ci pomogę nie raz, a poradzę zawsze. Głowę masz otwartą, po co ją krzywił i męczysz kłamstwem? - Ja pana posłucham, byle Altera zamęczył! - zawołał zajadłe chłop. - Wart on tego i doigra się. Ale do czasu cierpliwość miej i milcz. Dojrzałe zboże trza żąć! - Ja wiem! Nie panu mnie chytrności uczyć! Ieśmy się tu zeszli, nikt wiedzieć nie powinien. Prawda, "didu"? - Nikt słowa nie powie! - odparł Ułas patrząc na Wilków. - A ja we wsi powiem, że w Dubinkach był u Wilczycy się rozpytaż, czy mi swego Ihnata nie da w "prystupy" do mojej Krysty! - zaśmiał się chłop. Ihnat popatrzył na niego i zaczął się śmiać. - Czego rechoczesz, żabo? - oburknął Mikitka. - Cóż to, kpina ci moja dziewczucha? Toż widziałem, jakieś ją za warkocz ciągał, a ona ci harbuziki za kołnierz sypała. - A nieprawda! - oburzył się Ihnat. - Ja jej tylko z przypadku wstążkę oberwał, to ona mi za to w zęby dała. Nijkich harbuzików nie dostał! Szymon mimo woli się roześmiał, ale baba wzięła tę rzecz do serca. - Ach, ty smarkaczu, ty bezwstydniku, ty "hydanie" (obrzydliwce)! To ciebie nie można za próg posłać, żebyś rodu nie pokalał! - posypało się z jej ust, a jednocześnie odwiązała fartuch i zanim się chłopak opamiętał, chwyciła go za bujną czarną czuprynę, przygięła do ziemi i zaczęła smagać po plecach sznurkami fartucha. Ihnat się wił i piszczał, ale nic nie pomogło; dostał cięgi i dopiero gdy się baba zmęczyła, wyrwał się i uciekł za drzwi czerwony z bólu i wstydu. Wilczyca odsapnęła, zawiązała na powrót fartuch i jakby nic usiadła znowu na ławie, a Mikitka, tym epizodem nie stropiony, spytał: - Nu, jakże? Dalibyście go mnie? - Nie dam! - odparła baba stanowczo. - Oh, a dlaczegoż to? - zdziwił się chłop. - Bo jakbym was do rodu wpuściła, to weszłoby z wami krętactwo, swary, procesy, sądy i wszelakie piśmienne robactwo, a ja już raz piśmiennego miałam w rodzie - i dosyż! Poprzysięgam, że nikt, co papier rozumie, do rodu nie wejdzie! - Durna ty baba! - obrażony burknął chłop. A Ułas się za nią ujął: - Nie durna. Bóg też książkę napisał i przed każdym leży. Toż zioła są i jagody, i wody, i zwierz wszelaki, i ryba, i grzyb. Ten głupi, co sobie ufa i wszystko je i pije. Trzeba wpierw znać i wiedzieć, co leczy, a co truje, co zdrowe, a co

chore. Tak ci i z papierem jest, a ty, choć "czytelny", głupszy od tej baby i od wieprza niechlujniejszy, bo jesz i pijesz wszystko, co napotkasz. - At, co z takim byłem, jak wy, gadaż! - odciął chłop. - Spytajcie naczelników, jak mnie sądzą! Baba nic na to nie odrzekła i traciła Szymona: - Pojedziemy już, panie. Ruszyli do odwrotu, pożegnawszy starego Bożym słowem. Mikitka też z nimi wyszedł i wnet do wózka swego siadł, zapewniając raz jeszcze Szymona o swej szczerości. Oni poszli w stronę rzeki, do czółna, w którym już Ihnat siedział, nadąsany, ale pokorny. Całą swą złość skupił w wiośle, którym wściekle wodę chłostał i parł łódź jak strzałę. Byli już niedaleko Dubinek, gdy naprzeciw nich wybiegło drugie czółno, w którym z daleka poznał Szymon Hipolita i Denysa strażnika. - Co tam? - krzyknął. - Niestety, panie! - odpowiedział Denys. - Spalili wasz dom i krowa, i wieprz się upiekły, a chłopak Semenichy poparzony okropnie. - Kto podpalił? - Szlachta z Dubinek! - odparł Hipolit. - Ale chwała Bogu, już więcej paliż nie będą! Złowiliśmy Makarewiczów dwóch i Morskiego. - Starego? - Nie; Michasia. - Jakże to było? A księgi pańskie wynieśli? - Księgi wynosząc chłopak się poparzył, a Semenicha złowiła Morskiego. Bóg wie, skąd siły wzięła, ale go powaliła i związała jak cielę. Ja ujrzałem lunę, więc siadłem na waszego konia i pogałem, nie na ogień, lecz w stronę Dubinek. Wpadłem na Marcina Makarewicza, jak chaszczami zmykał; strzelby nie miał, ino siekierę. Gdyby nie koń, byłby umknął, alem go pędem obalił i wziąłem! Oj, i nie puszcze już teraz! - No i cóż dalej! - Ano, zanim go przywlokłem do zgliszcz, był już tam pan sam, ekonom i strażniki. Ratowali chłopca, gasili resztki, posłali po policję. Morski miał w kieszeni zapalki, hubkę, resztki lnu, a Makarewicz butelkę od nafty i obydwaj byli nią obłani. Morski u węgła domu zgubił swój nóż i kapciuch od tytoniu, i po to powrócił; wtedy go Semenicha złapała. Zląkł się i tak moc stracił, że się dał związać. Ale zuch baba - Semenicha! - No a drugi Makarewicz? - badał Szymon. - O, tego sam Bóg przytrzymał! - wołał Hipek aż dysząc z triumfu. - Kiedym Marcina przywlokł i oddał ludziom, pan go łajaż zaczął, a ten gdy Morskiego zobaczył, powiada: "Ano, prawda! Spaliliśmy twego psa i ciebie samego to czeka! A kiedy nam koniec, to niechże wszystkim! Był Wicek z nami, niech i on swoje odcierpi!" A tu policji wiejskiej zbiegła się już kupa, więc skoczyło kilku na obławę. Niedaleko uciekł. Ciemno było, na przełaj biegł i w skoku nogę wykręcił. Tamże i leżał, i z bólu mdlał. Tak ci ich pokładli pokotem przy zgliszczach, a potem na furgon i powieźli do miasteczka. Już oni Dubinek nie zobaczą! - Na pohybel! - zawołała baba. - Oj, Boże! A mnie tam nie było! - jęknął rozpacznie Ihnat. - Pan mnie posłał za wami - raportował Hipek. - Bo oni tę furę, com zabrał, też spalili, a konia puścili, dla niepoznaki, w las. - Teraz Dubinki będą moje! - rzekł Szymon. - A wasze dobro wszystko przepadło. Ni szmatki nie wynieśli. Semenicha zawodzi, że aż o milę słychaż, choć jej pan obiecuje lnu i wełny, ile zechce! - Co tam moje dobro! Dodałbym i skórę jeszcze za taką zdobycz! No, doigrali się! - Oni myśleli, że wy w domu, bo drzwi i okna podparli. Chcieli was upiec! Tedy przypomniał sobie Szymon zdanie Ułasa o korzyści i stracie, i w duchu Bogu podziękował. W Dubinkach pożegnał babę i przeszedł do czółna Hipka, niosąc z sobą ciężką kobiałkę. Wilczyca jak matka objęła go za głowę i rzekła na rozstanie: - Nagi ty zostałeś, jak się urodził. Nu, ja nie zapomnę o pogorzelnicy... Jedź z Bogiem. I dalej pomknęło czółno. Krótki dzień się skończył, gdy Szymon stanął na zgliszczach swej osady. Resztki belek czerniały i komin się bielił, a nieznośny swąd dusił za gardło. W szałasie, skleconym z jodłowych gałęzi, przy ogniu siedział Sokolnicki i czekał na niego, a w głębi jęczał poparzony chłopak i zawodziła Semenicha. Szymon z konia zsiadł, zawsze ze swą nierozłączną kobiałką, i rozejrzał się. Pan Seweryn ręce do niego wyciągnął. - Ot, i jesteś bez dachu i koszuli z mojej łaski! - zawołał. - Dach był pański, a na koszulę zapracuję - odparł spokojnie. - Jakże chłopak się miewa? - Wylize się. Posłałem po lekarza. To dopiero awantura! Wiesz? Wszyscy trzej złapani! - To najlepsze. To warte tysiące. Dobry dzień dzisiaj! Wślizgnął się do budy i obejrzał chłopaka. Miał opalone włosy, poparzoną twarz i ręce, ale na widok swego chlebobawcy przestał jęczeć. - Papiery ja wyniósł, panie! - pochwalił się,

patrzac nań pocziwie swymi czerwonymi oczami. - Zuch jesteś! Bardzo cię boli? - Oj, boli, boli! A Krasia nasza zgorzała! Ja bym ją wypuścił, ale matka zaczęła krzyczeć: "Papiery pańskie!" - tak ja tam skoczył... Oj piekło, piekło! A Semenicha, w kuczki zgarnięta przy jego posłaniu, zaczęła przeklinać: - żeby ich robaki stoczyły, żeby ich psy po kawałku rozniosły po polu, żeby ich ślepych wodzili, żeby szernieli jak ziemia za nasze dobro, za naszą pracę, za naszą sierocą krzywdę!... Toż jak ten chłopiec umrze, w co ja go ubiorę do trumny? Co ja mu włożę na zmianę? - Milczże! - oburzył się Szymon. - Chłopak żyw będzie i znowu len narosnie. A toż ja tyle mam co i wy... będziemy dalej razem biedoważ. - A na cóż ja panu teraz potrzebna? Ni co zgotoważ, ni w czym, ni co upraż, ni czego doglądaż. Wieprz był jak chata wielki. Krowy drugiej takiej na świecie nie ma... - Ot, nie lamentuj! Morskiego schwytałaś, to grunt! - I co z tego, że schwytałam? Nie miałam mocy w ogień go wrzuciż. Niechby spróboważ, jak tam smaczno. A tak, co? Kiedyś wróci, jak Liszka... Ryczała Krasia, ryczała! Niechby on tak ryczał! - Jutro sobie we dworze wybierzesz, jaką zechcesz krowę, dwie nawet! - wołał Sokolnicki. - Oj, nie ona to będzie, moja hodowanka! A zresztą, gdzież ją przezimuję, czym nakarmię? Nie ma siana, nie ma obórki. Moja dola! - Oj, milcz, matko! - jęknął chłopak. Szymon widząc, że się pocieszyż nie da, poszedł z Sokolnickim na zgliszcz. - Zabiorę cię z sobą - rzekł pan Seweryn. - Zanim odbudujemy, będziesz tam mieszkał. - Za daleko. Dziś zanocuję, ale jutro przeniosę się do straży Hipka. Tymczasem tych dwoje trzeba tam odesłaż, bo chłopiec potrzebuje opieki. - I będziesz się po chatach poniewierał? Nie chcę! - oburzył się pan Seweryn. - Musi tak być. We dworze nie wytrzymam. Patrzyć nie mogę na tamtejszą szajkę, a póki się z leśną nie uporam, nie mogę do tamtej się wiaż. - Co ty za tłomok nosisz z sobą? - Oj, to Altera dusza! - Jeszcze się ciebie żarty trzymają! - Bo wracam od zdroju zdrowia i mądrości. Kiedyś zaprowadzę i pana tam. Czy był pan w Horodyszczu? - Nie, bo mi lichy Woynę zaniósł i musiałem go bawiż, a raczej słucaż o afektach. Szczęśliwy człowiek, że może tym się bawiż! Cały dzień i noc całą gadał, a gdy nad ranem odjechał, ujrzałem lunę i przyleciałem tutaj. - I tak na czczo cały dzień? - Anim się obejrzał, taki był rozgardiasz. Zuch ten Hipolit. No i taka zdobycz! - Może pan dzisiaj podkreśliż i wykasoważ proces z Dubinkami z historii Sokołowa. Nie ma głów hydra! O, dobry dzień! I rzetelnym weselem rozjaśniła mu się twarz. W tej chwili wóz nadjechał, eskortowany przez Hipolita. Umieszczono na nim Semenichę i chłopca, a Sokolnicki i Szymon przeprowadzili ich aż do zakrętu. Potem sami pojechali do Sokołowa. Na polanie dogasały zgliszcz. Czasem zasyczała głównia, wybuchnął nikły płomyk lub słup popiołu, to znów biegały po tych czarnych resztkach jakby czerwone mrówki. Dym się snuł nisko we mgle zimnej, a wreszcie nad ranem zaczął sypaż pierwszy śnieg wielkimi płatami i pokryważ tę wstrętą plamę pogorzeli. Zaczęły też zbieraż się wrony i siadając po czubach bezlistnych dębów, przypatrywały się osmalonym zwłokom Krasi i wieprza, i krakały jedna drugiej wieś o biesiadzie. W Dubinkach u szlachty nie gaszono światła tej nocy i nikt o spoczynku nie myślał. Wieś przyszła lotem błyskawicy, poruszyła osadę jak mrowisko. U Makarewiczów i Morskich rozpacznie lamentowały kobiety, mężczyźni snuli się bezradnie, bo stary Morski, gdy posłyszał o pojmaniu syna, dostał ataku apopleksji i leżał nieprzytomny, bez władzy w rękach i nogach, i bez mowy. Syn młodszy pobiegł do Sokołowa, by się szczegółów dowiedzież, a nad konającym siedziała żona onemiała, nieprzytomna, nie wiedząc jak radziż, co czyniż. Szlachta pozbawiona przywódcy traciła głowy. Widziała tylko nad sobą ostateczną zgubę, ruinę i głosy się podnosiły, by osadę podpaliż z dzieżmi i kobietami, a samym w świat iśż, gdzie oczy poniosą. Wiele nie mieli do stracenia. Długotrwały proces wyniszczył ich; mało który pole zasiał na jesieni, zboże wyprzedali na koszty, a wreszcie z obawy licytacji wyprzedali prawie wszystko bydło i żyli z dnia na dzień, łudzeni przez Morskiego, że jeszcze proces wygra, byle się opieraż. Teraz Morski leżał jak żywy trup; Makarewicz byli w więzieniu, szlachta zgubiona! Przez całą noc, oprócz jęków kobiet, nikt głosu nie podnosił. Ucichły pogróżki, butne mowy, zuchwałe postawy. Dopiero nad

ranem Seweryn Dubiniecki, spokojna i cicha ofiara złej większości, zdobył się na stanowcze słowo: - Teraz, panowie bracia, należy nam lepszą głowę obraż niż Morskiego. Ten ci nas zgubił i słusznie go Bóg pokarał! Trzeba szukać takiego, co nas poratuje i poradzi. Nasza sprawa - kaput! Nikt nie zaprzeczył. Rozległy się tylko ciężkie stęknięcia. - Ja bym radziła do Łabędzkiego pójść - zawołała Sewerynowa. - Milcz! - upomniał mąż. - Jeśli chodziż, to do samego pana, nie do niego! Ale przedtem trzeba na to ogólnej zgody i trzeba wybrać, kto by poszedł. Nikt się nie ofiarował. Wstyd i upokorzenie było za ciężkie na te harde dusze. - Mnie się widzi, że powinniśmy stryja Adama się poradzić. On ci najstarszy - rzucił Seweryn. I na to milczenie. Od czasu odstępstwa Hipka stary Adam był w niełasce u "panów braci". Nazywano go Judaszem i zaprzedańcem, stroniono od niego, wyłączano go z rady i towarzystwa. I dziś nawet, po tym strasznym wypadku, ani on, ani Antolka nie pokazali się w osadzie i do nich nikt nie zajrzał. - Wy tchórze i głupcy! - oburzyła się Sewerynowa. - Nawarzyliście piwa, a teraz piż niemilo. Przez te głupie sądy i upór cóżeście wskórali? Kości wam wylażą przez skórę z głodu, na dziady zeszlście i nas, niewinnych, za sobaście wciągnęli! A teraz, jak bieda, pełna was chata, a żaden śmiałości nie znajdzie odszukaż swe głupstwa. Wstyd wam! Ot, ja, baba, pójdę do Adama za was oczami świeciż! Jak zobaczycie światło na prawo w izbie, to przychodźcie śmiało! I otuliwszy głowę chustką, wybiegła. U Adama świeciło się tylko w kuchni. Tam przy stole stary w okularach czytał głośno "Iywoty świętych" z odwiecznej księgi, która wraz z modlitewnikiem tworzyła całą bibliotekę rodziny. Opodal Antolka przędac słuchała. Ładna jej śniada twarz pobladła i przeciągnęła się w ostatnich czasach; utrwalił się na niej zacięty, ostry wyraz. Ambicja jej i hardość srodze cierpiały. Na skrzypp drzwi i widok Sewerynowej stary czytaż przestał, dziewczyna zmarszczyła brwi. Na pozdrowienie ledwo odmruknęła. - Ot, nieszczęście, dobrzy ludzie! - zawołała śmiało kobieta. - Morski dogorywa, a tamci pod kluczem. Co to będzie, miły Boże! - Będzie sprawiedliwość - rzekł stary. - Cóż to, podpalaczów żałujecie? - A zresztą, co nam do tego? - zawołała Antolka. - My Judasze, dworskie zaprzedańce! Wam nieszczęście - to sobie płaczcie! A co będzie, wiadomo! Reszta pójdzie na koszty, gdzie i wszystko poszło. Dziadusia ksiądz proboszcz obiecał za kościelnego wziąż, a ja do Horodyszczna na służbę idę. Dzięki Bogu, co tam zapracuję, to już ten przeklęty proces nie odbierze! Mnie to żadne nieszczęście! - A myśmy co winni? Seweryn płakał, jak go po sądach włóczyli. A Józef co winien? A Antoni za co cierpi? Zbóje to winni - Makarewicze i Morscy! Ci niech giną, ale reszta niechby została! Służba nie hańba: ja sama w Horodyszczu służyłam za panięskich czasów, ale ciężko będzie odejść od swoich zagonów i kąków, i komina. Mój Boże, jak ciężko!... I zapłakała naprawdę na tę myśl. Stary Adam głowę też zwiesił i ponuro w ziemię patrzył. - Ano, prawda! Ale tak ci będzie. Nie ma już ratunku - zamruczał. - Byłby, żeby dobrzy teraz górę wzięli nad złymi. Cierpieliśmy długo z ich łaski. Niechże nasz czas przyjdzie! Wy, stryju Adamie, wyrzućcie złość z serca dla gromady. Oni się teraz korzą i posłuchają waszego słowa. Pozwólcie im tu przyjść na radę, na gawędę. Może przecie ratunek się znajdzie. Dla tej ziemi to uczynicie! - Oho, patrzajcie! - szydyczko zaśmiała się Antolka. Lecz stary jej przerwał: - Wiek cały wspólna biedę cierpieliśmy. Nad grobem zaciętości w sercu choważ nie będę. Niech przyjdą! Sewerynowa porwała lampkę i przez sień wyniosła ją do izby głównej. - Czyście oszaleli? - zawołała Antolka. Ale już na podwórku rozlegały się liczne kroki i zaczęli napełniaż izbę mężczyźni zbiedzeni i pokorni - wszyscy ci, co dotąd szli za gromadą ku zgubie, wbrew woli, owozym pędem, za zbójjami przewodnikami. Gdy Adam do nich wyszedł, zaczęli go po ramionach, rękach całoważ i jeden głos się rozległ ze wszystkich piersi: - Co teraz robiż? Ratuż. Za dziadem i Antolka weszła. Izba, używana tylko do zebrani uroczystych, była zimna. Dziewczyna przy pomocy Sewerynowej rozpałała ogień na kominie, dobyła z szafy samowar, zapalała większą lampę. Potem, zdając na kobietę troskę o herbatę, stanęła przy piecu i przysłuchiwała się rozmowie. Szlachta biadała, rozpaczała, przeklinała Morskich, wypierała się winy za proces; każdy dowodził,

że od dawna był za zgodą z dworem, ale nikt nie wiedział jak dalej radzić. - A temu wszystkiemu Łabędzki winien! - zawołał młody Antoni Dubiniecki. - Nim go tu czart przyniósł, można było żyć. - Łabędzki winien, żeś ty drzewo kradł? - rozległ się nagle głos Antolki. Spojrzeli ku niej zdziwieni, a ona dodała: - To on też winien, że Makarewiczów i Morskiego wzięli przy jego spalonym domu? To on winien, że co rok te zbóje przenosili kopce graniczne głębiej w pański las i pole? Taka ci u was prawda? - Oni źle zrobili, a on pana przeciw nam judził. On nas zgnębił do ostatka. - Ale jegoż nie judzili? Pamiętacie, jak w pierwszym roku tu do nas jeździł, do nauki naganiał dzieci, do obyczajności starszych? Co było? Wyśmiali go, wydrwili, nazwali głupcem. A pamiętacie, jak z początku, gdy kradzież wykrył, prosił i zaklinał, by się opamiętali? Ile razy darował, zamazał, tylko brał przysięgę, że to będzie ostatni raz? A gdzie wasze przysięgi? W piekle je wam przypomną! Przez śniadą skórę dziewczyny przedarła się krew i łuną ogarnęła twarz. Oczy jej świeciły. - Ja nie przysięgał! - bąknął jeden i drugi. - Aleście wszyscy kradli i naigrywali się z niego. A pamiętacie ostatni raz, gdy tu był? Ledwie duszy nie wyzionął pod waszymi obcasami. Deptaliście go jak bydłeta, wszyscy, za co? Za to, że znalazł w Morskich kradzioną dębinę. Pies dworski on, a wy psy Morskiego... Odwróciła się i wyszła z izby. - Co prawda, to rację ma - bąknął Seweryn. - Raz judziliśmy Łabędzkiego, on nam teraz nie daruje; odpłaci i za te śmiechy, i za te sińce, i za te razy. Zginęliśmy... Zapanowało ponure milczenie. W kuchni, gdzie sapał już samowar, Sewerynowa rzekła do Antolki: - Jakbyś im w twarz dała, tak zgłupieli. A dobrze! Sponiewierali chłopca, co do nas lgnął. A pamiętasz, jak on ładnie śpiewał? Teraz do chłopianek jeździ. W Dubinkach faworytę ma! Chłopy lepszy spryt mieli, że go przyciągnęli. Z tego całe nasze nieszczęście! - Niechże na niego nie czekają, kiedy sami winni! - zajadłe zawołała Antolka. - Szczeakałaś ty na niego dosyć! Więcej niż inne... Do oczu skakałaś! - zaśmiała się Sewerynowa. - Kiedyś na jagodach on mnie spotkał i pyta: "Nie wiecie, pani Justyno, za co na mnie panna Antolka taka jadowita? Onegdaj, jakem ją spotkał pieszo na drodze i chciał podwieźć, to parskała jak kot." - A cóż to on sobie myśli, żem dziewczka ze wsi, żebym z nim jeździła! - zawołała Antolka. - Takem i ja odpowiedziała, a on na to: "A przecież kiedyś z pasterki ze mną jechała." Prawda to? - Nie pamiętam - odparła dziewczyna. - Ale to wtedy było, kiedy on u nas jak druh bywał. A teraz wrogiem jest. - Toż nieszczęście, bo on jeden teraz by nas poratował. Jeśli on słowa nie rzeknie, to pan nas i do progu nie puści. Psami wyszczuje! - Jest ktoś lepszy od niego: panienka z Horodyszczka. Do tej trzeba iść! - Na Boga, to prawda! A te chłopcy tam noc przesiedzą i na tę myśl nie wpadną. Ty masz rozum nie babski. Skoczyła do izby. Antolka założyła ręce na piersi i choć miała huk roboty, zadumała się. Rada by była w tej chwili uciec z chaty, iść, gdzie by jej nikt nie widział i nie naganiał, i w dumkach swych przesiedzieć godziny. Wtem do szyby ktoś zastukał, spłoszył ją. Drgnęła i wyjrzała na podwórko. Pod oknem stał Hipolit i kiwał, by do niego wyszła. W innym razie odegnałaby go jak psa "do budy", ale dziś tyle się zmieniło! Zarzuciła chustę i wyszła do niego. - Czyście bez sumienia? - rzekł strzelec. - Toż u Morskich do rana dwa trupy będą! - Skądżeś się tu wziął? - Weronka mnie przysłała o matkę się dowiedzieć. Ledwie się dobił, już padam z męki. A tam stary dochodzi końca, a kobieta jak słup siedzi i nikogo więcej w domu. Toż idź ty tam, gromnicę zapal, ocuż kobietę; ja nie umiem radzić i wracaj muszę Szymonowi donieść o tym. Weronkę przyślę, ale tymczasem niechże kto się nad nimi ulituje! Dziewczyna bez słowa otuliła się chustą i poszła. śnieg padał wielkimi płatami, o krok nic widać nie było. U Morskich wygasł ogień na kominie i w ciemności przerażająco się odzywało rżenie konającego. Antolce biło mocno serce i drżały ręce, gdy w popiołach ogniska szukała żaru. Zaczęła dmuchać, rozpałała drzazgę, płomień buchnął. Wtedy się rozejrzała trwoźnie. Na łóżku w odzieży zabłoconej i mokrej leżał stary, okropnymi oczami patrząc w sufit i chrapiąc. Jedyłą lewą ręką, jeszcze niezupełnie sparaliżowaną, czynił bezwiednie ruchy do piersi. U nóg łóżka, na ziemi, z głową odrzuconą do ściany siedziała stara jak drugi trup. Oczy miała

zamknięte, usta w pół otwarte, ręce kurczowo zaciśnięte. Antolka obejrzała się ku drzwiom i ujrzała Hipka, który wzrokiem pytał: co czyniż? - Ot, leżą twoje wrogi! - szepnęła gorzko. - Nie wrogi, lecz Weronki matka. Jak by ja Weronkę miłował, żebym o tym nie myślał! Może ci pomóc, ino prędeż, bo mi się śpieszy. Dziewczyna posłała drugie łóżko i przenieśli na nie kobietę. Hipek nie odszedł, aż ją dziewczyna rozebrała, ułożyła, napoiła wodą i okryła ciepło. - Bóg ci zapłaź! - rzekł wtedy. - Teraz już pójdę. Nas dwoje i Szymon do śmierci nie zapomni ci dobrego uczynku. Antolka znowu została sama, ale dziwnie jej było dobrze na sercu. Już by stąd nie odstąpiła za żadne skarby świata. Lęk odleciał, została łagodna rzewność i zadowolenie. Zwróciła się do starego, wzięła bezwładną rękę i przeżegnała go. Musiał tego pragnąć, bo się uspokoił i mniej chrapał. Tedy zdjęła gromnicę ze ściany, zapaliła ją, uklękła do pacierza. W ciszy tej nieszczęsnej chaty uroczyście rozlegał się jej głos. Morski oczy na nią zwrócił, oczy mało już świadome, mgławce i ustami poruszał. Słyszał jeszcze. A wtem z martwoty swej z jękiem zbudziła się kobieta. - O Jezu, o Mario! Kto tu jest? - zawołała. - Ja, Antolka. Pacierze mówię! Mówcie i wy. Kobieta wstrząsnęła okropne łkanie. Dźwignęła się z posłania, ale wstaż nie miała siły. Zalała rękę, oczy utkwiała w gromnicę i zaczęła chciwie, gorąco powtarzać modlitwę. Było to pierwsze słowo kojące, które dziś usłyszała po przekleństwach szlachty i chrapaniu konającego. A Morski jakby usypiał; lewa ręka spoczęła na piersi, nos się przeciągnął, usta wpadły, coraz słabiej rżęzał. Na kominie ogień znowu przygasł, pryskała gromnica, kopcać; za oknem śnieg padał i padał, a pis domowy, wypędzony z izby, skowyczał żałośnie. Minęły tak godziny. Kobieta czuła powoli, jak z tym szmerem pacierza czyni się w niej cisza; potem nieprzeparte zmęczenie i senność ją ogarnęła; słowa cichły, rozplywały się muzyką słodką; jakieś skrzydła schylały się nad nią; westchnęła i zasnęła. Do izby wsunęła się Sewerynowa, rozejrzała się i wyszła. Antolka wciąż powtarzała pacierze. Noc się ciągnęła bez końca, już tylko gromnica oświeślała izbę. Na dworze było ciemno. Minęło tak wiele godzin, gdy wreszcie szmer się zrobił przed chatą, drzwi się rozwarły. Dziewczyna się nawet nie obejrzała. Ktoś wszedł, zapalił zapałkę, schylił się nad posłaniem kobiety, podszedł do niej i uklękł. Wtedy podniosła Antolka oczy i poznała Szymona. Nic do siebie nie rzekli, tylko on zaczął za nią pacierz powtarzać. A w tejże chwili od przeciągu zachybotał się płomień gromnicy i jakiś cień przeszedł po twarzy konającego, a on się wzdrygnął, odetchnął głębiej i uciszył się zupełnie. Szymon powstał, powieki mu zacisnął i krzyż nad nim naznaczył. Szmer pacierzy także ustał. Antolka podniosła się z kolan i zaczęła znowu rozdmuchiwać ogień. - Matka śpi? - szepnął Szymon. - śpi. Zmogło ją, nieszczęsna! - odparła dziewczyna. - Hipek wam wieśź przyniósł? - Nie, Morski Antek. Do dworu wpadł, bo mu rzekli, że doktor tam jest. Dziwni ludzie. Zdziwili się, gdy zaraz kazał zaprzęgaż i jego z sobą zabrałem. Dziękuję wam z serca za miłosierdzie i taką usługę. Wyciągnął do niej dłoń i ona po sekundzie wahania podała mu niezgrabnie rękę. - A gdzież Antek? - spytała zmieszana. - Posłałem go ludzi budziż. Toż zgroza, że was tu samą zostawili i ich opuścili w takiej niedoli! Może, gdy posłyszają, że ja tu jestem, wcale nie zechcą przyjszż? Antolka głośno się roześmiała i rzuciła ręką ku oknu, poza którym słychaż było głosy, szybkie kroki, skrzyp furtki. - Oni teraz wszyscy przyjdą! Możecie od razu sfory na nich kłaśż i do psiarni swej pędziż - rzuciła pogardliwie. - Wszyscy oprócz was. Wyście zawsze nieprzejednani. - Ja nie mężczyzna, ja nic nie znacę. Jest dziad głową naszego domu. - A ja com wam zawinił, żeście tak nienawistni? Antolka nic nie odrzekła. Zacięła usta, a że ludzie wchodzili do izby, wślizgnęła się między gromadę i znikła. Chata wnet napełniła się szlachtą. Każdy pozdrowił z uszanowaniem Szymona i szedł pomodliż się u zwłok. Kobiety zajęły się Morską, która się obudziła i zaczęła okropnie zawodziż. Wśród tego zamieszania, jęków, modlitw Szymon widział zewsząd na sobie oczy szlachty zbiedzzone, pokorne, wyglądające tylko jego rozkazu. Zaraz też zarządził ustawienie zwłok w izbie gościnnej, posłał po deski, po światło, na swój koszt polecił Sewerynowej staranie o poczęstunek. Gdy wszedł późny dzień listopadowy,

Morski już leżał odświeżony ubrany na tapczanie pokrytym kilimkiem; w stodole sąsiedzi zbijali trumnę, a nad umarłym, wedle miejscowego zwyczaju, śpiewano pieśni nabożne. W kuchni Szymon siedział nad matką. Kobieta zrazu na jego widok oczy zakryła z jękiem, ale jej ręce od twarzy oderwał i zaczął mówić: - Nie godzi się wam, matko, oczy przede mną kryć ani patrzeć jak na Kaina. Nie ja winien nic ani was nie obwiniam ni sędzę. Co wam dziś zginęło, to Bóg zabrał. Został wam Antek, Weronka i ja. Będzie wam z nami spokojniej niż dotąd, będziecie mieli dobrą opiekę i starunek. Więc zmóście żal i o nas żywych pomyślcie serdecznie. Mozolnie wam wiek zeszedł; odpoczniecie przy nas; a że wam nikt nie wspomni tej czarnej godziny i tego straceńca, to ja wam przysięgam. Kobieta zaczęła płakać, znękana i upokorzona na resztę życia hańbą syna, porażką i śmiercią męża. Bezmierny wstyd czuła względem Szymona, który tylekroć jej to przepowiadał, ostrzegał, prosił, zaklinał, aż umilkł i usunął się wobec jej złości, uporczywości, złorzeczeń i szyderstwa. Teraz nie triumfował, nie wypominał, jeszcze cieszył, rękę jej trzymając w dłoniach i pocziwie patrząc. Obecne kobiety za jej przykładem także szlochać zaczęły, a Sewerynowa, najśmielsza, rzekła: - My wszyscy teraz widzimy, jak się błędziliśmy i pana ukrzywdziliśmy, radzi wstecz wrócić; ano, już przepadło! - Dlaczego? - spytał żywo. - Wyglądałem ja was co dzień i wzywałem jeszcze onegdaj. - Ale, ładnieśmy przyszli! - rzekła gorzko kobieta. - Kto zawinił, zapłaci, a kto nie winien, wolną ma drogę do mnie, dziś jak onegdaj. - I jak przed trzema laty - wtrąciła Sewerynowa. - To nie. Przed trzema laty przysięgam jam wierzył, teraz bym już tylko dokumentom uwierzył. Skrzywdziliście sami siebie najgorzej. W tej chwili weszła Weronka i nieśmiało zbliżyła się do matki. Kobieta odtrąciła ją ręką. - Precz stąd, bezwstydna! - krzyknęła. Szymon powstrzymał uderzenie i obie jej ręce ująwszy, bystro w oczy spojrzął. - Matko, ja was dziś znowu błagam, niechże choć raz nie na próżno; darujcie jej! Mnie karzcie, bom im ułatwił, ale pomnijcie, że gdyby nie jej ucieczka, żoną Makarewiczka by była. Nie bezwstydna ona, choć przeciw zwyczajom postąpiła. Zróbcie mi łaskę, nie odpychajcie jej w takiej godzinie. - Oj, on by kamień przebłagał! - szepnęła Sewerynowa, a Morska pozwoliła córce ręce pocałować. - Idź tam, do nieboszczyka! Pomódl się! Szymon siostrę sam poprowadził, bojąc się, by jej jaka przykrość nie spotkała! Ale szlachta usunęła im się z drogi i nikt ani mrugnął. Tak to Dubinki były zmienione. Gdy Szymon pacierz skończył, stary Adam do sieni go wyprowadził. - Proszę was do chaty na chleb i sól - rzekł. - Z miłą chęcią, bom też głodny srodze. W izbie gościnnej zastali długi stół nakryty, fajansowe talerze, szklanki, misy polewane - wszystko co najlepsze było w domu. Potrawy były niewybredne. Barszcz z wędzonką, kluski, smażone kartofle wniosła Antolka i postawiła przed nimi. Zarumieniona, zapewne od ognia, schludnie ubrana, smukła, zgrabna i mniej ponura, pierwszy raz wydała się Szymonowi bardzo przystojną. Raz, drugi podczas jedzenia spojrzął ku niej zdziwiony, że dotąd tego nie zauważył. Próbował też rozmowy z nią, bo stary Adam przygotowywał się do zagajania interesu i tylko to wzdychał, to stękał. - Nie była panna Antonina na weselu u Szumlańskich? - Nie. Z Dubinek ino Sewerynowa była. Ja nie chciałam. - Dlaczego? Z hardości? - Nijakiej hardości nie trzeba, żeby u złodziejów nie bywał. Dla kogo honor progi Szumlańskiego, a mnie nie. - To panna Antonina niewiele kompanii znajdzie - zaśmiał się gorzko. - A na co kompania? Nie obejdzie się żadna bez plotek, bez kłótni... - Ale tańce coś warte i kawalerowie... - Ja tam nie lubię, by mnie każdy kręcił i obejmował, a jak kawalerowie sobie podchmiela, to gorzej bydlą. Balowanie rzecz próżniactwa, a nasza rzecz - robota. To nam do twarzy! - Zaczne wnuki macie, panie Adamie! - zwrócił się Szymon do starego. - żeby więcej takich w Dubinkach. - Byłoby więcej, gdyby prym trzymali dobrzy. Ale tamci nas ogarnęli, opętali, sztychli z cnoty i prawdy, a potem przyszła bieda, nędza i zdziczeli wszyscy razem. - Antolka! - rzekł stary. - Zawołaj no Seweryna i innych. Niech też posłuchają, co pan Łabędzki im powie. Teraz im niedola uszy i dusze otworzyła. - Niechże przyjdą - powtórzył Szymon - ja im opowiem historię naszego klejnotu. Dziewczyna wyszła. - Panie Adamie - rzekł gorąco Łabędzki - ja bym tylko chciał,

żeby oni mnie zrozumieli. Jeśli tak się stanie, wielka moc nasza! - Mówcie, dobra teraz chwila. A potem, pókim żyw, ja im przypominam będę! - odrzekł stary. - My twardo stoimy przy swoim, gdy raz w co uwierzemy. żywo, zdyszani zbierali się ludziska na wezwanie Antolki, napełnili wnet izbę, a Szymon każdego witał serdecznie. Trwoga zaczęła ich opuszczać, ogarniało rozczulenie i popęd do tego człowieka, który oszczędzał im wstydu przeprosin i sam wołał. Gdy za ostatnim zamknęły się drzwi, Szymon po nich spojrzął i rzekł: - Panowie bracia! íali przyznajecie mnie i memu rodowi, że wśród was powstał, żył i trwał od wieków? - Tak! - odparł Adam. - Dziad jeszcze wśród was siedział i rolę czynszową uprawiał. Ojciec swą część za zgodą dworu ustąpił Dubinieckim. - Prawda - wtrącił Seweryn. - Ja tę część mam, i to półko dotąd Łabędzie się nazywa. - Więc mam prawo wśród was do głosu i rady, jakom wasz brat i tenże klejnot posiadający? - To się wie. Nie my was odtrącili, ale tamci - zamruczało kilka głosów. - O nich już mówić nie będziemy. Ale teraz, gdy ich nie ma, ja was o braterstwo proszę, jakem przed trzema laty prosił. - Bodajemy wtedy to byli uczynili, nie zginęlibyśmy! - westchnął Seweryn. - Boście nie wierzyli, by od dworu druh do was przyszedł. Na szerokim świecie wiele się zmieniło przez wieki, któreśmy w tej puszczy przepracowali rękami, grzbietem, głowy mając stępione pracą o chleb. Dwór wam został w pamięci ciemną, władzą i nie możecie pojąć, że wy i dwór - to braterstwo. Rozumiecie mnie? Obejrzyjcie się wkoło, zastanówcie się... Zapanowało milczenie. Wreszcie Seweryn rzekł. - Tak ci jest! Jam to kiedyś myślał na sumie u franciszkanów gdym z panem Sokolnickim dziekana * pod ręce prowadził. dziekan - duchowny sprawujący nadzór nad okręgiem złożonym z kilku parafii. - Teraz to do serca weźcie. Stare bajki precz trzeba wyrzucić z duszy, jak znoszone obuwie. Już w nim chodzić nie można! Inne nasze ścieżki niż dziadowskie. Tak teraz jest: gdy zostanie sam Seweryn na sumie, kto dziekana drugie ramię podtrzyma? A jak zostanie sam pan Sokolnicki, to może i dziekan przestanie Sakrament obnosić, bo nie będzie dla kogo organom grać! Rozumiecie mnie? Toż jedno braterstwo jest! A drugie - to owych pólek waszych i sokołowskich poletków. Wiecie wy, gdzie się podziały szlacheckie osady w grafskich dobrach, gdy je pan Mieczysław sprzedał? Idźcie, poszukajcie ich śladu! Szlachta spuściła głowy, słyhaż tylko było głuche westchnienia. - Poszukajcie puchów ostowych po polu! Łacniej je znajdziecie niż szlachtę tamtejszą teraz po świecie! A wiecie wy, coście robili, procesem dręcząc Sokołów? Oto sobie gotowaliście los podobny! Kto pień podcina, gubi gałęzie, a Sokołów i Dubinki - to jedno drzewo na trzebieży coraz rzadszej. Takie drzewo to nasiennik; a wiecie wy, że za ścięcie nasiennika ciężka jest kara i srogie prawo? Gdzieś ktoś w kacie zaszlochał. Szymon się porwał i skoczył tam. - Kto płacze? Niech mi rękę da, bo i ja tak często płakałem! - zawołał. Był to Makarewicz, jedyny, co został z rodziny. Wstydził się swego wybuchu i czapką twarz zakrywał. - Ja także kradł drzewo i kopce zaorywał! - wyjąkał. A Szymon go porwał i uściskał. - Aleś mymi łzami pierwszy zapłakał i tyś mi brat teraz! Reszta zaczęła nosy ocierać i rękawami twarzę. A Szymon, zapalając się, dalej mówił: - A jeszcze jedno. Klejnot nam dany jest i wielki stąd honor czujemy. A wiecie, że to też stara bajka jest, i nowe czasy to przekreśliły, jak wiele innych zabytków? Ale my chowamy pamiatkę. Dawno kiedyś pierwszy z naszego rodu to dostał jako znak, że lub dzielny był, lub wierny, lub cnotliwy. A dostał nagrodę i na przykład. Ależ teraz nikt owego pierwszego nie zna, ino ostatniego, i słyhaż: ten ci szlachcic gałgan jest, a ten pijak, a ten złodziej. I wstyd jest, i hańba takim do klejnotu się przyznawać nawet, nie tylko nim się szczyścić! Boż gdyby owe czasy wróciły, czy zostawiono by w takich rękach taką świętość? I tak, jak nie ten chrześcijanin, kto krzyż nosi, ale ten, kto krzyż nosi, tak nie ten szlachcic, kto herb ma, ale ten, kto szlachetnie czyni. Tak ci w mowie naszej postanowiono. A gdybyście wiedzieli, jak daleko na barkach takiemu, który się nie wstydzi ni przed sobą, ni przed dziekanem, ni przed cnotliwym człowiekiem. A gdy to mówił, twarz jego, niepiękna, tak promieniała i taka z niej biła jasność i wesołość, że ludziska ci nieokrzesani poczuli ogromną

chęć iść za nim, słuchać i z barków otrząsać wstyd, i tak zaraz gorąco spełnić swe szlachectwo. Zaczęli się do niego garnać, śmiejąc się przez łzy i zahuczalo w izbie: - Dajże, Boże, wszystko dobre za takie słowo! My za tobą pójdziemy, jako zechcesz! Toż jak prorok mówi. W nędzy naszej jakby niebo pokazywał. Mów jeszcze, mów!... A Szymon spojrział po nich i także rękawem oczy otarł. - Kiedy wam po myśli moje słowa, to jeszcze jednego posłuchajcie i uwierzcie mi. Bo oto na Boga się klnę, że gdym tu wrócił, nauki skończywszy, tom nie dla siebie wrócił. Dwie myśli miałem w sercu i duszy: wdzięczność dla dworu, co mnie wychował, dał światło, nauczył myśleć i czuć, i kochanie wielkie dla was. Boż ja stąd wyszedłem i krwią waszą jestem, i ten zaścianek sobie śniłem zawsze, ale nie taki, jak jest, ino inny. śniły mi się te pólka nasze ciasne tak uprawne, jakom u Niemców widział, stokrotny plon dające, i te domki schludne i białe w sadach całe, i te bydlatka, nie marne, a wycackane na schwał i sławne na okolicę. I widziałem chłopaków waszych u książki lub u rzemiosła, i widziałem tych, co zbywali do roboty na własnym zagonie, służących tym panom po dworach, a służących jako niegdyś służywali dworzanie, wiernie aż do śmierci. Więc, jakem wrócił, stanąłem do czynu. Dworowi dałem swój pot i myśl, krew bym dał, a wam swą duszę oddałem. Jeszcze do wczoraj były u mnie w domu książki, com dla dzieci i starszych sprowadził, i nasiona, com dla was trzymał w zapasie, i narzędzia do różnych rzemiosł dla chłopaków, i wzorzyste modele kilimków i tkanin dla kobiet. Com grosz zebrał, tom w to wkładał z początku, a jakem nic nie uczynił i odstąpić wam musiał, to jakbym połowę duszy stracił. A gdym wczoraj na te popioły domu patrzył, tom gorzko pomyślał: Niech gore, kiedy moje Dubinki tego nie chcą! - Mój Boże! Mój Boże! - jęknął Makarewicz. Wszyscy płakali lub, zwiesiwszy głowy, dumali smutno. Prawdą było każde jego słowo i całe dzieje tych trzech lat tylko w rzeczywistym świetle przesuwały się w ich pamięci. On o swej krzywdzie jakby nie pamiętał, ich losem tylko zajęty. - A teraz nam rachować trzeba. Proces szedł o trzydzieści dziesięcin łąk, piętnaście pastwisk i siedemnaście pola wydartego spod lasu, ogółem sześćdziesiąt dwie dziesięciny, a że rodów w Dubinkach jest piętnaście, więc na ród wypada osiem morgów wszystkiego razem. Z tych ośmiu morgów ród miał ci ile korzyści? Sami powiedzcie! - Jakie korzyści? żadne! - zawołał Seweryn. - Gdyśmy skosili i zżęli, nakładano areszt. Gniło na deszczu, sypało się na upale, tratowało bydło. Jeżeliśmy po kryjomu zabrali, to trzeba było za darmo prawie łydom sprzedaż. Jeślim miał dziesięć rubli, to i wszystko. - A ileż rocznie kosztował proces? - Proces! - krzyknęli wszyscy. - Toż widaż! Mieliśmy przedtem buty, teraz łykowe postoiły; mieliśmy odzież, teraz te łaty; mieliśmy bydło, teraz pies został i kot! Ot, co kosztował! Wszystko co było i długi. łydy biorą po pięć groszy od rubla na tydzień. - Nie chcieli płacić panu, teraz w żydowską wpadli niewolę. - A też pólka, co na nich wam było ciasno, żeście dworskie grabili, jakże one utrzymane, jak wam rodzą! Woda podmywa, bo rowy nie zrobione; chwast się pleni, bo gospodarz w czas nie zniszczy, po sadach się tułając; ziemia zubożeje, bo inwentarza za mało. Po sadkach dzikie grusze i wiśnie cierpkie, i te dziatwa, próżnując, przed dojrzeniem postrąca. Po domach swary i klątwy, bo nędza w oczy zagłada, a złe sumienie dręczy. A w święto pijatyka, swawola albo sen bezmyślny lub kłótnie sąsiedzkie. I tak ci ten zaścianek mój wyśniony w piekło się zmienił, a klejnot co przodków zdobił, u synów na ostatnią zeszedł poniewierkę... Milczeli teraz wszyscy, tylko stary Adam rzekł: - Gorzka to prawda, ale gdy dzień pokuty przyszedł, wy pokutę naznaczcie i zapomnijcie złego, a ucztie, jako na nogi staną. - Proces trzeba na wieki skończyć. Dworu ni siebie nie gubić, bo jakem was przekonał, to teraz ciężki grzech. - My gotowi choć zaraz do pana iść i co każe, podpisać! - zawołało kilku. - My pewni, że naszej zguby nie chce. - To wam ręczę! Białą papier możecie mu podpisać. Potem ja wam pomocę od łydów się wyzwolić, bo na lichwę straszny sąd teraz jest! Potem obrachujemy, kto w rodach od roboty zbywa, i ci na służbę niech idą, grosz zbiorą na bydłeta, na buty, na czynsz, na wiosenne zasiewy. - Ja wam zaraz chłopców swych oddam! - zawołał Antoni Dubiniecki. - A ja brata. - A ja sam

pójdę - rzekł Seweryn. - Każdy znajdzie służbę, gdy za za niego poręcę. A działwę zapędzimy do książki, a ja co niedziela do was po dawnemu przyjadę radziż o roli i o sadzie, a wieczorem się razem poweseliż. Nie lękajcie się ani trażcie rezonu. Szlachecka rzecz jest złe terminy cierpież i nie ustępoważ w dobrym. Tak ci klejnot każe i tak nam Panie Boże dopomóż! - Tak nam Panie Boże dopomóż - powtórzyli za nim wszyscy i rzucili się do niego, twarde prawice podając lub obejmując w ramiona. Aż zniknął w tłumie, który go przed kilku miesiącami deptał nogami bezbronnego. - A teraz do pierwszego obowiązku! - zawołał, gdy się wreszcie oswobodził. - Morski nieborak czeka pogrzebu, a lada godzina rzeki stana. Kto czólno swe daje pod trumnę, kto z nią pojedzie do miasteczka? Nikt się nie ofiarował, a Antoni Dubiniecki rzucił zajadle: - Niech go wiezie taki, komu on dobrze uczynił! Szymon spojrział po nich i rzekł: - Jest ci jedna taka historia w starych papierach, którą mi raz opowiadał pan Oyrzanowski z Horodyszczca. Było ci raz pacholat troje, podręcznych posłańców. A raz w bitwie posłał ich wódz w sam war i woła: "Ratujcie!" Nie miał czasu rzec co, a już oni skoczyli. A po chwili wraca jeden i przywozi schwytanego konia, na którym jakiś basza jeździł, a potem wraca drugi i przynosi chorągiew turecką, a trzeciego długo nie było, aż wraca z człowiekiem rannym na plecach. Nie jeniec żaden znaczny, ale swój. "Ktoś jest?" pyta wódz, a pacholę odpowiada, krew i pot ocierając z twarzy: "Toż Morawski jest, co nas ukrzywdził i wyrokami zniszczył. Leżał ci pod kopytami, więc go wzięłem, żeby nie nazwał mnie chamem." A wódz pacholę to przyjął do swego klejnotu. - U mnie czajka najszybsza! - zawołał Makarewicz. - A ja pojedę z tobą. I ja, i ja! - dodali inni, już do drzwi się kierując. - A ja o wiosło ino proszę, bo i ja muszę mu usłużyć! - zakończył Szymon. - Dalejże do roboty! Krótki dzień się zakończył, gdy wśród śpiewów i szlochań kobiecych trumnę przeniesiono na wielkie czólno wysłane świerkowymi gałęziami. Cała ludność zebrała się na brzegu. Na przodzie czólna położono krzyż świeży na mogiłę i drugi, który miano zostawiż na granicy osady; zapalono też w żelaznym koszu smolne drzazgi, które miały służyć za kaganiec. Zwyczaj takie były starodawne. Za trumną usiadły Morska i Weronka, do wiosł stanęli Antek, Hipek, Seweryn, a u steru Szymon. I nagle zapanowała wśród gromady wielka cisza, i wszyscy stali zapatrzeni w łódź, oczekując ostatniego zwyczaju. I nagle w tej ciszy rozległ się donośny głos Szymona od steru: - Oto ja, Feliks, odpływam z domu swego, i od swoich, na wieczne rozstanie. I żegnam was ostatni, ty, chato, i ty, ziemio! I żegnam ciebie, żono, i was, dzieci, i krewni, sąsiedzi i znajomi, na wieki wieków! - światłość wiekuista niech ci świeci. Amen! - odpowiedział chór na brzegu. Ale łódź nie ruszała i znów rozległ się głos: - A oto ja, Feliks, odjeżdżający, dziękuję ci, chato i ziemio, za chleb, tobie, żono, za przywiązanie, wam, dzieci, za posłuszeństwo, wam, krewni, sąsiedzi, bracia, za każde dobre słowo, i o ostatnie dobre życzenie na drogę proszę. - Królestwo niebieskie niech ci da Bóg miłosierny! - odpowiedział chór uroczyście. Ale łódź jeszcze nie odpływała i stojąc u steru, wyniosły, z twarzą uroczyście, mówca umarłego donośnie zaczął znowu: - A oto ja, Feliks, grzesznik, słaby człowiek i ułomny, a odjeżdżający na Sad Boży, przepraszam was, żono i dzieci, krewni, sąsiedzi i bracia za wszystko, com wam źle uczynił, powiedział, pomyślał, i o przebaczenie was błagam ostatnie a serdeczne przed tą drogą moją! Czy przebaczycie mi wobec Boga na wieki? - Przebaczymy wobec Boga na wieki! - uroczyście odpowiedział chór i płacz słycaż było w gromadzie. A wtem łódź, jakby skrzydeł dostała z tym słowem, pomknęła naprzód, wybiegła na prąd i uniosła Feliksa Morskiego z domu i ziemi na ostatnie spoczywanie. W zapadającej nocy widaż było przez chwilę postać Szymona we mgłę i czerwoną łunę kagańca na przodzie. Potem z tumanu doleciała pieśń wioślarzy. "Kto się w opiekę poda Pana swemu...@" Potem i sternika, i kaganiec, i śpiew zakryło oddalenie i noc. VII W Horodyszczu pan Oyrzanowski siedział sam w swym gabinecie i, oczekując na domowników, zamyślony patrzył w płonąca kłodę na kominie. Zmrok był wczesny, grudniowy, na dworze szalała zadymka i wył wicher o stare mury dworu. Było ponuro na świecie, smutno w duszy marzyciela. Na stole białały gazety, które

czytał w dzień, i szalały stosy odwiecznych dokumentów, w których szperał całe życie, a najbliżej pod ręką leżał list, który przed kilku dniami otrzymała Basia od Sokolnickiego, list pełen goryczy i zniechęcenia, o sprzedaży Miernicy Ilinicza. W gazetach pisano o rugach pruskich; w dokumentach - o swawoli, gwałtach i bezładzie dawnym, dymno paliła się kłoda na kominie, chłód wciskał się zewsząd. Głowę zwiesił pan Oyrzanowski i myślał, myślał o jednym: Czym swoją Basię pocieszysz, gdy tu za chwilę przyjdzie po ciężkiej, całodzienniej pracy na wieczorną gawędkę? Te wieczory były jej pociechą i ulgą, a on jej wtedy dawał piż ze źródła ideałów otuchę, moc, energię na jutrzejszy trud. Dziś zgnębiony był i - o gorzka ironio! - przez tę zgryzotę i ból, i osłabienie wciąż jak żwiek tkwiło mu w myśli, w uszach: "Mówił ojciec do swej Basi, @ całej zapłakanej: @ Nie płacz, Basiu..." @ Przesuwał ręką po czole, by to odegnać; wracało po chwili, natrętne, bolące, jak wspomnienie o czymś kochanym a umarłym. Mrok coraz gęstniał; za oknem rozległ się kaszel Bahy, potem skrzyp drzwi, obijanie nóg ze śniegu i ciężkie kroki starego. Wszedł i rozcierając zgrabiące ręce rzekł: - Szalona zamieź! W taki czas może tylko być w drodze głodny wilk albo pan Ilinicz! Oyrzanowski stęknął. Baha zapalił lampę na długim roboczym stole i spojrzął na gospodarza. - Aha, dojeżdża i pana do żywego! - rzekł. - Ja myślę, czym Basię pocieszysz - odparł Oyrzanowski. - Ba, pociecha łatwa, pomrzemy! - mruknął Baha zasiadając w kącie stołu, gdzie leżał stos książek gospodarskich. Jednocześnie z głębi domu rozległy się kroki Basi i brzęk kluczy. Weszła czerwona od wiatru i zimna; za nią chłopak wniósł herbatę i wieczerzę zarazem, bardzo skromną, którą spożywali zwykle w gabinecie dla oszczędzenia światła i czasu na wędrówki do zimnej jadalni. Uśmiechnęła się do ojca smutno, objęła go za szyję i ucałowała. - Uf, zmęczyłam się, ale i roboty mnóstwo się zrobiło. Zapiszemy te dzieje! - zwróciła się do Bahy, dobywając z kieszeni notatnik. - Zapiszemy - potwierdził stary - na podziw światu, który nie wierzy we wdzięczność! Czekał długo na to, ale przecie Horodyszcz się zawstydziło i, nie do uwierzenia, ale myślę, że da w tym roku dochód. Czy pan zgadnie, ile żyto sypnęło? Półtrzecia korca * z kopy! * Co? To jest, panie, jezuicka intryga! korzec - miara ciał sypkich, około 120 litrów (warszawski skarbowy, od roku 1764), 128 litrów (nowopolski, od roku 1819); półtrzecia - dwa i pół. kopa - 60 snopków śmiejąc się ironicznie, zaczął wpisywać do ksiąg, co mu Basia dyktowała. Oyrzanowski patrzył na córkę i rozrzewnienie go ogarniało. - Mrówko ty moja i pszczoło! Obyż ci zaczęło się wieść nareszcie! - rzekł złoty jej włos gładząc. Ale nieszczęsny list leżał na stole i zatruł wnet tę radość. Jednocześnie nań spojrzeli i westchnęli. Baha to spostrzegł i skończywszy zapisywać, zgarnął go z gazetami razem na bok. - A trucizna przeklęta! - zamruczał. - Mało tu jest własnych trosk i kłopotów? Jeszcze sąsiedzi czują się w obowiązku swoje znosić. A my co na to poradzimy! A pan Seweryn miał czym papier czernić. Niechby jechał i ratował siostrę! A zresztą "audiatur et altera pars" (łac. trzeba wysłuchiwać i drugiej strony). - Ciekawam, czy Józia już o tym wie? - szepnęła Basia. - Ja bym nie chciał nawet tam być, gdy się dowie - odparł Baha. - Kobieta kocha ten dwór jak czwarte dziecko. A stara pani Iliniczowa! Tej żywcem stamtąd nie wywiozą! I jęknął stary. - I Seweryn pisze co najgorsze na końcu - rzekł pan Oyrzanowski - że i on na tym brzegu, co Ilinicz. - On stetryczał doszczętnie! Jemu czas się żenić, a oto gotów zwariował jak stary marszałek. W tej chwili psy zaczęły ujadać i rozbity dzwonek rozległ się na dziedzińcu. Basia zbladła. - To pewnie z miasteczka podatek - szepnęła, drżącą ręką zapalając świecę. - To ja go załatwię - zawołał Baha. Wszedł, a Oyrzanowski córkę ramieniem objął i do siebie przytulił. - Biedactwo! śniła mi się dzisiaj twoja matka - rzekł z cicha. - Dawała mi dla ciebie wiele kwiatów i weksli mówiąc: "Odkupiłam je dla Basi na urodziny!" Dziewczyna uśmiechnęła się rzewnie. - Ja wiem, że o mnie matusia nie zapomni, i czekam, i spełniam, co mi kazała. Daj Boże tylko siły i trochę mniej klęsk. Z dalszych pokojów rozległy się kroki i głosy. Gościa prowadził Baha. - To chyba Sewer - rzekł Oyrzanowski. Drzwi się rozwarły. Na progu stał Ilinicz. Baha go wprowadził i natychmiast dyskretnie się wycofał. - Państwo przyjmują? -

rzekł Ilinicz jakimś nieswoim głosem. - Prosimy! - odpowiedzieli oboje, mimo woli zmieszani. Ilinicz wszedł i zaraz do komina się zbliżył. - Zła droga podobno? - rzekł Oyrzanowski. - Nie ma żadnej możliwej. Dusze pokutujące chyba się tłuką... i ja - skończył, usiłując się śmiać. Zapanowało kłopotliwe milczenie, wreszcie Ilinicz do nich się zwrócił i rzekł z wybuchem: - Państwo już pewnie słyszeli, że sprzedałem Miernicę. - Tyle plotek kursuje po okolicy... - To nie jest plotka, to prawda. Sprzedałem! Po świętach muszę się wynosić. Nikt nie rzekł słowa. Ilinicz zaczął po pokoju chodzić i nerwowo urywane rzucać słowa: - Sprzedałem! Już wytrzymać i wycierpieć nie mogłem. Trzeba do wszystkiego mieć powołanie. Ja nie mam powołania do powolnego męczeństwa bez celu. Zresztą ja mam rodzinę; dwóch synów i córkę. Ja nie chcę ich hodować na jatki. Niech nie mają nic, niech będą nędzarzami, ale bez łańcucha i bez kuli, bez złud, bez majątku. Młodość, zdrowie, siły - wszystko mi zżarło. Ciągłe w dół, w upadek! Dosyć! Przestał chodzić, usiadł ciężko na krześle i zanurzył ręce we włosy, przez pół już siwe, pomimo że miał tylko trzydzieści kilka lat. - Mam opinię próżniaka i złego administratora. Prawda, że nie umiał, jak wół, żyć między rolą, gumnem i chlewem. Ale nie z winy moich jazd miałem pożar w jednym roku na jesieni z podpalenia przez chłopa, który mścił się za ukaranie go za kradzież siana; nie z winy moich jazd miałem grad w dwa lata potem w czerwcu; ani winne moje jazdy, że cena zboża nie pokrywa produkcji, a ciężary rosną z każdym rokiem. Kto ma kapitał, ten go dokłada, kto ma kredyt, brnie weń ze złudną, nielogiczną nadzieją, że ziemia się wypłaci kiedyś. Ja nie mam kapitału, nie wierzę w kredyt na rolę, a mam dzieci - i muszę ustąpić! Interes zrobiłem świetny. Po spłaceniu ciężarów zostaje mi dwadzieścia tysięcy kapitału i swoboda pracy. - Tylko zostanie ci rzecz, której nikt nie kupi: troska! - rzekł poważnie Oyrzanowski. - I to jest złuda twoja, i twoja nielogiczność, gdy myślisz, że pozbywszy się majątku, będziesz swobodny. Troska cię znajdzie wszędzie i dzieciom jej nie oszczędzisz. Nazwa inna, rzecz ta sama. Gdy pójdziesz z Miernicy, poniesiesz za sobą ciężary i zgryzoty, zawody i straty, klęski i smutki! Mój drogi, wspomnisz kiedyś moje słowo, gdy mnie już nie będzie... Ilinicz milczał, zmęczony wybuchem. Po chwili Basia spytała z cicha: - Czy Józia już wie o tym? - Nie, i nie wiem, jak jej to powiem - szepnął znękany. - I to będzie pierwsza twoja nowa troska na tej swobodzie, o której marzysz! - rzekł Oyrzanowski. - I pan zrobił tak ważną rzecz bez porady jej i zgody! Nie dziwiłabym się, żeby miała za to do pana dozgonny żal! - zawołała Basia. - Zrobiłem to dla jej dobra i dzieci. Radzi się nie mogłem, bo nie zgodziłaby się. Uratowałem jej posag, wychowanie dzieci, jej zdrowie, może życie, które co dzień narażała w pracy nad siły. Jestem wobec niej bez winy. - Więc jej to powiedz śmiało! Dlaczego się wahasz? - Kobiety wierzą w to tylko, co im się podoba! Przekonać nie sposób, gdy nie chcą. - A mężczyźni wierzą w to, co im się nie podoba! - wtrąciła ironicznie Basia. - W takim razie powinien być pan wierzyły w majątek i w gospodarstwo. - A pomyślałeś ty o swej matce? - rzekł Oyrzanowski. - O chwili, gdy ją wywieziesz z Miernicy, którą kosztem życia uchwalała dla ciebie w całości i porządku? Ilinicz porwał się z krzesła i znowu chodził po pokoju. - Dali mi bajeczną sumę, świetne warunki! Muszą być ofiary. - Ofiary w najbliższych i najdroższych istotach! A bajeczną sumę dlaczegóż ci dali! I oni zapewne umieją rachować. - Ba, oni! Utrzymywał rodziny nie będą z ziemi. Dla nich to także świetny interes. - Utrzymanie rodziny pańskiej to nie rozchód, to przychód, bo Józia pracuje. Zamiast niej będzie nowonabywca trzymał rządca, który będzie tyleż kosztował, a niedbale pracował i może kradł. - I brać będą owoce z ziemi - szepnął Oyrzanowski. - I będzie to twoja druga troska na tej swobodzie. Ilinicz znowu usiadł, wpatrzył się w ogień i ponuro rzekł, - Stało się! I wszyscy umilkli. Wicher wpadł w komin i rzucił na izbę kłęb dymu. Za oknem żałośnie pisał wył, przesładowany przez chłód i zadymkę. Basia zakryła rękoma twarz i myślała z goryczą nad rozpaczą kuzynki. Przyszło jej na myśl, że niegdyś, przed siedmiu laty, gdy wróciła z klasztoru, Ilinicz o nią się starał. Gdyby była się zgodziła i poszła za niego, byłaby dziś w położeniu Józii: ptakiem

wyrzuconym z gniazda. Mimo woli z wielką czułością przygarnęła się do ojca i przytuliła do jego kolan. Była z nim tak bezpieczna, tak spokojna! Uczuła się w swojej ciężkiej i niewdzięcznej pracy pokrzepioną na długo tym porównaniem. A stary, dłoń powoli przesuwał po jej włosach, mówił ze smutkiem spokojnym, jaki daje wiek i rozważa: - áleś zrobił. Dobry interes jest ten, co daje spokój w sercu, a ty go mieć nie będziesz. A wiesz dlaczego? Boś Słowianin, Słowianin_marzyciel, a nie myśliciel, uczuciowy, fantasta, miękki i uczciwy do łatwowierności. Takim go wieki urobiły, i dlatego ukochał rolę. Ty gwałtem kult ten burzysz i zmarniejesz! A wiesz ty, co twoje dzieci uczynią, gdy im się w życiu poszczęści i grosz zbiorą? Wróć na rolę! A wiesz ty, o czym marzyć będziesz za rok, jeśli nie zbankrutujesz na aferach, do których nie jesteś przygotowany ani zdatny? O zagonie własnym i czarnym chlebie z niego! Mój drogi! Czasy są ciężkie, praca niewdzięczna, ruina, zda się, niezawodna, ciężary nie do zniesienia, a przecie przyjdzie czas, gdy ziemia wypłynie i będzie tą jedyną prawdą i gruntem, jak ją nazwano. - Tylko nie w naszych rękach! - W naszych, jeśli jej strzec i uprawiać nie przestaniemy. Basia podniosła głowę. - Możemy się zmierzyć. Pan wychodzi z Miernicy z kapitałem, my mamy na Horodyszczu długów tyle, ile wartości majątku. Zobaczymy, kto dłużej wytrzyma: pański kapitał w aferach czy ta biedna ziemia! - Trzymam zakład! - rzekł Ilinicz ożywiając się. - Na wiosnę stawiam tartak i młyn w miasteczku. Zamawiam u pani zboże, u Sewera drzewo. - Nie wytrzyma pan konkurencji. - Wytrzymam, bo będę sprzedawał mąkę bez piasku, a deski rzetelnej miary. - I będzie pan żądał rzetelnej ceny, ludzie zaś wezmą raczej gorsze, byle taniej. Do moralności handlowej trzeba innej etyki i pojęć. - Biedna rola cierpi długo fuszerów_gospodarzy, ale można handel przebiera wybrednie swoje sługi - rzekł Oyrzanowski. Ilinicz głową potrząsnął lekceważąco. - Więc pan wykreśla indywidualne wartości? - Przeciwnie. Wierzę w geniusze z woli Bożej, w talenty, w mistrzostwo, ale w kwestiach ducha i sztuki, a nie handlu. - Zobaczymy! - uparcie rzekł Ilinicz. - Do porozumienia nie dojdziemy, gdy ja się rządę tabliczką Pitagorasa, a państwo poezją. To tylko fakt, że na poezję teraz dla nas za późno! Wstał i zaczął szukać czapki. - Przecież zanocujesz? - rzekł Oyrzanowski. - Nie mogę. śpieszno mi do domu. Muszę z żoną się rozmówić. Stał, głęboko odetchnął i dodał: - Chciałbym, żeby one już o tym wiedziały. Miał w oczach wielką trwogę i niepokój. íadne z nich nie rzekło słowa otuchy i współczucia. W oczach Basi mignęła zawziętość. Oyrzanowski pokiwał głową. Ilinicz zaczął się żegnać. Zły był na siebie. Po co tu przyjechał, spowiadał się, tłumaczył, chciał przekonać - ich, największych zacofańców? Co prawda, od czasu sprzedaży Miernicy nie bywał nigdzie, obcował z kupcami. Czuł potrzebę towarzystwa, rozmowy, przekonania ludzi o swych dobrych intencjach! Ba! trzeba było zacząć gdzie indziej! Zrozumiałby go Woyno, Zagrodzki, nowi ludzie, nie te zaślepiające rupiecie! Pożegnał się bardzo sztywno, na bryczkę pocztową siadł i ruszył w noc i zadymkę, podniecając się myślami do przejścia w domu. Parę godzin mu zeszło w ten sposób, aż wreszcie znalazł się na podwórzu miernickim i ujrzał, że w pokoju żony jeszcze się świeciło. Wolałby zastać ją już śpiącą i rozmowę odłożyć jeszcze choć na kilka godzin, ale ona sama otworzyła mu drzwi i powitała go pocziwym uśmiechem. Zatem wieść jeszcze do niej nie doszła. Tedy Ilinicz zdecydował się sprawę nie odkładać. - Jak się masz, Józiu? Jakże matka, dzieci? - zaczął wesoło. - Matka trochę niedomaga. ále je i nie sypia. Właśnie czytałam jej głośno. Dzieci zdrowe. Mała już wczoraj chodzić zaczęła pod opieką Kazika. A Julek przygotował ci niespodziankę. Jutro się tym pochwali. W domu zresztą spokojnie. śliczne są małe cielaki, dziesięcioro. Dojdziemy przecie do porządnej obory. Sprzedałam groch. Mam pieniądze. I uśmiechnęła się radośnie. Była młoda, przystojna, o żywych oczach i energicznym wyrazie twarzy. Znał na niej było rzetelną pracę i rozważę duchową, i gdzieś, w zakątku duszy, marzenie o nagrodzie za ten trud ochotnie dźwigany. Wprowadziła go do jadalni i krzątała się około posiłku. Do ciągłych jego jazd przywykła, nie czyniła mu nigdy scen i wymówek. Z jej racji nie było nigdy chmury w ich pożyciu. Była mu wdzięczna, że jej ufa w zarządzie

majątku, była z tego nawet dumna. Kochała Miernicę, kochała dzieci, wierzyła w dobrą przyszłość. Ilinicz do posiłku usiadł, wypił parę kieliszków wódki, zjadł ledwie kęs i czekając na herbatę zapalił papierosa. - A ja ci też urządziłem niespodziankę! - zaczął chrząkając, bo mu głos się chwiał. - Możesz znowu kupić inne konie? - Nie. Patrz! Wydobył pugilares i rozrzucił przed nią kilkanaście sturublówek. Kobieta się przeraziła. - Mój Boże! Grałeś w karty? Ach, gdybyś tyle przegrał! - Nie grałem. Zrobiłem lepszy interes. Kupiłem ci spokój, swobodę, przyszłość dla dzieci, los - sprzedałem Miernicę! Nie patrzył na nią, nie śmiał. Czekał wybuchu, krzyku, sceny, aby także wybuchnął i spiorunował ją argumentami, ale stało się wcale inaczej. Posłyszał za sobą brzęk, upadek szklanki i gdy się obejrzał, kobieta patrzyła na niego oczami rozszerzonymi zgrozą, blada aż do warg, skamieniała, bez dźwięku poruszając ustami. - Mój Boże, mój Boże! - wyjąkała wreszcie z taką rozpaczą, że Ilinicz machinalnie uszy sobie zasłonił. Iliniczowa przyskoczyła do niego. - Julek, to nieprawda? To byż nie może! Co ty mówisz? Tak żartoważ to grzech. Cicho! Matka przez ścianę... usłyszysz coś... nie zrozumie. Zabije to ją! Cicho! Cicho! Jak można tak żartoważ! Ty wiesz, tego jednego nie zniosę! I stała przed nim cała drżąca, przerażona, żebrząca odwołania, śmiechu z jego ust. Ale on oczy odwrócił i podniecając się rzekł: - To ty się opamiętaj i nie krzycz. Przerwała mu: - Ja się opamiętam, ale drugi raz tak mnie nie strasz. Z żony się nie żartuje. - Ja też nie żartuję. Sprzedałem Miernicę, póki był czas, pókiśmy z torbami nie wyszli, póki honor cały i możemy długi uiścić. Za rok może by było za późno! Zostanie nam kapitał czysty, los zapewniony i pewność, że dzieci nie będą żebrakami, a my bankrutami bez czci i wiary. Mógł teraz mówić. Po wybuchu kobieta znowu skamieniała, stanęła pod ścianą i twarz jej zaczęła tężeć, twarzenie, zacinaż się w wyraz dziki i zły. Była Sokolnicka, a przysłowiowa była rodu tego zawziętość i moc w złym i dobrym... Ilinicz nie znał żony, bo nigdy dotąd nie zaczął jej zasad, więc wyobrażał sobie, że uległa, jak dotąd ulegała jego woli i zamiarom. Rad był nawet milczeniu i mówił dalej, odurzając się swymi planami: - Zapłacono mi bajeczną cenę! Wyobraż sobie, spłacimy wszystkie długi i zostanie dwadzieścia tysięcy. Zaraz połowę użyję na warsztat do nowej pracy. Kupiłem już plac w miasteczku nad rzeką. Wprawdzie jest na nim proces, ale ja go skończę, a dostałem z tej racji za pół ceny. Już mi dają pięćset rubli odstępnego. Może i na tym coś zarobię i do wiosny ze trzy przehandluję. Tymczasem wynajmę dla nas mieszkanie. Przewieziemy tam meble i ruchomości z domu, urządzimy się naprędce. Z wiosną na placu własnym zacznę budoważ dom, tartak i młyn. Resztę pieniędzy włożę w papiery bankowe; programy trochę na giełdzie. Jak się uda, możemy w rok podwoić. Nareszcie odetchniemy! Nie będzie nas o chorobę przyprawiał deszcz lub posucha, chłop, łyd, ekonom, termin długu, wół, koń - staniemy się ludźmi myślącymi! Możemy tu bawiż do świąt, ale w niedzielę nowonabywca obejmie już zarząd. Bardzo to gładki i europejski człowiek i "grand seigneur" (fr. wielki pan)! O drobiazgi nie będzie kwestii: możesz wiaż z domu, co ci się zamarzy. Iliniczowa nie zmieniała postawy ani wyrazu twarzy. Patrzyła przed siebie, w czarną noc, za okno; zdawała się nie słyszeż. Nagle drgnęła. Za ścianą rozległ się stuk, upadek głuchy, potem płacz dziecka. Kobieta poskoczyła tam. Był to pokój matki Ilinicza; sypiała z nią razem wnuczka malutka, ulubienica babki. Staruszka przed dziesięciu laty straciła władzę w nogach, przykuta była do fotela, oczekiwała w spokoju śmierci, która do niej szła powoli, rok po roku odbierając życie. Z początku rządziła jeszcze z fotela i zajmowała się ręczną robotą, potem zdała rzady na synową, ale wiedziała o wszystkim, żyła życiem Miernicy. Gdy przybyły wnuki, radowała się nimi, zapomniała przy nich o swej nędzy, nie czuła śmierci. A śmierć szła i szła naprzód. Nowy atak odjął jej lewą rękę i oko, mowę miała utrudnioną. Na pół trupem będąc, ożywiała się tylko wtedy, gdy jej Iliniczowa opowiadała o roli i zbożu, o pracy gospodarczej, o urodzaju lub pogodzie. Latem wynoszono jej fotel na ganek i oczu nie spuszczała z podwórza lub skrawka pola, które widaż było poza ogrodem. ślepa i na wpół umarła jeszcze kochała Miernicę - to jedno ją zajmowało. Zimą, gdy gorzej

cierpiała, przyprowadzano jej pod okno konie lub krowy, przynoszono na pokaz snopy zboża, które kazała zostawić w pokoju i gładziła pieścotliwie jedyną żywą ręką. I tak czekała końca, pewna, że i po śmierci stąd nie odejdzie, zostanie w Miernicy, na cmentarzyku wśród pól, skąd widać było dwór i wieś, gaje i wody, kędy żywot pracowity spędziła. Synowa była jej najlepszą córką: rozumiały się. Ostatnimi czasy bardzo zasłabła, ksiądz ją odwiedził, na śmierć dysponował, a przecież jeszcze przed kilku dniami pytała o omłot zboża i uśmiechnęła się, gdy Józia jej powiedziała, że żyto sypie po dwa korce z kopy. - Będzie dobrze, zobaczysz! - rzekła ledwie poruszając ustami. - O, ziemia kochana nikogo nie zamorzy! Gdy Iliniczowa otworzyła drzwi, ujrzała staruszkę twarzą do ziemi, leżącą u stóp fotela bez ruchu i głosu. Dzieciak się obudził, wyglądał z łóżeczka i płacząc wołał: - Babunia bach! Babunia bach! Kobieta przyskoczyła do leżącej, chciała ją podnieść; ale to ciało bez ruchu i woli miało ciężar ołowiu. Dopiero Ilinicz, przerażony, blady, wziął ją na ręce i gdy żona podtrzymywała bezwładną głowę, złożył na kanapie. Twarz była zmieniona, wykrzywiona, oczy szklane, wargi otwarte jak do krzyku i tylko głos słaby, podobny do płaczu małego dziecka, dawał znak życia. - Doktora! - krzyknął Ilinicz wybiegając z pokoju. Już i służba się zbiegła i rejwach się zrobił. Jedyne Iliniczowa nie straciła swego kamiennego spokoju i zaczęła ratować, jak zwykle w poprzednich atakach. Lekarz był daleko; przed południem nie można się go było spodziewać. Ilinicz sam po niego pobiegł, a Józia została przy umierającej, na długą noc - śmiertelną. Ktoś ze służby, z własnego domysłu, posłał chłopaka do Horodyszczca. Weszło to w zwyczaj, że gdzie była niedola, śmierć, choroba w domu, wzywano Basię. Gdy ją posłaniec zbudził, nawet się nie zdziwiła, że jej do Miernicy potrzebowano, i ruszyła nie czekając rana. Ledwie świtało, gdy stanęła w dworze, który wyglądał ponuro w zimowej nagości i milczeniu. Świeciło się w jednym oknie. Basia weszła tak cicho, że jej nie posłyszała Iliniczowa czuwająca u posłania. Siedziała tak całą noc, nie zdając sobie sprawy z czasu, z głową w dłoniach, mając za wtór do swych rozpacznych myśli to rozdzierające kwilenie konającej. Od jednego spojrzenia poznała Basia, że tu śmierć już zadała ostatni cios, że nie było ratunku, więc się zwróciła do Józii i pocałowała ją w głowę. Kobieta się wzdrygnęła, spojrzała na nią i zaczęły jej drżeć wargi. - Zabił ją! - szepnęła. - Słyszałaś? Sprzedał Miernicę. Może jutro dzieci pozarzyna, jeśli to dobry interes! Słyszałaś? Sprzedał... sprzedał moją duszę, moją krew, jej życie! Sprzedał! Nie ma nas! I nagle objęła głowę w ręce i zajęczała, kurcząc się jak w wielkim bólu, jak ranna śmiertelnie. Potem się porwała i spojrzała na staruszkę. - Ieby ona miała siłę przekląć go przed śmiercią! - zawołała dziko z bezmierną wściekłością. - I przekląć tych, którym świata mało. O, żeby przeklęła! Ją by Bóg wysłuchał, ją, zamordowaną! - Józiiu, opamiętaj się! - przerażona zawołała Basia, która nie spodziewała się takiego wybuchu. - Dlaczego mam się opamiętać? Na Boże dopusty i wolę milczeć będę, znoś, co On mi da! Ale na ludzki mord wołać będę krwią ostatnią, pomsty Bożej wzywać dniem i nocą. - Józiiu, toż twój mąż! - szepnęła Basia. - Właśnie dlatego mu nie daruję! Jam nie poganka ani niewolnica. Jam jemu równa; ślubowałam mu nie ciało moje tylko, ale ducha i myśl, pracę i pomoc. Ty wiesz, jakem pracowała i znosiła ochotnie. A on moją świątynię sprzedał jak Judasz; on mi serce wydarł, pracę zniszczył i z tego gniazda precz mnie goni. Jakim prawem? Ja dzieci mam, to ich gniazdo; my nie wędrownie ptaki; nas tu Bóg osadził. A on śmie Boże wyroki zmieniać, on śmie wstyd kłaść na nasze głowy niewinne! Niechże wstyd sam znosi; ja z nim w hańbę nie pójdę! Basia nie rzekła słowa. Znękana usiadła u posłania, a Iliniczowa osunęła się także na krzesło. W ciężkiej ciszy pokoju tylko staruszka żegnała świat swym rozdzierającym kwileniem i za ścianą słychać było płacz dziecka i stuk kołyski. Szary, posępny dzień wschodził, bez słońca. Basia wzięła książkę do nabożeństwa i półgłosem zaczęła odmawiać pacierze przedśmiertne. Na chwilę ustało rżenie chorej i ręka jej bezwładna poczęła czynić ruchy niesforne, a twarz cała się kurczyła. Basia zrozumiała jej chęć ostatnią; wzięła tę biedną rękę i podniosła do czoła i piersi, krzyżem je znacząc. Iliniczowa się ocknęła i

rzekła pochylając się nad umierającą: - Szczęśliwaś ty odchodząc. Jeszcze w Miernicy zostaniesz. Ja już nie! Ja nie!... I dzieci te, coś kochała, rozleca się jak liście suche, nie legną kiedyś przy tobie, tułacze, bezdomne! Mój Boże, mój Boże! Tyś nie chciała takiej niedoli. Tyś jej nie dał - Ty, ojciec! I wreszcie zaczęła szlochać zmęczona rozpaczą. I Basia, nie mogąc się pohamować, zapłakała z nią, a konająca snadź na sekundę odzyskała skrę przytomności, bo oczy jej błędne napełniły się łzami i z wysiłkiem poruszyła ustami. Dźwięk niewyraźny to był, urywany wyraz, nieudolne szeplenienie dziecka. Iliniczowa uklękła nad nią, ucho przyłożyła do ust, wyteżyła uwagę. - Miernica... grzech... sieroty! Błogosławię! - domyśliła się z trudem. I skra przytomności zgasła. Twarz się wykrzywiła okropnie, rozpoczęło się straszne chrapanie agonii. Basia zapaliła gromnicę. Ilinicz tymczasem nie zastał w domu lekarza i wracał, pędząc konie do upadłego. Jednakże około południa zaledwie dobił się do domu i gdy wjechał na podwórze, zrozumiał, że już po wszystkim. Drzwi domu były szeroko otwarte i błyszcząły przez nie światła świec od katafalku. Staruszka już przestała cierpieć. Leżała na swym śmiertelnym łożu surowa i poważna we wdowich swych szatach, z krzyżykiem w rękach. Kilkoro sług i chłopów modliło się przy niej, a po domu krzątała się Basia, blada i smutna karmiąc w jadalni gromadę dziatwy, wystraszoną i płaczącą. Ilinicz wszedł jak błędny, obejrzał się i milczał. Służący zaczęli go: - Proszę pana, ekonom pyta o rozkazy. - A pani? - spytał nawykły, że ona wszystkim się zajmowała. - Pani go odesłała do pana. Czeką też na pana jakiś łyd z miasteczka. Ilinicz spojrzął na Basię. - Józia chora? - spytał nieśmiało. - Położyła się. Czuwała noc całą. - A to stało się kiedy? - Głową wskazał na sień. - Nad ranem. - I nie odzyskała przytomności? Bardzo cierpiała? - Bóg wie! Nie skarżyła się. - Dziękuję pani za odwiedzinę w tej chwili. Ja jestem taki przerażony, w głowie mi się mąci. Taki cios! Objął głowę w dłonie i stał bezradny. Chłopak najstarszy kręcił się koło niego starając się zwrócić uwagę; nareszcie za rękaw go pociągnął. - Papo! Dlaczego babunia umarła? - spytał. - Czy ją coś boli? Dlaczego mama płacze? Przecie my byli grzeczni! I wspinając się na palce w oczy mu zaglądał. Ilinicz odwrócił się, nie śmiać spojrzeć na dziecko. Ale chłopak nie dawał za wygraną. - Dlaczego papo smutny? Nikt z nami nie chce się dzisiaj bawić i ciocia Basia kazała nam być cicho. A wczoraj mamusia z nami śpiewała i ja się dla papy nauczyłem wierszy. Niech papo posłucha, jakie piękne. Mama mówiła, że się papo bardzo z nich ucieszy. I malec uczepony do ojcowskiej ręki, począł uroczyście recytować balladę. Ilinicz szarpnął się, wzdrygnął, dziecko odtrącił i wypadł do sieni, potem na podwórze. A dzieciak, przerażony, spojrzął na Basię i rozpłakał się rzewnie. Pod wieczór przyjechał Sokolnicki. Pomodlił się w milczeniu u zwłok i poszedł do siostry. Zastał ją spokojną, zimną. Składała do kufra ubranka dziecinne i swoją bieliznę. Spojrzeli na siebie i zrozumieli się. - Cóż myślisz robić? Zaraz po pogrzebie się wyprowadzacie? - spytał ponuro. - Daj mi kąć w Sokołowie - rzekła składając ręce. - Mnie i dzieciom! Nie dasz, pójde na żebry, ale z nim - nigdzie! - Mój dom - twój dom - odparł z prostotą, nie zdziwiony nawet, tak do siebie byli podobni charakterem. - Ale czy on się zgodzi? Może cię zmusi. - Niech spróbuje! - rzekła podnosząc głowę. - A na com ja mu? Dla niego pracować nie będę. Kroku nie zrobię, słowa nie powiem, palcem nie ruszę. Niech spróbuje! - A dzieci! Może ci ich nie daż, odebraż. - Dzieci! On o nie nie dba. Nikt ich nie kupi. Sokolnicki czuprynę potarł. - Mówiłaś już z nim? - Nie, i nie będę. On mnie nie pytał o radę, nie znaczą dla niego nic i on dla mnie niczym. Między nami skończone. - Gdzież on jest? - Nie wiem. Zapewne zdaje moją pracę i znój i dobro! Odesłałam mu klucze i księgi; jestem wolna. Pakuję swe graty. Dziękuję ci za dach i dobre słowo. Wypłacę ci za ten kęs chleba ile sił! Przygarnęła się do piersi brata, a on ją ucałował w milczeniu, markotny przecież bardzo wobec tego buntu i komplikacyj. - Pójde do niego - rzekł wreszcie. - Rozmówiż się muszę z ciebie. Będzie awantura! Ilinicz siedział w swym gabinecie z głową w dłoniach, a chaos miał w myślach. Na widok szwagra poczerwieniał i rzekł: - Byłaś u Józi? Co ona myśli? Ze mną wcale mówiż nie chce ani czym się

zająć? Co to będzie? - Postąpiłeś z nią niegodnie, a ona nie z tych, co taką krzywdę darują - odparł twardo Sokolnicki. - Iem jej o radę nie pytałeś? Za pozwoleniem! Jestem panem domu i głową rodziny. Czynie, co uznaję za słuszne. - A ona jest panią domu, żoną twoją, matką twoich dzieci i gospodynią w tym majątku. Czynie też, co uznaje za słuszne, i dzielić twych losów dalej nie chce. - Musi iść ze mną! - gwałtownie krzyknął Ilinicz. Na czole Sokolnickiego nabrzmiały żyły. - Nie radzę ci musu próbować z nami! - odparł. - Więc ty ją podtrzymujesz w jej buncie? - Skrzywdziłeś ją ciężko, a nie kocha cię już, aby mogła przebaczyć. - Więc? - groźnie rzucił Ilinicz. - Więc jutro, po pogrzebie, wraca z dzieżmi do Sokołowa - odparł pan Seweryn podobnie. - Nie pozwolę na to! Jest moją żoną, pojedzie, gdzie każe, i czyniż będzie moją wolę. - Idź i powiedz jej to. Może ją tym dobijesz, jakieś sprzedaż majątku dobił matkę. Ilinicz skoczył ku niemu z ręką podniesioną. Pan Seweryn wzrokiem powstrzymał szaleńca, a potem rzekł głos podnosząc: - Nie rób ekscesów i wojny z nami nie zaczynaj! Może czas ranę Józci zablizni, ale dziś pogorszyłbyś tylko swoje położenie, zmuszając ją do uległości. Będziesz miał i bez tego dosyć do czynienia z opinią ludzką. Radzę ci nie sprzeciwiać się Józci, a za to obiecuję, że i ona, i ja sprawy nie rozgłosimy. Nikogo to nie zdziwi, że nie mając domu bawi u brata; ale gdy ją gwałtem zabierzesz, powstanie ogólne oburzenie. A ty pamiętaj, że jesteś sam wobec tłumu i opinii. Im ciszej się zachowasz, tym lepiej dla siebie. Ilinicz upadł na fotel przybity. Sokolnicki przeszedł się po gabinecie i spokojnie rzekł: - Zrobiłeś zły interes i nie w porę. Wiesz ty, dlaczego ci dano taką cenę za majątek? Bo lada dzień kolej tu będzie przez nasze bagna i rzeki, a ten Werner znalazł u ciebie złoto w ziemi: żwir w Bielicy, na granicy Horodyszcz. Kopalnia zapłaci im stokrotnie tę bajeczną cenę, jaką ci dali. - To nieprawda! - krzyknął Ilinicz błędnie. - Zobaczysz! Nas stąd wypiera nie bieda, a nasza własna głupota. Więc ci się zdawało, że tę bajeczną cenę dają ci tak sobie, dla fantazji? Ha, ha. - Więc i w Horodyszczu żwir być może! - Dałby to Bóg dla Basi cierpliwej. Ilinicz oburącz porwał się za włosy. - Przekłety dzień! Przekłety dzień! - wyjąkał. Zaczynały się dla niego bardzo prędko te nowe troski, które mu Oyrzanowski przepowiadał. A przychodziły całą chmarą, jak czarne kruki na żer, tym dotkliwsze, że pełne wstydu i wyrzutów. Na pogrzebie nikt się nie pokazał z sąsiedztwa. Wymówili się złą drogą, ale naprawdę wieść, że sprzedaż Miernicy dobiła staruszkę, rozeszła się z piorunującą szybkością, oburzyła wszystkich. Zaraz po pogrzebie, bez pożegnania, bez dobrego słowa, Józcia z dzieżmi odjechała do brata. W pustym domu Ilinicz został sam, opuszczony, z mnóstwem zajęć, kłopotów, rachunków i z piekącymi myślami. Były desperackie te ostatnie dni, to żegnanie kątów i ludzi, ten nowy zarząd, ta rola upokarzająca wobec dworu i wsi, rola dezertera. Nareszcie pewnej nocy najęta furą, ukradkiem, Ilinicz wyjechał na zawsze z Miernicy. Nie poszedł za nim nawet pies, ba, te stróże poczciwe od dawna opuściły podwórze i poszły wiernie z Józcią i dzieżmi do Sokołowa. Obce brytany zajadłym szczeniem wypędziły Ilinicza za bramę. Droga szła podle cmentarza, a on oczy odwrócił i burką otulił głowę, bo go dreszcz przeszedł i bał się wśród krzyżów zobaczyć matczyną mogiłę. - Poganiaj, poganiaj! - wołał do najętego woźnicy. I tak wyjechał na nową pracę i swobodę. Po kilku dniach, porwany wirem nowych zajęć i wrażeń, wrócił do równowagi. Byłaż bo to nie lada uciecha targować place, najmować rzemieślników, kreślić plany i czuć pieniądze w kieszeni. Kredyt jego od razu stanął świetnie. Otrzymał kilka propozycji pożyczek, on, który dotychczas żebrał o każdy grosz; otaczali go łydzi wężąc zysk i zarobek. Był w swoim żywiole: w ruchu, gorączce, bezustannych handlach i interesach. Nie czuł nawet braku stosunków towarzyskich i pustki zajazdu, gdzie mieszkał, i zaczął z litością patrzeć na dawnych sąsiadów. Widywał słomą wypchane, biedne sanki panny Barbary u drzwi Harpagona marszałka, widywał Łabędzkiego w sądzie o nadużycie i chłopskie kradzieże, Sokolnickiego targującego się ze zbożowymi kupcami lub przed zarządkiem akcyzy. * A każdy miał twarz posępną i stroskaną - oprócz niego. akcyza - rodzaj pośredniego podatku nakładanego przez państwo na niektóre artykuły spożywcze,

przedmioty użytkowe i usługi, obciążający konsumenta. I tak mu zeszedł grudzień i nadeszły święta. Wtedy Ilinicz nagle odczuł zmianę swego położenia. W zajeździe został sam, na ulicach nie spotkał nikogo znajomego, iśń nie miał do kogo. Wtedy przypomniał sobie żonę, rodzinę, Miernicę, snop zbożowy w jadalni, choinkę, opłatek, uścisk żony, kolędę wioskową, niepowrotne czasy i życie, i był nad wyraz nędzny tego dnia. - Sam jestem, sam - powtarzał z goryczą, leżąc w swej pustej stancji i bijąc się myślami. I począł zazdrościć Sokolnickiemu bankrutowi i Basi zńekanej, jej przede wszystkim. Przed kilku dniami spotkał ją na ulicy, obwieszoną paczkami, prawie wesołą. - Pani sprawunki robi? - spytał. - Tak. Mamy mież gości na Wigilii - odparła. - I wesoła pani? Cóż słychaż ze żwirem? - rzucił ironicznie. - íwir, jeśli jest, to obecnie pod śniegiem. Jeśli się znajdzie, chwała Bogu, o tym nie marzę. Nie nawykłam do nadzwyczajnych pomyslności. Na święta się cieszę - odparła z uśmiechem. Tak, ci bankruci cieszyli się na święta, on się cieszył na dzień powszedni. Teraz, samotny w zajeździe, pozazdrościł im tej chwili uciechy. W Horodyszczu Basia krzątała się dzień cały po domu, strojąc choinkę, dobywając z kredensów stare zabytki porcelany, a ze spiżarni specjały. Osobliwych bo miała mież gości i aż się uśmiechnęła na myśl podziwu Sewera. Około południa pierwszy zjawił się Szymon. Ten co rok był ich gościem i co rok wcześniej przyjeżdżał, by służyć pomocą. I on był uśmiechnięty, i rzekł przy powitaniu: - Czy to prawda, że państwo Zagrodzcy będą na Wigilii? - A pan skąd wszystko wie? - zdziwiła się Basia. - Może pan, broń Boże, powiedział to Sewerowi? Gotów nie pokazaż się. - Anim pisnął. A wiem od samej panny Zagrodzkiej. Spotkała mnie w lesie i opowiedziała, że się gwałtem wprosiła z ojcem do państwa na święta. - Sewer ma szczęście - uśmiechnął się Oyrzanowski. - Oj ma! - potwierdził Szymon. - Nie szczęścież to, że pani Iliniczowa zjechała do Sokołowa? Przez trzy tygodnie zrobiła więcej niż ja przez kilka lat. Wykurzyła magazyniera i pisarza, już sama klucze trzyma. Teraz Sokołów uratowany. - Dałby to Bóg! - westchnęła Basia. - Uratowany, ja przysięgnę! - cieszył się jak dziecko Szymon, aż mu oczy błyszczwały. Oyrzanowski, pociągnięty tą szczerością, obie ręce do niego wyciągnął. I przez chwilę zapomnieli wszyscy trosk własnych dla tej dobrej nadziei i otuchy. - íeby się jeszcze ożenił z panną Zagrodzką! - westchnął Szymon. - Ach, ty zapaleńcze, fantasto! Czy to nigdy o sobie samym nie myślisz? - uśmiechnął się Oyrzanowski. - Co mam myśleż? Albo mi źle! - odparł Szymon z prostotą. - Co pańskie, to moje, a zapłaconym hojnie, żem tu razem, jak brat i syn. - Jeśli pan brat i syn, to proszę do roboty! - zawołała Basia. - Polecam panu opalenie całego domu. I wyprowadziła go z sobą. Stary dom dawno nie pamiętał takiego ruchu i zachodu, i takich śmiechów. Gdy o zmroku zajechały sanie z Sokołowa, nawet pan Oyrzanowski przyłączył się do wesołej gromadki. Iliniczowa przywiozła dzieci i wnet gwar napełnił cały dom, a pan Seweryn odświętnie był wesół i swobodny, i jak za dobrych czasów przekomarzał się z Basią i żartował z Szymona. - Co to? Ile tu nakryż na stole. Nie umiecie rachoważ do dziesięciu, widzę! - wołał pomagając im niby w nakrywaniu stołu. - A cóż to! Mamy żałoważ talerzy? Urządzamy ogólną wystawę skorup! - śmiała się Basia. A Baha, wnosząc okrutny snop pszenicy, dodał: - Ja gotówem zajaż dwa zydle, żeby dostaż dwie porcje faszerowanego szczupaka. Gdzieżeście takiego okrutnego złowili, panie Łabędzki? - Z Dubinek szlachta mi go przyniosła. - Szlachta prezenty robi! Ani chybi, rychło skończenie świata. - Widzi pan! I będziemy z panem Sewerynem družboważ Weronce po Trzech Królach i hulaż na weselu. I panna Barbara z nami. - Człowieku! Nazwę cię za życia cudotwórcą. Pan Seweryn zaniepokoił się ilością nakryż. - Bez żartu, Basiu! Spodziewacie się jeszcze kogoś? Nas z dzieżmi jest sztuk osiem, boż przecie mała Kazia pójdzie spaż po mleku i kaszy. Po cóż dziesięż nakryż. - Zapas nie szkodzi. Może kto nadjechaż. W tej chwili psy zaczęły ujadaż, rozległy się dzwonki, palenie z bata. - światła do sieni! Sewer, chodż, pomóż! - zawołała Basia wybiegając. Pan Sewer spojrział przerażony na siostrę. Jeśli to Ilinicz? Ale ona była spokojna. - Idźże pomóż Basi! - rzekła krzątając się u stołu. Sewer wyszedł do sieni, gdzie

już Szymon zapalał światło, a Basia otwierała drzwi. - Zamek nie na moje siły! - rzekła ustępując mu. Szarpnął klamkę i nagle stanęła przed nim Nika Zagrodzka. Cofnął się mimo woli. - Czy wyglądam na upiora? - zaśmiała się. - Pani tutaj? - Nie do uwierzenia, ale prawdziwe. - Jesteśmy! - rozległ się głos Zagrodzkiego za nią. - Myślałam, że zginiemy w śniegu. Nika naturalnie uparła się sama powozić. Ale tu, panie, zamieź i ciemność. Pewnie odmroziła ręce. - Więc państwo nie w Wiedniu? - rzekł Sokolnicki, jeszcze nie mogąc ochłonać z podziwu. - Nice zachciało się polowania i zatęskniła za Głębokiem, więc przyjechaliśmy na kilka tygodni, we dwoje, bo żona nie dała się namówić. Na karnawał musimy wrócić. - Chyba ojciec się wybiera, bo mnie wcale nie pilno! - odparła Nika z miną łobuza rozcierając ręce i patrząc z ogromną radością po wszystkich. - Jak to? Masz zamówione tańce nawet - przeraził się Zagrodzki. - Wielka mi historia! Na sąd mnie nie pociągną... tancerze - odparła lekceważąco. - Kto to wie! Za Woynę nie ręcę - uśmiechnął się Zagrodzki, mrugając domyślnie na Seweryna, który nie wiadomo dlaczego poczerwieniał. - Więc Woyno w Wiedniu? - spytał pan Oyrzanowski. - A mówiono mi, że zawzięcie gospodaruje. - On? - oburzyła się Nika. - Biedna ziemia w takich rękach! Pan Woyno tyle się zna na gospodarstwie, co ojciec na koniach. Jak tu ślicznie i miło! Panie Łabędzki, będziemy śpiewali kolędy? I dzieci są, będzie choinka! Zagrodzki znalazł łaskawe ucho u Oyrzanowskiego i jał biadaż: - Ach, panie łaskawy. Ten spadek! Dlaczego ciotka nie zostawiła tego na dobroczynne cele! Ledwie przyjechał, oberwała się chmura nieszczęść i kłopotów. Owce zdychają, chłopci ukradli jakieś siano, kartofle gniją, zboże bez ceny, służba się kłóci, donosi, skarży jeden na drugiego, a wszędzie płaż, płaż! Zarobiłem kilka tysięcy na akcjach i wszystko utonęło jak w morzu. Co to będzie? Doprawdy nie wytrzymam! Chciałem sprzedaż, Nika nie pozwala; szukam dzierżawcy. Nie chcę mieć grosza z tego, byłem nie dokładał. To jest ruina zdrowia. Muszę jechać do Karlsbadu po jednym roku gospodarki, a byłem zdrow jak koń. Przed żoną się taję, bo ona by się zagryzła. Może mi pan wynajdzie dzierżawcę? - Trudno. Chyba łyd, bo nasi bez grosza. Zagrodzki do ucha mu się pochylił. - A siostrzeniec pański, pan Sokolnicki? Oyrzanowski mimo woli się uśmiechnął. - Pan się uśmiecha na moją otwartość. Ja, panie, prosty jestem, nie lubię wykrętów. Podobał mi się chłopak, nie blagier, nie fircyk, a widaż, że mu nielekkko płynie życie. Dałbym mu dzierżawę z dołu, na dobrych warunkach. Warsztat gotów, byle nie dokładaż, bo to nie na moje nerwy! Niech mi pan dopomoże. - I owszem, mogę mu propozycję powtórzyć, ale niech pan na to nie liczy. Chłopaka znękał zły los... jest pesymistą. Zmęczony nad miarę. Spojrzeli obaj na Sokolnickiego, który w proggu jadalni rozmawiał z Niką. Patrzył chmurno na piękną dziewczynę, a mówili o koniach. Zagrodzki westchnął i stęknął bezradnie. - Tatusiu, gwiazdy już świecą! - odezwała się Basia z jadalni. - Służę państwu... Stary z galanterią podał ramię Nice. Zagrodzki Iliniczowej i obstąpili stół sianem usłany. Basia podała ojcu talerz z opłatkami. Zaczęli wszyscy po kolei symboliczny chleb łamać i życzenia sobie składać. Pan Seweryn schylił się do ręki wuja, ucałował Basię i siostrę, uścisnęli się po bratersku z Szymonem i Baha, i manewrował, by uniknąć Niki. Ale ona dotarła do niego i śmiejąc się drwiąco, podała opłatek. - Niechże mi pan co dobrego życzy! - ślicznych koni - odparł. - Mam! - Powodzenia. - Sytam nim. Nie chcę więcej. Zamyślił się. - Albo ja wiem! Niech się spełnią tedy własne życzenia pani. - Niech pan tedy życzy, żebym miała takie, które spełnić trudno. - Pani się powinna nazywać Felicja! - Wolę swoje imię, bo znaczy zwycięstwo. Radam mieć walkę... pewna triumfu. - Zawsze i wszędzie - uśmiechnął się ironicznie. - Jeżeli to życzenie pańskie, dziękuję, jeśli wątpliwość, przekonam. A ja panu życzę dnia bez troski, choć jednego... i uśmiechu bez gorczy, jak się szczęśliwi śmieją! Przełamali opłatek i ona swój gryź zacząła, siadając u stołu. - Spragniona jestem kolęd, panno Barbaro. Pan Łabędzki mi mówił, że pani je ślicznie śpiewa! - zawołała wesoło. - O, ślicznie! - zaśmiała się Basia. - śpiewamy je wszyscy, a pan Szymon więcej ich umie niż ja. - Szymek był majster do szopki i różnych tego rodzaju uciech! - rzekł Sokolnicki. - Pamięta pan,

jakeśmy z szopką przyjechali do wujostwa tutaj? - wtrąciła Iliniczowa. - Basia była malutka i całą skarbonkę dawała panu za lalki. Nika spojrzała na Basię, potem na Szymona. - I oddał pan? - spytała. - Ależ oddał i za tośmy się potem do krwi poczubili! - rzekł Seweryn. - Mam te lalki dotąd! - uśmiechnęła się Basia. - A pan skarbonkę pewnie odbił? - badała Nika. - Była dotychczas, ale zginęła w pożarze - odparł Szymon. - Parę miedziaków tylko znalazłem w zgliszcach. - Musiały tam być grube kapitały! - żartował Oyrzanowski. Znowu Nika spojrzała na Szymona i na Basię i uśmiechnęła się nieznacznie. Oni byli zupełnie spokojni, nie zamienili spojrzenia nawet ani spostrzegli, że są przedmiotem uwagi. Stęknięcie Zagrodzkiego przerwało chwilową ciszę. - Czy nie padają panu owce? - spytał pana Seweryna. - Masz tobie! - zawołała Nika. - Ojciec udaje prawdziwego gospodarza! Stęka już typowo. - Stękam, bo mam grubą stratę w owczarni. - Ej, tatku! Po potopie została tylko jedna para, a przecie owiec mamy bez liku. - I gadaj tu z nią! Noe miał czas dochować się, bo żył setki lat, a mnie ten majątek przed czasem do grobu wpędzi. - Dla gospodarzy jest rezerwowane miejsce w rajcu - wtrącił Baha. - Odnajdą tam wszystko, co tu potracą. Tylko cierpliwości. - Aha, cierpliwości! Kiedy to nie o cierpliwość się opiera, ale o pieniądze. - Tych zaś ojcu nie zabraknie długo. Więc nie wypada narzekać, bo nikt ojca żałował nie będzie. - Ach, Niko! Jakaś ty lekkomyślna. Przecie to o twój własny los chodzi. - Eh, los! Albo go pieniądze czynią! Los to zdrowie, dobry humor, rzetelna praca, poważny obowiązek i czyste sumienie. Reszta fraszka! - I zwycięstwo - rzekł Sokolnicki z cicha. - To koniecznie. To więcej niż los, to szczęście - odparła mu podobnie, patrząc bystro w oczy. Spuścił wzrok na talerz, zmieszany tym spojrzeniem i bardzo na siebie rozgniewany. Nie wiadomo skąd był tak śmiały z nią, jakby się znali od dawna i ona była mu równą. A przecież byli bardzo dalecy i obcy, a widzieli się zaledwie trzeci raz w życiu. Ale był to świąteczny dzień, odetchnienie po znoju i trosce, i nawet jemu, pesymiście, było bardzo lekko na sercu. Gdy wstano od wieczerzy, kilka kieliszków starego miodu rozmarzyło Sokolnickiego. Pozostał z Szymonem w jadalni i rzekł nagle: - Może to prawda, że ona piękna? Co, Szymku? - Prześliczna i samo zdrowie - odparł Łabędzki. - I głupi Woyno nie umie jej zdobyć! Gdybym był na jego stanowisku, byłaby moja. - Pan może ją mieć i na swoim stanowisku. - No, nie! Do nędzy nie potrzeba towarzystwa. Et, bredzę. Ten przeklęty miód Basi! I nic mi o tych gościach nie powiedziała. Psuje mi się Basia! Może byśmy uciekli do domu? - O! A nasze kolędy? Zresztą na świecie zadymka. Ja się już na nocleg wprosiłem do pana Bahy. - Ty byś tylko wisiał w Horodyszczu! Jednakże nie upierał się przy wyjeździe i uszu nastawiał. Z dalszych pokoi dochodził dźwięk fortepianu. - Kolędy! - zaśmiał się jak dziecko Szymon i wybiegł. Nie były to kolędy, lecz Nika grała na starym fortepianie sprzed pół wieku, ciesząc się jego cichym dźwiękiem. - Pani pewnie śpiewa? - spytała Iliniczowa. - A jakże! Wymustrowano mnie we wszystkich talentach potrzebnych dla panny na wydaniu. Matka nie darowała mi żadnego. Co prawda, nie udałam się, bo oprócz konnej jazdy, lawn_tennisu i przeróżnych sportów nic nie uprawiam. talenty przepadły na marne. Ojciec by zaraz wyrecytował, ile na to poszło pieniędzy bez procentu. - Ale pani nam zaśpiewa - poprosiła Basia. - I nawet prosić się nie dam, tak mało dbam o tę sławę, Zagrodzki rozmawiał z Oyrzanowskim, ale wnet się wtrącił do muzykalnej sprawy: - śpiewa i dobrze by śpiewała, ma talent, doskonałą metodę, ale cóż? Nie chce! Te szkapy, te szkapy! Nic innego! Teraz w Wiedniu wynalazła sobie nową pasję: uczy się buchalterii. Nika pokazała zęby w swawolnym śmiechu i uderzyła parę szumnych akordów. Potem nagle spoważniała, spojrzała zamyślona po starych ścianach i zatrzymała wreszcie oczy na Sokolnickim. On wszedł z cicha i usiadł opodal, chciwy muzyki. Piękne, myślące oczy dziewczyny rozmarzyły go do reszty. A wnet i śpiew się rozległ, przejmując go nieznanym uczuciem miękości i tęsknoty: "Ici bas tous les lilas meurent, @ tous les chants des oiseaux sont courts:@ je r~eve aux ~et~es qui demeurent@ toujours."@ Sokolnicki oczy przymknął i zapachniały mu bzy cudne, całe ogrody kwiecia, w których słowiki zawodziły miłośnie, i po polach, po gajach wrzało życie młode, silniejsze nad

wszystkie złe moce. I poczęło to życie nabiegać w jego tętna zmęczone i osłabłe, przejmował go drżeniem potężnym. I żeby zostało na zawsze! zajęczała w nim zbiedzona dusza. Nieśmiało spojrział na Nikę. śpiewała zamyślona, poważna, goniąc też wzrokiem jakieś marzenia. "Ici bas tous les l~evres s'effleurent@ sans rien laisser de leur velours,@ je r~eve aus baisers qui demeurent@ toujours."@ Sokolnicki oczy spuścił i krew mu uderzyła do twarzy. Nie żałował jednak ust, które całował dotychczas, tylko zapragnął jednych, wyłącznych, i na zawsze. I poczuł w tej chwili, że Nika patrzyła znowu na niego. Pan Seweryn wzrok podniósł i bez trwogi, bez wstydu spojrział na Nikę. Był to wieczór świąteczny i radosny, zapomnienie znoju i troski, zapomnienie wczoraj i jutra. Młodzieniec nie zdawał sobie sprawy, co się z nim dzieje, co czyni, co mówi oczami do tej obcej i dalekiej. Czuł tylko, że pachną bzy, grają słowiki, a jego coś boli w piersi i rwie do niej, rwie, rwie, rwie... Na sekundę wzrok ich się skrzyżował i na sekundę ucichł fortepian. Potem Nika uśmiechnęła się radośnie i łagodnie, i wzięła powoli kilka akordów. Nikt nie przerywał jej śpiewu pochwałą i podzięką. Wszyscy ci smutni i obciążeni pracą wdzięczni jej byli w cichości, rozmarzeni melodią, żądni przedłużenia tej chwili zapomnienia. Tylko Zagrodzki się uśmiechnął z radości, że przecież jedynaczka nie mówi o koniach i zaprzęgach. Napisać o tym zaraz jutro do Herminii, myślał. W kącie ciemnym, tuląc do kolan senne dzieci, płakała Iliniczowa. Jej jednej muzyka nie mogła dać pociechy i zapomnienia. Basia i Szymonn pilnowali ognia na kominie, jak zwykle radzi sobie i spokojnie; tylko czujny Baha dopatrzył spojrzenie Sokolnickiego i z dyskretnym uśmiechem zażywał tabakę. Nika też nie myślała o popisie. śpiewała teraz dla siebie tylko: "Kogo śmiej kochaż, wy nie wiecie,@ wiem tylko sam!@ Tego za żadne skarby w świecie@ nie powiem wam!"@ Gdy skończyła, jeszcze wszyscy milczeli zasluchani. Tedy się obejrzała na Basię i rzekła odzyskując swój humor swawolny: - A kolędy? Wszyscy razem! Może nas starsi i gospodarze poczęstują i obdarzą. Szymon z Basią stanęli wnet do apelu, tylko Sokolnicki wymknął się niepostrzeżenie. - Sewer! Prosimy! - wołała nań Basia bez skutku. Pan Baha poszedł na poszukiwanie i znalazł go w jadalni nad karafką wody... - Nie pij po rybie wody, po kapuście wina! Nie kochaj też mężatki, kiedy jest dziewczyna! - zarecytował. - święcie spełnię dobrą radę - odparł pan Seweryn. - ślicznie śpiewa panna Zagrodzka - ciągnął dalej stary. - Uhm! - bąknął młody człowiek i uciekł z jadalni. Już śpiewano kolędy i Szymon prym trzymał. Pan Seweryn dotąd nie otrzeźwiał, bo wbrew swej zwykłej sztywności umieścił się obok Niki. - Niech mi pan tekst podpowiada! - rzuciła rozbawiona. - Kiedy bo nic nie pamiętam! - szepnął. - Ejże, nic? - spytała zalotnie. - Nic, jakby we mnie grom trafił i ogłuszył. - To dobrze. Nagłe ciosy bywają błogosławione. - A wielkie klęski? - Po wielkich klęskach odradzamy się duchowo. Kiedy pan nas odwiedzi? Mam dla pana prezent w zamian za tę skórę niedźwiedzia, którą mi pan wtedy darował. Proszę przyjechać w wigilię Nowego Roku. - Może Woyno będzie? - Może! Czy panu to przeszkadza? - Nie - odparł szorstko. - Prześlicznie - wołał Zagrodzki. - Prosimy o więcej. Ale chłopak usługujący kiwał na Basię z jadalni. Szymon zaczął rozniecać ogień przygasły. Iliniczowa wyprowadziła do snu dzieci, a Oyrzanowski zajął Zagrodzkiego opowieścią jakiegoś odwiecznego procesu między Horodyszczem a Głębokiem, w którym były zajazdy, mordy - średniowieczne procedury sądowe. Towarzystwo się rozpeźło. Jedna lampa i gasnące świeczki na choince słabo oświetlały wielką komnatę; u komina chwilami błyskał płomień i gasł. - Pewnieś obdarzył Basię smolnymi szczapami? - rzekł Sokolnicki do Szymona. - Spytaj no, gdzie je chowa? Szymon poszedł i przepadł bez skutku swego posłannictwa. U komina czekali na niego cierpliwie młodzi. - Wie pan, jakie dziś uczyniłam odkrycie? - rzekła Nika. Pan Seweryn poczerwieniał zmieszany. Zaśmiała się ze świadomością przyczyny. - Nie, nie to! - odparła wesoło. - Tego byłam pewna. Ale zrobiłam odkrycie, że panna Barbara i pan Łabędzki dla siebie stworzeni. Jeśli ich drogi się rozejdą, będzie dwoje zmarnowanych ludzi. - Co pani mówi? Szymon? On pewnie o tym nigdy nawet nie zamarzy. On ma serce gdzie indziej, ona nie myśli o małżeństwie. I zresztą, tyle ich dzieli! Nie daj im tego, Boże! -

Dlaczego? Owszem, on wart szczęścia, bo jest człowiekiem bez skazy i zarzutu. I pan ma obowiązek w tym mu dopomóc, bo mówię panu: oni dla siebie są stworzeni. A jemu czym zapłacicie za braterstwo i przywiązanie? - Gwałtu! Gdyby Basia to słyszała... - Ręczę, że nie byłaby zgorszona. Ona ma stokroć mniej uprzedzeń niż pan, a stokroć lepiej ceni ludzi. Słyszałam, jak zmusiła pana kiedyś do zapoznania się z nami. Ładne pan rzeczy wtedy na mnie wygadywał, na niewidziane! A jestem pewna, że anim gorsza, ani brzydsza od tysiąca zachwyków pana, może tylko inna, prawdziwsza i prostsza. Nie cierpię szablonu i unikam tego jak ognia. - Toteż pani nie ma do siebie podobnych. - I to nie! Znajdzie pan więcej takich za granicą. Tam mnie nie okrzyczano za cudaka jak tutaj, w kraju, dlatego że zamiast robótek ręcznych i próżniaczego wegetowania w domu lubię ruch, świeże powietrze i sport. Lubię zabawę i swobodę, chcę użyć życia, pókim młoda i niezależna. Nie bardzo dbam o opinię, o zgrozę matki, ale dbam o katechizm i sumienie, i śmiało idę naprzód, pewna, że kto mnie pozna i pokocha, będzie mnie wart i mnie zrozumie. O innych mniejsza: ci się nie liczą! Cóż, bardzo straszna?... - Pani jest człowiekiem. - Właśnie tegom chciała. To moje marzenie dla kobiety. Nie niewolnica i nie zabawka, i nie dziecko! Brr! Od dziecka wylaływałam się z tych przesądów! Nie wiem, co kłamstwo i wykręt, co kokieteria i chęć podobania się, co kaprysy i młodości, i nerwy, i płacze. Nie tęsknię do małżeństwa, dobrze mi jest - tylko chcę rzetelnej pracy i obowiązków, i chcę komuś kochanemu dać prawicę do pomocy i pociechę w złej doli. Oto moje "credo" i prawda, od której na linię nie odstąpię. Teraz na pana kolej spowiedzi. - Ja dziś nic nie wiem więcej, tylko że jestem bardzo szczęśliwy! - rzekł z cicha Sokolnicki. - Bądźże nim pan bez troski - odparła podając mu rękę. Zatrzymał ją w dłoni wahajaco. - Może mi pan podziękować za spełnione dzisiejsze życzenie przy opłatku. śmieją się panu oczy! Pochylił się i ucałował jej rękę. Moja, moja! szemrało w nim i odurzony był jak po winie. W tej chwili Szymon przyniósł parę drzazg smolnych i rzekł: - Toż to dzisiaj w nocy wedle legendy starościna przychodzi z kaplicy do komnaty z alkową. A pan wie, że tam dla pana posłano i dla pana Zagrodzkiego? - Mnie się nie pokaże - rzekł obojętnie Sokolnicki. - Dlaczego? - spytała Nika. - Bo pokazuje się członkom naszej rodziny wtedy, gdy ma być śmierć w rodzie! Straciłem jednak rodziców, a jej nigdy nie widziałem. - A obcy jej nie widują? - badała dalej Nika. - Owszem! Ja widziałem - odparł Szymon. - Ejże, jak to było? - Naturalnie, w nocy i we śnie, po nasłuchaniu się legend wuja - wtrącił Sokolnicki. - Nie. Było to wieczorem, jesienią, koło kaplicy. - A cóż tam robił? - Nie pamiętam. Jechałem konno z miasteczka i chciałem wstąpić do pana Bahy prawdopodobnie. Od drogi prowadzi tam ścieżka przez ogród, pod kaplicą. Zaledwem na nią skręcił, koń się rzucił w bok i wtedy widziałem, jak z kaplicy wyszła kobieta biała, zakwefiona, z rękami załamanymi i poszła ku dworowi. - Ja bym wiele dała, by ją zobaczyć. Chociażby jej portret, ten zakryty. - Chodźmy! - szepnęła Nika. - Wuj zajęty, Basia wyszła, zajrzemy pod firankę. Jak troje złoczyńców wślizgnęli się do jadalni. Szymon pilnował drzwi, a oni weszli na krzesła i odsłoniли kitajkę. Ukazała się twarz blada, kwefem otoczona, bardzo piękna, ale tragiczna. - Co za oczy! Prześladowań mnie będą! - szepnęła Nika. - I cóż ona zrobiła złego? - Zdradziła męża, zagarnęła jego majątki, wymógłszy na rozkochanym zapis. Dwa rody uzbroiła na siebie, była przyczyną mordów i klęsk. Mąż padł zabity przez jej stronników tu, na progu własnego domu, a ona pojęła drugiego i tu została, na tym krwawym dziedzictwie. Miała czworo dzieci, wszystkie pogrzebała, mąż ją opuścił dla ladaczniczki i wreszcie bezdzietna, opuszczona, samotna, umarła nagle we śnie, w pokoju z alkową, i grzebali ją spadkobiercy pierwszego męża, wracając do dziedzictwa. Po śmierci została postrachem. - Mówią, że przychodzi na próg i jęczy, kędy padł jej pierwszy mąż, który jej zdrady i sponiewieranego uczucia nigdy nie przebaczył - rzekł Szymon. - I miał rację - rzekła Nika. - Ona jest straszna! I nie chcę jej więcej widzieć. Nie, nie! Zwróciła się do pana Seweryna. - W Sokołowie nie bywa? - spytała ciszej. - Nie! - odparł z uśmiechem szczęścia. Był szczęśliwy jak w bajce i mało co wiedział, co mówiono i czyniono

dalej tego wieczora. Nika zajęła się ogólną rozmową, a on był zupełnie do rozmowy niezdatny. Odpowiadał bez sensu lub nie słyszał wcale pytania. Wreszcie Basia domyśliła się części prawdy i zręcznie odwracała od niego uwagę. - Sewer się zakochał - szepnęła do Szymona. - Dajmy mu spokój: niech marzy. - Tak raptem? - zdziwił się Szymon. - O, chwała Bogu! Byle tylko co go nie napadło! Aj, on taki narowny. I coraz ktoś z nich zerkało ku niemu, z radością stwierdzając, że miał ciągle rozjaśnione oczy i myślą był nieobecny. Gdy nareszcie zaczęto się rozchodzić i Basia żegnała Łabędzkiego, ten jej rzekł: - Proszę pani, widzę i nie wierzę oczom. To się tak nie skończy łatwo. Boję się jutra jak zmory. Jutro, gdy otrzeźwieje, wszystko przepadnie. I żeby panna Zagrodzka go pilnowała. Ale jemu nikt nie poradzi, gdy na kiel weźmie. Boję się jutra. - Zmów pan pacierz i bądź dobrej myśli. Między nimi coś zaszło stanowczego. I Szymon się uspokoił, tak bardzo wierzył Basi. Powoli stary dom zapadł w ciemność i ciszę, i skończył się dobry dzień odetchnienia i święta. Tylko o Iliniczu nikt nie wspominał i pomyślała o nim tylko Józia z boleścią i goryczą, usypiając dziatwę bezdomną i z gniazda wyrzuconą. A on samotny, w izbie zajezdnej, po długim rozmyślaniu nie mogąc usnąć, wstał i zatrzymał się u okna, do szyby czoło cisnąć. I miał wrażenie, że się zgrał, stracił wszystko, zastawił nawet duszę, bo jej nie czuł w sobie. VII Na drugi dzień świąt pan Seweryn przeprowadził Zagrodzkich na pół drogi, do popasu i, pełen otuchy i szczęśliwości, zawrócił do domu. Pierwszy raz od dawna mile spojrzął na swój dwór, śniegiem okryty, i rad był samotności, by marzyć i rozmyślać o przyszłości. Zdziwił się tylko, że gorzelnia nie dymiła jak zwykle, i spytał na progu służącego: - Cóż to! Nie zacierają dziś? - Oj nie, proszę pana. Nieszczęście się stało: kocioł pękł dziś rano. Pan Seweryn od progu się zawrócił i poszedł w stronę gorzelnicy. Z daleka ujrzał ruinę z budynku, gdzie się kocioł mieścił, i zerwany dach na bocznym skrzydle. Tedy sekundę stanął, opanował się, odzyskał spokój i ruszył dalej. W gorzelnicy panował chaos; pełna była chłopów, służby, łydów, nawet bab i dzieci. - Wy tu czego? - krzyknął. Na jego widok i głos rozprysnęli się gapie, a on do gorzelnicy się zwrócił: - Wypadku z ludźmi nie ma? - Nie. Palacz wyszedł na chwilę, reszta była u roboty. Mój Boże, toś jak grom! Było zaledwie piętnaście funtów pary. Pan Seweryn zajrzał tu i tam. - Piętnaście funtów pary, a kartofle wyrzucone w połowie. Po co fałsz! Nacisnęliście nad miarę i pękło. Zawiadomiono urząd? Jest policja? - Miałem właśnie to uczynić. - Kotlarze i ślusarze są? - Nie. - Posyłaż zaraz po nich. Poszedł do kotła. Była tam ruina: ściany i dach wyrwane, kocioł wysadzony i rozdarty. I ujrzał jasno, że nie miał na ten rok gorzelnicy, a zatem nie miał wódki, wywaru, zbytu na kartofle własne i kupione w okolicy, i nie miał pieniędzy, by tę ruinę podźwignąć. Zrobiło mu się czarno w oczach, a błędnie w mózgu. Na wywarze stały woły kupca i już łyd stał we drzwiach pytając natrętnie: - Proszę pana, co ja dam wołom? One od rana głodne. Mnie krzywda, zguba, ja dałem z góry pieniądze! Co to będzie? - Trzy zaciery w fermentacji. Co to będzie! - jęczał z drugiej strony gorzelnicy. - Zaciery oddaważ wołom! - rzekł pan Seweryn. - Uprząż gruzy. Słody na obroki! - Proszę pana! Może gorzelnia wcale nie ruszy tej zimy? - mówił dalej łyd natarczywie. Sokolnicki poblądł ze wściekłości i skoczył do łyda. Ten, przerażony, co rychlej się wycofał. Ale za węglem stał już Alter z Jeziora i patrząc na tę ruinę dziwnie się uśmiechał. łydzi poszwargotali z sobą i wrócili we dwóch. Pan Seweryn ruszył ku domowi, oni szli za nim jak zmory. Na pół drogi obejrzał się na nich i stanął. - Czego chcesz? - rzucił się na Altera groźnie. - Ano, wiadomo! Taki wypadek. Ja potrzebuję wiedzieć, co będzie z moją wódką. Tysiąc wiader już mam sprzedanych. Tyle pieniędzy w to wsadziłem. Może wcale wódki nie dostanę? - Dowiesz się jutro, gdy się rozejrzę. A teraz idźcie precz, bo mnie doprowadzicie do ostateczności. Precz, mówię! - Pan mnie nie ma co pędzać, ja mogę wcale nie przychodzić, proszę tylko o zwrot pieniędzy - rzekł łyd zuchwale. Pan Seweryn pięści zacisnął i do krwi zagryzł wargi. Duszę by w tej chwili zastawił za tych kilka tysięcy, ale duszy jego nikt nie chciał: trzeba było gorycz pić do dna.

Wszedł do domu i drzwi za sobą zatrzasnął. Iliniczowa w tej chwili przyjechała, z nią Szymon. Stali jak skamieniały na wieść o nieszczęściu. Pan Seweryn stanął pod piecem i milczał. Szymon pobiegł obejrzeź szkodę. Po chwili wrócił błądy także i drżący. - Cóż, koniec, ruina! - burknął Sokolnicki. - Skądże wiedzieć można, zanim przybędą kotlarze i mechanicy? Ale, te łydy... Ach! Nie wytrzymałem. Zdaje mi się, że zabiłem Altera! - Bój się Boga! Zgubiłeś siebie i mnie! - Niechta! Pójdę w Sybir, ale on się nie będzie naigrywał więcej z naszej niedoli. - Gdzież to było? Przy ludziach? - Nie, wlażył do sieni. Bóg widzi, że cierpiał nad możność. Tam go powaliłem wreszcie! Pan Seweryn poszedł do sieni i odetchnął z ulgą: Altera nie było. - Pociesz się, żyje! Będzie cię dalej kasał, a moją krew pił - mruknął ponuro. - No, drogo mnie to będzie kosztowało! Ale mniejsza. Nie pokaże się dzisiaj. I to wygrana!... - Ale jutro, ale dalej! - szepnął zgnębiony Sokolnicki. - Nie ma się co łudzić. Zginąłem. Gorzelnia trzymała mnie trochę nad wodą, teraz utonę. - Trzeba ją ratować. - Czym? - Ano! - zamyślił się Szymon. - Mam trochę pieniędzy zebranych za to drzewo, com u pana kupił; trzeba je użyć tymczasem. - Toż nie twoje pieniądze! Skąd oddasz? To tylko przedłużenie konania. Tego nowego wydatku nie spłaci wódka. - Przyjechali kotlarze i mechanik - rzekła Iliniczowa. - Może się uda naprawić na miejscu!... Poszli wszyscy do gorzelnii na długą naradę. Rozpoczęło się pisanie aktów i protokółów, pieczętowanie naczyń i aparatów, wylewanie zacierów i drożdży, i wieczorem gorzelnia znieruchomiała na długie czasy. Jeszcze późno Sokolnicki z ganku patrzył posępnie na setki fur zwożących zmarzłe kartofle kupione w okolicy, które był obowiązany zabrać, zapłacić, a których nie mógł zużytkować i które, zwalone na stosy, zgniją do lata. Tego wieczora nie tknął jada i wcześniej siostrę pożegnał. Poszli z Szymonem do gabinetu i zasiedli do rachunków. - A zatem nowy kocioł, nowy budynek, nowe obmurowanie, nowy dach i dwa miesiące, zanim się to zrobi. Wiesz, ile to będzie kosztowało? Szymon śpiesznie rachował, ale sumy nie śmiał powiedzieć i wpatrzony w nią milczał. Sokolnicki przez ramię mu spojrzął i stęknął: - Sześć tysięcy... - A jeśli tego nie wydamy - rzekł Łabędzki - jest drugi rachunek. Zwrot pieniędzy za wódkę, za wywar, za kupione i własne kartofle, i zrujnowana gorzelnia w rezultacie. Tu nie ma wyboru: pierwsze - to ciężki bój; drugie - to haniebna śmierć. Pojadę dziś jeszcze do Warszawy po nowy kocioł. Sokolnicki zgnębiony usiadł i wzrok jego padł na list; snadź przyszedł w czasie świąt i czekał na odpowiedź. Wzdrygnął się i sięgnął po niego. - Co może pisać Burakowski? Procent mu odesłałem przecie. - Ten stary sknera z miasteczka? Sam mu procent odwoziłem od sześciu tysięcy. Sokolnicki czytał i szara bladeść okryła mu skronie. - Wypowiada mi kapitał od roku! - rzekł głucho. Obaj umilkli jak gromem rażeni. Była to ostateczna klęska. - To zemsta Altera za las - szepnął Szymon. - To jego intryga. On bywa u Burakowskiego! I znowu milczeli, widząc przed sobą czarną otchłań. Wreszcie Szymon gwałtem się otrząsnął i wstał. - To za pół roku. Gorzelnia pierwsza. Jadę, panie. Nie damy się, nie damy. Niech pan nie rozpacza. - Ja nie rozpaczam, tylko klnę dzień mego urodzenia na taki los. Mój Boże, i cóżem zawinił, i za co się męczę całe życie! - jęknął Sokolnicki. Głowę ujął w dłonie i po chwili zamruczał: - Gdyby nie długi, nie cudza wiara i zaufanie, łeb kulą bym roztrzaskał, żeby nie czuć, nie cierpieć. Piekło lepsze od takiej doli! - Ciężar rachuje się wedle bark. Wiedział Bóg, co pan wytrzyma, i tyle dał. Ale bunt osłabia i słusznie pan mówi, że cudza wiara obowiązuje do wytrwania. Cicho, niech się pan nie buntuje; Boża łaska może już stoi u proga, niech pan jej nie płoszy. I dusza pana może komu przeznaczona i droga; nie wolno może już panu jej marnować. Nic to! Wszystko minie! Myślmy o tym co najbliższe! Proszę się ostro brać do rozbiórki; ja za tydzień kocioł dostawię. W lesie Hipek mnie zastąpi, może pan o to być spokojny; we dworze pani Józefa dopilnuje porządku. My we dwóch tę biedę będziemy łatali. Wypłyniemy, panie! Była czarna noc i zadymka. Szymon na swe jednokonne sanki siadł i bez woźnicy ruszył do stacji kolei. Droga szła przez las, zamarzłe rzeki, prostując odległość do połowy. Latem była ta droga nie do przebycia. Ujechał już Szymon mil parę, nie błędząc, i dobił się

lasów głębokich. Musiał wstąpić po drodze do Niemca nadleśnego, u którego po pożarze swej osady składał pieniądze zebrane za drzewo. Tam trochę drogę zmylił i powoli, orientując się w położeniu, jechał trybem szukając szlaku. Wtem koń jego w bok się rzucił, chrapał, nie chciał iść dalej. W białym tumanie śniegu zamajaczył pod drzewem jakiś przedmiot duży i ciemny a nieruchomy. Szymon wychylił się z sanek, a zaciekawiony wyszedł wreszcie, trącił to "coś" batem, potem ręką dotknął i przeraził się. Był to człowiek zmarzły, skulony pod drzewem, okryty z głową wytartym kozuchem. Szymon kozuch zdarł i przyjrzał się. Rękami obejmował kolana, głowę miał wciśniętą między nogi, ale nie był jeszcze skostniały. Tedy Szymon odwrócił mu twarz w górę i przyjrzał się rysom. Nie znał go, chociaż znał mniej więcej wszystkich okolicznych chłopów. Zresztą nie chłop to był, ale jakiś nędzarz czy włóczęga. Miał buty, spodnie, kaftan podarty, pod którym nie było koszuli, włosy w kudłach, zarost dziki. To może Liszka, przyszło mu do głowy. Sięgnął do sanek po torbę z zapasami, którą mu dała na drogę Iliniczowa, dobył wódki i rozwarłszy z trudem zęby nieszczęśliwemu, zaczął mu ją lać w gardło, a potem śniegiem go trzeź i cucił gwałtem. Długą chwilę nie było skutku, nareszcie człek połknął wódkę i zatrząsł się. Szymon dał mu znowu piż, a potem położył go na sanki, nakrył derką i swoim kozuchem, a sam zdyszany, spotniały pomimo mrozu jał zwłóczył gałęzie i słomą je podpalił. Gdy płomień buchnął, zajrzał do sań. Człowiek żył, patrzył już przytomnie, z jakąś niema grozą, i poruszył ustami. - Pij - rzekł zbawca podając mu butelkę. Ten zaczął piż chciwie, ale po pierwszym łyku zachłysnął się i z trudem rzekł: - Chleba! Szymon śmiał się z radości, podając mu kromkę chleba, który przez troskliwość przy ogniu nagrzał. Człowiek jak zwierz rzucił się na jadło, pożerał, oczyma zaś więcej szukał. Łabędzki usiadł przy nim, krajał i dawał, przerażony tym strasznym głodem, a rad niezmiernie powracającemu życiu. Człowiek skulony, trzęsąc się jak w febrze, patrzył na ogień, to na niego spod brwi, nieufnie, i jadł, jadł... Człowiek poczęła go męczyć; tedy sam sięgnął po butelkę i wypił od razu połowę. Wtedy chwilę odpoczywał, dysząc ciężko, i jał swoje nogi oglądać, czy nie odmroził. Łabędzki więcej gałęzi rzucił na ognisko, które padający śnieg gasił, i rzekł: - No i cóż? Jakże ci? Nie odmroziłeś nic? Człowiek się dźwignął na nogi, ale znowu upadł i odparł ponuro: - Ja gorszy mróz znam, ale takiego głodu jeszcze nie znał. Tydzień na czczo! Teraz kroku nie mogę uczynić. Słabo! - Skądś? Odwiozę cię do domu. - Ja nie mam domu. - Tyś Liszka? - A ja! - odparł człowiek. - Możesz zarobić na mnie sto rubli. Jak kłodę odwieziesz. Nie mam mocy nawet ciebie zarznąć! - A zarznąłbyś, gdybyś miał moc? - Każdemu życie miłe, a mnie jeszcze więcej, bo mnie drogo kosztuje. Ot i przyszedł koniec, zdechnę! Zwiął się jak robak i zębami zgrzytnął. - Ja cię nie odwiozę, nie, za nic! - zawołał Łabędzki wdrygając się ze zgrozy. Człowiek ponuro, nieufnie ku niemu spojrział, ale milczał. - Skądś tu się wziął? Dlaczegoś głodny? Przecież chłopci cię przechowywali dotychczas? - Póki stu rubli nie ogłosili po gminach. Wtedy ja sam poszedłem w lasy, bom nie chciałem zginać jak baran lub cielę związane. A tu i obławę zrobili na mnie. Nie można było z lasu wyjść. Ot, i tydzień przeszedł. Ludzie kutię jedli, a ja mech jadł. Ty kto taki? - spytał nagle. - Ja Łabędzki z Sokołowa... - Aha, co cię spalili! Aha! Ty Łabędzki, i ty mnie uratowałeś! Iebyś ty wiedział, kto ja, tobyś nie ruszył. I zaśmiał się dziko. - Domyśliłem się, ktoś ty, po tej bliźnie na policzku. - Aha! Znasz Wilczycę! To po jej zębach znak. Zasadziła ona mnie głęboko; nisko ja ją położę! - A ot nie! - rzekł stanowczo Łabędzki. - Czemu? - Za mój chleb, co ci życie wrócił! Ty jej nie tkniesz. - Oho! Ja po to wrócił! A wiesz ty skąd? A wiesz ty, jakimi drogami? Ho, ho? - No, ja ciebie teraz z sobą wezmę! Przede mną długa droga i śpieszno mi. Gdziez ciebie, nieszczęsny, zostawić, aż siły odzyskasz? Liszka się zamyślił. - Czy ty naprawdę mnie na zgubę nie dasz? - Nie. Wolę mieć grzech przed ludźmi niż grzech przed Bogiem. A on mnie sędzią nie uczynił, a dusza twoja nie moja! Tobie trzeba się kajać i pokutować, może długie lata. Przeto ratowałem cię muszę. Liszka coś zamruczał i rzekł: - Jeśli to prawda, to mnie od siebie nie puszczaj. Gdzie jedziesz? - Do kolei. - A gdzie furman twój? - Nie

brałem. Konia na stacji zostawię w znajomej karczmie. Za parę dni wrócę. - To ja z koniem zostanę jako twój furman. Moc mi wróci tymczasem. - A jak cię tam kto pozna? - Nie pozna! Tam daleko. Będę spał w słomie, w stajni. To ty się spytaj, co będzie, jak ci konia ukradnę, a o mnie się nie troszcz. - No, to połóż się w saniach; masz derkę do nakrycia, tylko nie śpij, bo zamarzniesz. Twoje szczęście, że zbladziłem, ale teraz byle prędzej drogę znaleźć. - Drogę to ja ci pokażę: skręcaj w lewo. Ze mną nie zbladziysz. Mnie teraz te lasy dom zimą, a latem zboże. Ciężko wiosny doczekać takiemu jak ja. - Sam tak chcesz. Możesz za morza wyjść, byleś chciał inaczej żyć. - Nie chcę. Tu się urodziłem, tu zdechnę. Byle nie w turmie i nie tam, skąd idę. Szymon umilkł widząc, że się nie porozumieją, a Liszka w słomę się zagrzebał i tak jechali długi czas. Nagle Szymon konia zatrzymał, Liszka głowę wytknął i rozejrzał się. - Aha, to głęboka straż! To ty tu mnie dowiodłeś, żeby sobie pomoc na mnie zebrać! - Głupiś bardziej niż zły. Gdybym chciał, tobym cię porzucił pod drzewem. Trzymaj konia i czekaj na mnie. Za godzinę wrócę. Tylko nie śpij. Liszka wziął cugle do rąk zawstydzony. Co zrobię, jak mi konia ukradnie i czmychnie, pomyślał Szymon odchodząc i chciał wrócić, ale się rozmyślił i poszedł dalej. Po godzinie, wedle obietnicy, wrócił. Koń był na miejscu, w saniach szczególny furman. - Ty się nie spodziewałeś mnie tu zastać? - Byłem tego pewny i nawet dostałem dla ciebie siermięgę i chłopską czapkę. Masz. Liszka odział się coś mrużąc i ruszyli dalej. Po chwili zbieg się odezwał: - Ty jednak dziwny człowiek! Po co ty mnie ratujesz? - Jużem ci mówił. A zresztą niczyjej zguby nie pragnę, ani twojej. - Głupiś! Mnie, żeby kto dziesięć rubli dał, tobym cię zarzucił, a ty stoma gardzisz? - Nie łzyj! I ty mnie nie zarzucisz za żadne pieniądze! - Nu, nie próbuj! - rzucił zuchwale Liszka. - Kto inny może spróbuje! Zobaczmy. Moje życie na włosku, ale twojej ręki się nie boję! - To ty myślisz, że ja dobry człowiek! Nie widziałeś mnie przy robocie. - Wiem, że cię Onyśko karmi, a Alter często przechowuje. Toż wrogi moje! - Prawda, i nie boisz się? - Nie. Umrzeć raz trzeba. Lepiej prędko niż gnić w pościeli. - Zuch z ciebie. I żeby ty nie głupi zaprzędnąć, byłby z ciebie kompan sławny. - Aha, znaczy, że zbójca znakomity! - zaśmiał się Szymon na tę dziwną pochwałę. - To się mylisz: nie byłby ze mnie zbój, bo słabego bym na rękach nosił, a nie gnębił. - Słaby dla silnego jest jak kiełb dla szczupaka. - Czy tobie to kiełb mówił? - Ot, poczynacie gadać jak z książki. Dajcie raczej jeszcze jeść i pić. - Weź torbę i wypróżnij do dna. Wkrótce już będziemy na miejscu. Wiesz, co masz robić? - Jeszcze i ciebie nauczę! Liszka zjadł, co było, wysączył resztę wódki, potem odział się w siermięgę, wziął lejce, rozejrzał się i gwizdnął na konia. - Za godzinę będziemy na stacji - rzekł. Szymon spojrzął na zegarek. - Poganiaj ostro, bo mogę się spóźnić. Szczególny woźnica rozkaz spełnił. Słońce właśnie wschodziło, czerwone, mroźne. Z daleka już usłyszeli gwizd nadchodzącego pociągu. Koń dobywał resztki sił; wpadli na stację, gdy rozległ się pierwszy dzwonek. Szymon skoczył po bilet, potem do wagonu, a gdy pociąg ruszył, zobaczył Liszkę, który powoli odjeżdżał ze stacji ku miasteczku. Obejrzał się na pociąg i szyderczym uśmiechem wskazał batem. Szymona zdjął strach paniczny za czyn szalony; obawa odpowiedzialności nie opuściła go już ani na chwilę. W drodze i w Warszawie, przy zajęciu i w nocy wciąż myślał, że lada chwila przypłaci swoją dobroć, słusznie bardzo, za przechowywanie zbiegłego; że wpadnie pod śledztwo i sąd. Ile mógł, pośpieszał się z interesami i wracał z bijącym sercem i strasznym niepokojem. Pociąg przychodził w nocy i Szymon jak zbrodzień przekradł się poza stacją na podwórze, gdzie czekały fury. Bał się głos podnieść, by spytać o konia. Aliści pierwsze sanki, które zobaczył, były jego własne i w nich Liszka w nowych butach, czapce i baszłyku, ostrzyżony nie do poznania i szyderczo uśmiechnięty. Szymon co rychlej wsiadł i kołnierz nastawił. - Jedźże żywo! - szepnął. Ale Liszka wcale się nie kwapił. Zdjął z konia derkę, której Szymon nie znał, odjął mu mocno wypchaną torbę obroku, zapalił papierosa i dopiero wtedy raczył ruszyć. O wiorstę za stacją zaledwie Łabędzki odzyskał panowanie nad sobą. - Co to za derka? Ileś się zadłużył w zajeździe na obroki i jedzenie

twoje? Nikt cię nie poznał? - Derka jest moja, obroki i jedzenie płaciłem, byłem przy pieniądzach. - Widzę, niestety! - Czego ty stękasz? Ja od ciebie nie dochodzę, com wydał. To będzie gościniec. - Ładny gościniec! Człowieku, tyś kradł może? - A czemuż głupcy nie pilnują? JA jeden, a ich całe miasto; oni u siebie, ja cudzy. - Zaraz mi gadaj, u kogoś wziął i co! Trzeba zwrócić. - Oho! Albo ja chodzę ich pytaż, jak się nazywają? Albo ich zapisywał? Nie zwracaj głowy, to mój rachunek! Darowałem tobie, to się ciesz. - Takeś mi się odplacił za ratunek? - A tyś chciał jak? Głupiś! Konia ci spaszem jak kabana * i darmo. kaban - upasiony wieprz. - Nie darmo, bo krzywdą i wstydem. - A nieprawda, nie krzywdą, bo ci mieli więcej niż ja, i żaden wstyd, bo mnie nie złapali. Na tę wilczą etykę nie trudził się nawet Szymon odpowiadaż. Myślał tylko, jak się prędzej pozbyć towarzysza. Po chwili Liszka rzekł: - Gadali tu ludzie, że już mnie pojмали. Snadź dokuczyło im szukaż mnie i wzięli innego. Znajdę już teraz kąt i strawę na czas jakiś. Niedaleko Omelnej wysiadę. - Widziałeś swoją Teklę? - Widziałem. Ho, ho, żeby nie ona, Wilczycę bym dawno zadławił! Dziewka z nią sypia. - śliczna dziewczka i dobra. - Aha! Gadają, że wy z sobą się miłujecie. - Ot, bajki! - Mnie wszystko jedno. Co dziewczka znaczy? Nie ty ją weźmiesz, to inny. Brzydzą się chata, bo ino w niej płodzą się tarakany i babskie swary. - Długoś był w robotach? - Niedługo, pięć lat. Potem uciekłem, złapali. Byłem znowu trzy lata, znowu uciekłem. Teraz już nie złapią żywcem. - Toś dziesięć lat wędrował? - A cóż! Myślisz, żem jechał koleją? Oho! I tak prędko przyszedłem. - A tuś już dawno? - Na wiosnę będzie dwa lata. - I ledwie teraz słuch się o tobie rozszedł? - A cóż! Ja ta nie chciwy rozgłosu! - roześmiał się cynicznie. - żeby nie Semen Ryży ze Sobot, toby dotąd cicho było! Nu, ten mi zapłacił. - Toś ty ich spalił? - A ja! Jakże, nie warto było? Mścił się za koszulę, com z płotu wziął. Jedna koszula, bom żadnej nie miał. Takie to gałgany! - I cała wieś z dymem poszła... - Albo im kazał tak gęsto się budoważ? Szymon umilkł. - Coś się zmarkocił? - zagadnął Liszka. - łałuję, żem cię uratował. Nie warteś życia. To ty myślisz, że i mnie spalili słusznie? Możeś dopomagał do tego? - Nie. Przy tym nie byłem, boś mi nie zawinił, a i korzyści nie było. To nie interes dla mnie; są lepsze. - Otóż i rozstaje do Omelnej. Idźże sobie - rzekł Szymon ze wstrętem. - Rozzłościłeś się na mnie? Nu, innemu za takie fochy to bym szczęki porozbijał. Ty jedź w spokoju! Liszka wysiadł. Noc była księżycowa, mroźna, z daleka mrugały okienka chat. Zbieg się rozejrzał, dobył z sanek wypchany worek, zarzucił go sobie na plecy. - Do ludzi nie pójdę: mam co jeść na parę tygodni! - rzekł. - Nu, dziękuję ci za ratunek. Wiem, że pieniędzy nie weźmiesz; nic nie szkodzi, zapamiętam ciebie. I poszedł w stronę lasów gwiżdżąc. - Pamiętaj Wilczycy nie tknąż! - zawołał za nim Szymon. Rano stanął Szymon w Sokołowie i zastał pana Seweryna przy rozwalonym budynku, który poczynał już na nowo kryż. Miał wyraz ponurej zaciętości na twarzy, wychudł, szerniał, nie odzywał się prawie. - Był pan w Głębokiem? - spytał Szymon, gdy się rozmówił o interesie. Sokolnicki się zachnął. - A ja tam po co? Może żebraż? - Co to ma do żebraniny? Obiecał pan bytnoż, wypada obietnicy dotrzymaż. Pęknięty kociel to nie jest wymówka. Oczekują tam wizyty. Po co mają pana posadzaż o brak form i dobrego wychowania lub tchórzostwo? - dodał z naciskiem. - Ja tu pana teraz zastapię, a pan to odbędzie. To obowiązek. Sokolnicki z głową w dłoniach medytował długi czas, wreszcie zamruczał: - To obowiązek. Prawda! Trzeba odbyż! Ale miał mówiac taki wyraz, że Szymon żałował, iż sprawę zagaił. Zrobi jakieś szaleństwo, pomyślał. Nazajutrz mróz się iskrzył na lasach śniegiem okrytych, gdy pan Seweryn jechał do Głębokiego. Jaka śmierż, jakie zimno! myślał patrząc smutno po ziemi i niebie. Gdy przyjechał, przyjął go sam Zagrodzki. - Nika z Niemcem gdzieś poluje - rzekł. - Po co ona mnie tu z sobą wlokła! Nie widzę jej prawie nigdy, a gdy wróci, jest tak zmęczona i senna, że ledwie mówi. A ja tu tymczasem jestem celem napaści chłopów, łydów, oficjalistów. Czy wie pan? Spędziłem życie w antreprezach, * na giełdzie, w interesach krociowych, a nigdzie nie spotkał maszynierii tak skomplikowanej, interesu bardziej hazardowego niż ziemia. Tu, panie, raptem, na staroż, każa mi byż agronomem, chemikiem, weterynarzem,

ogrodnikiem, rymarzem, budowniczym i już sam nie wiem czym! Tu można oszaleć. Ale to u pana był jakiś wybuch, kocioł pękł; trzeba być inżynierem jeszcze! Miłe zajęcie! antreprzyza - przedsiębiorstwo, przedsięwzięcie organizowane przez osoby prywatne. - Te wszystkie obowiązki wziąłbym na siebie, byle kto mi jedno zdjął z bark, buchalterię, w której wciąż jedno: dwa od jednego nie można; pożyczam! Tak, kocioł pękł, mam grube straty. - Może pan potrzebuje naprędce pieniędzy? Mogę służyć! - zawołał Zagrodzki sięgając już do kieszeni. Sokolnicki poczerwieniał. - Nie, panie, dziękuję. Mam pieniądze! - odparł czując, że go wstyd dławi, a chcąc mówić spokojnie. - Przecież ja tu nie po prośbie przyjeżdżam... - No, a jakby tak było, w czym by był grzech. Zwykła sąsiedzka uczynność. - Zły by to był interes - uśmiechnął się z przymusem Sokolnicki. - Pożyczki na ziemię są bardzo niepewne teraz. - Ba, ale pożyczki lichwiarskie zjadają ziemię. Ja wiem, wy tu macie fałszywą ambicję: przyjął pomocy sąsiada nie wypada, ale to zły rachunek! Ambicji nie trzeba mieć w interesie. Nie mówię tego do pana, ale właśnie panna Barbara odrzuciła podobną propozycję Niki. No, a słyszę, że żydowskie długi ma; woli dla nich pracować niż dla nas. To źle! - Gdyby pan lepiej znał stan tutejszych majątków, nie byłby pan skory do pożyczek. - Mój panie, gdzież pewność dla pieniędzy? Duży procent często odbiera sen, bo niepewny. Mały procent a pewny może nie dać chleba. A wie pan? Lepszy sen od najedzenia! - Ale ziemia może wcale nie dać procentu. - A świetny interes może być szwindlem. Wierz mi pan, robię dobry interes proponując panu pożyczkę. Sokołów jest dobrą lokatą, bo Sokołów to pan, czyli honor, i Łabędzki, czyli wierna praca. Wy wypłyniecie. Zresztą ma pan milionera-stryja. - Stryj raczej spali swe kapitały, czując śmierć, niż mi je zostawi. Dzwonki rozległy się u podjazdu i po chwili weszła Nika ubrana w swój myśliwski kostium, czerwona od mrozu, z dwoma zajacami w ręku. - Ma tatko pasztet na jutro! - rzekła wesoło i wnet, zupełnie swobodnie, podała dłoń Sokolnickiemu, uścisnęła jego prawicę po koleżeńsku i dodała: - Czy to wigilia Nowego Roku? Ładnie pan dotrzymuje obietnic! Cóż tam! Kocioł pękł? - A pękł - odparł pan Seweryn, mimo woli pokrzepiony tym energicznym tonem. - We czwartek przyjdzie nowy. - To dobrze! Była tu onegdaj panna Barbara, tak stroskana wypadkiem, że aż mnie przeraziła. - Oto masz przyjemność gospodarstwa! - rzekł Zagrodzki. - Albo to po innych fabrykach nie pękają kotły? Muszą być niepowodzenia w każdym zawodzie. Et, co tam! Braź je za bary, za gardło i dławiź, byle się nie lękaź i nie ustępowaź. - I gadaj tu z młodością, stare doświadczenie - machnął ręką Zagrodzki. - I gadaj tu tchórzostwem, siło! - odparła wychodząc z pokoju. Po chwili wróciła już przebrana i kazała podawać obiad. Usiadła potem obok Sokolnickiego i spytała: - Dużą pan ma stratę? - Sześć tysięcy rubli. Skrzywiła się. - I pożyczył pan na to? - Zapewne! - odparł podnosząc na nią oczy i czując, że powinien być szczerym zupełnie. - Kapitału nie mam, majątek do wysokości wartości obciążony. Muszę pamiętać, że lada dzień będę bankrutem. - Musi pan pamiętać, żeby się utrzymał - poprawiła zupełnie serio. - Przecież pan stanął przeciw panu Iliniczowi. - Tak, bo on nie miał prawa czyniź tak ważnego kroku bez porady i zgody żony. - A pan nie ma nikogo pytaź się o radę i zgodę? - Nie! - odparł lakonicznie. Poruszyła brwiami z niezadowoleniem. - Jak to? Więc nawet nie poradzi się pan pana Łabędzkiego? Wątpię, czy on by to pochwalił. - Ach, on! To idealista! - Nie; on jest uczony z zawodu i widzi przyszłość dla Sokołowa w gałęziach dotąd nie eksploatowanych. - A które takimi pozostaź muszą dla braku kapitału. To są mrzonki w takich warunkach. W tej chwili odwołano Zagrodzkiego do kancelarii, a Nika rzekła: - Nie podoba mi się pan dzisiaj zupełnie. Czy pan tak często zapada na hipochondrię? - Jeśli to jest hipochondria, to jest mój stan normalny. - Więc się pan czuje i teraz nieszczęśliwym? - Bardziej niż kiedykolwiek. - Dlaczego? - Bom się zapomniał na chwilę, bom zamarzył o szczęściu i muszę się z tym pożegnać na zawsze. Spojrzała na niego badawczo, z brwią ściągniętą. - A do pana co przystąpiło, jak tu chłopci mówią? - Pani wie! - szepnął. - No, nic nowego nie wiem ani pana rozumiem. Nie miewam fantazji ani przelotnych kaprysów. Podobał mi się pan i pański trud i dola. Porozumieliśmy się i jestem pewna, że będzie nam z

sobą dobrze. Nie podobało mi się, że pan zaraz po tej klęsce tu nie przyjechał, że się o pańskiej biedzie dowiedziała od ludzi. No, ale teraz to już wcale a wcale pańskich desperacji nie rozumiem. Bez frazesów, cóż pan myśli znowu? - Doszedłem do przekonania, że był szalony w Horodyszczu, gdy się ośmielił okazać pani swoje uczucie. - Szanując prawdę muszę sprostować, że to raczej ja je okazałam, a pan pozwolił się domyślić! - Pani żartuje! - Nie widzę racji do smutku. Cieszę się, że mnie pan kocha, i dobrze mi. Ale niby pan się rozmyślił teraz... Dlaczego? Może, żeśmy dorobkiewiczze? To prawda. Dziad był adwokatem, a ojciec zaczął karierę od komisanta * w fabryce maszyn. Ale to przecie wiedział pan od dawna. Mówiłam przy pierwszym poznaniu. komisant - agent dokonujący za wynagrodzeniem prowizyjnym operacji handlowych. - I pani mnie posądza o taką rację? - oburzył się. - Jam się rozmyślił, ale kochać nie przestał, tylko muszę się usunąć, bo z panią się żenić nie mogę, nie chcę, za nic! - Z powodu tego kotła? - Dlatego, że bankrut i nie czuję w sobie siły do pracy; wyczerpanym, zmęczonym, bez możliwości wybrnięcia ze złej doli. Pani, bogatej, nie chcę wciągać w otchłań moich złych interesów, pani, biednej, utrzymał bym nie mógł! Muszę się usunąć. Nika wstała, poprawiła ogień na kominie i przetarła zaczerwienione od mrozu oczy. Potem stanęła przed panem Sewerynem i rzekła prawie gniewnie. - Takie koszulki opałki daruję panu ten raz jeden, pierwszy i ostatni. To wstyd mówić ludziom zdrowym na umyśle, bo to słuchającego obraża. Dla uniknięcia zaś podobnych fantazji pańskich proszę dziś jeszcze oświadczyć się ojcu i niech to raz będzie skończone. Nie cierpię fałszywych pozycji, próżnych frazesów, a pan potrzebuje rychłej pomocy materialnej i serdecznej nad sobą opieki. Więc... Sokolnicki wzdrygnął się. - Za nic, za nic! - wyjąkał. - Nie oświadczę się; wstydzilibym się tego całe życie. - Więc po cóż pan przyjechał? - zawołała już rozgniewana i zniecierpliwiona. - żeby to pani powiedzieź i przeprosiź. - Mógł pan to schować dla siebie. Racje nie mają sensu, a przeprosin wcale nie wymagam. Jak ja to rozumiem, zajęcie było chwilowe, mój typ nadto obcy i cudaczny dla pana; przyszedł namysł, wahanie i strach przed panną emancypowaną. Tak to u was jeszcze nazywają! Ha, poniosłam tedy pierwszą w życiu klęskę. Dostałam harbuza. Brr, niesmaczny! I pan siebie nazywa trzeźwym. Ależ pan najstraszniejszy fantast, jakiegom znała! Więc cofa się pan! - Muszę! - rzekł zacinając się coraz bardziej. - Więc tedy żegnam pana jako konkurenta i możemy mówić o czymś innym. Pokażę panu jutro rano nowy nabytek: kuca srokatego w klonowe liście; dałabym wagę złota za drugiego takiego: zrobiłyby furorę w Wiedniu. - Ja chcę zaraz odjechać - rzekł. - Co to, to nie. Pięć mil w nocy? A konie? Gnaż je dziesięć mil i po co? Niech się pan nie lęka. Drażliwych kwestyj nie poruszamy. Podkreślam i sumuję! Koniec. - Pani prędko wyjdzie za mąż... - szepnął na wpół pytająco, na wpół twierdząco. - Może byż, gdy mi się kto będzie podobał. Mam ochotę do pracy, a przy rodzicach nigdy do tego nie dojdę. Znadto mnie pieszcza i psują. - Może za Woynę? - spytał ponuro. - Nie! On mnie traktuje jak amator_estetyk. Ręczę, że całe życie uważałby mnie za zbyt kowny sprzęt i trzymał pod kloszem. Nie lubię tego rodzaju miłości, bo mnie to upokarza. Tymczasem nie mam nikogo na myśli. Potem... może... Ale! A mój dar za skórę niedźwiedzia... zaraz go przyniosę! Zupełnie była swobodną, a tak jej szczerłość, prostota, wdzięk oryginalny i przepyszna uroda doprowadzały Sokolnickiego do rozpacz. Chwilami czuł, że ustąpi, że się nie oprze, że jej nikomu nie da, że to całe dobro i szczęście - godne są ofiary z dumy, godne najgorszego upokorzenia. Potem się znowu zacinał i zasklepiął w uporze. Gdy wyszła, przeszedł się parę razy po tym zbyt kownym salonie i zaklinał sam siebie, męczył i poprzysięgał, by nie ulec. Elastyczny krok Niki wstrząsnął nim znowu; nuciła coś; poznał: była to piosenka Tostiego - i chciał uciec natychmiast. - Przywiozłam panu przyjaciela! - rzekła wesoło, podając mu psiaka, którego z wielką czułością trzymała na rękach i tuliła do twarzy jego roztopny pyszczek. - Taks. Ma rodowód od średnich wieków, a cnoty, jakich między ludźmi nie znaleź. Ma rok życia i wabi się Kastor. Takiego psa pan chciał mieć. - Pożądałem! - odparł Sokolnicki biorąc psa. Ten przede wszystkim warknął, potem ugryzł go w rękę. Na to wszedł

Zagrodzki. - Miły pasażer - rzekł. - Było o co się starać! Przecież ona przez parę tygodni o nim jednym tylko mówiła i myślała. Na powitanie poszarpał szlafrok mojej żony, prawdziwe koronki... Pies bardzo niechętnie wreszcie dał się ująć i przesiedlić na ręce Sokolnickiego. - Dla mnie to dar bez ceny - rzekł gładząc go. - Mam doskonałe ogary i charty, marzyłem o taksie. Bardzo pani wdzięczny! Podano do stołu i rozmowa stała się ogólną. Nika była rozbawiona, wesoła, dowcipna, rozerwała nawet pana Seweryna anegdotami z życia sportowego; tylko Zagrodzki był roztargniony i markotny. Po obiedzie znowu zaczął biadaż. - Moja droga, czy my prędko stąd wyjedziemy! Bo, mówię ci, ja się tu rozchoruję... nie mam snu, tracę apetyt. Matki listów boję się otwierać, tak nierada, że ty karnawał opuszczasz! A tu sądny dzień, a tam podobno renta * złota spadnie; muszę na gwałt sprzedawać. renta - regularnie otrzymywany dochód z kapitału, majątku, nie wymagający wkładu pracy. Nika bawiła się psem, który jej aportował rękawiczki, i nawet nie słuchała. - Jeśli ci chodzi o polowanie, możesz je mieć i tam, w przyjemniejszym towarzystwie niż nasz Niemiec. Przestała się bawić psem, wyprostowała się i rzekła nidbale: - Właśnie nie znam nieznośniejszego polowania jak w towarzystwie. Ale kiedy ojcu tak już dokuczycie, możemy wracać; tyko nie pierwej, aż sobie drugiego srokatego kuca dobiorę. Bez tej pary nie pokazuję się na ryngach. - Winszuję, przezimujemy tutaj! - jęknął Zagrodzki. - Ja tego matce nawet się nie ośmielę napisać. Niech przyjeżdża po ciebie. - Kuca srokatego widziałem kiedyś na wsi - rzekł Sokolnicki. - Panie, tysiąc za niego! - zawołał Zagrodzki łapiąc się według swego zwyczaju za kieszeń. - Ale czy taki jak mój? - zaprotestowała Nika. - Ależ taki, taki! - zaklinał się Zagrodzki, aż się Sokolnicki roześmiał. - Zdaje mi się, że ojciec jeszcze nawet mojego nie widział. Każę go zaraz przyprowadzić. Obejrzymy przy latarni. Gdy wyszła, wołając służbę, Zagrodzki westchnął. - Ja bym, panie, tu siedział dla jej przyjemności! Owszem, ona tu weselsza i zdrowsza; ale matka, panie, to jest moja żona, koniecznie chce ją wydać za mąż w tym karnawale. Jestem między młotem a kowadłem. Sokolnickiemu mróz przeszedł po kościach. - Już w tym karnawale!... - powtórzył mimo woli. - O, czas, panie, czas! - stęknął Zagrodzki. - Potrzebuję pomocy, tu szczególnie. Nika zakochała się w tym majątku, nie pozwala sprzedać. Niechże go sobie trzyma, a ja będę dalej pracował, żeby mieli co dokładać. Pan Seweryn milczał posępny. Widział już w myśli Nikę z mężem w Głębokiem, a ponieważ myśl ta piekła go jak ogień, więc ją sobie w mózgu obracał umyślnie, by resztę pokus odegnać. Wtem Zagrodzki coś sobie przypomniał: - Ale chciałem pana spytać: jak pan uważa swego szwagra? Był tu onegdaj i proponował mi spółkę w młynie parowym, który zakłada. Liczy, że całe obywatelstwo do spółki przystąpi. - Nie całe; bo ani ja, ani Basia - odparł pan Seweryn. - Ilinicz jest fantasta i dyletant. Od onegdaj do dziś zmienił pewnie ze trzy projekty, to jego specjalność, ale nie wykonał dotąd ani jednego. - A jednak projekt jest dobry. Przemysł podźwignie gospodarstwo. - Gdy wyrosną spośród nas specjaliści. My jesteśmy pokolenie przejściowe, chore i niedołężne. - Kto czuje swe braki, potrafi je naprawić w dzieciach. Dlaczego pan się nie żeni? - zagadnął nagle. Pan Seweryn jeszcze niżej głowę spuścił. - Nie chcę, nie mogę - bąknął. - Ale pan czyni. Rola to jest warsztat dla dwojga. - Kuc pod gankiem! - zaczęła wołać Nika. Wyszli tedy i rozmowa się przerwała. Nierad temu był Zagrodzki, bo resztę wieczora był gderliwy i markotny, i ledwie gościa odprowadził do snu, poszedł do córki. Na pół rozebrana i na pół senna zapamiętała czyściła strzelbę. - Mogłabyś to powierzyć strzelcowi - rzekł gderliwie. - Mógłby ojciec ten ton zostawić mamie - odparła. - Bom zirytowany! Mnie się zdaje, że tyś się zajęła tym chłopakiem, a on o ciebie wcale nie dba. - Ojcu się to dopiero zdaje? A ja tego jestem pewna - odpowiedziała nie przestając wycierać irchą łuf. - Jak to? Ie ty się w nim zakochałaś? Więc po toś mnie tu wlokła? Gdyby to matka wiedziała! - Nie pójdę do niej z wyznaniem, bo on mnie nie chce - rzekła spokojnie Nika. - Co ty bredzisz? Skąd wiesz o tym? - Bom go pytała. - Ty? Jego? Niko! - No i cóż się stało? Ojcu może dać soli trzeźwiących? Pytałam, rozmówiliśmy się i wszystko w porządku. - Niko! Gdyby matka... - O tym wiedziała! Niechże się ojciec uspokoi.

rację! Będę teraz wiedział, na co zbieram. Tylko mi tego chłopaka szkoda. Tak staż i pracoważ, i widzieć ruinę, i nie móc poradzić, i nie móc ustąpić! Brr! Niko, przekonaj go! - Nie teraz. Przyjedziemy wiosną... - szepnęła z westchnieniem. - Niech jego dumę przetrawi tęsknota. - Do wiosny ile to tysięcy będzie straty! - zamruczał praktyczny Zagrodzki. - A co na to matka powie? - spytała przekornie Nika, naśladując jego ton. Tak był podniecony, że nawet się tym nie przestraszył, ale wynalazł furtkę: - No i cóż! Po co ma znać stan interesów? Powiemy jej, że robisz świetną partię. To dość, jeśli ja ci przyznaję rację. - Tak, dosyć, nawet się tego nie spodziewałam - zawołała całując go tak serdecznie, jak nigdy nie czyniła. IX Zima tego roku, wedle przepowiedni starej Wilczycy, była dla zbóż fatalna. Olbrzymie śniegi spadły na nie zamarzłą ziemię i leżały do lutego. Gdy stopniały i spłynęły do rzek, wyjrzały spod nich zagony spleśniałe, czarne, poplamione żółtymi płatami zgniłej runi i tylko chwasty poczęły się po nich zielenić, gdy słońce przygrzało. Nad okolicą zawisła klęska nieurodzaju, a na domiar niedoli zaczęły deszcze lać, opóźniać siewy jaru, psuć zasadzone już kartofle i po niektórych wsiach pojawiła się zaraza na bydło, pełznąca jak z mora dalej i szerzej... Ludzie mieli twarze posępne, głowy wieszane. Nikt się nie ucieszył przylotem bociana ani się uradował skowronczą pieśnią nad nagim łanem, ani zielenią młodą gajów ni wonią wiosenną. Te czarne zagony były kirem pracy i mozolnych zachodów zeszłorocznych, widmem ruiny coraz bliższej. Nieubłagane jak przeznaczenie stały nad każdym podatki i procenty, najmy i zasługi, i trzeba było dalej iść, iść, płacić, płacić, płacić. Zaraz po Wielkiejnocy rozeszła się wieść o sprzedaży dwóch majątków; przebąkiwano o tym i o tamtym, że już nie wytrzyma do jesieni, a wieści te sprawiły na pozostałych wrażenie śmierci bliskiej osoby i strach podobnego końca. Potem druga wieść wstrząsnęła okolicą. Zaczęto wytykać linię kolei przez bagna i wody, ukazali się inżynierowie w miasteczku. Linia przecinać miała Miernicę i Głębokie, dotykała Horodyszczka, pozostawiając Sokołów o wiorst sześć w bok. To była wieść dobra, ale dla Ilincza była piorunem, bo z własnych ust inżyniera się dowiedział, że Adakale zrobił już kontrakt o żwir do nasypu i że ta górka nieurodzajna, na którą kiedyś narzekał, stanie się dla nowonabywcy kapitałem. Klejnot zmarnowany tak się mścił nad nim. Pewnego dnia pan Seweryn wybrał się do Horodyszczka konno, by uniknąć wytrząsania siana z bryczki i formalności na rogatkach przydrożnych urządzonych dla powstrzymania zarazy. Dzień był pierwszy pogodny po długiej słocie i ruch duży na polach, ale robota szła opieszale, ludzie snuli się milczący, czuło się wszędzie zniechęcenie i znękanie. Pan Seweryn przez tę zimę zestarzał się i szerniał, miał jakiś nieprzyjemny, tępy wyraz na twarzy, osłabienie i ociężałość w ruchach, zaniedbanie w ubraniu i nawet w sposobie jazdy. Taks faworyt dreptał za nim zamiast wiatronogich chartów, a on sam, pochylony niedbale na siodle, z głową w ramionach miał minę żołnierza myślącego o dezercji. Jakże dalekim był ten wieczór, gdy śpiewano w Horodyszczu Tostiego piosenki... Gdy wjechał między horodyjskie poletka, spojrzawszy uważniej wokoło siebie: były jednakowo nagie, puste, bez nadziei plonu; dalej na świeżo zasadzonych kartoflach stała woda i uwijało się tam kilkoro ludzi, wśród których dojrzał Basię. Skierował ku niej konia. Powitała go uśmiechem, jak zwykle, ale wiedział, że uśmiech ten z trudnością jej przychodził. Zsiadł z konia i chwilę w milczeniu przyglądali się robocie ludzi przekopujących spadki dla wody. - Nic to nie pomoże! - rzekł wreszcie. - Kartofle te już zginęły. Jeśli masz siłę, to zaorz i posiej jęczmień. - Nie mam nasienia! - szepnęła. - Tyle tylko, co na inne pole. - To posadź na nowo kartofle. - I tych więcej nie mam jak na jeden siew. - To kup nasienia. Uśmiechnęła się tylko gorzko, bez odpowiedzi. - A u ciebie co słychać? - spytała po chwili. - To samo, co u ciebie - odparł prętem pokazując nagie oziminy. - Gorzelnia już stanęła? Kiwnął potakująco głową i dodał: - Stanęła, bo teraz kolej na inne kłęski. Padły już dwa woły i trzy krowy. - Mój Boże! - jęknęła. On stał patrząc w ziemię i dziwnie się uśmiechał. - Aha, wiecie się! - zamruczał szyderczo. - Słyszałaś o żwirze w Miernicy? - Słyszałam; biedna Józia! - Łabędzki dowodzi, że i u ciebie żwir jest. - Ten

poczciewicz wciąż i mnie tym cieszy. Obiecał szukać i rzeczywiście znalazł, ale rzeka rozdziela to miejsce od planty. Ja nie wierzę w taki los, boję się zawodu. Aleś i ty pozbył się dwóch raków w Sokołowie: serwitutu z Omelną i sprawy ze szlachtą. Zawsze to postęp. - W przyszłości; może już korzyści nie doczekam. Łąki zahaczono na kilka lat, szlachcie darowałem, com na nich wygrał. Tyle pożytku, że mam od nich robotnika, bo chłopstwo, co żyje, ruszyło na flisy i na dalekie roboty, w przewidywaniu głodu. Oni wytrzymają ten rok, my już nie. - Nie mów tak! - szepnęła wzdygając się. - Trzeba mówić, trzeba trzeźwo się obrachować. Czyś ty liczyła, czym płaciłem procenty i ciężary? Zamiast odpowiedzi spojrziała na niego żałośnie. - Ale jakże tego odstąpić? życie się w to włożyło, myśl, uczucie, pot krwawy, łzy. I darowałem to wszystko, i rzucić, i odejść! To niemożliwe! Pomyśl tylko, jakie to straszne. - To śmierć! - mruknął. - Tobie może jeszcze nie przeczytano wyroku, mnie już. - Jak to? - zawołała przerażona. - Tak. Wypowiedział mi pożyczkę Burakowski, podał do sądu moje weksle Alter z Jeziora, zażądała spłaty Okęcka. Na święty Jan mam spłacić osiemnaście tysięcy rubli. To wyrok śmierci na Sokołów. Mimowolnym ruchem zgrozy zakryła sobie oczy. On mówił dalej zmęczony, tępym głosem: - Gorzelnia zrobiła straty na sześć tysięcy, teraz zaraz wymiata obory, na polu pusto, rata bankowa zapłacona kredytem, który lada dzień trzeba zwrócić. Tu nie ma co się ludzi: muszę ustąpić. Pracowałem do ostatka uczciwie; nie mogę więcej i dłużej. - O Sewer! - szepnęła. - Nie upadaj na duchu. Możesz znaleźć kredyt na te spłaty. Łabędzki coś obmyśli. - Nie! Już i on milczy i szerniał z troski. Cierpimy obaj; nie ma wyjścia. - A gdybyś się udał do stryja? - Za nic! - zachnął się. - Czy ty go zresztą nie znasz? - A jednak uprosiłam go onegdaj o zaczekanie na procenty. - Dwanaście płatne z góry, wielka łaska! - Dla mnie wielka w tej chwili - szepnęła. - Boś nie rachowała, ile on ci za tę łaskę policzy. Umilkł, oboje niezmiernie zgnębieni i smutni. Nad nimi szmat błękitu się wdzięczył i świergotały radośnie skowronki. Łagodny, ciepły powiew niósł zapachy świeżych pędów, życie młode, silne tętno budzącej się przyrody, a tych dwoje młodych, których los nie dał nigdy wesela, ulgi, swobody, stało zapatrzonych w tę ziemię czarną, która im teraz niosła, niewdzięczna, ruinę. Wreszcie Basia podniosła oczy na psiaka siedzącego u nóg Sewera i rzekła: - Zagrodzcy są już w Głębokiem. - Wiem, bo i Woyno za nimi przyciągnął i był u mnie - odparł bezdźwięcznie. - Ożeni się? - spytała. - Może być. Nie traci nadziei i matkę ma za sobą. - Nie byłeś u nich? - Nie. Po co mi te stosunki?! - mruknął apatycznie. Basia westchnęła. Jej się to tak inaczej marzyło w wieczór wigilijny. Ale Sokolnicki miał taki sposób, że go w tej kwestii nigdy nie śmiała pytać. Omyliła się wtedy widocznie. - Dziwię się, że Nika dotąd u nas nie była - rzekła. - Zapomniała o nas zapewne. - W to nie wierzę i spodziewam się jej lada dzień. Sokolnicki nic nie odparł, tylko nieznacznie spojrzął na drogę, het, ku lasom, i psa swego pogłaskał. - Mnie dzisiaj z domu Józia wyprawiła i kazała wrócić o północy. Miała przy tym tajemniczą minę. - Pewnie wykryła złodziejstwo i chce, byś ich sam przyłapał. O Szumlańskim źle mówią. Skąd on bierze posagi dla córek? Sokolnicki ramionami ruszył. - Niby skąd u nas ma być poszanowanie cudzej własności? Toż nikt przykładu nie daje. Czy Szymon nie był u ciebie w tych dniach? - Onegdaj bawił cały wieczór i opowiadał cuda o swej szlachcie z Dubinek. - Ciągle tam teraz przesiaduje i zdaje mi się, że to się skończy małżeństwem. - Małżeństwem! - powtórzyła zdumiona. - Z czarną Antolką, siostrą Hipolita. Pamiętasz ją na weselu, gdzieśmy to obchodzili zgodę z panami braźmi? - Pamiętam. Ładna dziewczyna, ale czyżby Łabędzki taką się zadowolili? - odparła bardzo niemile dotknięta wiadomością. - On jest utopista. Nie dziwiłbym się, żeby sobie uroił, iż ją ukształci, wychowa, a przez ten związek podniesie innych. To mrzonka, ale to do niego podobne. Szkoda, stracimy go. Basia zamyśliła się nad wrazeniem, jakie na niej ta wieść uczyniła. Była zgorziona i zarazem ścisnęło się jej serce nad stratą tego człowieka. - To nie może być! - szepnęła. - Skąd to wnosisz? - Przede wszystkim zamiast swej spalonej osady odbudował tylko chatę dla strażnika, a sam uparcie przebywa u Hipolitów, pod

bokiem Dubinek. Sobotnie wieczory i święta spędzał dawniej ze mną, teraz tam siedzi, szlachtę uczy, z iydami się o nich procesuje, a wieczorami czytuje im głośno lub śpiewa z młodzieżą. No a tydzień temu spotkałem go z tą Antolką w lesie. Ona niby zbierała chrust, on niby przypadkiem konno nadjechał, ale oboje mieli niewyraźne miny. Mnie się zdaje, że się umówili. Basia uczyła wielki niesmak i żal do Szymona za taką pospolitość. Teraz dopiero pojęła jasno, jak wysokie miała o nim mniemanie. - To do niego podobne! - rzekła niechętnie. - Jam mu to nawet wymówił półżartem, ale uważałem, że się obraził, więc dałem spokój. Naprawdę, co się dziwi! Dokuczyła mu samotność i ciągnęła troska o cudze dobro. Taką pracę niewdzięczną każdy rzuci. - Więc ty myślisz, że on ciebie opuści? Nie! - Bociany opuszczają dom, co ma runąć, a on wie, że moje trwanie dobiega kresu. Szuka sobie gniazda. Basia spojrzała w dal i było jej niezmiernie smutno. - Ty musisz kredyt znaleźć, przeżyj ten przełom. O Sewer! Ty byś zmarniał bez Sokołowa... Patrz na Ilinicza: toż starzec, to ruina! Gdy go spotkam, żal mi go serdecznie. Ostatnim razem prosił mnie jak o łaskę, by mógł nas odwiedzić. - I pozwoliłaś mu? - Prosiłam... Czy wiesz, że nie zostanie w miasteczku? Chce wyjechać w głąb Rosji. Mówi, że mu tam lepiej będzie; dlaczego? Nie śmiałam pytać, ale wiem, że mu się zdaje, iż w oddali będzie mniej cierpieć z żalu po tym, co bezpowrotnie już utracił. Tobie, Sewer, nie daj Boże podobnego losu. - Gdym zaczynał, nie marzyłem o takim końcu - rzekł głucho młody człowiek. - Bo też to nie koniec, Sewer. Wytrwasz, ty musisz wytrwać i zostań! - Frazes, Basiu! Ja muszę ustąpić. - I dokąd pójdziesz? I czym będziesz? Tyś to postanowił, aleś nie pomyślał, czym jest to ustąpienie. Czy ci nie żal swego życia i tych lat męki i pracy, coś włożył? - ĩal mi było matki, a przecież umarła - odparł. - ĩal mój bezsilny jest i płonny. Co z niego? Machnął ręką i rzekł, by rozmowę zmienił: - Otóż i pan Baha tu zmierza, by ciebie zluzować. Nie macie dozorczy? - Nie. Obchodzimy się tymczasowo. Tak ciężko płacić! Pan Baha szedł od dworu podzwaniając kluczkami i na powitanie zawołał do pana Seweryna: - Pan to ma szczęście do panny Zagrodzkiej. Sokolnicki drgnął. - Co? Przyjechała! - zawołał błędnie. - Jeszcze nie, chociaż państwo zawsze się tu spotykają. Ale tymczasem jest tylko stamtąd strzelec z listem do panny Barbary. Nie chciał mi listu powierzyć. Basia zarumieniła się z radości. - Chodźmy! - zawołała ruszając ku domowi. Pan Seweryn powlókł się za nią opieszale. - Mówiłam ci, że pamięta. Tylko się dziwię, że sama nie przyjechała. Sokolnicki milczał. Spotkali strzelca w bramie. Błotem był obryzgany, a koń jego zmordowany doszczętnie. Podał na czapce list. - Państwo dawno przyjechali? - spytała Basia. - Już dziesięć dni bawia. Panienska na drugi dzień zachorowała. - Chora! - spytał żywo Sokolnicki. - O, myśleli, że umrze!... Doktor przyjechał z zagranicy. Sądny dzień u nas. Pani mdleje wciąż, a pan płacze i płacze. Basia czytała kartkę pisaną ołówkiem. Pan Seweryn badał sługę. - Cóż było panience? - Przemokła na polowaniu. Mówią, że to zapalenie płuc. Kaszle okropnie. Dwa konie cugowe padły z pędzenia po doktorów. Było ich pięciu, i ten największy, z zagranicy... - Masz, czytaj - rzekła Basia podając mu kartkę. Sokolnicki chciwie wlepił oczy w papier i pożerał wyrazy: "Droga panno Barbaro! Byłam o krok od raję czy czyśćca, dlatego dotąd nie przyjechała do pani. Jestem już zdrowa i żyć chcę i będę, ale moi ojcowie gotowi mnie trzymać w wacie całe lato. Nudzę się i tęsknię za wami, żądam wieści o waszych pracach, biedach, postępkach i doli. Proszę spełnić uczynek samarytanina: przyjechać i w moje rany wlać oliwy i wina. Miałam wielkie strapienie: zakarmili mi kuca, którego mam od pana Sokolnickiego, spudłowałam do głuszca i Woyno tu za nami przyciągnął. Było z czego się rozchorować, prawda? Czekam pani z utęsknieniem! Nika." - Jedźmy, Sewer! - szepnęła kusząco Basia. - Ja? Po co? - zachnął się odzyskując od razu upór. - Bo... ja koni nie mam! - odparła rada z wybiegu. - Ja przecież w dyszlu nie chadzam. Jedźmy razem do Sokołowa, stamtąd weźmiesz moje konie, naturalnie jeśli dotąd żyją, co jest wątpliwe. - Jakiś ty nierozsądnie uparty! Ruszył ramionami bez odpowiedzi. Weszli do domu i Basia zaraz zakrzatnęła się około wyjazdu. Pan Seweryn pozostał z wujem, z miną zaciętą słuchając jego utopij, nadziei, rad - głuchy tym razem na wszelką otuchę

wobec goryczy, która wzbierała w nim jak morze. Po obiedzie zajechała przed dom bryczka Basi; dla oszczędności woźnicy pan Seweryn siadł na kozieł, wierzchowca uwiązano do bryczki i ruszyli tak do Sokołowa. Ale tam na ich widok Iliniczowa bardzo się skrzywiła. - Prosiłam cię, żebyś wrócił o północy - rzekła po francusku. - Basia jedzie do Głębokiego, mogę ją konno do pół drogi odprowadzić, potem objechaż lasy i wróciż, kiedy chcesz. - Ano, to dobrze! - udobruchała się. - Konie żyją? - spytał. - żyją. Wszystko spokojnie. Mógłbyś i ty jechaż do Głębokiego. - A dajcie mi święty spokój! - burknął wychodząc do stajen. Po godzinie Basia ruszyła dalej. Pan Seweryn eskortował ją jakiś czas, wreszcie u jakiegoś rozstaju zatrzymał się. - No, do widzenia! - rzekł udając wesołość. - Skręcę tu do Dubinek, by złapaż Szymona na gruchaniu. - Jeśli o ciebie pytają, powiem, że złożyś wizytę. - Nie pytają i ja tam nie będę! - odparł skracając w las. Pozostał sam na leśnej drożynie i pewny, że go nikt nie podpatrzy, puścił cugle koniowi i szepnął: - Mój Boże, żeby mi wszystkie te niedole oprócz jednej! Głowę zwiesił na piersi i bił się z czarnymi myślami. Tak ciężko nie było mu nigdy jeszcze na duszy. Koń, nie kierowany, szedł i szedł stępa po mchu i miękkiej ziemi bez szelestu prawie, i pan Seweryn nie uważał, dokąd jedzie. Dopiero jakaś gałąź, co mu strąciła czapkę, zbudziła go z rozmyślań. Rozejrzał się i ujrzał przed sobą polanę, a na niej chatę gajowego. Piż mu się chciało, zbliżył się tedy do domostwa, konia u płotu uwiązał i wszedł do sieni. W izbie rozmawiało kilka osób. Ładnie Onyśko lasu pilnuje, a Szymon grucha! pomyślał sobie pan Seweryn otwierając drzwi. Grom z jasnego nieba był tu mniej spodziewany niż dziedzic, a i on zdumiał na widok zgromadzenia. U stołu siedział Alter z Jeziora, potentat okoliczny, obok niego Onyśko, dalej drab nieznamy w kożuchu czarnym i jakaś marna figura w odzieży mieszczańskiej. Siedzieli nad butelką wódki, rozmawiając, tak skamienieli na sekundę, patrząc na drzwi. Pierwszy oprzytomniał Alter, wstał i jakby kończąc rozmowę rzekł do Onyśki: - Twoje trzy grosze od fury dostaniesz, byleś moich furmanek nie mitrężył. Przyjść w piątek. Udawał, że pana Seweryna nie widzi i dodał zwracając się do figury marnej: - Nu, ty Feliś, zaprzęgaj. Pojedziemy do domu. Drab w kożuchu łysnął ku drzwiom ponuro i ręce włożył w kieszenie, jakby tam czegoś szukał. Onyśko był błądy i bez głosu. - Cóż to za sejmy urządzasz? - zawołał do niego pan Seweryn. Chłop powoli odzyskiwał przytomność i przebiegłość. - Nijakie sejmy - odparł co słowo to śmielszy. - Alter wstąpił z kwitem po drzewo, wodziłem go po lesie, pokazywałem numery. Zaszli do chaty, by co przegryżć. Od rana na nogach i na czczo. - I coż to za kompanię zbierasz? - To furman Altera, a to mój swojak... po drodze wstąpił... idzie na flisy. Alter ku drzwiom zmierzał arogancko, a za nim kulał jego furman o twarzy płaza. Pan Seweryn wszedł do izby czując, że tu się dzieją nieczyste sprawy, a jest bez siły i prawa, by je gwałtem odkryć. Onyśko, już zupełnie spokojny i gotów do długiego kłamstwa, stał u stołu z miną zuchwałą, a drab bez ceremonii wylał sobie resztę wódki w szklanekę, wypił i zaczął fajkę zapalaż. Nie pozostawało nic, tylko udaż obojętność. - Takie rozhovory i zebrania w dzień roboczy nie na miejscu. To nie służba! Masz ochotę znajomych gościż, to nie teraz i nie tutaj. Kto pije i radzi z wrogami i szachrajami, sam jest taki! Radzę ci patrzeć pilniej lasu, a nie butelki. Onyśko w milczeniu wysłuchiwał admonicji. Przed chatą rozległ się turkot wozu Altera. Pan Seweryn wyszedł. Wypadek ten ocucił go i zajął. Oczywiście, trafił na jakieś złodziejskie konszachty; należało o tym zaraz donieśż Szymonowi; ale gdzie go można było znaleźż w tych obszarach błot, lasów i rzek? Na chybił trafił ruszył do Bobrówki, a kurs to był nie lada, by ominaż wody i bagna. Szybka jazda zbudziła w nim energię, rozproszyła na chwilę czarne myśli. Ale i w Bobrówce nie było Szymona ani Hipolita. Zastał pan Seweryn tylko starą Morską i Weronkę, pracujące w pocie czoła nad karczowaniem łoży na ogródek warzywny. Obie powitały go z taką życzliwością i wdzięcznym sercem, że pomimo woli został chwilę, słuchając ich podziękowań i planów na przyszłość. Brakło im do szczęścia krowy, zresztą były zadowolone z losu, z niewielkiej ordynacji, z walacej się chaty i bezmiernej pustki wokoło. - Może Szymon w Dubinkach? - spytał. - W żaden sposób!

Toż roboczy dzień! - obraziła się Morska. - On tam tylko bywa w sobotę wieczorem albo w niedzielę. Zapewne pojechał do głębockiego leśniczego, boż na spółkę drzewo spławiają. - Jeśli pan łaskaw na Hipolita zaczekaż, to on objaśni, bo razem dzisiaj wyjechali - dodała Weronka. - Hipolit wróci rychło, bo mu już głód pewnie dokucza. Pan Seweryn spojrział na zegarek. Mógł czekaż godzin parę, aby na północ wróciż do domu. Usiadł tedy na ściętym pniu i przyglądając się robocie kobiet, po trosze je badał co do Szymona. - Cóż, pani Morska? Kiedyż to Szymkowi sprawimy weselisko? - Oj, chyba już tego nie dożyję! - westchnęła kobieta. - On przeznaczony na bezżenność. - Czemuż to? - A gdzież jemu żony szukaż, proszę pana! Z zaścianka wyrósł, do dworu nie dorósł. Z naszego stanu dziewczęta nie dla niego, a do żadnej panienki się nie ośmieli. Tak ci wisież będzie między niebem a ziemią. On ci nawet o żeniactwie nie myśli. - A mnie się co innego zdaje - rzekł tajemniczo. Weronka wyprostowała się ocierając czoło z potu. - On na księdza stworzony - rzekła. - Ejże! - zażartował. - A piękna Tekla Wilków? - Jezus, Panno Mario! - oburzyła się Morska. - To są szkalowania i psie języki. Gdzieżby on się do chłopki poniżył! - Tekla za mąż idzie - dodała Weronka. Obie zamilkły i czuł, że je uraził. Szymon był tu bóstwem, a on bóstwo śmiał poniżyż. - Czy Hipolit dogląda rewiru Onyśki? - spytał zmieniając rozmowę. - O, tego pilnują jak węża i Szymon chce go oddaliż. Dwa miesiące ma do roku. Seweryn z Dubinek będzie na jego miejscu. - A czemu to Antolka do Horodyszczna na służbę nie poszła? - W przyszłą niedzielę pójdzie. W tej chwili śpiew się rozległ na rzece, daleko jeszcze. Obie kobiety nastawiły uszu. - A toż to właśnie ona płynie - rzekła Weronka. Pan Seweryn słuchał i dopiero odczuł w tej chwili piękność tej pustki na wiosnę. Wszystkie gaje, łązy, nadrzeczne łąki mały się złotawą zielenią, pachniały cudnie, rozbrzmiewały ptasim świergotem. Po rzece pieśń płynęła coraz wyraźniejsza. Pieśń, nie ludu i nie uczona, ale przyniesiona bardzo dawno przez szlachtę mazurską: "Oj, ty ptaszku, krogulaszku, wysoko latasz,@ powiedzże mi nowineczkę, którą dla mnie masz,@ mam dla ciebie nowineczkę nie bardzo dobra,@ że już twoją ukochaną do ślubu wioda."@ Coraz uważniej, ogarnięty łagodnym smętkiem, słuchał pan Seweryn. śpiew tęskny pobiegł po wodzie, odbijał się o gaje, wracał do niego falą tęsknoty coraz żywszą. "Panie ojczy, daj mi konia, pojedę za nią,@ abym jeszcze ją zobaczył, aż będzie panią!"@ Pan Seweryn zadrżał. Ta pieśń śpiewała jego myśli. Wstał i poszedł ku rzece, i dojrzał na niej łódkę malutką, w której płynęła dziewczyna smukła i piękna, śpiewając tej pustce zawsze starą, a zawsze żywą skargę serdeczną. - Pojedę tam, muszę! - szepnął pan Seweryn. "Abym jeszcze ją zobaczył, aż będzie panią."@ Antolka ujrzała go i przestała śpieważ. Po chwili przybiła do brzegu i wysiadła niosąc spore zawiniątko. - Panna Antonina musi mi pieśni dokończyż! - zawołał odpowiadając ukłonem na jej powitanie. - A toż ją pan Szymon zawsze śpiewa! Musi byż panu znana - odparła. - Nigdy mi tej nie śpiewał. - To dziwo, a toż ją zawsze śpiewa i gwizdże - zawołała Weronka. - Nie pańska to pieśń! - rzekła Antolka. - Dlaczego? - Boż pan, kogo chce, mież może. - To się panna Antonina myli. Albo to się zawsze człowiek z tą żeni, co chce? Prawie nigdy!... - Nie może byż. Jak nie ta, to żadna! Gdybym ja chłopcem była, a do tego panem, tobym królownę zaczarowaną zdobyła, jak w bajce stoi - odparła zuchowato, pokazując pyszne zęby w uśmiechu. - Zobaczymy, czy panna Antonina królewicza dostanie. - Jak nie dostanę, to pod stopami szukaż innego nie będę. Zdziwił się, jak się zmieniła. Strój zachowała zaściankowy: jasny perkalik w domu skrajany i uszyty, ale wyrażała się poprawnie, straciła dzikość w spojrzeniu i mowie, nabrała ogłady i śmiałości. - W Horodyszczu wyglądają panny Antoniny - rzekł. - Już tam jadę. Pan Szymon obiecał, że pozwoli Hipkowi stąd mnie jego koniem odwieżż. Dziadek mnie puściż nie chciał, prawie się wykradła. - Nie straszno ci na służbę isż? - spytała Morska. Antolka wzruszyła ramionami. - Ochotnie i wesoło. Wierzę! pomyślał Sokolnicki. Teraz Szymon nie wylezie z Horodyszczna. Szkoda go, chociaż dziewczyna śliczna i lepiej uczyniż łaskę niż jej doznaż. Słońce schyliło się nad lasy; Hipolit nie wracał. Sokolnickiego opadła nieciepliwosż, by ten dzień prędzej przebyż. Jutro pojedzie do Głębockiego, musi

pojechał, choćby tę bytność miał nieznośnie przecierpieć. Zostawił na kartce parę słów do Szymona i odjechał. Słońce zaszło zupełnie i ciemna noc już była, gdy się zbliżył do Sokołowa. Troski jego chwilowo pierzchły, całą drogę przemarzył. Zła dola przecież skończyć się musi; tyłu wytrzymało, przecierpiało, zniosło biedy okropne i pozostali na swoim! Byle kredyt znaleźć, od klęsk się opędzić, to może wytrzyma. Zaczęło mu przybywać otuchy, chęci do pracy, siły do cierpienia, wiary w przyszłość. Nagle drgnął. U krzyża przy zawrocie do domu podniosła się jakaś postać. - Kto to? - spytał. - To ja! - odparł szeptem głos Iliniczowej. - Czekam na ciebie godzinę. śpiesz się, jedź prosto przez pole, poza odrynę, gdzie złożone kartofle nasienne. Pan Sewer dalej nie pytał; konia skręcił, w parę minut obleciał budynki i ogrody. W odrynie było światło i u drzwi tylnych stały dwie fury ładowne. Krew uderzyła mu do głowy. Zeskoczył z konia i porywając kołek z płotu wskoczył do wnętrza. Ekonom Szumlański świecił latarnią; dwóch chłopów, łyd i młynarz sypali do worków kartofle nasienne. Wtedy wściekłość opanowała pana Seweryna i bez pamięci zaczął młócić kołem po tych zbójcach wykarmionych jego chlebem, opłacanych ciężko zdobytymi pieniędzmi. Szumlański jęknął i upadł, latarnia zgasła. łyd rzucił się w bok; w ciemności rozległo się jeszcze kilka razów i przekleństw i pan Seweryn wyskoczył do fur odtrącając łyda, który już klacz wyprzęgał. Wtedy młynarz rzucił się na niego do gardła. - Uciekajcie! - zawołał na innych, szamocząc się z dziedzicem. - Do diabła uciekniecie! - rozległ się głos Hipolita zza węgła, i już trzymał jednego chłopca za kark i rzucił go jak kłodę sobie pod nogi. Młynarz puścił Seweryna i chciał zmykać, ale teraz ten go trzymał, dysząc z wściekłości i nie mogąc słowa rzec. - Wołaj ludzi - krzyknął wreszcie na Hipolita. - A po co? - tamten spokojnie odparł. - Dwóch uciekło, dwóch mamy, ekonom się znajdzie. - Ekonom leży w odrynie. - Zabił go pan? To go trzeba wywlec - rzekł niefrasobliwie Hipolit, wiążąc chłopca swym pasem. - A katy, a gałgany! - sapał pan Seweryn. - No, przecież i na te szczury znalazła się pułapka - rzekł Hipolit. - Miesiąc ich śledzę i szpieguję! No, wpadli, Bogu dzięki! Wszedł do odryny i wkrótce wyniósł Szumlańskiego. - Będzie żyw, niech się wyleży na rosie, żona go znajdzie! Tych trzeba do gminy odstawić. - Darujcie, panie! - zajęczał chłop. - Ja nie wiedział, do czego mnie najmuja. Ekonom kazał brać! - Łzesz! - warknął Szumlański siadając na ziemi. Pan Seweryn popatrzył na nich odzyskując panowanie nad sobą, zdjęty niezmierną wzdumą. - Puść ich, Hipolicie! - rzekł spluwając. - Jak to? - zdziwił się gajowy. - Puść! Wiemy, kto są i czym są. Szkoda twoich i moich uczciwych rąk na takich łotrów! Niech ich sąd bierze. - Dalibóg nie puszczę! - zbuntował się Hipolit. - Wolno panu na nich plwać, jako panu, alem ja ich osaczył i nagnał, ja ich nie puszczę. - Puszczaj! Nie masz prawa mnie wiązać - wrzasnął młynarz. - To jest gwałt, bezprawie! Ja was skarżyć będę. Ty w ostrogu za to siedzieć będziesz! - Pokaże się na sądzie, czy wolno ludzi zabijać! - dodał Szumlański zuchwale. - Gadzino! - warknął wściekle Hipolit. Ale już się Sokolnicki oburzył. - Pokażę się! Tak! Ty będziesz skarżył, złodzieju, mnie! Więc kiedy tak, precz mi z domu i z majątku! - To mi zapłać, coś winien! - wrzasnął Szumlański. - To mi zwróć arendę! - dodał młynarz. - Ubiję ich, panie! - dysząc zawołał Hipolit. Sokolnicki czuł, że i sam opamiętanie traci, że mu oburzenie krwią zalewa oczy. Szczęściem tętent się rozległ; wpadł konno wśród nich Szymon i zawsze przytomny stanął między panem Sewerynem a złodziejami. - Tu się co dzieje? - zawołał udając, że nic nie wie. - A, skradzione kartofle, spod zamka! Aha, złodziejstwo z włamaniem. Hipolit tu jest? Dobrze! Masz konia, skocz po policję na wieś. Obecni obowiązani są czekać na zejście władz i protokół. żeby tu światło było! Spiszę akt zaraz, świadkowie, są: ja i Dubiniecki. Wystarczy. - Ja potrzebuję doktora! Jestem ranny! - zawołał Szumlański. - Mam także świadków! - świadków, jakich? Obecni spółnicy kradzieży nie mogą świadczyć - odparł zimno Szymon. - Tu nie było kradzieży! Sprzedałem własne kartofle z ordynarii. Tego mi nikt nie może zabronić - rzekł Szumlański. - Dobrze, zanotujemy to sobie! Na sądzie się wyjaśni, czyje były kartofle - odparł Szymon. - Tobie co do tego? Ty się jakim prawem mieszasz? Tyś sam złodziej i lizus! Z

gęby żyjesz i na drugich śmiesz rzucać oszczerstwa! Rozwiąż mnie! - wył młynarz. - Rzucił się na mnie i dusił. Niech leży związany! - rzekł pan Seweryn. - To prawnie! Policji cię oddadzą związanego. Tymczasem na zgiełk zaczęli na dworze ludzie się budzić i nadciągać. Pierwsza zjawiła się Szumlańska z dziećmi, dalej gorzelany i pisarz, wreszcie kto żył w Sokołowie, i sądny dzień zapanował pod szopą wkoło wozów i przestępców. Szumlańscy widząc, że się nie wykreca, miotali przekleństwa, odgrażali się zuchwale, chcąc rozdrażnić dziedzica; reszta oficjalistów milczała ponuro, niechętnie trzymając stronę towarzysza. - Nie wytrzyma pan! - szepnął Szymon do Sokolnickiego. - Proszę odejść, mam pańską plenipotencję, * ja to załatwię. Oni pragną wybuchu, nie będą go mieli. Niech pan idzie do domu. Mnie z cierpliwości nie wyprowadzą... plenipotencja - prawo działania w czyimś zastępstwie. Pan Seweryn usłuchał, przyznając mu słuszność. Czuł potrzebę zdeptania tych nikczemników, oplwania ich, a musiał milczeć! Zmęczony, wstrząsany dreszczem wściekłości, poszedł ku domowi. Po drodze wstąpił do obór, widząc tam światło, i zastał Iliniczową nad zwłokami dwóch krów i rasowego stadnika, które przed chwilą zmiotł karbunkuł. * Popatrzeni na siebie posępnie i nie mając słów na wyrażenie znękania, poszli milcząc ku domowi. Karbunkuł - ropne zapalenie i martwica licznych sąsiadujących ze sobą torebek włosowych i tkanki podskórnej. Przy jednym budynku panował wrzask kłatw na okradzionego chlebobawcę, z innych zaczęli pastuchy wyganiać bydło ryczące posępnie, na pola, precz od zapowietrzonych obór. Zdawało się Sewerynowi, że nad jego głową unosi się wielki czarny ptak, który mu pazury zapuścił w mózg, a skrzydłami łopoce jak żałobną chorągwią, i jakby za karę, za tych kilka godzin nadziei i otuchy, uczuł się najnędzniejszym z ludzi... I nie dojechał do Głębokiego, bo nazajutrz miał nowe troski. Szumlański nie myślał ustąpić. Podał do sądu skargę o pobicie i oszczerstwo, drugą o jakieś bajeczne sumy pensji i ordynarii, i siedział jak rak we dworze, buntując służbę, pałac na opał płoty, niszcząc mieszkanie, wpędzając swoje krowy na oziminy. Tolerowano podobny stan rzeczy. Trzeba było czekać sądu, uzyskiwać na łotra wyroki. Wobec prawa Szumlański był mniejszym i słabszym. Zasada nakazywała go osłaniać wobec bogatszego, by go, broń Boże, nie ukrzywdził. Był ten maluczki bezpiecznym. Toteż bezpiecznie używał swych prerogatyw. * prerogatywa - pierwszeństwo, przywilej związany z zajmowanym stanowiskiem. Pierwszego dnia parobcy zbuntowani nie chcieli słuchać Hipolita, którego Szymon zostawił do dozoru, a chłopci nie wyszli na robotę, do kartofli. Ruch gospodarczy ustał; pan Seweryn był zgubiony. Wtedy Hipek przyszedł do kancelarii, gdzie pan z Szymonem siedzieli, zmęczeni doszczętnie borykaniem się ze złą dola. Hipek po klęsce z parobkami był błady ze złości, a zawziętość dzika patrzyła mu z oczu. - Dajcie mi swego konia! - rzekł do Szymona. - Na co? - mruknął niechętnie. - Pojadę na Dubinki po ludzi. - Szlachta nie pójdzie na ratajów (parobków)! - rzekł pan Seweryn. - Pójdzie... - Ano, to jedź! - zawołał Szymon rzeźwiejąc. - A ja do Wilczycy się udam. Wezmę pańskiego konia. - Bierz, co chcesz! - apatycznie odparł pan Seweryn. - Ja chyba wezmę łopatę i sam zagrzebię padłe w nocy bydlaki, bo pastuchy nie chcą tego robić. Po chwili rozeszli się. Gdy przyjechała Basia z Głębokiego, znalazła pana Seweryna rzeczywiście kopiącego dół na wygonie. Wiedziała już o wszystkim od Iliniczowej, więc zamiast pytać lub ubolewać, rzekła: - Karbunkuł już jest w Głębokiem. - Co dla nich to znaczy! - mruknął. - Byle do ciebie nie doszedł. - Jak Bóg da! - westchnęła. Wybuchnął: - Więc to Bóg daje? Jeśli tak, po co się upieramy, skoro On chce, byśmy zginęli, precz stąd poszli? Po co Mu czynimy na przekór, krzyżujemy Jego wolę? - On chce, byśmy cierpieli! - To więcej niż cierpienie, to zguba! - Po co mi to powtarzasz? - oburzyła się i ona wreszcie. - Mój ciężar większy niż twój, moje położenie rozpaczliwsze. - Więc czego czekasz, po co oczy gwałtem zamykasz? - Czekam, aby to, co mi proponujesz, zrobił choć jeden z ludzi zacnych. Za tym przykładem wolno nam będzie pójść, a nie za lekkomyślnikami, próżniakami i głupcami!... - Więc czekaj sobie, aż ci dach na głowę spadnie. Ja muszę się wycofać: mam długi, muszę je spłacić, aby mieć sumienie czyste. - Jak sobie chcesz! Są ludzie, co rodzicielskie obrączki ślubne

sprzedają, i tacy, co odbijają skarby po kościołach! - zawołała unosząc się i zabierając do odejścia. - To pewna jednak, że jeśli ja to będę zmuszona uczynić, to dzień ten będzie moim ostatnim. Odeszła, a on chwilę kopał zawzięcie, potem oblany, z mdlejącymi ramionami; wreszcie rydel rzucił, na ziemię świeżo wydobyta się położył i znowu torturował sam siebie myślami gorzkimi jak piołuny. Nazajutrz znowu - jak w ciężkiej chorobie - nastąpił zwrot ku lepszemu. Przyszła szlachta z Dubinek z żonami i dziećmi. Wilczyca przysłała kilkoro swej rodziny, robota ruszyła jako tako, po tygodniu opamiętali się parobcy, zaczęli po jednym wracać do służby. Maszyna gospodarska szła ciężko, opornie, skrzypiąc, zacinając się, ale przecie szła. Tylko zaraza porywała coraz to więcej bydła i nieubłagany, straszny zbliżał się termin fatalny - święty Jan. Pan Seweryn osiadał na skroniach, wzrok miał często nieprzytomny, prawie się nie odzywał; nawet Szymon sposepniał, przestał bywać w Dubinkach, tylko się włóczył po świecie szukając kredytu, wymyślając sposoby ratunku i wyjścia. Tak mijały tygodnie, do fatalnego terminu pozostało zaledwie dni dwadzieścia. Pewnego dnia, na ulicy, w miasteczku spotkał pan Seweryn Ilinicza. Obaj weszli do kasy rządowej i wobec ścisku musieli czekać na swoją kolej. - Cóż porabiasz? - spytał Ilinicz. - Tutaj? Płacę akcyzę miesięczną. - Jakże tam u ciebie? ále podobno. Wobec złośliwego tonu pan Seweryn zmógł skargę. - Jak u wszystkich - odparł. - Myślę, że pani Józefa rychło zostanie bez dachu. Powiedz jej, że może do mnie wróci. Mój młyn za tydzień puszczam w ruch. Zboże sprowadzam barkami, bo wy i na chleb będziecie u mnie kupowali. - Byż może - mruknął pan Seweryn. - Jeśli będziecie mieli za co! - zaśmiał się Ilinicz. - Ano, pewnie żebraż nie pójdziemy! - Proszę cię - zagaił znowu Ilinicz - czy wypłacisz Burakowskiego? On tych pieniędzy terminowo potrzebuje do spółki ze mną. - Ach tak? Więc na to wymawiał kapitał. Ano, jeśli nie zapłacę, zlicytujecie mnie na spółkę - odparł gorzko pan Seweryn. - Zapewne, będzie to dla ciebie nawet zdrowo. Przyspieszy konanie. Słuchaj no, postąpiłeś ze mną jak z wrogiem, ale ja ci dam jednakże dobrą radę. Dam ci kupca na Sokołów, wytarguję dobrą cenę, nie wezmę nic za pośrednictwo. Korzystaj z dobrej chwili, gdy jeszcze nie masz noża na gardle. Pan Seweryn marzył o takim wyjściu, postanowił tak skończyć; ale w tej chwili, gdy ktoś myślom jego dał wyraz, poczuł, jak mu serce biż przestało, pot wystąpił na skronie i pociemniało w oczach. Groza go przejęła i ból tak dojmujący, że chwilę gryzł wargi, by nie jęknąć. Mój Boże, litości! pomyślał. Ja nie mogę... mnie tak okropnie boli! Jeszcze choż trochę czasu! A Ilinicz jak kat ciągnął dalej tortury: - Miałem nadzieję, że się uratujesz przez ożenienie; ale teraz, gdy Woyno bierze Zagrodzka, nie ma dobrej partii w tych stronach! Musisz sprzedaż! Pan Seweryn odepchnął jakiegoś íyda z drogi i przystąpił do okienka kasy. Położył pieniądze i patrzył bezmyślnie na ręce kasjera, rachującego szybko, zsuwające jego setki do szuflady pełnej po brzegi. W głowie mu huczało, nieznośny ucisk dławił mu gardło, chciał co rychlej stąd uciec, by zostaż sam na sam ze swym bólem i zgryzotą. Ilinicz widocznie się obraził, bo go więcej nie zaczepił, a on, ledwie dostał kwit, wyleciał na ulicę do zajazdu, kazał konie zaprzęgaż i uciekł z miasteczka. Na drodze opadł go wstręt powrotu do domu, strach przed myślami. - Do Horodyszcz! - zawołał do woźnicy. Nie widział Basi od owej rozmowy na wygonie, ale jej jednej nie bał się w tej chwili. Dzień był śliczny, czerwcowy, stary dwór uroczo wyglądał w masie zieleni; przez otwarte okna gabinetu Oyrzanowskiego bił zapach pól i łąk. U okna tego ujrzał Sokolnicki jasną głowę Basi i śniadą twarz Szymona, rozmawiających półgłosem, gdy Oyrzanowski przewracał jakieś papiery. Basia powitała go z uśmiechem bez żadnej urazy. Usiadł przy nich i milczał. Po chwili podniósł oczy na Szymona. - Byłeś u Dawida? - Byłem... bez skutku! - odparł głucho. - I cóż teraz? Szymon powstał, głowę oburącz ścisnął; chwilę stał tak zamyślony ponuro. - Teraz spróbuje ostatniego... z rozpaczy. A potem sam nie wiem... pójdę, gdzie oczy poniosą, byle na to nie patrzeż! Mój Boże, tyle pieniędzy leży bez użytku na świecie, a my musimy ginaż! Człowiekowi krwią oczy zachodzą, głowa pęka... i nic, i nic. - Spotkałem Ilinicza - rzekł ponuro pan Seweryn - ma kupca na Sokołów. Szymon

drgnął. - Jeszcze mamy dwadzieścia dni - stęknął Szymon. - Tak, a potem licytacja. - I pan się zaangażował z nim? - spytał bez tchu Szymon. - Nie, nie mogłem! - szepnął Sokolnicki. Basia bez słowa objęła go za głowę i pocałowała w czoło, a Szymon za czapkę wziął i rzekł: - Niech pan poczeka choć do jutra, chociaż do mego powrotu. - Dokąd lecisz? Oszalałeś! - Można oszaleć w takiej nędzy! - odparł żegnając się śpiesznie. - I co mu się jeszcze roi! - ruszył ramionami Sokolnicki. Nie wiesz, dokąd jedzie? - Nie wiem! - odparła Basia. - Ale wiem, gdzie byś mógł dostać kredyt. - Gdzie! - U Zagrodzkiego! - Za nic! - zachnął się. - Niech trzyma pieniądze dla zięcia. - Dla jakiego zięcia? - Dla Woyny! Przecie panna Zagrodzka idzie za męża... - Pierwszy raz słyszę. To plotka! Nika wyjechała na wyścigi do Warszawy. - Więc cóż to ma do tego? - To, że za Woynę nie pójdzie z pewnością! Pan Seweryn odetchnął, ale zaraz zaciął się znowu. - Zresztą, co nam do tego! Nie nam do magnatów droga! Jam się na żebraka nie zdał. Basia chciała dalej mówić, ale weszła Antolka i podała jakiś list brudny. - Przyniósł to chłopak i czeka na odpowiedź. Basia zbladła na widok pisma i drżąca ręka rozdarła kopertę. W miarę czytania twarz jej pokrywała się ciężką troską i niepokojem. Chwilę myślała, skończywszy czytać, wreszcie westchnęła, napisała parę słów i oddała Antolce. Wróciła potem do pana Seweryna, stanęła u okna i oglądając się, by ojciec nie dosłyszał, szepnęła: - To od wuja! Zła wiadomość: żąda wypłaty procentów. - A masz? - Skąd? Przednowek... bez nadziei na plony. Nie wiem, czym zapłacę podatki - odparła zgnębiona. - Więc cóż zrobisz? - Pojadę jutro do niego, może ubłagam. - Ot los! - stęknął. - Ięby ci pomoc mógł! - Dziękuję ci serdecznie... - Jakaż to suma? - Pięćset rubli - odparła rachując w myśli. - Myślałam, że sprzedam trochę bydła, ale teraz nikt kupić nie chce. Panika zarazy! Siano nie sprzedane... i tak wszystko zawiodło. Opuściła głowę znękana. Przez okno wieczór letni rzucał im wonie i blaski, na gnieździe bocian klekotał i śpiewy rozlegały się po polach. Iadne z nich nie miało oczu i uszu, tylko zatopieni w cyfrach fatalnych dumali samotnie. Tego wieczora, gdy Seweryn odjechał, a pan Oyrzanowski do snu się ułożył, Basia cichutko poszła do jadalni jak duch po pustych salach. Otworzyła jedną z szaf i dobyte stare rodzinne srebra, ostatki dawnej świetności. Odłożyła kilka sztuk dla ojca, resztę zawiązała w papier i płótno, i zanosła do siebie. Dam mu je w zastaw! myślała. Byłe ojciec nie spostrzegł. Zmartwiłby się, a tu nie mam już nic więcej. Otworzyła swoje biurko, gdzie chowała najdroższe rzeczy, przejrzała raz jeszcze szufladki. Wszystko poszło: matczyne klejnoty, jej drobiazgi - wszystko, co miało jaką cenę. Został dukat jeden, obrączka, złoty medalik, pamiątki... świętość. Basia zamknęła biurko z westchnieniem i uklękła do pacierza, zapatrzona w obrazek Częstochowskiej nad posłaniem. Księżyc wypłynął na niebo i zajrzał przez okno. Po twarzy zamodlonej dziewczyny płynęły łzy ciche, jakimi dziecko matce się żali, gdy cierpi lub gdy je skrzywdzono. Tylko ten obrazek i księżyc widziały łzy Basi. Nad ranem chmury zaciągnęły niebo i deszcz padał, gdy Basia ruszyła do miasteczka. Jechała ze strachem i niepewnością, jak ją marszałek przyjmie bez pieniędzy. Ostatnim razem wymyślał jej i groził, zapowiedział, że podobny krok następny będzie dla niej zguba. Skulona na trzęsącej bryczce, smagana deszczem układała sobie, jak go błagać będzie, co powie, co uczyni nieszczęsna, jak on sreber nie przyjmie. Na promie łyd ją pozdrowił. - Co to "panienka" tak kiepsko wygląda? Nie trzeba chorować! Zdrowie milsze nad wszystko. W taki deszcz jechaż, aj! aj! czy to się godzi? - Cóż robiż? Interes! - odparła uśmiechając się z trudem. - Komisarz sokołowski konia u mnie zostawił na parę godzin; a ot zaraz i dzień się z tych godzin zbierze! On taki akuratny człowiek, gdzieś się chyba zahulał! - Ej, to na niego nie patrzy. Musiał go interes zatrzymaż. - Oho, on chytry! W zajędzie mu za droga stajnia. A ten koń to tyle siana je, co trzy woły. Basia ruszyła dalej: do własnej troski przybyła jej druga o Sokołów. Snadż Szymon nic nie wskórał, gdy bawił tak długo. Zajechała przed furtkę marszałka, zaczęła dzwoniż i czekaż cierpliwie. Zadzwońiła raz, drugi i trzeci, potem jeszcze głośniej: nikt nie otwierał. Minął kwadrans i więcej; Basia wciąż czekała. Wreszcie jej woźnica

rzekł: - Może wyszedł stary pan na miasto? - Nie, nie wychodził dzisiaj - rzekła jakaś kobieta z sąsiedniego domu. - Ja mu przecież co rano samowar nastawiam; a ot! dziś czekam i czekam, a nie otwiera. Może zasłabł? Trzeba by było dostać się tam przez cmentarz, od tyłów. - Chodźmy! Pokażecie mi drogę - rzekła Basia. Poszły w zaułek, znalazły przejście w zmurszałych sztachetach cmentarza i brodząc po zielsku i rumowiskach, dostały się do posesji marszałka. Iadnego ruchu ni głosu. Basię ogarnął strach. Drzwi były przymknięte od ganku, a na progu leżał mosiężny łańcuch, część starego kandelabra. - Skąd to tutaj? - rzekła Basia do kobiety. - Oj, tu coś czuż niedobrego - odparła tamta, wchodząc pierwsza do sieni. - Jezus, Maria! - wrzasnęła nagle, odskakując. Basia, dygocąc cała, zajrzała i zrazu zobaczyła tylko w izbie na lewo marszałka siedzącego w fotelu. Dopiero gdy spojrzała wokoło, zobaczyła ślady okropne: krew na podłodze, sprzęty poprzewracane, komody odbite, a marszałek był trupem strasznym, w poszarpanej odzieży, z głową rozbitą siekierą, jego własną siekierą do rąbania drew, która leżała na podłodze. - Jezus, Maria! - wrzeszczała kobieta rzucając się do furty. I Basia nie znalazła odwagi, by wejść do izby. Kobieta szarpała furtę wyjąc wniebogłosy, na ulicy zgiełk się zrobił i rozległ się głos policjanta: "Otwierajcie! Co tam się dzieje?" - Zabili go! Trup, trup! - krzyczała kobieta. - Ja po klucze nie pójdę. - One przy nim leżą! Za nic nie wezmę. Policjant zaczął kłaż i wreszcie widząc, że wywalenie kutej furty zajmie dużo czasu, poszedł naokoło. Za nim ciżba przechodniów zalała podwórze. Policjant znał Basię, przywitał ją. - Co tu się stało? - zagadnął wchodząc i umilkł. - Zabili go... o... i grabież... Hm, już zimny i twardy. A widaż, że się bronił! Ot tobie i miliony! - zakończył obojętnie, prawie z niechęcią, tak ten sknera znienawidzony był w miasteczku. - Mój Boże! Zamordowali go... - szepnęła Basia. - Ale kto? - To robota dla sędziego śledczego. Trzeba to zamknaż, straż postawiż i pójsz z wiadomością. Pani tu pierwsza przyszła. Proszę poczekaż na sędziego. Zamknał drzwi i zaczął rozpędzaż gapiów. Po chwili zjawił się jego kolega; wieśż snadż szła piorunem po miasteczku. Basia posłała swego woźnicę na poszukiwanie Szymona; znajomemu dorożkarzowi kazała co tchu jechaż do Sokołowa, a sama, chora z wrażenia, czekała na zejście władz. Kobieta, która z nią przyszła, opowiadała po raz setny wypadek; ciżba płynęła nieprzebraną falą, czarno było od ludzi i Basia, siedząc na ganku, ze zgrozą słuchała przekleństw, które się wydzierały z tłumu na tego zabitego. I zrozumiała, że życie jego było życiem pajaka_lichwiarza operującego najnędnniejszych: wyrobników, mieszczan, rzemieślników. Potem strach ją zdjął: co teraz będzie z jej wierzycielami, których marszałek znał, rachunki załatwiał, ręczył za nią? Teraz wszyscy ją opadną, zażądają kapitału... Zimny pot okrył jej skronie i mgła przysłoniła oczy; nie widziała przed sobą wyjścia. Wtem machinalnie wzrok jej padł na klamkę u drzwi. Wisiał na niej urywek stalowego łańcuszka od zegarka. Basi krew uderzyła do głowy. Ten łańcuszek skąd się tu wziął... był to łańcuszek Szymona Łabędzkiego. I w tej chwili wszystko inne uleciało z myśli Basi. Gdzie był Szymon? Jakim sposobem zgubił tu ten drobiazg? Co tu robił w nocy? Dlaczego dotąd nie przychodził? Jakby w odpowiedzi z ciżby wydostał się jej woźnica. - Nigdzie nie znalazłem komisarza z Sokołowa - rzekł. Basia, bardzo błada, skinęła mu tylko głową, niezdolna słowa rzec ani przytomnie myśleż. Tymczasem dorożkarz przez nią wysłany zaalarmował Sokolnickiego. Pan Seweryn przeraził się bardziej, niż zmartwił i pojechał natychmiast do miasteczka. Przybył wieczorem, zastał domostwo opieczętowane, trupa na cmentarzu, Basię w zajeździe wybierającą się z powrotem do domu. - To dopiero awantura! - zawołał. - Wiesz, co pierwsze śledztwo odkryło? - Nie. Gdy mnie zbadano, poszłam stamtąd. Nie mogłam dłużej wytrzymać. - Ja mówiłem z doktorem i sędzią. Mordercy męczyli go zrazu, zapewne, żeby zmusiż do wydania pieniędzy, potem dobili siekierą. No i ograbili wszystko! Nie znalezione ani grosza. Ten nieszczęśliwiec zbierał całe życie; dużo mu z tego przyszło! - Nie ma żadnych poszlak? - spytała Basia. - Nie. Musieli zająż od zaułka; było chmurno, deszcz padał, ten szalenciec był sam, bez żadnej obrony. Pospółstwo podejrzewa tego zbiega, Liszkę. Tymczasem cały kram spada mi na

głowę. Nie mogę tylko pojaż, gdzie jest Szymon? Basia odwróciła się milcząc. - Nie wiem. Raz podobno wstąpił i nasłuchiwał się absurdów. Jednakże biedny stary! Tak ohydnie zginął! Ty wracasz? Przyślij mi Szymona, jeśli go spotkasz. Jutro pogrzebiemy nieboraka. Basia odjechała zmęczona, wyczerpana okropnie. Dwie myśli torturowały ją bezustannie: ci łydzi wierzący, których nie znała, a którzy spadną jak kruki, i ten łańcuszek, który nieznacznie zdjęła z klamki i nad pierwszą rzeką rzuciła do wody. Dlaczego to uczyniła, sama nie wiedziała; rządził nią strach okropny, podejrzenie, którego się wstydziła wyrazić. W Horodyszczu już wiadano o wypadku; na pół drogi spotkała ojca i Bahę jadących po nią. Musiała opowiedzieć całe przejście. - Jakie życie, taka śmierć! - zdecydował Baha. - Tylko szkoda, że zginęły pieniądze. Zdałyby się panu Sewerynowi. Ta ruina mało co warta! - Ale kto to mógł popełnić? - rzekł Oyrzanowski. - Pierwszy lepszy zbój! Wielka sztuka! Stary był ciągle dla nich pokusą, tylko się dziwię, że dawniej tego nie zrobili. Cóż Łabędzki na to? - Łabędzki nigdzie nie ma! Chyba w domu. Sewer prosił, żeby mu go przysłał. - Łabędzki z miasteczka nie wracał - rzekł Baha zdziwiony. - Widział go Arechta wczoraj wieczorem. To szczególnie! To okropne! pomyślała Basia. Zaledwie przyjechała do domu, położyła się. Dostała gorączki i bólu głowy; wrazenie było za silne; musiała je odchorować. Wieść o morderstwie poszła piorunem po okolicy. Na trzeci dzień Nika Zagrodzka wpadła do Horodyszczu i spotkała Sokolnickiego, który załatwiwszy formalności i pogrzeb, wracał do domu. - Prawda to, że i Łabędzki zamordowany? - spytała przede wszystkim Nika. - Gorzej, bo zginął i poszukują go - rzekł Sokolnicki. - Podejrzewają o morderstwo. - Jacyż oni dowcipni! Gdyby zamordował, toby właśnie nie zginął. Nikt go nie spotkał ani poznał, żeby miał się lękać. Wróciłby spokojnie do domu i nie rabowałby, bo gdyby mord popełnił, to nie dla siebie, ale dla pana. Ja myślę, że on tam był i że go zamordowali, ale dla niepoznaki wywieźli na rzekę i utopili. To jest okropne. Powiadają, że wszystko zrabowane! - Mniejsza o to - rzekł desperacko Seweryn. - Ja o niczym nie myślę, tylko o Szymonie. Nika zajęła się Basią, która blada, mizerna, ledwie się trzymała na nogach. Na lada ruch czy turkot wzdrygała się, spodziewając się wierzący, a teraz zdanie Niki rzuciło ją w drugą stronę. Spodziewała się co chwila wieści, że znaleziono gdzie w szuwarach opłatane zwłoki Szymona, straszne, nabrękle. Oboje z Sokolnickim cierpieli nieznośnie. Ale minął tydzień i ani poszukiwania policji, ani Hipolita, ani pana Seweryna nic nie odkryły. Szymon zginął bez wieści. Na ruchomościach i domach marszałka położono sądowe pieczęcie, nastąpił półroczny termin wzywania spadkobierców - czcza forma, ale przeszkadzała panu Sewerynowi w zbyciu tych ruder i rupieci, i zdobyciu za nie choć parę tysięcy rubli. A święty Jan zbliżał się nieubłagany. Pan Seweryn stracił zupełnie wolę czynu, otuchę, nadzieję ratunku. Całymi dniami siedział w domu przy biurze i pasował się z sobą. Nareszcie pewnego wieczora zawołał siostrę i oboje zatopili się w rachunkach. - Nie wytrzymam! - jęknął głucho. - Widzisz, muszę sprzedać. Iliniczowa sparła się nad planem majątku i zaczęły jej biec łzy rozpaczy, ale nie zaprotestowała. - Bóg widzi, że nie mogę! - skarżył się zmienionym głosem. - Bez zboża, bez inwentarza, długów nad możność, bez kredytu muszę zginąć! Sprzedam, długi spłacę; jeśli mi co zostanie, oddam tobie, na dzieci, a sam pójdę tak daleko, żebym wrócić nie mógł, żebym swojej mowy nie posłyszał; niech mnie tam zgryzota domęczy! - Mój Boże, cośmy Ci zawinili, że nas tak ciężko karzesz! - szepnęła Iliniczowa. - Szymon szczęśliwy, że tego nie dożył - rzekł Seweryn ponuro. - Nie będzie żegnał swych ścieżek krwawych i łzawych, po których się składało wszystkie uczucia! Biedne chłopczysko! Objął głowę rękami i wzdrygnął się. - Mnie się zdaje, że wyciągnął krótszą słomkę i mam się zabić! A gdy to daleko było, gadałem o tym śmiało. Mój Boże, jakże to straszne z bliska! - Może byś próbował ugody z Burakowskim i Okęcką. - Jużem próbował, prosiłem nawet. To ich tylko wystraszyło. Altera protest mnie zgubił. Nikt nie chce czekać! - I już traktowałeś o sprzedaży? - Jeszcze nie, ale kupiec gotów. Książę Adakale! Iliniczowa pobladała. - O Sewer! Może byś próbował rozparcelować chłopom? - Za mało czasu! - odparł ponuro. -

Muszę lada dzień skończyć, wziąć zadatek. Jutro pojedę! Tu się zatrząsł cały, głową o stół uderzył i zajęczał: - Po com się rodził! Po com pracował! Po com kochał?! - I to już u progu czegoś lepszego! Boż kilka tysięcy weźmiesz za domy stryja i omelnicki serwitut da dochód, i kartofle zapowiadają się świetnie. Jeszcze pół roku, tylko to przesilenie przetrważ! Pan Seweryn głowy nie podniósł i słycaż było, że łkał. W tydzień potem Woyno i Ilinicz zjechali się w Głębokiem i zaraz po przywitaniu Ilinicz rzekł ze złośliwym uśmiechem: - Mój szwagier najbardziej na mnie powstawał i najpierwszy w moje ślady wstąpił: sprzedał Sokołów. - A widzisz! Nikt tu nie wytrzyma - rzekła mama Zagrodzka do Niki. - Sprzedał? To nie może być! - zawołała Nika. - Jak to? Czytałem umowę wstępną u Wenera - zawołał Ilinicz. - Już zadatek wziął. Na święty Jan mają spisać akt sprzedaży. - Ja nie sprzedam! - uśmiechnął się Woyno do Niki. - Jeśli to pan sobie ma za chwałę, to tylko pan jeden. Gdyby pan Sokolnicki był w pana położeniu, nie tylko by nie sprzedał, ale by nawet w żydowską dźwierzawę nie oddał, jak pan to czyni. Zagrodzki spojrzął na córkę i niespokojnie po salonie się kręcił. Ona też wstała i wyszła do ogrodu. Po chwili Zagrodzki wysunął się za nią i dogonił już koło stajen. - Co ty myślisz? - szepnął. - Dysponuję sobie konie do Horodyszczka - odparła. - Jak to? Chcesz tam jechaż, zaraz? A goście? - A mnie co oni obchodzą? - ruszyła ramionami. - Ależ się domyślą czegoś! Co matka powie? Pozwól, ja pojedę, ja mu zaproponuję pożyczkę. - Której odmówi. Nie, ja muszę jechaż i to załatwiż. I słusznie, przeciągnęłam strunę! Ojciec niech mi da swoje akcje. - Dam, dam! Ale wiesz, one teraz spadły; żeby przetrzymać do sierpnia, zarobiłoby się! - Niech sobie ojciec tę różnicę odrachuje z mojej wyprawy! - odparła pół żartem, pół gniewnie. - O! Albo to matka na to pozwoli? - markotnie mruknął, ale poszedł bez ociągania się do kasy. Nika chodziła przed stajnią, nim jej zaprzężono konie. Nie zadała sobie nawet fatygi pożegnaż gości; może, pomimo swej odwagi i samowoli, nie chciała się naraziż na rozprawę z matką. Ojciec przyniósł jej do stajni gruby pugilares, panna służąca okrycie i kapelusz; siadła do powoziku, wzięła lejce i bat od "grooma" i wtedy dopiero uśmiechnęła się do ojca. - Jutro wrócę z nim po błogosławieństwo do matki - rzekła po francusku. - Tymczasem radzę ojcu wykreć się także, bo będzie burza! I ruszyła pewna zwycięstwa, ale nierada z siebie, że dopuściła do ostateczności. Co ten biedak wycierpiał! myślała z goryczą i żalem. Zagrodzki długą chwilę stał przed stajnią, wahając się co czyniż. Wszelkie zasady konwenansów nie wytrzymały jednak strachu przed żoną. - Eh, dajcie mi wózek! Pojedę do lasu! - zawołał na stangretów i uciekł. Nika pod wieczór wjechała w świerkowy szpaler horodyski i zaraz w bramie dowiedziała się od chłopaka, że państwo poszli do kaplicy. - Było dziś nabożeństwo za nieboszczkę panią, a teraz poszli do grobów. Nika ruszyła za nimi. Ogród, w pełni zieleni i rozkwitu, nie czynił ponurego wrażenia. Wielkie cienie kładły się już od drzew, a po polankach złoto było od zachodu. Przez kraty grobowych okien rozlegał się głos Basi odmawiającej pacierze za zmarłych; odpowiadali Oyrzanowski i Baha. Nika weszła cichutko i przyklękła u progu, by im nie przerywał. Wtedy dopiero spostrzegła w kacie Sokolnickiego, który oparty o trumnę matczyną, nie modlił się, ale patrzył ponurym, tępym wzrokiem przed siebie; duchem tu nieobecny. Przeraziła się, tak się zmienił. Przez pół osiwiął, policzki mu wpadły, twarz się pobruździła, do siebie był niepodobny. Wtedy ogromne, serdeczne współczucie pchnęło ją ku niemu; wstała i podeszła do trumny, przy której klęczał. Na szelest obejrzał się, ale żaden promień nie oświecił mu twardego rysów. Pochylił milcząc głowę i znowu patrzył przed siebie, w próżnię. Ale i Basia spostrzegła gościa i zakończyła modlitwy. Nika wyszła pierwsza, przywitała się w kaplicy. Wszyscy oni byli smutni i zgnębieni, tylko Oyrzanowski rozmowę zagaił, pytając o zdrowie rodziców. - Ojciec się lada dzień do Karlsbadu wybiera, my z matką na Helgoland. Rada bym zostaż, ale jestem "osobnikiem zostającym pod władzą". - Nieciężka władza i obowiązek - uśmiechnął się Oyrzanowski. - Tak się zdaje, ale pan nie uwierzy, jak nieznośnie trzy Żwierci roku żyż w hotelu i kufrze. A, jak się masz, Kastor! - powitała taksa, który ją poznał i bardzo się ucieszył. - Nie

ma pana Łabędzkiego? - spytała pana Seweryna. - O, ten ma już wieczny spokój! - odparł posępnie. - Nie może być! Człowiek nie ginie jak kamień w wodzie. Ja zaczynam przypuszczać, że on żyje. - Gdzie? Jak? To niemożliwe! Cały świat go szuka. - Przecie ze zdobyczą nie umknął! - mruknął Baha. - To nie, ale i w zniknięcie takie nie można wierzyć. Znajdzie się żywy i cały. Pan Seweryn głową potrząsnął, ale Basi pojaśniała twarz i z wdzięcznością spojrzała na Nikę. - Może Bóg da! - szepnęła. - W tym roku dosyć było nieszczęść. - Podobno w zbiorach pańskiego stryja było wiele starożytności? - znowu zwróciła się Nika do Sokolnickiego. - Jeśli pan sprzedawał myśli, proszę o pierwszeństwo. - Na pół roku jest to opieczętowane. Potem Basia pani pokaże. Proszę zabierać... - A pan sam nie łaskaw pokaż? - O, mnie wtedy już tutaj nie będzie! - mruknął. Zapanowało milczenie posępne, które ciężkim westchnieniem przerwał Oyrzanowski. Nikt nie odpowiedział. Wielki ciężar jak kamień grobowy leżał wśród nich i tłoczył dusze. Nawet Nika straciła humor i swobodę, zwątpiła o swojej mocy i o dobrym skutku zamiarów. U progu domu Baha i Sokolnicki poszli do oficyn; oni we troje zostali w wielkiej sali. Wtedy Nika spytała śmiało: - Czy to prawda, że Sokołów sprzedany? - Niestety! - odparł Oyrzanowski. - I nie mogłem słowa wyrzutu uczynić Sewerynowi. Zresztą on sam cierpi nad ludzkie pojęcie. Cierpi sercem i ambicją. - I nie winien w niczym, w niczym - dodała Basia. - Gdyby nie to ostatnie nieszczęście, gdyby Łabędzki żył, może by jeszcze wytrwał. To go domęczyło. - I co myśli czyni? - On, biedak, nic nie myśli. On tylko cierpi. Od czasu, gdy się na tę ostateczność zdecydował, nawet nie był w Sokołowie. Cóż on? Drzewo z ziemi wydarte - zginie! - Ależ to jeszcze da się powstrzymać! Niech zwróci zadatek. Kredyt znajdzie. Niech go państwo otrząsną z apatii. To gorsze od śmierci! - Widziałem jego rachunki. Nieuczciwie byłoby żądać kredytu. Sokołów nie wytrzymuje ciężarów. - I pani na to się zgadza? - zwróciła się Nika do Basi. - I ja nie widzę innego uczciwego wyjścia. - A zatem to racja, że tylko Łabędzki kochał go i szanował, bo gdyby on tu był, nie dałby mu zginać! - rzekła żywo Nika. Oyrzanowski głęboko westchnął. Basia pobladła. - Ma pani rację - rzekła - myśmy bezsilni! Nika była oburzona, ale coraz trudniej jej było ofiarować pomoc, gdy oni nawet złożyli broń. Czuli się obcą, nie śmiała się narzucać. - Ach, żeby Łabędzki żył! - szepnęła. Nie można było tematu dalej rozwijać bez niedelikatności, więc, choć ją palił pugilares ojcowski, zwróciła rozmowę na inny przedmiot. - A w sprawie mordu żadnych nowych poszlak? - żadnych oprócz plotek. Zresztą śledztwo w toku. Nie ma świadków ni dowodów. Znalezione w zaułku w błocie pierścioneł staroświecki. Tamtędy zapewne uchodzili z łupem. Sokolnicki wszedł w tej chwili i usiadł w kącie. Nikę widok jego zgnębienia wzburzył na nowo. Skinęła na Basię i rzekła głośno: - Pani zapewne ma iść na gumno? Pójdziemy razem. Wyszły i zaraz Nika zagaiła: - Panno Barbaro! chodźmy gdzie w pola, jaką ścieżyną samotną. Mam do pani prośbę i zwierzenie... Basia spojrzeła na nią uważnie, skinęła głową i skręciła w bok folwarku drożyną między zboża. - Tu nikogo nie spotkamy. Może pani mówi. - Nie lubię wykrętów i frazesów. Niech pani mi dopomoże w uratowaniu Sokołowa. Mam tu pieniądze, proszę je na to użyć, od siebie! Ja wiem, że pan Seweryn pożyczki od nas nie przyjmie, ale pani znajdzie sposób, by wziął te pieniądze, na co chce, na te domy i starożytności po marszałku chociażby... - On ich nie przyjmie! - szepnęła Basia. - Jeśli będzie wiedział, że od nas pochodzą. Niech je pani da od siebie. Basia uśmiechnęła się. - On wie, że równie jak on uboga. - Pani go nie chce ratować? - O, tego niech pani nie mówi. Wzrosliśmy razem, pracowali razem, teraz razem cierpimy. Ale są długi, pani, których się nie zaciąga. Są zanadto upokarzające! - Daruje pani, ale nie rozumiem! Jeśli kochacie tę ziemię, to kochajcie ją nad swoją pychę i dumę! Ja tylko tak rozumiem uczucie. - A jednak pani nie chciałaby ofiarować sama tej pomocy Sewerowi. - Dlatego, że znam jego dumę. Miałam z nią do czynienia. Pani wie coś o tym może. - Nie! - odparła szczerze Basia. Śmiała, proste oczy Niki spotkały się z jej wzrokiem. - Ja mogę o tym mówić. Tej zimy omal nie zostałam pani kuzynką. Pan Seweryn zerwał ze mną, bo jego uczucie nie mogło znieść upokorzenia, że bogata. Rozumie pani, że teraz proponowałam pomocy

nie mogę. Duma jego wszystko depce i niszczy. A wie pani, że mi teraz bardziej chodzi o to, by on tu pozostał, niż wtedy, gdy mi szło o własne szczęście? Dlatego proszę panią o pośrednictwo. Basia podała jej rękę. - Spróbuję - rzekła krótko. - Dziękuję pani. Można przecie kogoś podstawić, łyda chociażby. Mnie proszę nie zdradzać, bo wszystko przepadnie. Ja jestem postrachem pana Seweryna. - Biedaczysko, i to go nie oszczędziło! Dopieroż musiał cierpieć! - Eh, co to, to wątpię. Nie wyglądał przez pół tak stroskany jak teraz. No, to już minęło; nie mam do niego urazy, ale i dumy nie mam. Niech nie cierpi i niech nie ginie! Znowu śmiało i jasno spojrziała w oczy Basi i, zrywając stokroź polną, dodała z uśmiechem: - Kiedy przyszło do zwierzeń, kochała też pani kogo? Basia pobladła i zamyśliła się. - Ja nie wiem! Nie miałam czasu na to - odparła. - A teraz za późno! Chwilę szły milcząc w jasnym letnim zmroku. Po zbożach wabiły się przepiórki i za każdym podmuchem wiatru zalatywał kłęb woni polnej. - I ja nie miałam czasu, bom się bawiła - rzekła Nika obrywając stokroź po listku. - A teraz i dla mnie... za późno. Ale rada ze swej zawiedzionej nawet miłości i zachowam ją sobie... na zawsze! Jeden listek został na kwiecie, uśmiechnęła się i wetknęła go do zakietu. - I Sewer, jeśli pokochał, nie zapomni! - rzekła Basia. - Ha, w takim razie niech ze swą dumą na spółkę czeka milionów, a jeśli je zdobędzie, inaczej pomówimy niż tej zimy. Teraz - byle Sokołów został! Panno Barbaro, oto pieniądze. Niech pani dziś jeszcze go przekona, zmusi, ubłaga! Basia spojrziała na papiery, zamyśliła się. - Takie pieniądze! I dzisiaj! On się wszystkiego domyśli. Powiem chyba, że mnie je pani pożyczyła. - Jak pani chce, byle przyjaź i byle nie był taki bezmiernie nieszczęśliwy! Zawróciły do domu. Pod kasztanem na ławce Sewer siedział z psem swym nieodstępnym u nóg. Nika minęła go mówiąc głośno: - Teraz uproszę pana Oyrzanowskiego o legendę starościny. Basia odprowadziła ją do gabinetu ojca i po chwili wróciła do Sewera. Ani się poruszył. - Głowa cię boli? - spytała siadając obok. - Ciagle - mruknął. - Mam prośbę do ciebie. Wiesz, prosiłam Niki o pożyczkę na spłacenie łydów. Przywiozła mi dziś pieniądze. Weź je; zwróć zadatek. - Po co? łyby za miesiąc to samo przechodzić? - Sprzedasz domy i rupiecie stryja! - łyby dłużej konaż? Nie chcę! - To, co cię czeka, to nie odrodzenie, ale śmierć. Czyś ty kiedy, bojując, tyle cierpiał co teraz? A toż wstęp dopiero! Posłuchaj mnie, zostań! Piętnaście krwawych lat przeżyłeś. Nie żal że ci twej krwi i potu? I tyleś zdziałał i oddasz owoce? Pamiętasz, jakieś tę ziemię z żydowskiej dzierżawy odebrał pustą, jałową, naga? Ni kołka w płocie, ni dachu, ni drzewa. Twoim trudem i mozołem wszystko tam stworzone i duszęś w to włożył! Jakże oddasz? Sewer, zostań! - Nie męcz mnie! Nie dobijaj! Ja zapomnieć chcę, a ty mi tę zmorę przed oczy stawiasz. Co z mojej pracy? Kamienie miałem! Zawsze kamienie - takie, co mi stopy krwawiły i takie, co mi się waliły na głowę. Zresztą nic. - A przecie to kochasz i nic innego pokochać nie będziesz mógł na nowo! Raz się żyje, jedno się ma kochanie i wiarę. Musisz zostać. Pieniądze są! Zwróć zadatek. Zobacysz, zły los pokonasz nareszcie i umęczony, zapracowany, stroskany, będziesz miał spokój duszy, serdeczne zadowolenie. Czy widziałeś, jakie śliczne jare zboża, jak łąki falują, jakie lato Bóg dał pogodne? Słuchaj mnie, nikt ciebie tak nie rozumie jak ja. Weź te pieniądze. One ci szczęście przyniosą. - Jakie to pieniądze? - Mówiłam ci. Pożyczyłam dla siebie od Niki. Moi wierzyciele się nie zgłaszają. Twoja potrzeba naglejsza. Weź tymczasem; cierpmy dalej razem! - To szaleństwo. Siebie nie uratuję, a ciebie pograżę! - Ja gotowam całe życie konaż, byle tutaj. Ty bracie, druhu serdeczny, zostań ze mną. Objęła go rękami za szyję i zaczęły jej z oczu biec łyzy gorące, a głos stał się miękkim i niezmiernie serdecznym. - Cóż ja mam także? Taką ciężką, ciężką pracę i wstęp zamknięty do wszelkiej biesiady człowieczej, gdzie swoboda, gdzie śmiech, gdzie zabawa. Nic nie miałam od młodości swojej, tylko ten cel i nad siły, nad zdolności zadanie. I nigdym, nigdy nie była szczęśliwa i takeśmy z sobą trwali, krzepiąc się wzajemnie. O Sewer, zostańmy razem! On milczał, rozstrojony do gruntu, czując w gardle łyzy i olbrzymią żądę posłuchania jej. - O Basiu! - jęknął. - Nie kuś mnie! Te pieniądze nie powinny do mnie iść! Ja nie powinienem

ich braź. Mnie wstyd! Ciebie grabiż? I one od niej, jałmużna! Nie, nie chcę! Zerwał się, otrząsał; ale mu nie dała wybuchnąć. - Sewer, o Sewer! Ależ to twoja ziemia płacze po tobie! Zastanów się, rozmyśl! Ty nie masz prawa odrzucać ratunku. ǫdźbła musisz się czepiż. - Ja nie chcę pieniędzy. Ty tego nie rozumiesz! - zawołał. - Duszę moę diabłu zastawiż, ale pomocy stamtąd braź - przenigdy! - Ty nie bierzesz! Nikt o tym wiedzież nie będzie. - Ja wiedzież będę i zeżre mnie wstyd. - Majaczysz! Wstyd jest ustapiż! - Ona wie, że ginę! Ona się domyśli, jaką ceną się utrzymam i ona mnie nazwie nikczemnikiem! - Kto? Ona? Nika? O, Sewer, po co ją krzywdzisz! Czy ci uczyniła co złego? Zdrową ma duszę i prosty rozsądek. Pożyczyła mi pieniędzy i nie wstydziałam się przyjaż. Jestem pewna, że szczerze rada była pomóc, bez żadnych myśli ubocznych, złych. Ona prosta jak chleb i woda! Chcesz, przysięgnę, że się nie dowie o naszej rozmowie. Sewer milczał. Łagodnie położyła Basia rękę na jego płonącej głowie i pociągnęła za sobą w stronę domu. - Pójdż, biedaku serdeczny! Pójdż i popatrz na nią. Nie ma fałszu ni złości w jej oczach, a głowę położę za jej życzliwością dla nas. Masz pieniądze! Trzymaj je! Przez pamięż matki cię zaklinam, zostań! - Do dna mi wszystką gorycz piż trzeba! - jęknął. - I jeszcze tam iśż! Po co ja tam? - Więć dłaczego jej unikasz? Powiedz. - Ja nie unikam, ale głowa pęka mi z bólu. Chciałbym spocząż, umrzeż, nic nie czuż! - Samotnoś cię nie uleczy, a my nie tkniemy twego bólu. Cichutko siądziesz w kącie i wieczór z nami spędzisz. Mój bracisku, twój ból - nasz ból! I jak chore dziecko poprowadziła go z sobą do gabinetu ojca. Przy świetle lampy pan Oyrzanowski czytał coś z pisanych kartek, a naprzeciw Nika, zasłuchana, wychylała z cienia swą piękną, rozumną głowę. Na skrzypp drzwi podniosła oczy i zamieniła z Basią spojrzenie. Sewer usiadł w najdalszym kącie i głowę oparłszy na rękach, słucał niby czytania, nic nie rozumiejąc. Myśl jego poszła na sokołowskie pola i łąki, których nie widział od tygodnia, postanowiwszy nie wracaż do domu już nigdy. Teraz do pól tych i łąk, do ścieżyn i miedz wydeptanych jego stopami porwała go olbrzymia tęsknota. Ta śliczna dziewczyna, którą pokochał i która o krok była od niego, nie tyle go pociągała, nie tyle jej pożadał, co tej ziemi, która go karmiła goryczą i troską. Prawda, Basia prawdę mówiła: łąki falują, zboże czerwone od kwiecia, owsy i kartofle silne i bujne, a co krok praca jego widoczna. íeby choż trochę jeszcze potrważ, jeszcze raz ścieżynami tymi do dom wracaż po dniu znojnym, żeby choż na tej łące zapłakaż, piersią do ziemi upadłszy. Nie, nie, rozum każe odejśż precz, ani się obejrzeż, ani grudki piasku wiaż, ani kęsa chleba! Odejśż jak zbieg, a przecie on tak rzetelnie pracował! Nie godzi się zostaż, a odejśż tak straszno! Mój Boże, mój Boże! Czy go też nikt nie pożałuje? W tej chwili z myśli tych budzi go ktoś: - Panie, proszę pana! Podnosi ciężką głowę; Oyrzanowski czyta, wszyscy słucają, a nad nim stoi chłopak i mówi szeptem: - Proszę pana, ludzie do pana przyszli. - Czego chcesz? Daj mi spokój - odpowiada mrukliwie. - Ludzie przyszli do pana. Chcą koniecznie widzież - głośnieji mówi chłopak. Obejrzała się Basia i Nika, przestał czytaż Oyrzanowski. - Co się tam stało? - pyta Basia. - A to do panicza ludzie przyszli. Pełna sień! W tej chwili we drzwiach stanęła Antolka. - Nie żadne ludzie, ale szlachta z Dubinek przyszła z interesem do pana! - rzekła. - Czegóż chcą? Niech idą do Sokołowa, do pani Iliniczowej. - Kiedy oni pana samego chcą widzież. - Idźże, Sewer! - zawołała Basia. - Zapal światło w sieni, Antolko. - Jużem zapaliła. Pan Seweryn wstał opieszale i wyszedł. - Czego oni chcą? - spytała Nika. - Chodźmy, posłuchajmy. To Łabędzkiego pupile! - odparł Baha, który przed chwilą był wszedł i teraz ręce zacierał. Poszli tedy i ujrzeli dziwną scenę. Wielką sień wchodową, oświetloną dwiema lampkami, po kątach mroczną, zajmowała gromada ludzi, mężczyzn przeważnie, chociaż było i kobiet kilka, i nawet niemowląt kilkoro na rękach matek. Stali w kupie, milczący, skupieni, wypchnąwszy z szarej masy naprzód starego Adama, Seweryna Dubinieckiego i Makarewicza. Zaraz za tymi stał, błyskając swą blachą i lufą nieodstępnej strzelby, Hipolit patrzący spod brwi, błądy i drżący. Dalej słabe światło rozjaśniło okryte głowy, oczy pałające, twarze twarde i zawzięte. Tłum ten wrzał, ale się hamował i dysząc milczał. Pan

Seweryn, gdy po nich spojrział, uczuł niespokojne bicie serca, jakby nie znana dotąd trwogę, i niepewnym głosem pozdrowił. - Dobry wieczór wam! Pomruk poszedł po tłumie i znowu milczenie. Wtedy Hipolit dziada swego tracił i ten się ozwał: - My tu z czynszem przyszedli do pana. - A po cóż? - odparł Sokolnicki. - Nakazałem wam przez Hipolita, żebyście się z czynszem wstrzymali, bo może już kto inny czynsz od was braż będzie. Mówiłeś im to, Hipolicie? Po licu mrukliwego olbrzyma ognie przeszły. - Nie mówił! - rzekł występując naprzód i sięgając do swej blachy. - Ja, Łabędzkiego szwagier i druh, z takim rozkazem na Dubinki nie pójde, boby mnie nieboszczyk z tamtego świata zdrajcą nazwał! Ja ni to mówiż się nie godził, ni służyż nie chcę. Blachę szarpnął, od surduta oderwał i wraz ze strzelbą przed Sokolnickim na stole położył. W tłumie zawrzało burzą, a Makarewicz groźnie się odezwał: - Nikt inny, tylko pan czynsz braż od nas będzie. Nie dla kogo, tylko dla pana my zaniechali sprawy i słowa dotrzymujemy. Szymon Łabędzki nam przysiągł, że dwór nas nie zdradzi. Dlaczego pan broni się od tych pieniędzy? - Bo mam sprzedaż majątek. Tłum się zakołysał, zawrzało i już nie jeden groził, ale zakrzyczało wiele głosów: - A toż zdrada na nasze głowy! A Seweryn Dubiniecki donośnie rzekł: - A Szymon prorok był. Teraz kto ostanie dziekana na procesji pod ręce prowadziż? Teraz nam biednym zguba! Kobiety zaczęły szlochaż, a stary Adam do pana Seweryna się zwrócił: - I jakże to pan uczyniż może? Jestże na to prawo i pozwolenie przed Bogiem i sumieniem? O zagonek ludzie się zabijają, a pan chce ustąpiż taki szmat! Gospodarz o swe bydlatko się kłopoce, a pan o nas tylu nie pomyślał, jako zostaniemy. A my na panu się oparli, panu zaufali jak ojcu, jako nas Szymon nauczył. - Czegóż wy ode mnie chcecie? - wybuchnął pan Seweryn. - Widzieliście moje klęski. Wytrzymałem, ilem mógł; dłużej, więcej nie mogę! - A człowiek sprawiedliwy, Hiob, ile stracił, a przecie Bóg mu oddał! Nie czytał pan święte żywoty? - rzekł Adam palec w górę podnosząc. - A Szymonowe słowo pan zdradził! - dodał Makarewicz. - Ze dworem wy jedno teraz, jedno was boli, jednego strózućcie! Pilnujcie stróży, bo święte stróżowanie; nie dajcie niecnocie zdradziż. To tedy pan się wypiera Szymonowego słowa? - Szymon był mi najdroższym bratem i święte słowa jego, ale... - To kiedy pan słowo potwierdza, to my w prawie pana nie puściż i nie dozwoliż na zły zamysł. Stróże my, no, to razem strózućmy! Pomrzemy - odejdzem, a żywi - trza staż! Nie wolno panu inaczej! - przerwał gwałtownie Makarewicz. - Trza panu robotnika - damy! - zawołał ktoś w tłumie. - Trza panu sług - bierzcie naszych chłopców! Jak panu źle, to ma prawo od nas pomocy wymagaż jako od swoich, ale odchodziż nas - to nie wolno! - Nie wolno! Szymon mówił! - zakrzyczeli wszyscy. Stary Adam o krok postąpił i dotknął ręką ramienia zadumanego Sokolnickiego. - Słyszysz pan? Niech pan przeczyta. Hiob na gnoju siedział, z mocarza tak zostawszy, i cóż? Hańby nie miał! I wrócił mu Bóg stada i sługi, zboża i wina, i synów i córki wychował! A pan czego się zestrachał? A Bóg że gdzie? Czego się pan boi? Sokolnicki to bladł, to czerwieniał. Czuł ściskanie w gardle, bał się słowo powiedzież, by głos go nie zdradził, bał się na nich spojrzeż. Wtem poczuł, że go ktoś trąca w ramię, obejrzał się. Nika z Basią stały za nim i Basia szepnęła: - Sewer, przecie nie możesz się wahaż. I ujrzał oczy Niki płonące zapalem, i rzekła mu z cicha: - Tej sceny zazdrościż panu będę do śmierci. Warto dla niej żywot przecierpież! Tedy pan Seweryn ustąpił. Spojrzął po tłumie, wyprostował się, głęboko odetchnął i rzekł: - Ano, to wasza wola. Składajcie czynsz! I tłum jakby odetchnął, i rzucił się do stołu, ale stary Adam ich sobą zasłaniał jeszcze i podniósłszy rękę, krzyż w powietrzu nazaczył. - To niechże pana błogosławi Ojciec, Syn i Duch święty, amen! - wymówił uroczyście. Pan Seweryn pochylił głowę i przeżegnał się, potem, popchnięty wielką siłą, twardą prawicę starego patriarchy uścisnął i wtedy tłum go ogarnął, witając ze łzami. Uczyniło się zamieszanie, wśród którego Basia odnalazła Hipolita i przypięła mu na nowo blachę do piersi. - Po Szymonie tyś został! - szepnęła mu rozrzewniona. - Będziesz mu jak ten biedak wiernym. - Takem mu przysiągł! - odparł posępnie. - I poprzysiągłem śmierż tym, co go zabili! Nie znajdzie ich nikt, a ja znajdę! - Masz na kogo podejrzenie? -

Podejrzanie? Mam prawie pewność! Szukam dowodów. Jeśli znajdę, pójdę do sądu; jeśli nie, sam się rozprawię. Krwi jego nie daruję. Błysnęły mu dziko oczy. - A ja bym chciała, by choć krzyż miał na mogile! - szepnęła Basia. - Ieby on był dożył dnia dzisiejszego i zobaczył swej pracy owoce! Tymczasem pan Seweryn wydostał się z trudem z objęć szlachty i za stołem usiadł. Ludziska poczęli dobywać szmatki, woreczki i składać przed nim ratę czynszową. Były to drobne sumki, same miedziaki. Zwykle jednak ta wypłata odbywała się z trudem, opornie i niechętnie: każdy zwłóczył i zalegał. Teraz na ambit wzięli panowie bracia. Każdy płacił co do grosza, bez żadnej reklamacji. Pan Seweryn znał ich wszystkich; wywoływał po kolei; stos miedziaków rósł na stole. Gdy ostatni oddał należność, stary Adam odsapnął i rzekł: - Dajże Boże panu stokrotną korzyść z groszy tych! Z serca nam ciężar spadł. Dziękujemy panu! - To ja wam! - odparł pan Seweryn. - Dziękuję za dobre słowo i otuchę. Na święty Jan proszę was, byście jako dziś razem przybyli do kościoła. Za Szymonową duszę pomodlimy się wszyscy. - Przyjdziemy! - odpowiedział tłum cofając się do drzwi. Po chwili w sieni było pusto. Pan Seweryn, poważny, ale już nie ponury, zwrócił się do Basi i Niki: - Zza grobu Szymon jeszcze mnie utrzymuje! - rzekł. - I otom został... - Przepyszny był ten stary! Co za wiara wielka! - zawołała Nika. - Drwi z wszelkiej logiki i rachunku... - I musi triumfować! - zawołała Nika. - I otom został! - powtórzył Sokolnicki zamyślony, ale dziwnie spokojny. - I jestem pewna, że ma pan teraz jedno pragnienie: lecież do Sokołowa? - uśmiechnęła się Nika. - Skąd pani to wie? - zdziwił się. - Rozumiem, jako żołnierze blizny kochają, a matki dzieci. Leż pan! - Nie mogę. Pierwej do miasteczka mi droga. Pojutrze święty Jan. Ale dlaczego mi teraz niestraszno? Przede mną czarno od znoju! - A Hiob? Wszystko panu wróci. Stary obiecał. Uśmiechnął się i poczerwieniał. - Nie wszystko! - mruknął schylając się nad stołem i zbierał miedziaki. - Pójdę ojca dobrą wieścią pocieszyć! - rzekła Basia wychodząc. Nika wysunęła się na ganek. Noc była księżycowa, ciepła i wonna. Dziewczyna stanęła w świetle, zasłuchana w ciszę rozkoszną. Po chwili Sokolnicki stanął we drzwiach, zawałał się i wyszedł także. Potem spostrzegł, że powinien był uciec stąd, ale był jakby odurzony i bez sił. Noc była rozstrajająca i kusząca. Wtem ciszę przerwał śpiew daleki, tęskny. Ciche powietrze napełniło się nim i drżało. - Co ci ludzie śpiewają? - szepnęła Nika zasłuchana. - Jakie to ładne i smutne! Sokolnicki znał pieśń. Zaczęło mu serce bić i boleć, przypomniało się marzenie nad rzeką w Bobrowce. Był bardzo rozstrojony, bo z cicha nucił zaczął do wtóru z daleką pieśnią: "Panie ojcze, daj mi konia, pojedę za nią, abym jeszcze ją zobaczył, aż będzie panią. Idzie ona do ołtarza między druhnami, jak ta lilia najbielsza między kwiatami." Urwał i po chwili rzekł: - To pieśń, weselna mazurska. - Wątpię, czy miła dla nowożeńców - rzekła. - Ale prawdziwa! Marzenia człowiek nigdy nie doprowadzi do ołtarza. - Zwłaszcza gdy nie chce - rzuciła. - Bo nie może - odparł. Znowu milczeli, ale go noc rozmarzyła do szczętu, więc nucił zaczął: "Idzie ona do ołtarza, stanęła przy mnie i tak głosem żałośliwym mówiła do mnie: weź chusteczkę, otrzyj oczki, nie płacz tak wiele, bo mi widał Bóg przeznaczył z innym wesele." - Szkoda, że nie dodała "mazgaju!" - rzekła Nika. - Szkoda, że po niej płakał - odrzucił gorzko. Nika zwróciła się do niego: - Skargi zawiedzionych dziewcząt rozumiem, ale skarg zawiedzionych mężczyzn - nie. To ani logiczne, ani poetyczne nawet. Myślałby kto, że pan się kochał bez wzajemności. - Czy raz? Chociażby ten nieszczęsny Sokołów. - To więcej niż kochanie, to już ślub. I poza tym kocha pan tylko siebie; więcej nic i nikogo. - Tak mi snadź przeznaczono, bo gdym na chwilę o czym więcej zamarzył, los mnie smagał, smagał. - Aż pan się uląkł i marzenia wykreślił. - Tak. Nie staż mnie na taki zbytek. Ruszyła ramionami. - Brzydko brzmi fałsz wobec tej cudnej nocy i tej pieśni. I maluje pana w tej chwili wobec tej sceny uroczystej, którą przeżywszy, człowiek powinien się udoskonalić i podnieść. - Na bohateram się nie zdał. Zwykły, pospolity ze mnie człowiek. - Zupełnie niepospolicie uparty i fanatyk swej pychy. - Gdybym był Woyną, pani by to nazwała honorem. - Co takiego? - spytała patrząc mu w oczy. Zmieszał się i wzrok spuścił. - To, że nie

chcę łaski i jałmużny. - Nie wiem, o czym pan mówi. - Pani wie, tylko udaje... - Ja udaję?! O, co to, to nie! Nigdy nie udaję. Tylko współczucia żadnego pan we mnie nie wzbudza; co najwyżej żal, że się pan zmarnuje, jeśli się nie upamięta. - íebym ja się stał bogatym! - rzekł na pół do siebie i urwał podnosząc na nią oczy. Milczała, zapatrzona w srebrny, miesięczny krajobraz. - Pani się gniewa na mnie? - Ani trochę. Słucham owych pieniężnych zapewne projektów. - Pani inną była wtedy, zimą. - O, najzupełniej. Nie przeczę, ale się dziwię, że pan to chce wspominać. - Jam nie zapomniał ani jednego słowa, ani jednego spojrzenia pani. Duszę bym sprzedał, żeby zostań bogatym. - Po co? - íeby panią zdobyć! - szepnął. - Czy mnie pan ma za rzecz do kupienia? Porozumiejmy się i niech się pan nie łudzi, nie zbiera i nie marzy o takim rezultacie. Zimą wtedy było mi obojętne czy pan bogaty lub nie. Obraził mnie pan, postawiwszy kwestię uczucia na gruncie pieniężnym. Teraz ja ją na ten grunt przenoszę i bogatego nie przyjmę, bo do kupienia nie jestem. - Więc pani chciała mnie kupić! - zachnął się. - Wstrętny pan jest z tym obrzydliwym złotem! Chciałam serca pańskiego i wspólnej pracy. - A ludzie jakby mnie nazwali? - Ludzie? O to panu chodzi? Ano, to niechże pan teraz do nich idzie po szczęście, ich zdobywa! Ale przynajmniej proszę nie stawiać się w roli ofiary wobec mnie. Stało się, jak pan chciał, zgodnie z honorem i opinią ludzką. - Wolno mi przecie wyznać pani, że cierpię... - A mnie wolno naważ to cierpienie po imieniu. To jest fantazja bezrozumna, dziecinna, że nie powiem gorzej. - I tak wszystko minęło - szepnął. - I już mnie pani nie chce! A przecie ja nigdy o nikim nie marzyłam, tylko o pani jednej. - Ależ to przecie pan mnie nie chce! - odparła pół niecierpliwiając się, pół śmiejąc. - Wie pan, gdyby kto naszej rozmowy słuchał, wzięłby nas za zbiegów od Bonifratrów. Czegoż pan chce właściwie? - Czy ja wiem? Mnie było piekielnie ciężko i źle, a patrząc na panią, nie zdołałem zamilczeć dzisiaj. Ja o jedno błagam: proszę na mnie zaczekać, żeby nie bankrut był, gdy pani o ręką poproszę. - Znowu! A ja tak nie chcę, bo nie uwierzę w pana uczucie, aż ono pychę pokona. I naprawdę targ ten jest dla mnie niezmiernie upokarzający. - Więc pani nie rozumie, że starać się mogą o fundusz pani tylko? Spojrzała na niego z triumfującym uśmiechem. - Czy pan myśli, że nie starali się o mnie milionerzy i że potrzebuję pozłoty, by wyjść za mąż? Czyżem aż tak szpetna i ograniczona? Spotkali się wzrokiem i jego oczy zapalały, a lekki rumieniec pokrył jej skronie. Postąpił o krok i niezdolny mówić, wyciągnął do niej rękę, błagając spojrzeniem. - A jutro pan się znowu zbuntuje? - rzekła. - Nie. Zanadto miłuję! - odparł głucho. Podała mu rękę. - Niechże pan nie narzeka na trud i ciężką dolę, bo dla tej doli właśnie pokochałam pana... Księżyc stał nad ich głowami, noc jak sen była cudna i nic już nie zakłócało ciszy ziemi i ich serc. Nika, zamyślona i poważna, zaczęła mówić: - Nie trzeba żądać bogactwa, bo byłoby nam zanadto dobrze. Młodzi jesteśmy, zdrowi i silni; strzymywałyby tyle pana barki - i ja się ciężaru nie boję. I tak swój klejnot utrzymamy nietknięty i będziemy go kochali nade wszystko. Ja się z tej pracy tak cieszę, jak z godów! - Gdyby pani знаła jej niewdzięczność, bezustanne utrapienie... - We dwoje przecie będziemy - uśmiechnęła się. - Mnie się wierzyć nie chce w taką szczęśliwość. Byłam taki nędzny przed godziną jeszcze, a teraz serce mi się w piersi nie mieści. - Biedaku, zasłużyłeś sobie na odetchnienie. A teraz, co tam sobie o nas gospodarze domu myślą? Chodźmy! Jutro nasze już! Weszła do sieni i w progu rzekła żartobliwie: - Zwierzyłabym się pannie Barbarze, ale nuż się pan do jutra rozmyśli? Chociaż może lepiej rozgłosić, żeby panu utrudnić bunt?... - Jużem pokonany i pokorny... - Ano, to okuję pana bez zwłoki - rzekła podając mu pierścionek z palca. - Ja mam tylko sygnet i matczyną obroczkę - rzekł oddając jej oba i całując jej rękę. Gdy wrócili do gabinetu Oyrzanowski obie ręce do Sokolnickiego wyciągnął i łyzy miał w głosie. - A widzisz, chłopcze, a widzisz! - zawołał. - Nie wolno ci odchodzić. Zostaniesz i wytrzymasz! My wszyscy z Anteusza rodu... - Noc cudna. Chodźmy na spacer! - szepnęła Nika do Basi. Wyślizgnęły się do ogrodu i ruszyły ku kaplicy. - Sewer przyjął pieniądze - rzekła Basia. - Dziękuję pani. Niechże mi pani tajemnicy dochowa, pomimo żeśmy

się dzisiaj zaręczyli. - Nie może być? - I mnie trudno w to wierzyć. Powinnam była trochę się podroczyć za zimową fugę, ale noc dzisiejsza jest za bardzo piękna. Stało się. Zaśmiała się i natychmiast spoważniała. - Szkoda życia na komedie i udawania. Kocham go, a ciężka ma dolę. Zdaje mi się, że we dwoje będzie mu lżej. Dostyć cierpiał... Obejrzała się. Sewer szedł ku nim z cicha gwiżdżąc. - Wuj już zasiadł do pisania - rzekł. - Mnie wyprawił spać, ale noc za bardzo piękna. Ejże, a tam co stoi pod ścianą kaplicy? Starościna czy coś podobnego? Ujrzeni wszyscy wyraźnie białą postać, która na ich widok przesunęła się powoli w krzaki. - Chodźmy za nią! - szepnęła Nika. Ruszyli naprzód w klomby bżów, gdzie zniknęła postać. - Kto tam? Stój! - zawołał Sewer. Widmo zatrzymało się pod drzewem i pokłoniło się nisko, po chłopsku. Była to stara kobieta w jasnej sukmanie i białym na głowie zawoju. - Co ty robisz, babo? - spytał Sokolnicki. - Nic, tak sobie idę - odparła baba. - Skąd ty? - Z Dubinek. Pan mnie nie poznał? Wilczyca. - Aha! Możesz do mnie przysłać z kijem karbowanym? Boisz się o swe grosze, gdy Łabędzki umarł? - Nie boję się, anim po to przysłała - odparła baba oglądając się nieufnie. - Panienci chcę prosić o masz od róży, a pana o kwit na jagody. - I po to w nocy się błąkasz, tak daleko? - Dnie teraz robocze. Mój ród cały na omelnickich łąkach pańskich; przysłałam sama. - Ona ma inny interes, tajemny - rzekła po francusku Basia. - Zaprowadźmy ją do domu... - To chodź, babo, z nami - rzekł Sewer. Poszli ku domowi i wprowadzili kobietę do sieni. Basia poszła po masz, Nika została na ganku, Seweryn oczami zagadnął babę. Obejrzała się znowu wokoło, pochyliła się do jego ucha i rzekła szeptem: - Jutro o północy niech pan przebierze się w switę starą i będzie w Bobrowce u Hipolita. Tylko jeżeli panu dusza miła, nic nie mówić. Pan Seweryn głową skinął, kwit jej napisał i wyszedł do Niki, i naturalnie zaraz jej tajemnicę powtórzył. - Pewnie jakaś kradzież. Ci chłopcy to także Szymona przyjaciele. - Więc może to on ją przysłał? - Cóż znowu! Gdyby żył, już by się zjawił. - Więc pan za ledwie pojutrze będzie u nas? - Tak! Mój Boże! Jak mnie pani rodzice przyjmą? - Ojciec z radością, matka zimno, bo ona nigdy jeszcze nie była zadowolona. Zajmę ją co rychlej wyprawą, to wnet oderwie jej uwagę od nas. Co nas zresztą ludzie obchodzą! Czy pan się znowu waha? - Nie! Wolę wszystko inne, byle nie tęsknotę i rozpacz minionych miesięcy... Wilczyca przeszła obok nich, skłoniła się, spojrziała bystro na pana Seweryna i znikła. - Mówiła ci co? - spytała Basia podchodząc do nich. - Jakaś tajemniczą wyprawę proponuje mi na noc jutrzejszą. Pewnie się pokłóciła z sąsiadem i chce go zdradzić na kradzieży w lesie. - Dziwna etyka chłopska, dziwna filozofia! Pytałam, czy żałuje Łabędzkiego. Odpowiedziała: "A cóż, dwa razy człowiek nie umiera. Kto żyw, umrzeć musi. Ja, stara, prędko go zobaczę. Pokłonię się mu od panienci." Ani żalu, ani współczucia. A wiem, że była mu bardzo życzliwa. - Zdaje mi się, że już bieleje na wschodzie niebo - rzekł Sewer. - Daj mi konia, Basiu, pojedę zaraz. Szkoda czasu, a sen mi nie w głowie. O południu będę z powrotem i odprowadzę panią do rozstajów za Omelną. - O, jedź i wracaj wolny! - uśmiechnęła się radośnie. - Ja potem razem z wami pojedę do Sokołowa Józię dobrą wieścią ucieszy. - Spotkamy się pojutrze na nabożeństwie. Wszak będziesz? - Będę - odparła głucho, czując boleśnie, że tą modlitwą za zmarłego pochowa ostatnią skrę nadziei, że go już nie ma... nie ma, że wykreślony spośród żyjących i że w pamięci ludzkiej będzie blednął i zniknął, i tylko ona go nie zapomni wdzięcznym swym sercem. X Około północy w Bobrowce, w chacie Hipolita, wszyscy spali. On sam był na ławie u okna, w odzieży i obuty, jak większą część nocy spędzał. Przywykły kobiety do nieregularnych powrotów. Nie zwykł był im się opowiadać z czynności ani zdawać sprawy, gdzie bywał. Na ławie tedy legł bez ruchu, aż się upewnił, że kobiety zasnęły; wówczas do okienka się przysunął i słuchał. Była to noc czarów i kwitnienia paproci, świętojańska noc. Słyszał Hipolit rybę, co plusnęła w rzeczce, i szelest skrzydeł lelków i sów, słyszał nawet brzęczenie komarów. Nagle usiadł na ławie. Plusnęła znowu na wodzie jakby ryba, ale on rozpoznał wiosło, sięgnął po nieodstępna strzelbę i cicho ku drzwiom się skierował. Wyszedł przed chatę i rozejrzał się, potem ścieżką ku rzece zbiegł. U brzegu

czółno stało, w nim baba. - Jest pan? - zagadnęła szeptem. - Nie ma. - Jak to nie ma? Już od godziny tu leżę! - odparł pan Seweryn zza krzaka. - Komary garniec krwi mi utoczyły. Co to będzie, babo? - Popłyniemy, panie. - Dokąd? - Zobacz pan. - I Hipolit z nami? - A jakże. - Ano, to dajcie i mnie wiosło. Siedli we troje w łódź, baba u steru, i ruszyli. Płynęli godzinę może. Zemdlały ramiona Sokolnickiego, stracił wreszcie pojęcie, gdzie płyną w labiryncie rzecznych odnóg i zakrętów. - A wiecie wy, babo, że dziś kupalna noc, i chyba po skarby mnie wieziecie albo pokażecie czary? - Zobacz pan. - A daleko jeszcze? - Ot, zaraz. - Ięby mnie kto zabił, nie powiem, gdzie jesteśmy. Ty wiesz, Hipolicie? - Wedle Ułasowego zachodu. - Oszałała baba, to już nie nasze! Myślałem, że o kradzież jaką chodzi. Gdzie mnie ciągniesz, stara? - Niech pan nie krzyczy. Ważna sprawa... - Ja dziś rano w miasteczku byż muszę, a wy mnie wleciecie w przeciwną stronę. Licho mi nadało słuchoż bredni. - Już przybijamy. Będzie pan dręczyż się potem. Czółno wbiegło pod wierzbę obwisła i Hipolit je wnet do gałęzi uwiązał. Wyszli na brzeg; baba ruszyła przodem wytartą w łozach ścieżką. Pan Seweryn umilkł zaciekawiony tajemniczością wyprawy. Zwrócił się do Hipolita. - Może ty wiesz, po co my tutaj? - Nie. Baba kazała na pana czekaż w nocy i już. Przed nimi stała ziemiańska. świeciło się przez okienko. Wilczyca zastukała do drzwi i weszła pierwsza. Izba Ułasa w niczym się nie zmieniła. Aż ciasno i duszno było od ziól i korzeni, i mroczno po kątach, bo tylko szczap smolnych parę paliło się na kominie. U progu baba się usunęła i rzekła ocierając rękawem pot z twarzy. - Ot, "didu", Sokołowski pan, jakeście kazali. - Dobrze! - rzekł stary z cicha. - Poczekajcie, panie, minutkę. Pan Seweryn coraz mniej rozumiał, co to wszystko znaczy, i równie zdumione były oczy Hipolita. Dziad u ognia zapalił drzazgę, poszedł z nią w kąt i znikł za jakimiś drzwiami. Nie było go może z pięż minut. Potem się ukazał i skinał na Sokolnickiego. - Idźcież, panie, ino go nie zmęczcie. Bardzo jeszcze słaby. Pan Seweryn schylił się we drzwiach, a gdy się wyprostował, skamieniał z ustami otwartymi do krzyku. Przed nim na tapczanie leżał Szymon z głową obwiązaną szmatami, z ręką w łupkach, chudy, czarny, straszny, do widma podobny i uśmiechnął się do niego, a lzy mu biegły po zapadłych policzkach. - Szymek! - wrzasnął nieludzkim głosem, rzucając się na posłanie. Ale znachor i baba pochycili go za ramiona, i stary surowo rzekł: - Na progu śmierci stoi. Cyt, panie! Wczoraj ledwie rozum mu wrócił. Chce go pan drugi raz zabiż? A tu za jego plecami rozległo się szlochanie. To Hipolit płakał, w progu klęcząc i ręce składając do modlitwy. Tedy i pan Seweryn ukląkł u posłania, i tylko rękę Łabędzkiego wziął w dłonie, i ciężko oddychał z wrażenia. Po chwili ranny oczy znowu zamknął, wyczerpany, i bólem skurczyła mu się twarz. - "Didu"? Co mu? - szepnął przerażony Sokolnicki. - Zmordował się! Wyjdźcie, panie! I bez ceremonii wypchnął go za drzwi. Sokolnicki rzucił się wtedy do Wilczycy. - Babo, gadajże! Co to znaczy? Skąd on się tu wziął? Czemuście znaż nie dali? - Ja nic nie wiem, panie. Ułas wczoraj mi go pokazał i do was posłał. Kazał mi milczeż. Dziad wrócił do izby, drzwi zamknął i rzekł: - Jednej nocy ktoś do szybki zastukał. Wszedłem przed chatę i znalazłem go bez ducha u progu. Rękę miał złamaną, a głowę siekierą rozbitą. - Któż go przynióśł? - On wie, to powie. - A żyż będzie? "Didu", co chcecie, dam wam za taką usługę! - To Bogu daj, bo w jego ręku życie i śmierż. Leżał bez zmysłów do wczoraj, aż się ocknął. Spytał, jaki dzień, a potem jednym jękiem zaczął was wołaż. - Tyleście czasu milczeli, a myśmy go opłakiwali! A gdyby zmarł! - Nikt mnie o niego nie pytał ani go szukał. Myślałem, że nie ma swoich ni przyjaciól. A gdyby śmierż mu była pisana, zmarłby i u was! - Mądrzeście, "didu", uczynili! - ozwał się Hipolit. - Zbóje go za umarłego mają, i spokojni. Teraz my ich mamy w rękę. - Ale któż go tu przynióśł? Dziad milczał. - Powie wam, jeśli zechce - rzekł po chwili i zaczął u komina napój jakiś przelewał. - Puśżcież mnie do niego! Niech choż uwierze, że żyje. - Idźcie. - Moc mu wraca. Hipolit świecił drzazgą, stanęli obaj nad posłaniem. Szymon, już spokojniejszy, z cicha się odezwał: - Jutro święty Jan! Jakże tam panu? - Nic! Dobrze załatwione! Nie martw się, tylko żyj, żyj!... - Będę. I pieniądze marszałka się znajda; ci ich nie wzięli. - Kto - ci?

- Alter, Onyśko i ten Narcyz kulawy. - Trza ich braź! - zawołał zajadle Hipolit.
- Bierz! Wilczyca niech chłopów da! Idź zaraz! A panu naprawdę spokojnie? -
Naprawdę. Nic złego nie grozi. - O, to mi piorunem zdrowie wróci! A w
Horodyszczu co słyhaż? - Zdrowi. Opłakaliśmy cię z Basią. Szymon się uśmiechnął
radośnie. - Niech pan mówi. Takim spragniony wieści! Potem ja opowiem. Tylkom
jeszcze słaby. - O Szymek! Ja się teraz aż boję, taki jestem szczęśliwy.
Jeszcze i ty mi wrócił, i takie nadzwyczajne powodzenie. Boję się. - Czego?
Niech ten się boi, kto ni cierpiał, ni wysłużył. A panu od czego osiwiiała głowa?
Pan niech używa, spokojny. A panna Barbara jakże? Zdrowa? łydzi jej nie
oblegają? - Dotąd nie. A wiesz? Gdyby nie ona, sprzedałbym Sokołów. Mój Boże!
Jak to wczoraj do dziś niepodobne! Ty wiesz, co się stało? Pochylił się do
przyjaciela i szeptał: - Z panną Zagrodzką jestem zaręczony i aż mi się serce w
piersi nie mieści. Szymonowi zaśmiały się radośnie oczy. - A widzi pan! I stało
się. I teraz dobrze będzie. Ja się wyliżę. Zostanę w Sokołowie, pan w Głębokiem;
zostawimy dzieciom szmat ziemi. A widzi pan, takeśmy się nie dali podeptaż!
Teraz odetchniemy. - Ty i Basia mnieście za łeb wyciągnęli. Nie mam zasługi,
tylko szczęście! A teraz ty mów, jakże to było w ową straszną noc? Skąd się tam
wzięłeś? - Pojechałem wtedy do miasteczka i chodziłem od łyda do łyda na próżno.
Wreszcie po północy postanowiłem wstąpiż do marszałka. Nie miałem żadnej
nadziei, ale z rozpaczy chciałem próboważ pożyczż u niego chożby dla siebie,
choż na lichwiarski procent, choż cośkolwiek. Zmęczył się Szymon i oczy zamknął
wyczerpany. Po chwili otworzył je i znowu spojrział na Hipolita. - Ty zaraz
ruszaj po nich! - rzekł. - Wprost do Altera, bierz policję, róbcie rewizję!
Znajdziecie rzeczy zrabowane i ten kulas pewnie tam ukryty. Babo - zawołał
głośnie - dajcie chłopców swoich do pomocy! - Dam, sokoliku, dam! - odparła
baba. - A powiedzże ty, nie było tam wśród nich Liszki? - Był Onyśko, kulas i
łyd! Mówiłem wam! Idźcie żywo! - odparł niecierpliwie. Ułas stary zamknął za
wychodzącymi drzwiami, dał choremu piż, zmienił mu okład na głowie i wyszedł z
alkierza. Szymon, jakby z sobą walczył, milczał ciężko dysząc, wreszcie zwrócił
oczy na Sokolnickiego i szeptem rzekł: - Panie, możem zawinił. Liszka tam był,
ale on mnie tu odwiózł i nie uśmiercił. łycie nigdy nie bywa tak drogie, jak o
krok od śmierci, a on mi je zostawił. Nie miałem mocy teraz go wydaż! - To i
milcz dalej. Niech żyje, kiedy ciebie oszczędził. Więc wtedy zastałeś ich przy
robocie... - Gdybym był zastał rabunek tylko, cofnąłbym się od progu po policję,
ale gdym wszedł do sieni, posłyszałem charczenie, jęk, razy: mordowali właśnie
starego; więc rzuciłem się myślać, że go uratuję jeszcze, i wpadłem bez
opamiętania, bezbronny. Alter odbijał biurko, Narcyz przetrząsał stół, Onyśko
dusił starego wołając, by wyznał, gdzie są pieniądze. Liszka stał bezczynnie u
progu i palił papierosa. Gdym wpadł, tamci sekundę się przerazili; dopadłem do
Onyśki i chwyciłem go za włosy, by odciągnąż od ofiary. Marszałek mnie poznał.
"Tam rewolwer", wybełkotał wskazując mi oczami fotel. Alem już poczuł na gardle
ręce Liszki, a Onyśko zamierzył się drażem na głowę. Zasłoniłem się ręką i ot,
pękła koż od ramienia. Zwaliłem się na wznak, bo mnie Liszka dusił, ból odebrał
przytomność, a tu któryś mnie dokończył siekierą w głowę. Zdaje mi się, że
deptali potem po mnie, że mnie bili jeszcze, bo Ułas mówi, zem srokaty od
sińców; ale tego już nie pamiętam. Kiedym się ocknął, byłem w łódce na dnie i
Liszka wiosłował. Ocucił mnie chłód nocy i woda, której dużo było na dnie;
zacząłem z bólu jęczeż i otworzyłem oczy. Liszka przestał wiosłoważ, schylił się
do mnie i zaklął: - Powiadają: chamska dusza twarda, a oto twardsza! -
zamruczał. - Nu, kiedys żyw, to idź, wody się napij. Skierował łódź do brzegu,
między tataraki. Zrozumiałem, że mnie chce do rzeki rzuciż, i pomimo okropnego
bólu zgroza mnie porwała. Strach, jak człowiek śmierci się boi, gdy ją widzi o
krok niezawodną! Szymon się wzdrygnął i oczy zamknął. - Możes się zmęczył?
Odpocznij! - rzekł pan Seweryn. - Powiem do końca. Liszka tedy czólno do brzegu
wparł, wszedł w wodę po pas i sięgnął po mnie. Wpół mnie brał, by dźwignąż, a
jam mu rękę o piersi oparł, tę lewą cała i powiadam: "Nie rusz, nie masz prawa
do mnie!" Zatrzymał się, zawahał, a mnie ból znowu zmysły odbierał, czerwono się

robiło w oczach, więc tylko jeszcze rzekł: "Ja ciebie śmierci nie dałem, a ty za to moje życie bierzesz! Rzuć mnie na brzeg, ale nie w wodę, oj, nie w wodę!" I znowum zemdlał. - Jakżeś go śmierci nie dał? Co to? - Potem panu opowiem. To jeszcze zimą było! Tedy omdlał i znowum się ocknął. Czuję, łódź płynie, nade mną stoi Liszka i patrzy. "To prawda, coś rzekł", powiada. "Nie mam prawa na ciebie! Niech ciebie śmierć sama bierze, kiedy chce, mnie i owszem. Ale mi nie pluj w oczy, żem ci się tak odpłacił! Rzucę cię na brzeg, jak chciałeś! Zdechniesz, to dobrze, wytrzymasz, to tamtym będzie gorzej niż mnie. Ja ptak wolny, może na końcu świata tymczasem będę. Nie boję się ciebie! A tamtych niech biorą, durnie są, pieniędzy nie znaleźli." Splunął w wodę i zaczął gwizdać. Jam już nie umiał słowa rzec i poczęło mi w głowie majaczeź, i już więcej nic nie pamiętam. Ułas mówi, że tej nocy ktoś mu kamieniem szybę wytłukł, a gdy wyszedł, znalazł mnie pod progiem, ot, jak pan widzi, z rozbitą głową, złamaną ręką i bez zmysłów! Boża wola była, bym został. - Powiedziałaś Ułasowi prawdę? - spytał pan Seweryn. - Powiedziałem. Ja bym mu się z grzechów spowiadał! A on mi rzekł mądre zdanie: "Zguby niczyjej nie pragnij, zguba żadna cię nie spotka." Mój Boże - i oto żyję, i wstanę, i świat zobaczę! Mnie się zdaje, że my obaj z nocy do dnia wchodzimy. - A gdzie ci najpilniej? - uśmiechnął się Seweryn. - Na słońce, na powietrze, do lasu! - odparł z westchnieniem. - Może za parę dni Ułas mnie puści przed chatę, napiję się światła i ciepła, ożyję. Potem z panem do miasteczka ruszymy. Nikt nie znajdzie pieniędzy marszałka, tylko ja. Owej nocy, gdyśmy Narcyza złapali na złodziejstwie, stary je przeniósł w inną skrytkę. - Jeśli jej potem nie zmienił... - Nie może być! A tobym ja wtedy na złodzieja wyszedł chyba! Niech mnie pan nie straszy. Znajdą się! Pan długi spłaci i już nawet bez fałszywego upokorzenia pojedzie do Głębokiego. - Szymek, a tobież za nikim nie tęskno? Ty mnie swatał, będę ja ciebie teraz. - Cyt, panie, cyt! Dla mnie nie ma na świecie partii. Nie trzeba o tym myśleć. Mam co kochać, co robić, o czym myśleć bez tego! A Dubinki? Cóż tam słycaż? - Dubinki były wczoraj w Horodyszczu, kto żył, i nie pozwoliły mi Sokołowa sprzedaż! - A widzi pan, a widzi pan! - zawołał Łabędzki i łzy miał w oczach. - Po co mi lepsze kochanie? A pańska wiara i drużba; po co mi bliższe śluby i przysięgi? Dobrze mi, panie, dobrze! Znowu oczy zamknął i umilkł zmęczony, a Ułas na Sokolnickiego skinął i wyprowadził go do alkierzyka. - Teraz niech śpi, a pan też niech spocznie - rzekł wskazując na kupę mchu w kącie. Pan Seweryn usłuchał zmożony niewczasem i wrażeniami ostatnich dni. Już dawno tak mocno i spokojnie nie zasnął, jak na tym pierwotnym posłaniu. Stary Ułas nie spał. Chwilę dumał u komina, potem z izby wyszedł do sadku osrebrzonego miesiącem i usiadł na ławce pod dębem, pacierze półgłosem szepcząc. I usłyszał daleko w ciszy plusk wiosła na rzece, prowadził uchem ten szmer coraz bliższy, aż do swej osady. Zapewne ktoś potrzebujący przybywał po leki lub radę. Czółno zatrzymało się u starych wierzb i ktoś się zbliżał. Gdy wychylił się z łozy, Ułas poznał Liszkę, ale ani się poruszył, ani przestraszył. Dalej półgłosem pacierze mówił. Liszka go zobaczył i przystąpił. Był jak zwykle w łachmanach, obrośnięty, czarny, ponury. - "Didu", daj chleba! - rzekł siadając na ziemi. "Did" wszedł do ziemianki, wrócił, kromkę czarną mu podał i znowu usiadł do pacierzy. Zbój jadł łapczywie, wygłodzony snadź srodze, wreszcie odetchnął głęboko i rzekł: - Chciałby ja raz pod dachem zasnąć. Pójdę do ciebie, na piec. - Nie można! - lakonicznie rzekł dziad. - Aha, masz jeszcze tego Lacha! Cóż, żyw będzie? - Będzie. - Ot, twarda siedzi dusza! A wiesz, tamci nie wiedzą, że on żywy? - Dowiedzą się! - Co? Wydał ich? A mnie? - więcej z ciekawości niż strachu zbój spytał. - Ciebie może tamci zdradzą; on nie! - Ja tak się po nim spodziewałem. Będzie milczał. To i co? íeby wiecznie lato trwało, człek by żył. Ale ot, zima przyjdzie. Czy jeszcze jedną wytrzymam, nie wiem; coraz mniej mocy! Wyciągnął się na ziemi, pięściami podparł brodę i posepnie dumał. - Precz idź, w obce kraje, do roboty się zabierz! - rzekł dziad. - Wszędy mnie nuda żarła, tylko tu nie! Tutaj żre nędra i trwoga, a ot tamto jeszcze dokuczliwsze! Zdechnę tutaj. Liszka ja, tylko nory nie mam i skóra moja droższa od lisiej. Sto rubli, warto zabić! Onegdaj Onyśko z Alterem o tym szeptali.

Trzeba było znowu w chaszczę iść! Chleba coraz trudniej dostać, a zimy strach jak wiemy! Ty, "didu", wnet umrzesz, nie boisz się? - Nie. Do znajomych pójdę. Moi już z tamtej strony! - Głupiś! Zbutwieli już dawno! Dziad ramionami ruszył i milczał. Zbój na wznak się położył i w księżyc patrzył. - "Didu", ty mnie ziela daj! Febra mnie trzęsie! - ozwał się po chwili. - Ziele ci nie pomoże. Chaty ci trzeba, ciepłej strawy, kożucha i butów. - To już i zamęczył mnie ma? - A małoś ty zamęczył! - Ja, ino jedną babę swoją! Biż całe życie to każdemu wolno, a zabiż - nie! - A starego pana? - Anim go tknął! Taki stary czerep tłuc to by mi wstyd było. Wzięli mnie dla ochoty. Głupio było. Mało co wzięli i mnie nic nie dali. Trzy ruble rzucił Alter. Teraz niech go biorą! Dobrze tak; podła kompania! - Jakieś szukał, taką masz. - Aha, ja mam w czym wybieraż! - burknął Liszka. - Toś wiedział, do czego wracasz. - Wiedział, alem poprzysiągł tu zdechnaż i tak się stanie. Zwinał się w kłębek, jakby zasypiał, ale go febra zaczynała męczyż. Kulił się w swych łachmanach. Ułas do chaty wszedł i wyniósł mu jakichś korzonków garść. - Masz; jak cię rzucaż przestanie, zjedz! A teraz idź gdzie w łozy. Za chwilę świtaż zacznie, u mnie ludzie będą. Idź, masz jeszcze chleba! Liszka podniósł się stękając. Nogi miał pokaleczone, członki zbolale, dreszcze okropne. Wstał jednak i jak zwierzę ścigane ruszył w łozy, by się w gęstwinie zaszyż i przebyż dzień o głodzie i męce. I nie miał już dla niego ratunku ani rady nawet wszechwiedzający Ułas. Na drugi dzień zaledwie powrócił Hipolit; Szymon, z każdą godziną silniejszy, siedział już na posłaniu. - A co? - spytał żywo. - Onyśko i kulas pod kluczem, rzeczy u Altera znaleźliśmy w piwnicy pod drzewem i szmatami, ale on zginał. - Jak to? Wypuściliście? - zawołał pan Seweryn. - Na chwilę wyszedł Ihnat Wilk, co go pilnował, z izby i przepadł jak kamień w wodę. Szukają go, może znajdą. Jam już nie czekał, poleciałem z dobrą wieścią po świecie. - I gdzieżeś papłał? - uśmiechnął się Szymon. - Ano, najpierw w Horodyszczu. - Musieli dopiero zdumież. - Panna Barbara wracała z miasteczka ze mszy żałobnej po was. Dalibóg! Egzekwie były, Dubinki przyszyły na nie, podobno że szlochania był pełen kościół. Wracała tedy panna Barbara smutna, a jam ją nagonił i powiedział: "Łabędzki panienkę pozdrawia!" Myślała, żem zwariował. A jakim rozpowiedział, zaczęła płakaż i śmiaż się na przemian, i kazała wam powiedzież, żebyście prędko przyjeżdżali, że godziny będzie rachowała. Szymon uśmiechnął się trochę smutno i spytał: - A Dubinki? - Chcieli tu kupą jechaż i chyba zaraz się zwala. Weronka z matką napierają się, by was doglądaż. - Oj, to trzeba stąd jechaż, bo Ułas najazdu nie zniesie - rzekł chory szukając wzrokiem starego. - Za tydzień! - odparł ten lakonicznie. - Za tydzień już nawet doktory ciebie nie uśmierca, a dotychczas niech ludzie tu się nie pokazuja, bo nie puszcze! - Pozwolicie może przynajmniej wina mu przysiaż i coś do jedzenia? - wtracił ze śmiechem Sokolnicki. - Mnie panienka z Horodyszczu dała całą torbę zapasów - przypomniał sobie Hipolit. - Co Bóg dał, to mu wolno jeśż, a co ludzie zrobili, nie - zaprzeczył dziad. - Za tydzień zrobi, jak zechce, a tymczasem zje i wypije tylko to, co ja mu dam. Nikt nie śmiał się sprzeciwiaż. Ułas był gderliwy tego dnia i dodał: - Widzieliście go, żyw będzie, ale dosyż gawędy i śmiechu. Niech sobie pan jedzie i ty także. W drugi czwartek przyjedziecie po niego, a teraz jemu trza spoczaż, a i mnie czeka robota przy pszczołach duża. Zostawcie nas w spokoju. Wyprawiał ich bez ceremonii. - To racja! Jedźcie - rzekł Szymon. - Roboty i wy macie mnóstwo! Mnie tu dobrze. Będę czwartku wyglądał z utęsknieniem. Pilno i mnie do pracy! Tak się rozstali. Ułas za nimi chatę zabarykadował coś mruczając i jak obiecał, nikomu swego pacjenta nie pokazał. Przypłynęła szlachta z Dubinek. Zburczał ich, przepędził od progu. Przyleciała Semenicha, Weronka, Morska; nic nie wskórały. Co wieczór dowiadywał się Hipolit. Za pierwszym razem przyjął go znośnie, za drugim zbył milczeniem, za trzecim zwymyślał. - Było go pilnoważ przedtem. Dosyż! Wasz jest przyjaciel, a wtedy mordoważ daliście? Pójdż precz i nie pokazuj się aż za tydzień. Przyszedł nareszcie ów czwartek i skoro świt już trzy łodzie były u osady Ułasa, i ciżba pod drzwiami ziemianki. Sokolnicki niecierpliwie pukał, Hipolit do okien zaglądał; ale długą chwilę czekaż musieli, aż drzwi się otwarły i ukazał się

Szymon, wymizerowany jak widmo, z obwiązana głową i ręką na temblaku, blady ze wzruszenia, bliski płaczu ze szczęścia, że widzi świat i bór, i tyle rozpromienionych twarzy. Zachwiał się i za uszak * się uchwycił, a wnet go powstrzymał Sokolnicki i Hipek, i chcieli go nieść do czółna. uszak - umocowana w ścianie rama drzwi albo okna. - Czekajcie! - zawołał oglądając się. Ułás wyszedł za nim i dobrotliwie się uśmiechał. Szymon do niego się zwrócił i za rękę go wziął: - "Didu", daj wam Boże królestwo niebieskie za waszą dobrość i staranie! Zapłacić nie potrafię godnie. I pomimo oporu ucałował rękę starego. - Idź z Bogiem, synku! - rzekł Ułás łagodnie. - Miłuje cię Bóg i ludzie, miłuję i ja. Czystyś człowiek. I po ojcowsku po twarzy go pogłaskał, i rzecz niebywała, poszedł za nim aż do łodzi. Gdy go umieszczono wygodnie, stary z zanadrza podał mu zwitek ziół i w szmatce maści odrobinę, a gdy już ludzie do wiosł się wzięli, krzyżem go przeżegnał i oczami odprowadził aż do zakrętu. Minał jednak jeszcze drugi tydzień, zanim Szymon z Sokołowa mógł ruszyć. Co prawda pieszczono go tam i dogładano jak brata. Zaraz na wstępie aż pobladł z wrażenia, gdy obok Iliniczowej Basię zobaczył na progu uśmiechniętą radośnie. Tak rozjaśnionej twarzy nigdy u niej nie widział i płakał mu się chciało. - Szymek, Szymek! - wołała Iliniczowa, jak w dzieciństwie go zwała, gdy się bawili razem, i ze szczęścia uściskała go jak brata, a dzieciaki skakały wkoło niego. Zwrócił się do Basi i może Żwierż sekundy zajrzeli oczami aż w dusze. Potem ona mu ręce obie podała, a on je ucałował, czego nigdy nie czynił, ale czemu nikt się nie dziwił w tej chwili. Potem mówili wszyscy, wołali, śmiali się, cieszyli jak dzieci, i on się śmiał, i mówił, ale był jakiś nieswój i chwilami roztargniony, i tylko to dobrze pamiętał, co Basia mówiła. Przyjeżdżała potem codziennie, pomimo robót w polu, i raz się zdarzyło, że zostali sami na ganku. Wtedy rzekła szczerze: - Pan nie uwierzy, jaka luka wśród nas była, gdy pana nie stało... - Pani na mnie zanadto łaskawa! - odparł smutno. - Po człowieku jak po kamieniu w fali. Zrazu wir i próżnia, potem koła coraz dalsze i słabsze, a potem, jakby nic, fala płynie. To jest bardzo smutne i bardzo kojące zarazem. Stara Wilczyca tłumaczyła mi to kiedyś, gdym był niezmiernie zgnębiony stratą żony. Nie wierzyłem zrazu, a potem tak się stało. W duszy, jak na ziemi, ciągle się odnawia życie, na grobach rosną kwiaty, pustkę zajmuje inne uczucie. Pług rozedrze zagon jak ból serce, a przychodzi czas jak rosa i słońce, i znowu zagon zielony. I po mnie w waszej pamięci tak by się stało. - Myli się pan. Pod falą w głębi kamień zostanie, pod pozorem zapomnienia nie zawsze jest pustka w duszy. Jest ból, jak ten kamień, oczom ludzkim niewidzialny. Zanadto cenię pana, abym uwierzyła, że pan w głębi serca nie chowa pamięci zmarłej, tak jak pewna jestem, że miejsca pana u nas nikt by już inny nie zajął. - Dziękuję pani i całym życiem odśluzę - rzekł oczu nie podnosząc. Basia też umilkła, zamyślona, a potem zaczęli mówić o Sewerze i Nice, o sprawach majątkowych, o robotach i planach gospodarskich, i nagle on zagadnął: - A ci wierzyciele, którym pośredniczył marszałek, nie napastują pani? Pobladła z trwogi. - Dotąd nie. A tak się tego boję, tak boję! Do miasteczka jadę ze śmiertelną trwogą. Co dzień ich czekam. Lada dzień to mnie spotka. - To dziwne! - szepnął. Sokolnicki rzadko w domu bywał. Iliniczowa rządziła wszystkim z Hipolitem; złodziejska szajka oficjalistów była przetrzebiona; pan Seweryn siedział w Głębokiem, wyręczając Zagrodzkiego i pracując o wiele pilniej niż na własnym. Wpadał chwilami i znał było, że go wcale już Sokołów nie obchodzi. ślub naznaczono na październik i umówione już było, jak Szymon przewidział, że młodzi zostaną w Głębokiem. Tymczasem cała okolica o nich tylko mówiła, obgadując i krytykując ile się zmieści. Szczęściem, że oni tego nie słyszeli. Nareszcie pewnego dnia Szymon mógł się już ruszać, sił miał więcej, więc się z panem Sewerynem wybrali do miasteczka. Domy marszałka były opieczętowane i zamknięte, ale parkan od cmentarza zupełnie już rozwalony, a rudery na pastwie złodziejów i uliczników. Różne włóczęgi nocowały w dziurawych szopach i stajniach, a podwórze obrały sobie na ulubione pastwisko żydowskie kozy. Weszli tedy bez klucza i pozwolenia, i Szymon wnet się skierował do ruin lamusu czy piwnicy, które do reszty przez to lato się zawaliły. Zamiast drzwi była kupa rumowisk, ale za to

zamiast okna był otwór i tamtędy dostali się do środka. - Jeszcze, do licha, na głowę nam się to zwali, a mnie teraz życie miłe! - burczał pan Seweryn. - I to tutaj, bez zamknięcia, miał stary trzymaż pieniądze? Tobie się coś przyśniło chyba! Szymon się oglądał w ciemności. Loch to był sklepiony, wilgotny, pusty, schronienie nietoperzy, których całe familie wisiały w szczelinach. - Tutaj on z latarnią coś wtedy operował - rzekł. - Trzeba ostukaż mury i ziemię. Zaczęli stukaż i raptem w kącie podejrzenie odezwała się posadzka. Szymon podważył jedną i drugą cegłę: była pod nimi jama, w jamie skrzynka staroświecka, żelazem nakładana, zamczysta. - I pomyśleż, że tu kto chciał i nie chciał, mógł grzebaż, szukaż i raboważ! - rzekł Sokolnicki. - Cóż z tym zrobimy? - Ano, zabierzemy na bryczkę i do domu - cieszył się Szymon triumfujący. - A co, panie? Dobrze, żem wtedy tu był! Leżałaby ona do sądneho dnia albo by znalazł robotnik przy usuwaniu gruzów. Boż pan tu kamienice zbuduje kiedyś! - Weż te place sobie - rzekł pan Seweryn. - Dziękuję panu, ale po co mi one? Albo mi ciasno w leśniczówce, albo mi potrzebne majątki! - Słuchaj no, miejże nade mną litość! Weż cokolwiek. To zgroza tak cię wyzyskiważ - desperacko zawołał pan Seweryn. - Jak mi się to zamarzy, poproszę sam! - Panna Zagrodzka wciąż mi powtarza, iż to wstyd, że cię trzymam w fałszywej pozycji, że ci los zagradzam! To prawda! Dałbym ci folwark, ale te domy weż, proszę... - Kiedy nie chcę! Po co mi ten kłopot? - Ożenisz się. - Gdyby mi pan i Sokołów dał, to zostanę Łabędzkim z Dubinek, synem leśnika sokołowskiego i pisarza! At, po co to próżne gadanie! íeniż się nie będę, a fałszywej pozycji czuż mi państwo nie dadzą. Panna Zagrodzka mnie nie zna. - Kto cię zgadnie! Może właśnie lepiej cię zna od nas. Mówi, żeś skryty, że tortury z ciebie prawdy by nie dobyły. Prawda to? Szymon się roześmiał, skrzynkę dobywając z dołu. - A nieprawda, bo właśnie i tortury nie zmusiłyby mnie do kłamstwa. - No to powiedz: kochasz ty kogo czy nie? - Ot, czym się pan teraz zajmuje! Proszę no Wilczycy spytaż co to warte. A pewnie że kocham, jak czeremchy kwitną i słowiki śpiewają! Czy mi pan swobody zazdrości, że swata? - Chciałbym cię mież szczęśliwym. Wiesz ty, uczucie lepiej radzi niż duma. Nie wstyd prosiż, gdy się dusze daje królewnie! - Dlatego to pan tak obojętnie na tę skrzynkę patrzy, jakby w niej nie leżało zbawienie i szczęście. - Ona mnie pokochała dla biedy mojej i troski, i biednego chce mież. Te pieniądze oczyszczą Sokołów, ale mi nie wolno z niego korzystać! Wzięliśmy Głębokie w dzierżawę od ojca. Będziemy na dorobku. Zresztą wszystko się zmieniło. Teraz Burakowski narzuca mi swoje pieniądze. Okęcki przeprosza za ambaras, inni sami proponują niższe procenty. Mam teraz tylu pochlebców, ilu przedtem dokuczliwych wierzycieli; tyle pochwał, ile dawniej krytyk. - Boż słusznie mówi chłopskie przysłowie: szczęście przyjdzie, rozum będzie! - zaśmiał się Szymon. - Ohydna ludzkość! - burknął Sokolnicki. - Byle do tych nie byż podobnym! Pan niech zółż wyrzuci, zaczerpnie pobłażania. Teraz na pana kolej baczyż, komu rękę podaż, gdy tonie. My wiemy, jak to gorzko, gdy woda zalewa usta. Teraz pan na brzegu. Trzeba, siebie uratowawszy, innych za łeb wyciągaż. Dzierżawa w Głębokiem to zabawka na miodowe miesiące, a potem - nie taka praca panu się należy! Oho, jeszcze my niejednen klejnot uratujemy! Niech no ja z panna Niką pomówię. Tymczasem chodźmy stąd, bo mi pilno grosze rachoważ. Wydobyli się na świat Boży i ponieśli skrzynkę do bryczki. Po drodze Sokolnicki rzekł: - Słyszałeś, że Woyno już trzy razy był w Horodyszczu? Ten ma talent jak nasz stary Zagraj, zawsze pod trop goniż. - To pan myśli, że on o pannę Barbarę się stara? - Przecie nie o Bahe! - Toż by dla panny Barbary było uwolnienie z ciężkiej roboty! - rzekł Szymon zamyślony. - Może ją namawiaż będziesz? - odparł Seweryn śmiejąc się. - Jak by mnie spytała, nie inaczej bym uczynił. - Głupis! I umilkli. Skrzynkę włożyli do bryczki i ruszyli z miasteczka. - W Horodyszczu porachujemy skarb - rzekł pan Seweryn. Miało się już pod wieczór, gdy dojechali. Na polu wśród rzadkich kop spotkali Basię wracającą, ale nie była sama. Obok niej szedł Woyno, śmieszny w swym eleganckim wizytowym stroju i miejskim kapeluszu. - Jeszcze by brakło, żeby panna Nika przyjechała, jak mi to obiecała! - zaśmiał się Sokolnicki zatrzymując konie. - Proszę pana, ja pojedę do dworu -

rzekł Szymon. - Co ci? Takiś blady? Przemęczyłeś się? - Może... trochę, odpoczną u pana Bahy: jeszcze niezupełnie mocny. I pojechał aż zdziwiony, że go nie cieszyły i te odzyskane pieniądze, i szczęście przyjaciela, i widok Basi, której lepsza dola wschodziła. Od czasu choroby coś mu się popsło w duszy, coś mu ubyło, wielka rzecz - spokój i pogoda. Bahy nie zastał w mieszkaniu; tym lepiej. Szacowną skrzynkę postawił na stole, a sam u okna siadł i smutnie wyglądał na dziedziniec. Stary hodował pelargonie; żyły one i nawet wyglądały względnie zdrowo pomimo tytoniowego zaduchu, którym przesiąkło mieszkanie. Między wazony Szymon głowę wetknął, jakby na coś czekał. I doczekał się powrotu ich z pola, i odprowadził ich oczyma aż do domu. Czemuż Szymon nie szedł? Sam nie wiedział dlaczego. Było mu obco, cudzo i czuł, że oni wszyscy bardzo daleko są od niego i że on wśród nich będzie zawadzał. Wtem Baha wszedł prędko do swego mieszkania. - Panie Szymonie! Co to? Choryś? - wołał. - Gdzie zaś! Trochę słaby. Spoczywam pilnując marszałkowskich skarbów. - Panna Zagrodzka dopytuje się o pana i wieczерę podają. Chodź pan! Mamy kawalera. Wie pan? - Widziałem. Szczęść Boże! Warta panna Barbara dobrej doli! - odparł z cicha, zmęczony widocznie. - At - przeciągle rzekł Baha, opierając się u okna - zastanowienie potrzebne obojgu. Bo czy pan wymyślisz, czym by on tu mógł być w Horodyszczu? Bez pana się obchodzimy, na robotnika niezdatny, a konopi nie zasiewamy! - Zabierze pannę Barbarę do miasta. - Ja z Horodyszczu? A toś pan wymyślił? Chyba nieżywa, i to by jeszcze w trumnie się obróciła! E, nie ma między nimi żadnej wspólności; oszukują się. Chyba zasiejemy konopie; wtedy się zda, o zda! I śmiejąc się poszedł Baha ku domowi. Szymon pozostał nieruchomy. Ogarniała go teraz wielka żalność i zniechęcenie do żywota, do pracy, do ofiar. Znowu otworzyły się drzwi mieszkalnego domu i szła ku niemu Antolka Adama z Dubinek z tacą w ręku. Weszła do izby, zapaliła świecę i postawiła na stole nakrycie. - Panienska przysyła panu wieczерę! - rzekła. - Dziękuję, niegłodnym! - odparł nie ruszając się. Antolka nie odchodziła. - A kiedy pan będzie w Dubinkach? - spytała. - Toż tam sadny dzień! Dziesięć spraw w sądzie. Podniósł głowę. - Kto z kim? - Ano, każdy z każdym: Antoni matkę z chaty wyгнаł, Józef otruł klacz Piotra, Jan z Sewerynem do krwi się pobili o miedzę. Seweryn wyciął gruszę dziadkowi, dzieci znowu jak szarańcza plądrują po ogrodach, Morskich kaczkę Makarewicz za swoje sprzedał. Zachodził tu dziś rano dziadek do pana i za głowę się brał z desperacji. Trzeba, żeby pan tam rychło porządek zrobił. - Kiedym jeszcze ledwie żyw! - szepnął. - Dziadek bardzo prosił. - Może już mnie i słuchoż nie zechcą? - A kogóż? Panu poprzysięgli słowem honoru. Oho, tego nie złamię! Jak tu byli o te czynsze u pana Sokolnickiego, to w jeden głos bili: Łabędzki mówił, Łabędzki kazał. Muszą słuchoż! Co oni bez pana warci? - Panna Antolka inaczej kiedyś mówiła. - Co, ja? Głupiam była jak tamci! Teraz myślę, że pan więcej czasu mież dla nich będzie. Hipolit lasu dobrze pilnuje, pan się bogato żeni. Dubinki jedne w biedzie zostały - jak małe głupie dzieci! A wyglądają tam pana, wyglądają! Dziadek mówił, że jako jutro święto, to pan pewnie przyjedzie. Ja już się nawet u panienski na jutro wyprosiłam do domu. - Czy panna Antolka też sprawę ma? - A pewnie! - zaśmiała się białe zęby szczerząc. - Ja też rady potrzebuję, do śpiewania. - Myślałem, że się mnie panna Antolka o kawalera radziż będzie - odparł uśmiechając się jeszcze z przymusem, ale już na pół rozbudzony z niezdrowych dumek. - O, z tym to zaczekaż mogę! - mruknęła nagle chmurna. - Ano, prawda. Na Dubinki mi trzeba. Wstyd, że mi aż przypominają. Jutro będę tam. Wstał, oczy dłonią przetrął i do wieczery usiadł. - Goście nocują? - A pewnie. Ten łysy pan snuje się za naszą panienską, że aż biedna cierpliwość traci. - To się jej nie podobał? - Uj! - pogardliwie ruszyła ramionami Antolka. - Wczoraj pokazuja nasienie koniczyny, a on pyta: "Czy to mak?" Panienska ma tyle roboty i kłopotów, a ten prawi trzy po trzy. A jeszcze, jak go zacnie panienska z Głębokiego przedrzeźniaż i naśladoważ, to boki zryważ ze śmiechu. Nasza panienska wcale za maż nie pójdzie... Szymon zjadł z apetytem, potem rzekł: - Niech panna Antolka poprosi tu na moment pana Sokolnickiego. Ja tu nocoważ nie mogę, a interes mam pilny... Po długim oczekiwaniu wpadł pan Seweryn, roztargniony i

niecierpliwym. - Niech pan skrzynkę zabierze! Nie chcę jej stróżować. - To otwieraj prędko i rachuj. Co mi z tego kramu. Oddam ci zaraz na wypłaty. Chodził niespokojnie po izbie, wyglądając oknem z myślą gdzie indziej. Szymon siekiera podważył wieko; błysnęły z wierzchu tęcze asygnaty, na spodzie bankowe papiery. W tej chwili otworzono okno w domu i doleciały dźwięki fortepianu. Pan Seweryn nie wytrzymał. - Rachuj, ja zaraz przyjdę. Jedna jej piosenka więcej mi warta niż te podłe tysiące! Szymon począł rachować, potem szperał na dnie; były tam różne weksle. Nagle na jednym ujrzał podpis Basi i krew mu uderzyła do twarzy. Szukał dalej. Znalazł dziesięć podobnych. Dziesięć tysięcy rubli na żydowskie jakieś nazwiska, fikcyjne naturalnie. I to on, marszałek, był tą pijawką, był zmorą życia biednej dziewczyny; płaciła mu lichwiarskie procenty, zabijała się pracą! Zebrał wszystkie te weksle, odłożył na bok i począł chodzić po pokoju. Pan Seweryn naturalnie podrze to, zniszczy, ale jej to powie, żeby uspokoić, a ją ta łaska zaboli, upokorzy; nie zechce przyjąć. W tej chwili Sokolnicki wpadł z powrotem, ale się bardzo śpieszył. - Idziemy jeszcze na spacer. Cóż? Ile tego jest? - Pięćdziesiąt cztery tysiące osiemset siedemdziesiąt dziewięć rubli i różnych weksli fura. - Daj mi ten ułamek, a bierz na długi pięćdziesiąt cztery tysiące. Weksle obejrzymy potem. Szymon to czerwony, to bładzi dłoń na odłożonej paczce weksli położył i zdławionym głosem wyjąknął: - A to... to ja proszę pana... daroważ mnie. - Cóż to? - ciekawie spytał Sokolnicki. - Naturalnie, bierz, co chcesz! Ale pokaż. żadna siła nie odsunęłaby dłoni Szymona. - Niech pan da i nie pyta. To kwity ubogich ludzi. Procentami zapłacona suma! - wyjąkał gotów, by się nie zdradzić, siłą zatrzymał tajemnicę. - Szymek, ginę z ciekawości! Bierz; nie spojrzę, ale wyszpieguję, jacy to ubodzy ludzie. Oj, masz sekrety; będziesz się musiał spowiadać! Roześmiał się i palcem mu pogroził. Potem obojętnie na skarby spojrzął i wybiegł. Łabędzki odetchnął. Zmiał weksle i prędko je na kominie spalił. Potem zaczął pieniądze zgarniać i porządkować, i miał znowu na ustach zwykłą pogodę i uśmiech. Czuli się sówicie zapłaconym za rany i sińce, gotów znowu służyć do śmierci, bez żadnych osobistych pragnień i nagrody. XI Przyszła jesień zwykła kolejną. Była bardzo dżdżysta i chłodna; wcześniej zaczęły śniegi padać i błoto było nie do przebycia. W chłopskich Dubinkach u Wilków obchodzono dwa wesela. Ienił się Ihnat z Mikitki Krystyną, szła Tekla piękna za męża za wolą babki, pomimo płaczu i protestu, za bogatego jedynaka z Omelnej. Wilczyca wystąpiła hojnie i okazale, bo i gości miała wielu i osobliwych. Gdy darzono państwa młodych, przyjechał Szymon Łabędzki i złoty pieniądz na korowaj * rzucił, przelotnie na Teklę spoglądając. korowaj (ukr.) - w dawnej Rosji i na Ukrainie obrzędowe pieczywo weselne lub świąteczne, rodzaj placka z pszennej mąki, ozdobionego na wierzchu. Smutne jej oczy patrzyły na niego raz ostatni, bo odchodziła już z chaty, kędy on na wieczornice przychodził pieśni słuchać i ciekawie historie opowiadać. Szła do cudzej wsi na ciężką dolę gospodyni i matki, żegnała na zawsze swe dumki dziewczęce. Gdy pieniądz brzęknął, nawet pokłoniła się zapomniawsza i odprowadziła Szymona aż do komory, dokąd go na poczęstunek poprowadzono. Pijane swachy zawodziły żałosne pieśni, tylko jedna klaskała w dłonie śpiewając skocznie: "Oj, ty dąb, oj, ty dąb, @ ja biała brzezina, @ oj, ty pan ataman, @ a ja sierocina!" @ Tekla zgarnęła do twarzy zawój męzatkanki i otarła łzy. W tej chwili Hipolit wszedł, pieniądz rzucił i rzekł z cicha do Ihnata: - A wy się pilnujcie! Liszkę dziś widziałem! - A to go czort nie weźmie! Mówili, że dogorywa chory w sagach koło Głębokiego. - Ledwie się włókł, nawet nie uskoczył, gdy go nagonił. Na trupa patrzy, ale chatę spalić to jeszcze potrafi! Pilnujcie! Ihnat wyszedł, ale wnet wrócił otrząsając się. - Deszcz leje, że nawet słoma się nie zatli - rzekł uspokojony. Dalej szła zabawa, tańce, śpiewy, muzyka. W komorze siedziała starszyzna i honorowi goście. Raptem za oknem, za plecami Wilczycy, pies wył począł. Ie to był zły znak na weselu, więc stara zawołała na któregoś z wnuków: - Oksenty, weź dobry kij, a przepędź Łyska! Chłopak nie bardzo chętnie słuchał; pies wył dalej. - Anu, won! - rozległ się głos chłopca i zaraz potem tupot jego nóg z powrotem. - Panie Boże! -

wrzasnął wpadając do sieni. - Tam pod oknem na gruszcze coś wisi wielkiego. Rzuciło się kilku ciekawych, naturalnie Hipolit z Ihnatem na czele. - Dajcie łuczywo! świećcie! - wołali wszyscy. Na gruszcze sztywno, nieruchomo wisiał człowiek. Hipolit pierwszy dopadł i przeciął nożykiem rzemienny pasek u gałęzi. Człowiek gruchnął o ziemię; był to trup. - Liszka! - krzyknął Hipolit, zanim go poznał jeszcze. Podano łuczywo gasnące na deszczu. Był to istotnie Liszka. Zrobił, jak był postanowił: został w swoich stronach i Wilczycy dokuczył. Popłoch się zrobił ogromny, muzyka grać przestała. Tekla wybuchnęła płaczem, ludzie pomimo deszczu zaczęli uciekać i znak to był okropny. Wisielec na weselu, i jaki jeszcze wisielec! - ojciec panny młodej. Wilczyca po pierwszej chwili przerażenia zaczęła go wyklinać strasznie, ale Liszka już o nic nie dbał, nawet o policję. Leżał siny, straszny, z wypartym językiem i wstrętnym grymasem agonii na twarzy. Stał się tedy jak upiór nad chatą, nad rodziną i nad dolą Tekli, a leżał tam pod gruszą całe dwa dni, zanim zjechał sąd i śledztwo. Wesele przerwało się tragicznie. Niewesoło też skończyły się hulanki Onyśki i kulawego Narcyza. Sąd ich wykreślił spośród normalnego społeczeństwa na długie ciężkie roboty, bez nadziei powrotu. Narcyz jednak od drogi się wykręcił, bo zmarł w więzieniu. Onyśko poszedł bez wielkiego przygnębienia. - Dziesięć lat? Ot, głupstwo! - mówił po wyroku. - Skończy się prędzej może... Liszka uciekł... ucieknę i ja! A wtedy wspomni mnie sokołowski leśniczy. Ja go lepiej dopilnuję niż Makarewicz z Morskim. I z tą obietnicą w pewny dżdżysty poranek powędrował daleko. Groźbę powtórzono Szymonowi. Ramionami ruszył: - Będzie mu nie wygodniej uciekać z Sachalinu niż Liszce z Uralu. Zresztą, co sądzone, nie minie. Któregoś też jesienno dnia rozeszły się po miasteczku wiadomości, że Ilinicz sprzedał łąki swe młyny, rozpoczął proces z księciem Adakale o żwir na Bielicy i wyjeżdża do Petersburga sprawy pilnować. łądzi obrachowali go w lot co do grosza. Na młynach stracił dziesięć tysięcy i rzucał interes w chwili, gdy zaczynał się klarować, dla procesu, który przegra, straciwszy resztę funduszu. Ale Ilinicz inaczej liczył i nie dla procesu wyjeżdżał... Pewnego wieczora wybrał się na pożegnanie do Horodyszczka; chciał z Basią pomówić, by mógł przed odjazdem dzieci zobaczyć. Do żony nie ośmielił się wprost udać. Gdy przyjechał pod wieczór, w deszcz i wicher, zastał dom pusty. świeciło się tylko u Bahy w oficynie i tam zakochał. Stary fabrykował sobie cygara z domorosłego tytoniu i nie bardzo był rad wizycie, bo już powieczerał. - Nie ma nikogo. Pojechali oboje państwo do Głębokiego na imieniny. Ie też pan się tam nie wybrał! - rzekł. - Nie mam czasu. Przyjechałem się pożegnać. Za tydzień odjeżdżam stąd zupełnie. Może się doczekam ich powrotu. - O, zanocują niezawodnie. Mają tańczyć; jutro wielkie polowanie. - Seweryn może tym razem tygrysa upoluje. - Upolował on coś lepszego swą zaciętą pracą i staraniem. Wysłużył sobie wielkie uznanie. - Cha, cha, cha! - zaśmiał się Ilinicz. - Ot, jak się pisze historie i z czego to się tworzą bohaterowie! A Łabędzki, według pana, co sobie zasłużył? Jest sobie leśniczym w Sokołowie. Ustrzegł kilka sosen i parę fur łązy! - A któż Łabędzkiemu odmawia wartości? - oburzył się Baha. - Ten, kto Seweryna czyni bohaterem! - Kto krytykuje, niech daje przykład! - mruknął Baha dmuchając w samowar. - Ja nie krytykuję ani siebie stawiam za przykład - rzekł Ilinicz chmurno. - Ale na wyrok trzeba dowodów, na świadectwo trzeba faktów. I cóż zdziałał Seweryn? Umie celnie strzelać, polować z chartami i zna się na koniach. Tyle potrafi każdy przeciętny kawaler z tak zwanego obywatelstwa. Prawda, majątek miał obdłużony i klęski bezustanne. Czy to on wytrwał, wypracował, zwyciężył? Nie, on go już sprzedał był, ten swój majątek. To także potrafi przeciętny obywatel. I ten nasz bohater byłby dawno na bruku, gdyby nie kobiety. Uratowała go panna Zagrodzka! Ożenił się bogato - to potrafi także przeciętny obywatel. Sokolnicki sam przez się to człowiek nijaki, a szczęśliwy, że się dostał pod wpływ silnych. Czyny jego i zasługi - to Łabędzki i panna Barbara; on bez nich zero. - A kogóż można z panną Barbarą porównać? - wtrącił dumnie Baha. - Łabędzkiego! Kiedy chodzi o zasadę i cel, którym ci troje służą, Łabędzki stoi u szczytu. Cel ich i zasada są dla mnie utopią, porywaniem się z motyka na

słońce; ale to inna kwestia. Wchodząc w ich pojęcia - Seweryn walczy, bo go pchają i podtrzymują; panna Barbara broni swego gniazda i spokojnej starości ojca; Łabędzki nic dla siebie nie pragnie, nic nie ma, walczy dla zasady tylko, czysty jest jak złoto, mocny jak stal. Takich ludzi nie spotyka się w życiu, nawet dwóch, często ani jednego. Tego nazwijcie bohaterem - uznaję, ale nie Seweryna! Szkoda mi tylko Łabędzkiego - dla idei bez przyszłości... - Mój dobrodzieju - rzekł Baha poważnie. - Jeno dusze mamy nieśmiertelne, a ciała krótkotrwałe! Przyszłość rzecz ciemna i nieznana; nie nam roztrząsać i decydować, co będzie. Bóg zdecyduje. Ale gorzej będzie, gdy zdecyduje, byśmy pracowali, a nas tymczasem wyrok Jego nie zastanie na miejscu. Poszli sobie precz, powie, ano, to snadź o to nie stoją. I oto jest idea bez przyszłości. A co do pana Seweryna, to pan zapomina, że jeśli ma być przeciętnym obywatelem, to powinien jeszcze grać w karty, hulać, pożyczać na swe rozrywki, rozwozić plotki, krytykować sąsiadów, cieszyć się z niedoli bliźnich i mieć w pogardzie i lekceważeniu wszystkie kobiety. Wtedy dopiero byłby typem kompletnym. - Toteż on typem nie jest, tylko człowiekiem niezłym, z małą wola, słabą energią, bez inicjatywy - nawet do złego. Poszczęściło mu się, będzie uchodził za rozumnego; pośrednictwo Łabędzkiego, będzie myślał myślami żony i panny Barbary. Zasady wasze czczą przeważnie kobiety, przeto długo jeszcze potrwają. Ilinicz ręką machnął na zakończenie, jakby kwestię dla dysputy zamykał. Baha, który się za pobitego nie uznawał, uparcie zakończył: - A ponieważ fakt jest dowodem, fakt mamy. Nie daliśmy się. Ot, co jest! Nam gorzko było, ale tym, co inaczej się urządzili, gorzko będzie! Ilinicz milczał grzejąc ręce przy kominku. Czy uważał Bahę za niegodnego dysputy dalszej, czy go obleciał smutek rozstania się z okolicą, czy wspomnienie jakiejś goryczy, której się wstydził, dośń, że nie podniósł rękawicy i zamyślony w żar się wpatrywał. Na dworze, do wtóru jego myślom, wicher jęczał, zawodził i deszcz płakał.